

Powieść o sile ducha, jaką dają zasady  
i odpowiedzialność, nie tylko za siebie.

IWONA J. WALCZAK

Dom złudzeń

*Iga*

Replika

**Iwona J. Walczak**

**Dom złudzeń**

**Iga**

*Powieść powstała z miłości do miejsc mojego  
dzieciństwa, zaś opowiedziana historia, jak i jej  
bohaterowie są tylko wytworem mojej wyobraźni  
i wszelkie podobieństwa do prawdziwych wydarzeń i osób  
są przypadkowe.*

*Bardzo dziękuję wszystkim, którzy mieli wpływ na  
kształt i przesłanie książki.*

Rodzinie i przyjaciołom

# ROZDZIAŁ 1

*Dzisiaj Biała Szkoła. Słońce. Wszystko tak samo.  
Tyle samo na skosie ciepłego leży cienia  
I wieczne są wakacje i tych wakacji mało  
I nic się. nie zmieniło, tylko mnie tam nie ma.*

Andrzej Babiński – „Dzieciństwo”, z cyklu *Strofy*

## **Wiosna 2007**

Mam wielki dom, konie, auta z tak zwanej górnej półki i setki hektarów ziemi uprawnej dobrej klasy. Są też łąki oraz kawał lasu. I co z tego? Byłam rozgoryczona. Mógł się postarać. Dwa tysiące euro na tydzień? To za mało!

Wyszłam z hotelu, kierując się na wybrzeże. Miałam czas. Stapałam powoli, zrywając wychylający się zza skał rumianek. Różnił się od naszego, mniej pachniał, a drobne koszyczki kwiatów wciąż nie były do końca rozwinięte.

Na klifie było pusto i cicho, w zatoce kręciło się kilkoro turystów, a przy brzegu kołysała się samotna żaglówka. Doskonałość linii horyzontu zakłócały małe wycieczkowe statki wracające na noc do zatok. Wiało.

Nie przeszkadzał mi chłodny wiatr – przylatując na wyspę, nie nastawiłam się ani na opalanie, ani na kąpiel w morzu. Wystarczyć mi miały spa, basen na tarasie hotelu i sklepy.

Przedwieczorna cisza zachęcała do wędrówki. Dzień kończył się leniwie, rosa zaczynała kłaść na skałach, zaś z oddali, przez coraz bardziej wyraźne świsty wiatru, usłyszałam graną jakby na ustnej harmonijce melodię *Hallelujah*. Nuciałam cicho, schodząc w dół urwiska, by przedostać się kilka metrów niżej, musiałam przytrzymać się parcianych sznurów. Niewielka plaża między skałami była znakomitym ustroniem. Ze dwa metry na dwa, osłonięte od wiatru, w tym miejscu było ciepło, cicho, bezwietrznie.

Siadłam na gładkiej szarej skale i stopami zagarniałam piasek. Patrzyłam w dal.

Morze ciemniało wraz z czającym się zmierzchem. Nie słychać było już harmonijki, tylko szum fal, wiatru i odgłosy ptactwa. Oparłam się o skały. To był *ten rodzaj* odosobnienia, jakiego potrzebowałam.

– Ta plaża jest nienormalna, raz wieje, raz nie! – Usłyszałam za plecami męski głos o matowej, nieczystej barwie.

Odwróciłam się. Łysy, opalony na mulata facet w zielonej podkoszulce i krótkich białych spodniach z lnu wyglądał tak, jakby na wyspie pędził leniwe życie

birbanta. Siedział na wysoko położonej półce skalnej po przeciwnej stronie zejścia i mierzył mnie wzrokiem podobnie, jak orzeł spogląda na małego wróbelka. W ręce trzymał ustną harmonijkę. W pomarańczowym świetle umykającego za horyzontem słońca łysina intruza zdawała się błyszczeć, jakby niedawno powierzył ją pucybutowi.

Nie miał niemiłej powierzchowności. Generalnie.

– Czy my się znamy? – zapytałam.

Obrzucił wzrokiem całą moją postać. Z długimi, rudymi włosami, pozakręcanymi w kędziory, w białym spodniem od Cacharel i w jasnozielonym blezerze od Donny Karan wypadłam dobrze, widać. Po twarzy mężczyzny przemknął uśmiezek.

– Cóż za hollywoodzkie pytanie! Jasne, że się nie znamy! – rzekł, po czym zeskoczył po skałach na plażę i podał mi rękę. Uścisk miał mocny, zdecydowany.

– Ludwik Sommer.

– Iga.

– Iga, a co dalej?

– Po prostu Iga.

– Przed kim tutaj uciekliśmy?

– Uciekliśmy? – prychnęłam. – Cóż za banał!

Górna warga bezczelnego typu miała ładny wykrój, a gdy nabierał powietrza, by mówić, układała się w kształt różowego żelowego serduszka. Poprzez ten kształt ust

niejaki Sommer (załóżmy, że to jego prawdziwe nazwisko) wyglądał, jakby się ciągle uśmiechał. Oczy łyśka, osadzone pod szczeciniastymi, nastroszonymi jak pędzel ławkowiec brwiami, były niewielkie, zmrużone, nieco świdrujące i miały kolor burbona.

– No cóż, ja akurat umknąłem tutaj przed tłumami półnagich próżniaków, którzy są przekleństwem każdej plaży – mruknął.

Zauważyłam, że coś jeszcze chętnie by dodał, ale się powstrzymał.

– Plaże raczej świecą pustką, uściślijmy – zaprotestowałam.

Spojrzał na mnie spod ławkowców.

– Ech... – westchnął. – Wygląda, że zaczyna się tramontana... Na pewno przez dwa dni będzie wiać jak diabli. Pech. Przejdziemy się drogą konną? – zaproponował nagle.

Droga konna to rodzaj ścieżki dookoła wyspy, nad brzegiem morza, po skałach. To już wiedziałam od recepcjonistki z hotelu. Przejsć się? Chętnie.

Minorca, niewielka wyspa, najmniej znana spośród Balearów, skusiła mnie ciszą, której potrzebowałam. Wszystko, co mówiono w biurze turystycznym, okazywało się prawdą. Lotnisko w Mahón było niewiele większe od poznańskiej Ławicy, a droga przez wyspę z jednego brzegu na drugi zajmowała mniej niż godzinę



jazdy autem.

– Albo nie, innego dnia, gdy nie będzie wiać. To znikam!

Jak to: „znikam”?! Nie zdążyłam zaprotestować, z pretensją na końcu języka patrzyłam, jak niejaki Ludwik skacze z półki na półkę niczym kozica. Nie był wysoki, raczej krępy, ale przy tym umięśniony, zwinny. Rzeczywiście znikł. Za chwilę usłyszałam oddalającą się melodię *Whisky Dzemu*, która to współgrała ze skalistym brzegiem, szarym piaskiem w zatoce, wakacjami i morzem. A nawet z wiejącą z coraz większą mocą tramontaną. Trzeba przyznać, w grze tego faceta czuć było emocje o sile huraganu.

Spotkanie Sommera mnie ożywiło, było zapowiedzią czegoś nowego. Nie wiem, dlaczego miałam takie wyobrażenie. Opuściłam zatokę, wspierałam się po skałach i znów znalazłam się na kamienistej drodze konnej, jednak mojego rozmówcy nie było już nigdzie widać.

Na Minorce nie sposób się zgubić. Główna droga wiedzie z Ciutadelli do Mahón. Już następnego dnia po przyjeździe wiedziałam, że chcąc gdziekolwiek dojechać, zawsze trzeba minąć trzy targowe miasteczka. Znałam ich nazwy na pamięć. Obudzona nocą mogłabym wyrecytować: Alaior, Es Mercadal i Ferreries.

Ludwik Sommer niekiedy mignął mi z okna autokaru, w końcu spotkaliśmy się w Mahón, gdzie obydwój

przymierzaliśmy sandały *abarcas*, oczywiście nie tę samą parę. On oglądał wielkie z naturalnej rudej skóry, ja haftowane *zieloną* nicią na seledynowym tle. Po rumiankowy likier udaliśmy się już razem. Podobnie było kolejnego dnia, spotkaliśmy się na targu w Ciutadelli, po czym razem wybieraliśmy prezenty, czyli damskie skórzane ozdoby.

– Może zwiedzajmy wyspę jednym autem, będzie taniej ... – Zaśmiałam się. To miał być dowcip. Odkąd zostałam żoną Leszka, nie znałam, co to oszczędność.

– Dobrze – przystał od razu i o nic więcej nie zapytał.

– Spotkajmy się wieczorem, by ustalić plan. Okej? – brnęłam dalej, w zasadzie nie wiedząc po co.

– Jak chcesz! – Ludwik ożywił się, by za chwilę znów spoważnieć. – Żebyś jednak potem nie żałowała – mruknął, patrząc gdzieś poza mną.

Wieczorem nie mieliśmy okazji, tramontana nie ustawała, mnie rozbolała głowa, a i on się wymówił, podając jako powód, że przy sztormowej pogodzie dobrze jest zniknąć pod wodą, bo tam nie wieje. Zabawne. Pod wodą?!

Tymczasem zarezerwowałam sobie terminy na większość upiększających zabiegów w spa. Przeholowałam. Potrzebne mi były pieniądze, a Leszek nie odbierał moich telefonów. Oddzwonił około jedenastej w nocy i po wysłuchaniu tego, co mam mu do

powiedzenia, skwitował krótko, że nie przyśle mi ani jednego euro, bo nie ma.

– Chociaż z pięćset... – poprosiłam, mizdrząc się do słuchawki.

– Nie – odpowiedział i przerwał połączenie.

To nie było normalne zachowanie mojego męża. Zawsze otrzymywałam tyle pieniędzy, ile chciałam, nie potrzebowałam używać żadnych sztuczek. Próbowałam jeszcze raz poprosić Leszka, wytłumaczyć się, ale nie odebrał telefonu ani nie oddzwonił. Następnego dnia przestałam myśleć o upiększających zabiegach. Po prostu z tych najbardziej kosztownych zrezygnowałam.

Wypożyczenie auta zajęło Ludwikowi i mi kwadrans. Dobrze się prowadziło małego opla. Ludwik okazał się wytrawnym kierowcą, zatem było mi obojętne, które miejsce w aucie zajmuję. Raczej bywałam pasażerem.

Monte Toro, najwyższe wzniesienie Minorki, na którym znajduje się słynny klasztor, było pierwszym odwiedzionym przez nas miejscem. Potem w knajpce Es Pla w Fornells sprawdziliśmy cenę najlepszego na wyspie homara, ale finalnie nawet go nie skosztowaliśmy. Był cholernie drogi. Poza tym tego dnia w restauracji nie pojawił się król Juan Carlos, który czasem podobno tutaj wpadał... właśnie na homarka. Za to spałaszowane pieczone szparagi z szynką *serrano*, sałatka z melonów i *chorizo* z karczochami przyjemnie podrażniły nam kubki

smakowe. Podobnie jak wołowe szaszłyki z pomarańczą i czosnkiem czy marynowane bakłażany. Mniem...

Zamiast zabiegów w spa, leżałam sobie z Ludwikiem na plaży. A co! Rozmawialiśmy o życiu i jego meandrach oraz nieco optymistyczniej o... słońcu. W konsekwencji po kilku dniach wyglądałam, jakby przez miesiąc wystawiano mnie na pustynię i pilnowano, bym stamtąd nie uciekła. Złaziła mi skóra.

Na Minorce ze zdumieniem odkryłam, że wcale nie trzeba pieniędzy, by się dobrze bawić. Ludwik okazał się dobrym kompanem i znał się na żartach. No i dysponował gotówką, dzięki czemu czułam się bezpiecznie, ale też starałam się nie nadużywać jego hojności. Ostatniego dnia po kolacji, siedząc na tarasie, piliśmy pomadę. Nie była godna zapamiętania. Rozwodniona, przesłodzona lemoniada ze śladem jakichś procentów. Beznadzieja. Wieczór był ciepły, wiatr ustał, śmialiśmy się. Zrobiło się sentymentalnie. Już dawno zapomniałam o tej stronie swojej osobowości.

– Mam tu wszystko, co lubię. Wodę, słońce, skały... Gdybym mógł, opłynąłbym świat wzdłuż, wszerz i w głąb, bardzo rzadko zawijając do portów – powiedział Ludwik.

I ja chętnie bym się przyłączyła. Nie chciało mi się wracać do kraju, do wsi, do domu. W ogóle.

– Nie możemy rezygnować z marzeń, inaczej nasza

duśa nakarmi się złudzeniami. Co stoi na przeszkodzie?  
– Zajrzałam w oczy Ludwikowi.

– Jak to co? Życie. Trzeba po prostu wieść życie. – Nie patrzył na mnie podczas rozmowy. Twarzą był zwrócony w stronę morza. Zupełnie tak, jakby miał na mnie olej. Trzymał w ręce szklanę z pomadą.

– Życie... Bywa, że po jakimś czasie masz jednak dość monotonii. I co dalej? – Ścisnęłam pustą szklanę w dłoni.

– Nudzisz się?

– Czasem.

Nie miałam zamiaru popaść w słowotok, chociaż, nie powiem, korciło mnie, by się zwierzyć, zwłaszcza po pomadzie i rumiankowym rumie. Z czego? Dużo by tego było.

Znów przez chwilę milczeliśmy. Muszę przyznać, dobrze mi się z nim „nie rozmawiało”, w ogóle nie czułam potrzeby, by zagłuszyć ciszę myśli słowami. Tak było dobrze.

– Zagraj coś – poprosiłam i oparłam się wygodnie na fotelu.

Tym razem improwizował. Dźwięki popłynęły w dal, miałam je na wyciągnięcie ręki, w powietrzu, nuty fruwały nad moją głową, nad nami, wszędzie. W tej muzyce odnalazłam smutek, nostalgię. Dokładnie to samo, co czułam i ja. Dobrze grał.

– Pięknie, pięknie – powtarzałam.

Po paru minutach Ludwik skończył grać i włożył harmonijkę do kieszeni spodni.

– Też jesteś na łańcuchu? – zapytał jakby od niechcenia.

– Skąd wiesz?

– Bo się do tego przyznałaś.

To musiało mi wystarczyć. Rodzaj mało rozwiniętej konwersacji, jaką uprawialiśmy, dawał mi duże pole do wyobrażeń.

Zaczęła mnie kręcić ta znajomość.

\* \* \*

Samolot kołował nad Warszawą już ze dwadzieścia minut. Byłam zmartwiona. Ludwik z kolei przeżywał coś na kształt paniki połączonej z histerią. Gdy wreszcie wielki blaszany ptak siadł na pasie, mój towarzysz odsapnął i zaczął marudzić, że tak długo jeszcze nigdy nie lądował i to na pewno jest dla nas zły znak. W ten sposób dowiedziałam się, że chce kontynuować znajomość ze mną.

– Gdzie mieszkasz? – zapytałam, gdy przy taśmie czekaliśmy na bagaż.

– Trochę tu, trochę tam, w Poznaniu czasem też –

rzekł, siłując się z moją walizką, która zjechała na taśmę.

Wydarłam z notesu kartkę, napisałam swój numer telefonu i adres mailowy, zwinęłam i wcisnęłam mu w rękę.

– Czy to inicjacja? – Przeszył mnie świdrującym spojrzeniem i schował kartkę do kieszeni spodni. Jeszcze krótką chwilę temu ze strachu omal nie zszedł, nie wypuszczał mojej ręki i ja musiałam w tym widowisku uczestniczyć, a teraz? Jakbym miała myśli wypisane na czole...

– Cały tydzień czekałem, aż wreszcie mnie dotkniesz. Dobrze. Nic nie odpowiedziałam. W ten sposób się rozstaliśmy.

Jadąc pociągiem z Warszawy do Poznania, zastanawiałam się, czy to niemoralne, żeby w czasie siewu zbóż żona właściciela firmy z branży rolniczej wracała do domu opalona.

Unosząca się nad Jeziorem Jerzyńskim i łąkami mgła zwiastowała, że dzień będzie słoneczny i ciepły. Przebyłam kilka tysięcy kilometrów samolotem, a potem kilkaset pociągiem, ale nie cieszyło mnie, że wracam. Nie lubiłam ani okolicy, ani tego, co niesie wiejskie życie. Nuda, po prostu nuda. Na dworcu w Pobiedziskach czekał na mnie firmowy kierowca, choć spodziewałam się, że przywita mnie Leszek. Wracałam do domu

w Złotniczkach, wypatrując zmian. Nowych kwiatów, większych liści na drzewach, bujniejszej zieleni na polach i łąkach, jakiegoś postępu.

Było tak samo jak przed wyjazdem.

Nasz Akacjowy Dom (tak nazwaliśmy posiadłość) stał na zboczu schodzącym łagodnie w stronę jeziora i niewielkiego cypla, który, porośnięty akacjami, z daleka wyglądał, jakby chronił nas, mieszkańców, przed wiatrem i oczami wścibskich. Bryła budynku była wielkowiejska, ale w okolicy wszystkie nowo pobudowane takie były. Zielony dach z najlepszej dachówki, miedziane rynny, wejście szerokie na trzy metry, osłonięte gałęziami wielkiej akacji, którą udało się podczas budowy oszczędzić. A od strony jeziora kolejne drzwi, dla służby.

Olbrzymi majątek, w którego posiadanie weszłam, wcale nie sprawiał mi radości. Nie ja zajmowałam się jego pomnażaniem, nie interesowałam się też finansami. Miałam męża, a on był rzutki i szczodry. Generalnie towarzyszyło mi jednak poczucie, że coś nam się nie udało. Absolutnie irracjonalne wrażenie. To wiedziałam.

– Igo, czy wiesz, gdzie są nasze akty notarialne? – zapytał Leszek, podchodząc do auta, z którego wysiadałam.

– Nie przywitasz mnie? Nie tęskniłeś? – Nadstawiłam usta do pocałunku.

Musnął mnie policzkiem.



– Poszukam – odpowiedziałam.

– Chodzi o naszą rozdzielność majątkową.

– To chyba jeszcze czasy sprzed ślubu. Nie porozmawiamy? – zapytałam, widząc, że Leszek wsiada do jeepa.

– Będę wieczorem.

Dziwne, zawsze, by mnie powitać, rzucał wszystko i wracał do domu albo czekał na mnie na lotnisku. Od lat tak było. Poczułam się rozczarowana. Chciałam zdać relację z podróży, obdarować prezentami i ustalić na przyszłość pewne finansowe pryncypia. Niewątpliwie na Minorce miałam za mało pieniędzy, tak dalej być nie może. Szczęśliwie Ludwik finansował moje zachcianki, ale przecież będę musiała mu zwrócić pożyczoną kwotę. W ubraniach z podróży przysiadłam w fotelu, owinęłam się kocem.

– Pani Igo, gdzie pani jest? – Wzdrygnęłam się, gdy usłyszałam głos Jagny Staszewskiej, opiekunki Stasia i ogólnie zawiadującej naszym domem.

Jagna miała ponad sześćdziesiąt lat, trzech mężów, przy czym ostatni postanowił położyć się w grobie, uprzednio zostawiwszy swojej połowicy ładne nazwisko, starego opla i niewielki dom w Jerzynie, co ją ucieszyło. Nadal była w towarzyskim pogotowiu, a mogła przebierać. Ewentualnych absztyfikantów kusiała proporcjonalną figurą, wcięciem w taliu większym niż

u rówieśniczek i dobrze umoszczonym dużym biustem, który nosiła jak relikwię. Typowa klepsydra. Na imię tak naprawdę było jej Maria, ale miała gruby, jasnozłoty warkocz, długi na metr, stąd w pobiedziskim kole emerytów została okrzyknięta Jagną.

Spodobało się nam to imię.

– Tutaj. – Wyjrzałam oknem.

Jagna ze Stasiem czyścili z zimowego kurzu trzykołowy rowerek.

– Bobasku, gdzie byłeś?! Przyjdź szybko dać mamusi buzi!

Staś był prześmieszny. Szczuplutki, drobnokościsty, ale na głowie miał pudła. Po kim ta szopa? Nie miałam pojęcia, moje włosy są rude, gęste, owszem, kręcone, ale mniej niż u Stasia. Leszek był nieco siwiejącym brunetem, włosy miał proste, ale nie gęste. Możliwe, że Staś odziedziczył swoje loki po dziadku ze strony mojego taty. Nie miałam pewności, bo go nie poznałam osobiście, tylko z wyblakłych zdjęć.

Synek przybiegł i uwiesił się na mojej szyi, mocno mnie przytulając. Usteczkami poślinił mi policzek.

– Mamo! A co to jest porno klub? – zaszeptał mi do ucha.

– Chryste! Skąd znasz takie słowa? Który dzieciak ciebie tego uczy?! – krzyknęłam i natychmiast postawiłam dziecko na ziemi.

Staś patrzył na mnie, zadowolony z efektu, jaki wywołał. Bałam się o niego, ciągle się bałam, wydawało mi się, że stanie mu się krzywda, że źle go wychowujemy.

– To nie dzieciaki! To piosenka o Wojtku ze Szwecji! Mamo, rozwalę tę Polskę i nową dla ciebie zbuduję! I porno kluby.

Dobre sobie. Cieszyliśmy się wszyscy z paplaniny Stasia, cokolwiek powiedział, było śmieszne i takie... zaskakujące, niedziecięce. Śmichy-chichy nie były wychowawcze, niestety, ale po prostu nie potrafiłam się powstrzymać. Po chwili obie z Jagną śmiałyśmy się na głos.

– Przejdę się ze Stasiem do Adeli Renz, dawno się nie odzywała – powiedziała Jagna, kiedy przestała chichotać. – Staś ją lubi i ona Stasia. Renzowa to najinteligentniejsza starsza pani, jaką kiedykolwiek znałam. Słyszałam, że bardzo lubili się z pani dziadkiem.

– No, niekoniecznie. Raczej darli koty.

– Pani Adela i jej Nina zawsze panią za przykład stawiają – trajkotała Jagna. – Wszędzie komplementy na pani temat głośzą. Nie pieką panią uszy?

– Jakoś nie. – Uśmiechnęłam się.

– Eleganckie, w jasnych ubraniach, uśmiechnięte, są zaprzeczeniem wiejskości. Nie pasują tutaj, są takie... miastowe.

– Pani Adela jest przede wszystkim zaprzeczeniem

głupot, jakie wygadują na temat kobiet. Że tylko mężczyzna ma głowę do interesów, a kobieta niech odziewa kuchenny fartuch – westchnęłam.

– Czasy się zmieniły, wzięłyśmy sprawy w swoje ręce, a mężczyźni starają się dorosnąć nam wyżej pięć i mało co im z tego wychodzi. Toteż niektórzy spasowali i już zawsze będą się chować pod damską spódnicą. Ale nie dotyczy to oczywiście pana Leszka. Ładnie dzisiaj się zrobiło, Staś nie mógł się doczekać, kiedy wyjedzie na rowerze, może spróbuję nauczyć go jazdy bez dodatkowych kółek?

– Nie, Jagno, on jest jeszcze za malutki.

Przypomniałam sobie, jak będąc dzieckiem, zjeżdżałam na rowerze z górki w stronę krzyża, bez trzymania. Złamałam palec wskazujący i miałam kolana zdarte do kości, a łokieć wymagał założenia szwów. Bałam się, że wszędobylskiemu Stasiowi może przytrafić się krzywda.

– Proszę się nie martwić – uspokoiła mnie Jagna.

Stałam na ganku i patrzyłam, jak Stasiek, ubrany w spodenki przed kolana, próbuje ściągnąć nogawki niżej. Jagna znów zbyt lekko go ubrała! Nie było jeszcze ciepło, wiał chłodny wiatr, a słońce przebijało przez chmury nieśmiało i z niska.

Weszłam do domu i przez okno wyglądałam na Stasia i Jagnę, aż zniknęli za zakrętem. Gdy zamknęłam okno,

od razu zrobiło się cieplej.

Włączyłam płytę Burta Bacharacha i zajęłam się szukaniem dokumentu, o który pytał mąż. Mój ulubiony pokój, obok salonu na parterze, choć spory, ze względu na mnogość przedmiotów, sprawiał wrażenie małego. W wielkim domu pomieszczeń było wiele, ale ja upodobałam sobie ten jeden pokój, w którym miałam wszystko, czego potrzebowałam.

Aktu notarialnego nie znalazłam. Szuflady w kredensie pełne były papierzysk. Postanowiłam, że będę musiała koniecznie dokładnie je przejrzeć i powpinać w segregatory. Odłożyłam to na później i zajęłam się wypakowaniem walizki z podróży. Prezenty poukładałam na stole, rumiankowy likier i pomadę umieściłam w kredensie, rzeczy z podróży wrzuciłam do łazienki. Przebrałam się w dres.

Wszystkie moje ubrania były markowe. Do chodzenia po domu, wyjściowe, bielizna, obuwie, skarpetki, a nawet kalosze i peleryna na deszcz – wszystko to miało najprzedniejsze metki. Botki kowbojskie specjalnie dla mnie sprowadzono ze Stanów. Podobnie skórzany kapelusz. Miałam kilkanaście torebek i kilkadziesiąt par butów. I co? Nie ja jedna. Nałogowo gromadziłam ubrania i obuwie, jakbym planowała zaopatrzyć salon odzieżowy. Także dla Stasia sprowadzałam ze światowych katalogów, ale wstydziłam się go potem w te drogie ubranka wystroić, tyle co gdy jechaliśmy do Poznania bądź do

Warszawy. Albo gdy miałam pewność, że chłopczyk na pewno nie wyjdzie poza ogrodzenie.

Podobnie było ze mną. We wsi moje ubrania rzucały się w oczy, ale to nic. Nie przestałam kupować. Len i dzianina na lato? Angora, kaszmir i skóra na zimę? Proszę bardzo. Moja szafa pomieściła każdy nabytek, po czym zapął mi prędko mijał i bywało, że niektórych sukien czy tunik nigdy nie miałam na sobie. Mało co szanowałam. To rzeczy do nabycia! Zdarzało się, że wrzuciłam do pralki białe z kolorowymi, a nawet brązowe lniane letnie kozaki wyprałam razem z białymi sukienkami i odwirowałam. Wszystko to znalazło się w koszu na śmieci, głęboko schowane, a jakże. Po czym zamawiałam kolejną parę takich samych botków.

Moje konta zawsze były puste, wcale nie zabiegałam, by było inaczej, bo i po co? Gdy potrzebowałam, Leszek wyciągał z kieszeni paczuszki o kształcie rulonów i pytał, czy dziesięć tysięcy wystarczy. Dodawał, że na cukiereczki.

Siedząc w kuchni, popijałam herbatę. Architekt rozrysował plan kuchni co do szczegółu dokładny, włącznie z opisem marki każdego drobiazgu. Rząd wybielanych szafek, tafla alabastrowych blatów i metal urządzeń, a w rogu biały, na nowo zeszlifowany i pobielony kuchenny kredens z domu dziadka. O ten kredens długo walczyłam z architektem. To mebel z historią, z mojego wiejskiego domu. Mimo że zderzyły

się dwie wnętrzarskie konwencje, naprawdę ładnie to wszystko razem wyglądało, ale pomieszczenie nie było zbyt używane. Leszek stołował się tam, gdzie rzuciły go interesy. Tylko Staś jadał regularnie, jeśli udało się go nakłonić, ja sama nie dbałam o posiłki. Zjadałam je, gdy mi się przypomniało.

\* \* \*

Basia Koronowska nie wytrzymała do popołudnia. Pojawiła się natychmiast po wyjściu Jagny i Stasia. Gdy otwierałam jej drzwi, na zakręcie obok domu Bednarzy jeszcze *nie* opadła chmura piasku, jaka się utworzyła po jej jeździe.

– Ładnie wyglądasz! Twoje włosy właśnie do ubrań w kolorze jasny popiel bardzo pasują. W jasnych ciuszkach powinnaś chodzić, a nie tylko te koniska ci w głowie i szmaty koniokrada. Wyglądasz czasem, jakbyś... A, szkoda gadać... Może chcesz pieska, takiego maleńkiego, kieszonkowego, jak ma Kora? Komuś się suka oszczeniła.

– Też coś! Kora to establishment, a ja zwyczajny babsztyl ze wsi. Pies by u nas dostał depresji.

– Wiesz co? Bo cię przełożę przez kolano! Grzeszysz! Jesteś właścicielką olbrzymiej firmy, a to bardzo zobowiązuje. Zauważyłam, że Leszek bardzo

posiwiiał, widzi, że nie jesteś szczęśliwa, wszyscy to widzą. Boi się, że mu uciekniesz! Gdy ktoś raz uciekł...

– Ciagle mi wypominasz. Wtedy musiałam, wszystko mnie przerosło, tyle tragedii... Byłam bardzo młoda!

– Nie myśl, że tylko ciebie złe rzeczy spotkały. Kupiłam niedawno książkę kucharską Nigelli Lawson. Nie dość, że daje świetne przepisy, to generalnie jest bardzo fajną babką, uśmiechniętą, optymistyczną. Zaczęłam się interesować jej historią, skąd jest, bo nie wygląda na Angielkę, jak to się stało, że zawodowo gotuje. Okazało się, że przeżyła dramaty może i większe od twoich. Historia jej rodziny jest studnią żalu i bólu. Wyobraź sobie, jej mama zmarła na raka wątroby w bardzo młodym wieku, a młodsza siostra na raka piersi, gdy Nigella była w dziewiątym miesiącu ciąży. Drugie dziecko urodziła sześć miesięcy po wykryciu u męża raka gardła. To mało? A jednak osiągnęła sukces, nie rozpadła się na kawałki, wręcz przeciwnie, okrzepła.

– To zupełnie inna historia. Ja wtedy chciałam poukładać życie po swojemu, spróbować inaczej, uciec, ale nie stąd, nie *od* męża i na pewno nie od córeczki. Nie wiedziałam, jak żyć, próbowałam innego sposobu życia metodą prób i błędów.

– Może i tak... Igo, proszę cię, zainteresuj się Leszkiem. On jest bardzo samotny, nie wiem, coś ty mu zadała, że nie pogoni ciebie do pracy. Żebyś tylko nie żałowała...



– Basiu, Leszek naprawdę znakomicie daje sobie radę sam. Ustaliliśmy jeszcze przed ślubem, że nie będziemy ze sobą walczyć ani współzawodniczyć. Niektórzy mężczyźni potrzebują mieć kobietę w domu, wiem, że tak jest, wiem, że Leszek tak woli. Jeśli nie wierzysz, to go po prostu zapytaj. Ja naprawdę nie chcę spieprzyć kolejnego związku, zdaję sobie sprawę, że to by mnie złamało. Ale musisz coś wiedzieć. Ja już nie lubię tej wsi, duszę się tutaj.

– Nie lubisz? Mimo że masz stąd tak wiele wspomnień?

– Nie dodałaś, że w większości złych...

Basia nie miała racji, mówiąc że zrezygnowałam, że patrzę czarno na świat. Owszem, może to tak wyglądało, ale przecież nie zawsze taka byłam. Chcę tylko przez jakiś czas odpocząć. Człowiek nie może całe życie być w gotowości do przyjmowania razów, do pracy, poświęceń, zdobywania. Przecież rozkwitałam jako nastolatka, widząc tylko kres wszystkiego. Cóż miłego z tamtych czasów mogę pamiętać?

Basia kręciła się po domu i nadal przemawiała mi do rozsądku.

– Oczywiście, złych wspomnień też masz bez liku. Racja. Nie mam pretensji, że chcesz odpocząć. Możesz, nikt ci tego nie broni, ale nie tak długo. Od przeprowadzki do Złotniczek nie kiwnęłaś palcem przy rozkręcaniu

interesów. Tylko Leszek, wszystko on. To naprawdę może się źle skończyć, wspomnisz moje słowa.

– Błagam, teraz już się powtarzasz. Źle skończyć i źle skończyć! To są w końcu nasze sprawy!

– Też może cię zostawić. Poruszyła mnie. Co znaczy „też”?

– Żeby nie było. Emil mnie nie zostawił, oboje do tego doszliśmy. Ani tamci też tego nie uczynili. To ja odchodzę, nie oni!

– Jakie to ma znaczenie? Nie pomagasz mężowi, a powinnaś. Jest w Poznaniu Polagra, masz blisko. Są inne targi rolne, niekoniecznie w Poznaniu, nie możesz reprezentować firmy? Spotykać się z przedsiębiorcami? Już nie wiem, jak ci przemówić do rozumu!

– Więc nie mów już nic!

Wstałam z krzesła i wyszłam z kuchni. Niestety, dlatego właśnie wolałam swój pokój, a w nim piec, stary kredens... Jagna i Basia myślały o mnie dokładnie to samo. Że kiedyś się w starej szafie po przodkach zamknę przed światem.

Może i tak będzie. Po kilku latach małżeństwa między mną a Leszkiem wiało pustką. Jego ciało było chłodne i obojętne, a po swoim, dla mnie jednak niespodziewanym finiszu nigdy nie zainteresował się, czy i ja osiągnęłam seksualną satysfakcję. Nie osiągnęłam. Byłam nawilżona i gorąca z żądz, a on... zasypiał.

Zaklinałam opatrność, by w końcu się domyślił. Nie będę żadnemu facetowi mówić, co ma robić i jak. Dlaczego? Przecież czyniłam swoje obserwacje już od dziecka.

To mężczyzna musi być silny, kobieta może być słaba i niezdecydowana! Ale czy zawsze?

## **Lato 1972**

– „Niskie mioty, niskie mioty"... Znowu mnie wyśmiewał! – wołałam od progu.

– Kto?! Mów natychmiast! – Starszy mężczyzna podniósł się z krzesła.

– Kosma Bednarz.

– To pętaś z najgłupszym w świecie imieniem! Nie daj się, uderz, rozkwaś mu nos, żeby popamiętał! Bednarze to diabły wcielone, a z takimi nie postępuje się po dobroci. Nigdy o tym, dziecko, nie zapominaj!

Ów starszy człowiek był moim dziadkiem, jedynym autorytetem. Nazywał się Florian Leśniewski. Siedzieliśmy oboje w kuchni wiejskiego domu. Bębniło radio Wolna Europa, dziadek nadstawiał ucha, chcąc wyłować jedyne prawdziwe wieści z zagłuszeń, po czym (jak to zawsze miał w zwyczaju) skomentował wydarzenia, bym i ja miała rozeznanie w rozwoju politycznym świata. Oczywiście starałam się spamiętać

owe wydarzenia.

– Amerykance wycofują się z Wietnamu! Niedobrze się dzieje. Przegrali i teraz już na pewno komuna zaleje cały świat! – rzekł, a ja pokiwałam głową.

Był to czas, kiedy nie miałam się czym rano zająć. Żniwa dobiegły końca, ziarno zostało przekazane do punktu skupu, słoma znalazła się w stodole, a na wykopki jeszcze nie nadeszła pora. Czytałam, rysowałam, kręciłam się po obejściu, ale przede wszystkim czekałam, aż Ewa i Kosma wreszcie wrócą do domu. We wrześniu 1972 roku rozpoczęli naukę w pierwszej klasie szkoły podstawowej we Wronczynie, która mieściła się w pałacu po Jackowskich. Ja miałam jeszcze czas na obowiązkową naukę, byłam od nich o dwa lata młodsza. Urodziłam się w dniu, kiedy Egipt zamknął dla statków izraelskich Cieśninę Tirańską. Świat zamarł w oczekiwaniu na wojnę. Było to 23 maja 1967 roku. Gdy na Bliskim Wschodzie rozpętało się wojenne piekło, miałam dwa tygodnie.

Anegdotę o czasie moich narodzin opowiadano podczas rodzinnych spotkań, pokpiwano, że i ja może będę musiała w przyszłości walczyć o swoje. Że może przyniosłam sobie trudne życie. Czasem ponoć wystarczy urodzić się w niewłaściwym dniu.

Nieraz się z tej opowieści śmiano.

Mieszkałam z rodzicami w Złotniczkach w domu dziadka. To był przyzwoity, murowany dom, połączony

grubą ścianą nośną ze stajnią. W tym samym ciągu było też pomieszczenie dla owiec. Trzy pokoje, nas czworo, nie było źle. W niedzielę z internatu liceum Sacre-Cceur w Pobiedziskach przyjeżdżała do domu Basia Leśniewska, młodsza siostra mojej mamy. Zawsze w zanadrzu miała atrakcje dla mnie. Zabierała mnie do swoich koleżanek, nad jezioro i czasem na spacer do lasu niedaleko Bródka. Bywałyśmy na grzybach bądź całe niedziele spędzałyśmy, leżąc na łące przy strumieniu, a raz nawet udałyśmy się motocyklem do Pobiedzisk, wtedy pierwszy raz zobaczyłam rynek i szkołę Basi.

Mój dziadek cieszył się we wsi szacunkiem, bo miał nieugięty charakter. Nie kluczył, nie udawał niczego, działał od razu i uczciwie mówił, co mu się nie podoba. Poza tym był dobrym gospodarzem. Niektórzy we wsi mówili jednak, że jest mrukiem, że popędliwy i złośliwy, strach się do niego zbliżyć.

Przez większość dzieciństwa to on mnie wychowywał, a czynił to po męsku. Chciał, abym wyrobiła w sobie silny charakter chłopaka. Miało mi być wtedy łatwiej. Nie oddał mnie na zmarnowanie temu fajtłapie z pokrętnym myśleniem, czyli mojemu ojcu, Henrykowi Boguckiemu. Ona, moja mama, Jaśka Bogucka, wdała się ponoć w babcię i była nie dość, że niezdarna, to i chorowita. Nie potrafiłam ocenić, czy to dobrze, czy źle. Moja babcia odeszła na niebieskie gospodarstwo, zanim przyszłam na świat.

Pasowało mi towarzystwo dziadka, czułam się wyróżniona. Bywało, że się go bałam, ale z czasem, gdy przez jego twarz nieraz przemknął uśmiech, zrozumiałam, że ta oschłość to tylko pozory. Niewielu do siebie dopuszczał, był zamknięty, nie szastał uczuciami, co najwyżej wrogimi. Nie to, co ze mną!

– Dziadku, siku. – Wystarczyło, że stanęłam nad jego łóżkiem o dowolnej nocnej porze, a już się zrywał i prowadził mnie do wychodka na podwórzu. Nie czynił mi żadnych wymówek, że piłam za dużo na noc albo że mam nerkową histerię, czy że pęcherz trzeba nauczyć powściągliwości, a nie co chwilę cykać po trochu.

Dziadkowi asystowałam podczas strzyżenia baranów, widziałam, jak się czyści i szczotkuje konie, pokazał mi też, jak zabić kurę czy ogłuszyć karpia. To były pierwsze śmierci, w jakich uczestniczyłam. Zastaniałam oczy rękoma i szparkami między palcami podglądałam, jak łeb kury spada na ziemię, a reszta ptaka najpierw biega po podwórzu, a potem odchodzi w konwulsjach. Wtedy sobie wyobraziłam, że u każdego, także u człowieka, najpierw umiera głowa, a dopiero potem ciało. Mózg idzie do nieba, ale ciało ciągle żyje. Było mi łatwiej, gdy miałam pewność, że kura nie boi się śmierci, bo przecież wcześniej umarło w niej miejsce powstawania strachu.

Dziadek chciał, abym była twarda, ale nauczył mnie też rzeczy uniwersalnych. Od niego dowiedziałam się, jak suszyć miętę, lipę, grzyby, a nawet kiełbasy. Pokazał, na

czym polega peklowanie szynki, rozbieranie ubitej świni, ale też, jak się zjeżdża na nartach z górki.

## **Nadal wiosna 2007...**

Tym razem nie byłam ani praktyczna, ani konsekwentna. Po kilku dniach zapomniałam o akcie notarialnym i po prostu nie szukałam go więcej. Nie dotrzymałam słowa danego samej sobie, że posegreguję dokumenty. Nie uczyniłam absolutnie nic, by współpracować z mężem, choć po rozmowie z Basią postanowiłam spróbować. Od powrotu z Minorki zrobiłam niewiele pożytecznych rzeczy. Jeździłam konno, bujałam się w ogrodzie na fotelu, gdy było ciepło, powisałam na hamaku. Poza tym zaliczyłam kilka spotkań z koleżankami w modnych knajpkach w Poznaniu. Zajrzałam do Browaru i Kupca. Raz, i drugi, i trzeci. Kilka razy byłam w Multikinie, pojechałam też do Plaży na Winogradach. Jagna ze Stasiem urządzali sobie codziennie długie wycieczki wiejskimi drogami, a ja zajmowałam się sobą. Leszek podrzucił mi znów zwarty rulonik, nie musiałam prosić.

Wiosna mija zawsze szybciej niż jesień.

23 maja. Dzień moich urodzin rozpoczął się chłodnym, ale słonecznym rankiem, po południu według prognoz miało się ocieplić. Nad brzegiem jeziora od rana

ustawiano namiot, pod nim stół i krzesła. Kwiaciarka z Pobiedzisk ozdobiła wejście oraz stół bukietami konwalii i różowego bzu. W domu w wazonach też stały pęki białych i różowych tulipanów okryte parcianym sznurkiem. O to zadbałam sama. Ktoś szykował zastawę. Od kilku lat używaliśmy najdroższego zestawu Rococo z Ćmielowa z dekoracją w bordo i złocie. Lubiłam harmonię. Nauczyłam się, że uszka od filiżanek muszą być ustawione na stole pod takim samym kątem, a sztucce położone w takiej samej odległości od brzegu stołu. Bywało, że mierzyłam odległość. Wybierając w sklepie bądź w katalogu kuchenne garnitury, dbałam, by widelce mogły nabrać pięć makaronowych świderków naraz. Niewiele zestawów przeszło ten test. W tym roku nie chciało mi się niczego sprawdzać. Zakąski i potrawy miała dostarczyć firma cateringowa, nie bawiłam się w samodzielne pitraszenie. Jednak nie mogło obyć się bez królika z rusztu nadziewanego boczkiem, nie zabrakło też czerniny według przepisu Ewy Dyduch.

– Staś, uważaj, bo mamie podepczesz kwiatki! – strofowała dziecko Jagna.

Wrócili ze spaceru, synek wbiegł do domu z gałązką bzu w ręce.

– Z kwiatów całego świata chcę zerwać dziś słońce i dać je tobie złociste i gorące – wyrecytował przejęty i wręczył mi bez. – Mamo, zobacz, wypączka puszcza!

– Wypuszcza pączek! Dziękuję.



- Mamuniu, a kupisz mi na swoje urodziny wielką łopatę do kopania?
- Kupię, ale po co?
- Zakopię jezioro i posadzę linie. Prawda, że najbardziej lubisz linie?
- Lilie. Tak, dziecinko, bardzo lubię.
- I będziesz wtedy zadowolona?
- Będę. Jasne.
- A uśmiechnięta?
- Też.

Przed domem zaparkował firmowy mercedes z kierowcą, Waldkiem Czają w środku. Przywiózł kolejne kwiaty i napoje. Towarzyszyła mu żona, która była małomówna, a włosy związane ciasno na czubku głowy uniosły jej brwi, przez *co* wyglądała, jakby się dziwiła. Niektórzy mówili, że z racji fryzury jest nerwowa. Ewa zażartowała kiedyś, że tym uczesaniem robi sobie lifting od pasa do czoła, włącznie z podniesieniem *cycków*.

Waldek był człowiekiem pogodnym. Śmiał się, przewracając oczami i obnażając wielkie nierówne zęby o barwie piasku na plaży w Świnoujściu. Miał służalczą naturę, koniecznie chciał się przypodobać, był miły, przez *co* wżarł się w naszą rodzinę. Gdyby napisać w jego umowie o pracę prawdziwe stanowisko, brzmiałoby: „umyślny”. Posyłany był po zakupy dla firmy i dla domu,

pobierał gotówkę z banku oraz woził przesyłki do ważnych osób. Generalnie znał „kuchnię” firmy i przy okazji alkowę naszej rodziny. Głupi nie był. Obwiniony, szedł w „zaparte”, gdy coś zaniedbał bądź przeszkrobał, winę zrzucał na mojego męża. „No, szefie – mówił. – Nie pamięta szef, że tak mi kazał?”.

Leszek, z racji ilości spraw, oczywiście dawał sobie wmówić kłamstwa Waldka. Miałam do Czai stosunek ambiwalentny, z kursorem w stronę nieufności. Wysługiwałam się nim, tym razem też miał jeszcze pojechać po torty. Byłam tuż za drzwiami wejściowymi do domu, kiedy usłyszałam rozmowę, jaką prowadził przyciszonym głosem z Jagną na ganku.

– Kapitalistka wstała?

– Daj pan spokój – wyszeptała Jagna.

– Do kapitalizmu trzeba dorosnąć. Nie martwi się, że zbrzydnie z nudów, bo ją za darmo mąż wypucuje.

– O ile za darmo jacyś mężowie pucują swoje żony. To chyba tylko pan Leszek – zachichotała Jagna.

Nie miałam dobrej prasy u pracowników, niestety. Zaś Leszek cieszył się honorami, jak każdy, od kogo można uszczknąć pieniądze.

Gdy Czajowie odjechali, z Nadrożna przyjechali Koronowscy. Miny mieli nieprzeniknione, Rysiu od razu zaczął wyciągać z auta wielki karton o kształcie ściętego trójkąta. Nie mieliśmy w zwyczaju czynienia sobie

niespodzianek w postaci kosztownych prezentów. W ogóle zawsze było podobnie – wskazywałam na książki albo płyty z muzyką i je otrzymywałam. W tym roku ani Basia, ani Rysiu nie Zapytali, co chcę.

Postawili przede mną pudło.

– No, rozpakuj! – Basia dała Rysiuwi kuksańca w bok.

Chwilę trwało cięcie kartonu, rozpakowywanie z kolejnych warstw ochronnych, wreszcie z opakowania wyłoniła się harfa. Mój Boże! Tyle lat, a oni pamiętali, że kiedyś grałam i sprawiało mi to wielką satysfakcję. Brałam lekcje, dzięki którym znalazłam coś więcej niż tylko ponurą rzeczywistość sieroty.

Jakże poczułam się szczęśliwa! Ofiarowali mi marzenie, że można żyć inaczej, że można znów grać, co jest warte więcej niż bezmyślne wydawanie pieniędzy. Moje życie mogło znów stać się poranną mgłą, zachodzącym słońcem albo wzburzonymi falami na morzu. Ustawiłam instrument między nogami i pieściłam struny. Gdy w świat popłynęły pojedyncze dźwięki, przytknęłam policzek do harfy i się rozplakałam.

– Nie wiem, czy wiecie... – powiedziałam, gdy opadły pierwsze emocje. – Całkiem niedawno przeczytałam, że to Irlandczycy w dwunastym wieku upowszechnili grę na harfie. Wcześniej gra na tym instrumencie towarzyszyła na dworach opowieściom

o wielkich czynach, jednak wraz z upływem wieków harfa stawała się coraz bardziej plebejska, trafiając do domów ludzi ubogich. Jej popularność zaczęła się odradzać na początku dziewiętnastego wieku, jednak już w innej postaci i na lżejszym instrumencie.

– Sporo wiesz na temat harfy... – Ucieszył się Rysiu.  
Spojrzał na Basię, a ona na niego. Też byli szczęśliwi.

\* \* \*

Po południu na cyplu pod ukwieconym namiotem zgromadzili się zaproszeni goście. Wielu ich było. Cieszyli mnie.

Leszek siedział przy stole obok Róży i niewiele mówił. W pewnym momencie zauważyłam, że wzrokiem wymienili ze sobą myśli i wydali kilka mruknięć. Wydawało mi się, że impreza męczy Leszka. Siedział, owszem, tak wypadało, ale gdyby mógł... Miałam dobre przeczucia. Wiercił się na krześle, w końcu wymówił się, że pójdzie do Stasia, co uczynił. Gdy zapalił lampę w salonie, zaobserwowałam przez okno pokoju, w którym nie było zasłon, że stoi przy kredensie i nalewa z karafki do szklanki alkohol, wypija, gasi światło i... nic więcej już nie widziałam.

Po kilkunastu minutach bezszelestnie stanął za moimi plecami i mruknął mi do ucha:

- Śpią oboje.
- Staś z kim?
- Z Basią.

Potem, swobodniejszy, przeszedł kilka kroków dalej, nachylił się nad Różą, coś jej szepnął, po czym oboje wstali od stołu, poszli w stronę jeziora i zniknęli w ciemności nocy.

Atmosfera przy urodzinowym stole rozkręciła się. Było sporo trunków do wypicia, to i zaczęły się rozmowy o niczym. Jedzenie ze stołu zniknęło. Chwalono i czerninę, i królika, potem gęsinę i kaczkę. Rysiu, ośmielony kilkoma drinkami i nieobecnością Basi przy stole, próbował brzdękać na harfie. Nawet zabawnie to wyglądało, bo jego palce jak drewniane pałeczki dobosza prześlizgiwały się po strunach, które wydawały dźwięk podobny do gry na grzebieniu. Też w końcu wstał, poszedł w ciemność, w stronę jeziora, ale za chwilę wrócił do stołu z kawałkiem drewna, wyciągnął z kieszeni nożyk i zaczął strugać. Coś wisiało w powietrzu. Mimo że wszyscy goście z zewnątrz bawili się dobrze, ja byłam niespokojna.

Nocą, gdy dom i ogród opustoszały, gdy zniknęły wszystkie auta z parkingu przed posiadłością, a Leszek bez słowa zniknął w swojej sypialni, nie udałam się od razu do domu. Cieszyłam się z pierwszego ciepłego wieczoru. Wyszłam na patio, postawiłam przed sobą harfę

i rozparłam się w fotelu. Nie chciało mi się już grać, wystarczyło, że widzę instrument.

Poczułam się lepiej, byłam ze sobą. Tak, to były udane urodziny.

\* \* \*

Kolejnego dnia rano usiadłam w zacumowanej przy pomoście łodzi. Stamtąd miałam widok na wieś, na drogę, na jezioro. I na nowy dom Bednarzy. Siedziałam w tej łodzi w letniej kiece. Było ciepło, pachniało wodą. To taki specyficzny zapach, niby gnilny, z niewielką nutką woni roślin wodnych, a jednak go lubiłam. Tego dnia chciałam uciec z domu, zwabiło mnie ciepło, zwabiła mnie wiosna. I cisza. Oparłam stopy o dno, odchyliłam się do tyłu i zamknęłam oczy. Łódź się zakołysała. Dobrze mi było, jak w kołysce. Długo nie chciało mi się wracać do domu. Wychodząc z łodzi, zauważyłam na dnie coś błyszczącego. Zaintrygowało mnie to. Złoty łańcuszek z literką R. Należał do Róży, widziałam go na jej szyi.

Nie, nigdy nie byłam zazdrosna o żadnego faceta. Wprawdzie nie mogłabym na sto procent przysiąc, że kocham Leszka, ale na pewno kochałam pieniądze i dobrobyt. No i Leszek był mój, nie jej.

– Halo, halo, nasza Igunia tutaj się zaszyla!

Adela Renz i Nina, matka i córka, dwie kobiety

podobne, a jakże różne. Stały przy łodzi z bukietem kwiatów w ręce. Były tam różnokolorowe tulipany, bez, narcyzy i kilka gałązek migdałka. Adela ubrana w popielatą suknię bardzo gustownego kroju, była jak zawsze uśmiechnięta. Mimo że wspierała się na lasce, nigdy nie uskarżała się na dolegliwości czy uciążliwość życia.

– Co taka smutna nasza ulubienica?

– Wspominam...

– Kochana nasza Igo, nie ma co smutku przywoływać. Proszę zawsze pomyśleć, że my cię podziwiamy, bo jesteś dla tej wsi inspiracją. Wróciłaś, działasz, a przy tym jesteś prawdziwą obieżyświatką. Zawsze pytam Ninusię, gdy wraca z kościoła lub ze sklepu, czy cię widziała. Jak byłaś ubrana, czy byłaś wesoła? Czy twoje hortensje i rododendrony mają dużo pąków? Kwiaty kwitną tylko w ogrodach dobrych ludzi.

– To zasługa ogrodnika i ziemi ciemniejszej niż w mieście.

Adela Renz była młoda duchem, choć wiek przechylił ją ku ziemi i wyglądało, jakby miała się w lędźwiach złamać na pół. Ta promienna i jasna kobieta nie nosiła czerni ani brązu, tylko ecru, jasne seledyny i błękity. Szyję zdobiła kilkoma sznurami biżuterii. Włosy, całkiem siwe, ścięte w Poznaniu, u Aśki na Słowiańskiej, odmłodziły ją przynajmniej o piętnaście lat. Lubiłam

uśmiech Adeli, wtedy ukazywała światu nadzwyczaj białe zęby, niezwykle jak dla osoby w jej wieku. Skóra wokół jej ust nie była zwiędła, a i wargi nieco uniesione w górę nie świadczyły o zgorzknieniu. Mówiła cicho, powoli, bez emocji, z nieco teatralnym akcentem.

Byłam jej fanką, odkąd się poznałyśmy. Miała smykałkę do biznesu, ciągle mnie zaskakiwała. Na przykład tym, że w ogrodzie hoduje pszczoły. Zastałam u niej ule najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek widziałam. Stylizowane na stare, wiejskie domki, były podobne do tych w skansenie w Dziekanowicach. Jeden z nich był repliką domu olenderskiego. To skłoniło mnie do wyszukania informacji o osadnictwie Olendrów w Wielkopolsce. Już wcześniej czytałam, że pochodzili z Fryzji i Niderlandów, ale nie spodziewałam się, że w szesnastym i siedemnastym wieku opuścili swoje strony z powodu prześladowań religijnych. Osiedli w Wielkopolsce Olendrzy posiadali nowatorską umiejętność melioracji i reprezentowali wysoką kulturę rolną, toteż prędko stali się najzamożniejszą grupą chłopów w rejonie.

Adela Renz sprzedawała – nie wychodząc nawet na chwilę z szarej podatkowej strefy – miód z własnej pasieki i jajka, świeże, wielkie, z pomarańczowymi jak słońce w lipcu żółtkami, nie pochodzące jednak od kur z własnego podwórza. Przywoził je do Złotniczek znajomy Adeli, hodowca z Krześlic. Klienci po jajka



i miód zjeżdżali do Adeli nawet z Poznania. Wystarczyło, że szepnęła: „są” bądź (jak w przypadku miodu) „jest”, a i ja od razu wysyłałam do domu Renzowej Waldka albo Jagnę, bez sprawdzenia, czy skończyły się nam nabyte wcześniej. Tak działała nienachalna reklama. Również Nina przyjęła styl matki i gdy mnie tylko zauważyła, wyzbywała się apatii, w jakiej zwykle tkwiła i szeptała konspiracyjnie z ustami przy moim uchu: „są” lub „jest”. Zdarzało się to nawet i po kilka razy dziennie.

– Wiesz, Igo, że rozpoczynam nowe przedsięwzięcie?  
– Jeszcze jedno?!

– Nie było ciebie w Złotniczkach, gdy zmarł twój dziadek. Skończyłam wtedy zaledwie sześćdziesiąt pięć lat, ale zrezygnowałam. Uznałam, że już nie mam o co walczyć, tylko czekać, wiesz za czym... Nie kupowałam nic do ubrania, chciałam znosić wszystkie starocie z szaf. Przestałam inwestować w dom. Codziennie musiałam oko dręczyć wysłużoną meblościanką na wysoki połysk. Wydawało mi się, byłam pewna, że w tym wieku już mi nic nie wypada. I, co najważniejsze, nie opłaca się. Nie wiem, skąd mi się takie myślenie wzięło. Może dlatego, że jego już nie było? Florek był silnym mężczyzną, nie myślało się, że może umrzeć. Potem, gdy odszedł, już nie miałam tutaj we wsi z kim porozmawiać o sprawach poważnych, o polityce. Kilka lat spędziłam przed telewizorem, posłuchałam, co ma do powiedzenia rząd, a co na to opozycja. Wielu ludzi tak wegetuje całe życie.

Pewnie uśmiechnęłaś się w duchu: „Co ta stara baba wymyśla?”.

– Absolutnie! – zaprzeczyłam. Wspomnień o moim dziadku nigdy nie było mi dosyć. Zaintrygowała mnie. Nie wydawał mi się nigdy towarzyski. Trudno byłoby zapomnieć, jak mówił, że Adela Renz to babochłop i wygłasza opinie na tematy, które nie przystoją kobiecie.

– Na szczęście się ocknęłam i pokrzyczałam na siebie. Że jeśli jeszcze żyję, to chcę to robić po swojemu, tak jak on to robił. Wyobraź sobie, mając sporo ponad osiemdziesiąt lat, kilka razy pojechał maluchem aż na Pomorze. Wracał po kilku dniach i mówił: „jeden zero dla mnie”.

– „Jeden zero dla mnie”? – powtórzyłam zdziwiona. – Nigdy nie słyszałam, by tak mówił. Nie wiedziałam, że jeździł na Pomorze.

– Wsiadał i jechał, wracał zadowolony, odmłodzony...

Zamyśliłam się. Znów coś mi umknęło, nie dało się poznać, odkryć. Zadowoliliam się pozorami, był czas, że nie interesowało mnie życie na wsi, dziadek. Zrozumiałam, że opowiadając mi o świecie, nie mówił o sobie, a ja tylko słuchałam, nie dociekałam. Miałam do siebie pretensje. Owszem, wyszłam wtedy za męża za Emila, urodziła się Ola, ale to mnie nie usprawiedliwia.

– Wykosztowałam się. Miałam trochę oszczędności,

więc ociepliłam dom, zleciłam naprawę dachu, wybudowałam kominek, a w ogrodzie posadziłam nowe rośliny. Ninusia nie może się pogubić, jak mnie już nie będzie. Dlatego hodowlę psów mam na względzie.

– Jakiej rasy? – zapytałam, choć myślami nadal byłam przy moim dziadku. Po co jeździł na Pomorze? Nic o tym nie wiedziałam.

– Zastanawiamy się razem z Ninusią, co wieczór wertujemy książkę o psach. Raczej skłaniamy się ku maleńkim, niekosztownym w utrzymaniu, koniecznie z rodowodem.

– Niespecjalnie lubię psy, ale mogę pomóc.

– Oj, dziecko, za dużo dla nas chcesz zrobić, nie musisz. Każdy ma prawo do własnego przeżywania życia, do poglądów, szanujemy to.

– Dziadek nie lubił silnych kobiet z wyrazistymi poglądami, pamiętam z dzieciństwa. – Zaśmiałam się na myśl, jaką minę by zrobił, słysząc naszą rozmowę.

– Udawał. Potem, pod koniec życia, zmienił zdanie. Nieraz mu wytknęłam zacofanie. Denerwował się, nazywał mnie heterą, tak się kiedyś zawziął, że dwa tygodnie do nas nie zaglądał. W końcu poszłyśmy obie do niego, a co? Musiałby być znakomitym aktorem, Łapickim, Łomnickim, Zapasiewiczem, Gajosem, żebyśmy nie rozpoznała, jak bardzo się ucieszył.

\* \* \*

Czekałam na ten czerwcowy wieczór od dawna. Spakowałam seledynową suknię wieczorową. Drapowanie pod biustem tuszowało, nie było widać, że zeszczuplałam, a i kolor podkreślał miedziany odcień moich włosów. Byłam świeżo po wizycie u stylisty. Basia orzekła, że lepiej wyglądam w krótszych włosach, bardziej elegancko. Wdzianko z gniecionej tafty ozdobione błyszczącą taśmą wrzuciłam na wierzch walizki. Na fotelu czekał biały płaszcz z parzonej wełny, w razie chłodu, bo czerwiec nieraz sprawiał pogodowe psikusy. Byłam gotowa, czekałam tylko na Leszka. Już ze dwa miesiące wcześniej potwierdziłam naszą obecność. Czekał nas najpierw koncert w filharmonii, a potem bankiet. Znajoma, którą poznałam, będąc na Szeszelach, z pompą rozpoczynała nowe przedsięwzięcie.

Leszek przyjechał do domu, gdy zaczynałam być niespokojna.

– Ubranie masz przygotowane, wszystko wisi w salonie. Błagam, pośpiesz się, za chwilę będziemy spóźnieni.

– Igo, usiądź. – Stało się coś?

Leszek był zmieniony na twarzy – Po prostu nie mogę pojechać. Dostaniesz Merowcę, ale ja muszę zostać.

Pomyślałam wtedy: „Jak to? Nigdzie razem nie

wychodzimy. Jest okazja, by się pokazać, wyjechać ze wsi do innego świata". Było mi naprawdę przykro.

– Bo? – zapytałam niegrzecznie.

– Chcę, znaczy, muszę spotkać się z kilkoma osobami. Chodzi o firmę.

– Wieczorem? Żartujesz? Od dawna wiedziałeś, że jesteśmy zaproszeni!

– Tak, ale... pojawiły się trudności, przejściowe, oczywiście.

– Dziwnie to brzmi. Przecież nie ma żniw, jest po sianokosach, panuje względny spokój. Powiesz, o co chodzi?

– Jest wezwanie do spłaty kredytu...

O olbrzymim kredycie zaciągniętym rok wcześniej oczywiście byłam poinformowana. Bank życzył sobie, żebym była poręczycielem, Leszek kategorycznie odmówił, argumentując to naszą rozdzielnością majątkową. Kręcili nosami, ale rozdzielność to rozdzielność. I nic im do tego.

– Ładna nowina. A ja teraz mam jechać i się bawić?!

– Oczywiście, wsiadaj w auto i w drogę. Nie ma larum.

Do Poznania przyjechałam zmęczona i na ostatnią chwilę, ledwie zdążyłam odświeżyć się i przebrać w hotelu. Waldek Czaja całą drogę truł, co wyczytał

w Internecie. Że jakiś aktor z inną jakąś aktorką dziecko spłodzili. A potem, że któraś celebrytka założyła na wielką galę kalosze, bo on kalosze zakłada tylko wtedy, gdy idzie w pole i jest chlapa. Nie wdawałam się w rozmowę. Niezrażony, dalej klepał o swojej rodzinie. Mówił, że jej się nie wybiera. Też mi nowość! Ma pokłóconą siostrę, wredną i zachłanną, ta niezgoda się zrodziła, gdy rozliczali majątek. Jaki, do diabła, majątek?! Tego, co zostawił stary Czaja, było tyle, że w jedną walizkę by spakować, ale wszystko zarekwirowała siostra i Waldkowi ze spadku zostało tylko emaliowane wiadro z zardzewiałymi narzędziami. Dostał też wprawdzie wielką szlifierkę, ale przytwierdzoną do stołu i nikt, z uwagi na nieporęczność, nie chciał jej odkupić. To stoi teraz w piwnicy Czai w bloku, zastawia okno, wejście. I w ogóle wszystko zastawia. Nawet ziemniaków nie może tam na zimę gromadzić, bo ta odziedziczona szlifierka stoi i wkurza jego żonę. No i ten obraz! Święty, a takich na śmietnik nie można wyrzucić. Ramę chciał z niego wziąć, ale jest wyrzeźbiona z gipsu i powyszczerbiana, że nic z niej też nie ma. Przecież nie będzie woził do renowacji, bo zedrą z niego majątek.

„Fantazja dla Zdzisławów”, Konstanty Andrzej Kulka, Orkiestra Filharmonii Poznańskiej, soliści, boskość. Czułam boskość. Koncert w filharmonii był znakomity. Bankiet też. Początkowo nie miałam humoru, gdy nie przestawałam odpowiadać na pytania dotyczące Leszka. Tak było, dopóki wśród gości nie rozpoznałam

Krzysztofa, kolegi ze studiów Kośmy Bednarza. Krzysztof mnie nie poznał od razu, musiałam mu się przedstawić. Gdy wreszcie sobie przypomniał, wziął się za ubolewanie, że mu przykro, że drogi moje i Kośmy tak bardzo się rozeszły. To znaczy, daleko od siebie. Ciągnęłam go za język. Krzysztof nie wiedział na pewno, słyszał, nie miał pewności, czy dobrze, no, ale powie. Kosma mieszka w Ameryce. Greenville, Goldsboro czy jakoś inaczej...

Chyba nazwa tej miejscowości zaczyna się na G...

Postanowiłam po powrocie do domu sprawdzić, w których stanach takowe amerykańskie miasta się znajdują. Kosma, Matko Święta, zapomniałam o nim! Taką wirówkę nam życie sprezentowało, że nie wspominałyśmy go nawet w rozmowach z Ewą.

Podczas bankietu rozmawiałam, śmiałam się, nawet piłam procenty, dzięki czemu zapomniałam o kredycie. Dopiero około drugiej w nocy, po wymienieniu się adresami i telefonami, w hotelu wróciła do mnie nieznośna świadomość zagrożeń. Co dalej?

Następnego dnia, po powrocie do Złotniczek i po przymuszeniu Stasia do snu, zaprosiłam Leszka do swojego pokoju. Poprzedniego dnia dotarło do mnie z całą mocą, że możemy zbankrutować. Zdałam sobie sprawę, że wszystko, co do firmy włożyłam ja, ale też czego dorobiliśmy się wspólnie, ale na firmę, a co kiedyś należało do mojej rodziny, możemy bezpowrotnie stracić.

Nieraz czytałam o bankrutach targających się na swoje życie, o matni. Chciałam się włączyć w ratowanie majątku, pomóc Leszkowi. Działać.

– Boję się, że nie mówisz mi całej prawdy. Jak to konkretnie wygląda?

– Igo, przestań mnie odpytywać. – Leszek wstał i skierował się w stronę drzwi. To mnie oczywiście rozdrażniło.

– Zostań! Chcę porozmawiać! – zaczęłam wbrew sobie krzyczeć.

– Daj spokój. Najlepiej będzie, jak przyniosę dokumenty!

Po dwudziestu minutach w naszym wypieszczonym salonie znalazły się segregatory z umowami, akty notarialne, bilanse, zarządzenia wspólników (podpisywałam je bez zaglądania) i umowy z bankami, a także *cash flows* z całego okresu. Wertowałam, przeglądałam, trwało to kilka godzin. Gdy Leszek pojawił się w domu, nie zważając, że jest biały jak papier, od razu zaczęłam formułować zarzuty.

– Prowadziłeś firmę po omacku, dokumentacja aż krzyczy!

Bzdura. Niczego jeszcze nie wiedziałam. Koniecznie chciałam mu dokopać. Jakże byłam nim rozczarowana.

– A Dom Złudzeń? Co z Domem Złudzeń?!



– Nigdy nie był nasz. – Wzruszył ramionami. – Kiedyś obiecali prawo pierwokupu, ale... generalnie nie zastanawiałem się. To jest najmniej istotne w tej chwili. Wiem, że masz wspomnienia, że ciebie on kręci, możemy jednak stracić tę nieruchomość... – Twarz mojego męża ciągle miała barwę popiołu.

– Stracić? – krzyknęłam i od razu zamilkłam. Zabrakło mi słów. – Nie po to się dorabialiśmy, by tracić! Czy kupując ziemię, dom, samochody, urządzenia, myślałeś o stracie?

Wolałabym, by wykrzyczał mi wszystko, obwinił. Nic z tego. Milczeniem dowodził, jaki jest słaby. Słabi byliśmy oboje. Gdy wyszedł z pokoju, ja złapałam się za głowę.

Byłam finansowym wampirem. Czekałam na te ruloniki z banknotami. Wyciągałam łapki, nie protestowałam. Miały być na cukiereczki! Jakie, kurde, cukiereczki, jeśli nie znoszę, a wręcz nienawidzę słodczy?! Trwoniłam kasę zamiast ją oszczędzać. Wcale nie używałam portfela, luźno wrzucałam banknoty do torebki i wyciągałam po jednym albo po dwa, gdy tylko nasza mnie na coś ochota. Gdyby mi ktoś ukradł kilka tysięcy, nie doliczyłabym się. Finansowa wampirzyca.

Mało w moim życiu było biedy? Nie zdawałam sobie sprawy, że nadużywam tych ruloników, stóweczek prosto z banku, kupując (przy użyciu tychże) sterty ubrań, butów, torebek – by ich nie nosić bądź wyprać w pralce

czarne z białymi, czerwony farbowany fartuch kuchenny z napisem: „pizza prosto z pieca” z obrusem z haftem *richelieu*, buty z bielizną, bieliznę z posłaniem dla przyszłego ewentualnego psa...? Ech.

Siedziałam w kucki w łóżku, z pokoju na piętrze dobiegało pochrapywanie Leszka. Tak, najlepiej zasnąć. Zostawić mnie z problemem na głowie i zasnąć. Powinnam coś zrobić, na przykład wstać i go zbudzić, przytulić się jak dawniej, byłabym spokojniejsza. Miałam na końcu języka słowa: „Gasisz światło i śpisz, ja tymczasem cierpię!”. Nie zrobiłam nic z tych rzeczy i dalej się męczyłam. Drażniła mnie nocna cisza, spokój, a przecież było „przed burzą”! Brakowało mi bliskości, kogoś, z kim mogłabym podzielić swój strach. Tymczasem był mur, wielki mur między nami.

Przed północą wyszłam boso, w pidżamie nad jezioro. Było ciemno, mrocznie, na niebie nie zauważyłam żadnej gwiazdy. Wraz z żabami i rybami wsłuchiwałam się w odgłosy zbliżającego się niebezpieczeństwa. O dziwo, nocą świat w taki sam sposób zapowiada sielankę, jak i tragedię. Ciszą. Zależy, kto czego się spodziewa.

Długo siedziałam na brzegu, w końcu obsiadły mnie pijawki.

\* \* \*

Wstałam tak wcześnie rano, że, w obawie przed kłamstwem, wolałabym nikogo nie zapewniać, że spałam tej nocy. Byłam zmęczona, ale zaszyłam się z papierami w swoim pokoju. Potrzebowałam przejrzeć, jeszcze raz zastanowić się, dopiero potem szukać ratunku u fachowców.

Rzeczywiście, niewiele z danych w dokumentach do mnie dotarło, ale do diabła(!), potrafiłam czytać bilans. Wystarczyło przeczytać jedną pozycję, jak olbrzymie jest zadłużenie firmy. Czyli nas samych. Wynik za poprzedni rok – minusowy, za pierwszy kwartał (ten okres akurat nie dawał przychodów w rolnictwie) strata była dwa razy większa niż za rok poprzedni. Do tego olbrzymie zobowiązanie udziałowców względem firmy. Skąd taka suma? Bałam się patrzeć na liczby. Ile z tego parszywego długu mnie obciąża? Mnie, tylko i wyłącznie. Leszek nie był ważny, skoro nawet w takiej sytuacji się ode mnie odsuwa? Ile ciężarów zawiśnie na moich plecach? Oto było pytanie!

Sporo! Dlaczego mi to zrobił? Dlaczego trwonił pieniądze, dlaczego dawał mi do trwonienia? Czy dlatego opłacał wszystkie moje zachcianki (mimo że musiał zdawać sobie sprawę, w jakim jesteśmy położeniu), bo tak pojmował męskość? A może nie był stworzony do prowadzenia wielkich interesów? Po prostu tego nie potrafił.

Niestety, powinnam użyć liczby mnogiej. Oboje

firmę prowadziliśmy jak hippisi albo jak para naćpanych świrusów. Każdy pracownik miał prawo głosu, nie zapomnieliśmy o żadnej rodzinnej okazji, ślubach czy narodzinach synków, córeczek, wnuczków, a nawet prawnuczków. „Szef przyjedzie, oczywiście z małżonką. Będziemy oczekiwać. Z serdecznością.”, „Szef wie, jakie to śliczne dziecko?”, „Szefie, niech firmę i nasze dziecko w swojej pieczy ma sam Bóg!”. Nie wypadało nie złożyć życzeń i oczywiście dodać do nich coś więcej. Po czasie straciliśmy rozeznanie, jakie kwoty przy tego typu okazjach są odpowiednie. Nasze były „odpowiednie”, bo zaproszenia na śluby, chrzciny i jubileusze nie ustawały.

Wydawało się, że tak dobrze będzie zawsze. Człowiek nie rodzi się przygotowany na sukces, tego też musi się (jak w zasadzie wszystkiego w życiu) nauczyć.

Mam długi nie do spłacenia. To okropne uczucie. Bankrut to morderca pieniądza, postrzegany przez ludzi z taką samą pogardą jak morderca człowieka. Nie ma przyzwolenia na długi ani tym bardziej zrozumienia dla takowe posiadających.

Po karku ściekał mi pot, a w głowie miałam wynik refleksji. Że mam trzy drogi. Spędzać czas jak do tej pory, czyli siedzieć i nic z własnym życiem nie robić.

Mogłam też sprzedać, co się da, i umknąć. Tylko dokąd? I z czym?

Była też droga trzecia – walka. Tak. Powinnam

walczyć o swoje. Znow mieć cel. Zrobić coś pożytecznego. Niesłuchanie trudnego, ale naprawdę pożytecznego. Zagrać o siebie i wygrać. Nie miałam stuprocentowej pewności, czy będę potrafiła to uczynić. Sporo było przede mną. Walczyć, ratować, tworzyć. Ciarki przeleciały mi po plecach. Zaczęłam kreślić plan. Potem przeczytałam na głos wielkość zadłużenia, by uzyskać świadomość kwot. Porównałam do przychodów. Kuźwa. Jak żyć z tak wielką kwotą na karku? Zaraz przełamie mnie na pół!

Nie przełamie! Nie da się uratować wszystkiego, ale może chociaż to, co kiedyś było w rękach rodziny? Znow babrałam się za analizowanie dokumentów, a po kilku godzinach, mając świadomość swojego położenia, umówiłam się w Poznaniu na spotkanie z Kurczewskim, prawnikiem, którego kiedyś poleciła mi Basia. Kończyła z nim liceum Sacre-Coeur w Pobiedziskach. Zanim wyjechałam na spotkanie, ze wszystkich kątów wybierałam katalogi domów wysyłkowych i kolorowe gazety, które przeglądałam co rano, kazałam Jagnie natychmiast to wszystko wyrzucić, a nawet spalić.

Gdybym mogła cofnąć czas... Kiedyś pewna słaba kobieta, moja mama, obok swojego łóżka trzymała całe roczniki gazet, tyle że równo poukładanych. Inna słaba kobieta zaś wzięła sprawy w swoje ręce, stertę gazet kazała wyrzucić na śmietnik, owa słaba kobieta niczego nie konsultowała ze swoim mężem.

Tak, nie konsultowałam. Był taki oddalony. Wsiadłam w moje subaru (nówka!) i udałam się do Poznania. Po czterdziestu minutach jazdy zaparkowałam auto przed kancelarią.

Mecenas Kurczewski wyglądał jak wystrojony do kościoła Latynos. Facet o takim wyglądzie musiał gwarantować wygraną w każdym sądzie. Przylizane, ciemne włosy i błyszczące na opalonej adwokackiej twarzy okulary w czarnych jak heban oprawkach. Tej opalenizny na pewno nie nabył, biwakując nad Rusałką, zresztą dopiero niedawno zrobiło się słonecznie. Ponadto garniturek, w jaki był odziany, był przedniego pochodzenia. To zauważyłam do razu. I zegarek. Autentyczny złoty Geneve.

Mecenas patrzył na mnie jak na świński schab z kością usmażony po poznańsku. Prawdopodobnie preferował kuchnię kaloryczną, zaokrąglona sylwetka sugerowała obfite spożycie. A zresztą, były mi obojętne jego kulinarne upodobania. Inne aspekty się liczyły.

Przyglądał mi się zbyt długo. Siedziałam w fotelu razem ze swoją godną pożałowania historią, ubrana niewyszukanie, swobodnie, w dżinsy i letnie kowbojki na nogach oraz w skórzaną czarną kurtkę od Ochnika. Nie w głowie mi być ani ładniejszą, ani ponętniejszą czy seksowną, ale być może *wydałam* mu się stanowcza i oryginalna, może biła ze mnie charyzma albo wyglądałam na panią na kilkuset hektarach, o czym

zresztą musiał wiedzieć. Przy czym nie był świadom, że to są minus setki hektarów.

Zacząłam referować, z czym przybyłam. Wysłuchał mojej opowieści o kłopotach firmy w milczeniu. Gdy skończyłam, poruszył się na krześle i przechylił w moją stronę.

– Bardzo proszę pozdrowić Basię. Zawsze uważałem, że zmarnowała talent. W mojej ocenie powinna siedzieć tutaj ze mną, a nawet być może zamiast mnie – powoli ważył słowa.

– Nie wiedziałam. Oczywiście pozdrowię.

– *Co* do pani spraw... Czy jest szansa na układ z właścicielem ziem? Przepraszam, to złe pytanie. Będziemy się starali o układ z właścicielem ziem – nadal mówił powoli, przyciszonym głosem.

Kilka wiadomości o nim wyszukałam wcześniej. Wiedziałam, że jego dwaj synowie kontynuują rodzinną tradycję, a ich żony również. Przeczytałam też, że jest specjalistą od ratowania majątku wdowom. To znaczy niewiele uratował, a czasem wtopił, ale nie budziło to w tamtym czasie moich wątpliwości. Byłam zdesperowana i miałam przymus, by łapać każdą podaną mi rękę. Odniosłam zresztą wrażenie, że te internetowe opinie były przesadzone. Kurczewski sprawiał na pierwszy rzut oka solidne wrażenie. Sama czułam się jak biedna wdowa, która musi wziąć sprawy w swoje ręce, by

wyrwać jakiś grosz. Jednak to niewątpliwie Kurczewski w tym momencie był panem sytuacji, ja Wyłącznie płatnikiem.

– Zadłużenie jest wysokie? – To pytanie z tych, które sprawiają, że człowiek w moim finansowym położeniu od razu traci oddech.

– Porażająco... – Byliśmy mega zadłużeni. Topniała zarówno moja charyzma, jak i stanowczość. Zdecydowanie wolałabym ubijać z Kurczewskim interes na usługę prawną, będąc na dużo wyższym materialnym poziomie.

Mecenas zerknął na mnie tym razem jak na obżartą schabową kość, a potem wygłosił wykład na temat swoich możliwości przy tak skomplikowanej sprawie, rzecz jasna, doskonałych. Stosował kwieciste słownictwo, a ja, słuchając go, nieco uspokojona, rozglądałam się po gabinecie, jedna ściana zajęta była przez zdjęcia przedstawiające Kurczewskiego w uściskach z prawniczymi tuzami z Warszawy. Nad wielkim politurowanym stołem wisiał wielki obraz, z którego nad wyraz poważny jegomość w todze patrzył na mnie z podobnym niesmakiem jak Kurczewski, odkąd poznał stan moich zrujnowanych finansów.

Zrozumiałam, że jeśli chcę zwyciężyć, muszę przede wszystkim się swojego położenia nie wstydić. Wychodząc od Kurczewskiego, miałam zlepione od potu włosy, a lniana koszula była wilgotna i przykleiła mi się



do ciała. Trzęsłam się jak zarazona malarią, tyle mnie kosztowało wyznanie, jakie zamknęłam za drzwiami kancelarii.

Na ulicy chudy bezdomny w kurtce z dzinsu głośno zachwalał uliczną gazetę. Mnie też chciał ją sprzedać. Dobrze sobie! Gazety nie kupiłam, wsiadłam w auto, ale nie pamiętam, jak dojechałam do Złotniczek. Po prostu zrobiłam to szybko. Mdlilo mnie. Po przyjeździe od razu wbiegłam do łazienki i zwymiotowałam.. A potem, czekając, aż do domu wróci Leszek, siedziałam przed oknem i gapiłam się na młodą jabłoń oblepioną maleńkimi zielonymi jabłuszkami. Nie mogłam skusić się na zupę pomidorową, jaką przyniosła mi Ewa. Nie potrafiłam rozmawiać. Ewa wiedziała, co to znaczy, zawsze tak było. Gdy się długo nie odzywałam, gdy tkwiłam w zamyśleniu, zbierała się do wyjścia, komentując, że nie da się rozmawiać z nieobecnyimi. Racja.

Leszek wrócił do domu wieczorem. Zdałam mu relację z wizyty u Kurczewskiego i podałam plan gry na dzień kolejny. Nie oponował, bez mycia poczłapał do swojego pokoju, a potem usłyszałam, jak rzuca się na sofę. Za chwilę rozległo się chrapanie. Znów zostałam sama. Zateśniłam za Stasiem, który już drugi dzień nocował u Basi i Rysia. Za jego malutkimi łapkami chwytającymi mnie za szyję, za jego malutkimi usteczkami szepczącymi, że mnie kocha i chce być moim opiekunem. Za włoskami w lokach, których nie dawał

sobie czesać, krzycząc: „Zostaw moją sierść! Zostaw moje włosy, nie chcę być łysy!”.

Potrzebowałam zwinąć się w kłębek, poczuć się bezpiecznie, do kogoś przytulić. Pomyślałam nawet, że zatelefonuję do Oli, zwierzę się, popłaczę w słuchawkę, ale zaniechałam pomysłu, dochodząc do wniosku, że skoro kiedyś ją porzuciłam, zostawiając z ojcem, obarczyłam ją wstydem za matkę. Nie będę zatem dokładać jej kolejnego wstydu. Siadłam w swoim wysprzątanym pokoju, bez śladu gazetowej i katalogowej makulatury, bez śladu poprzedniego życia w kapsule ze złudzeń. Patrzyłam za okno, na wieś, w której pogasły wszystkie światła, na uśpioną aleję porośłą akacjami. Było już dobrze po północy, kiedy na mój telefon przyszła wiadomość o mailu od Ludwika Sommera. O ironio! Przeplata się jedno z drugim, pożyteczne ze zbędnym, dobre ze złym, przyjemne ze strasznym.

Splątane to wszystko jak rattan.

Od razu przeczytałam. Mail Ludwika tchnął zgorzknieniem. Sommer był zniesmaczony politycznymi przepychankami w Sejmie, tak pisał. W pierwszym odruchu chciałam skasować korespondencję, nic na poruszony przez niego temat nie miałam do powiedzenia. Jak mogłabym zresztą zająć myśli bzdurami, daleko poza mną będącymi, podczas gdy w moim życiu działa się rewolucja. Jednak mimo wszystko owa wiadomość była dla mnie jakąś osłodą. Ktoś chciał się ze mną podzielić

swoim życiem. Jadę nad Hańczę ponurkować – przeczytałam na koniec. Oj, już sama myśl o zanurzeniu się w głębinie pozbawiła mnie oddechu. Ale potem skupiłam się na wyszukaniu w necie informacji o nurkach i w ogóle o nurkowaniu. Sporo tego było.

Jedź – odpisałam. – Wywróć Hańczę na drugą stronę i napisz mi, proszę, jaki kolor miało dno!

## **Lato 1972**

Bałam się wody. Wciąga dzieci na dno i już nie wypuszcza. Ciągle miałam w pamięci Jacka Borowego, mieszkającego do lata w domu gminnym na środku wsi. Był w moim wieku, nasze matki spotkały się na porodówce w Poznaniu, ale ja już nawet tam byłam od niego o dwa dni szybsza. Jacek Borowy był umysłowo ociężały, ale Ewy i mnie słuchał, więc dało się nim kierować.

Podczas żniw, jak wszystkie dzieci bez opieki, Jacek siedział na brzegu jeziora i wystarczyło, że ktoś skłamał, że na drugim brzegu dają za darmo cukierki. Rzucił się do wody i trzepał ją łapkami, jakby był zasilany baterią. Ale te wiry. Te wiry! Ciało Jacka wypłynęło następnego ranka blisko cypla, nad wsią zawisł kir. Z górki, na której stał nasz dom, patrzyłam na jezioro jak na mordercę. Dziadek mruknął, jak to on: „Głupek zawsze jest na przegranej

pozycji. Mądry nie skacze do wody, jak nie umie pływać". Ciało Jacka, napite wodą, leżało na białym prześcieradle. Dziecko, kolega, trup.

W mojej głowie pojawiła się myśl o finansowym komforcie. Człowiek bogaty ma łódź, po zakupy na drugi brzeg jeziora nie płynie wpław.

Pierwszy raz tego wieczoru odmówiłam autorską modlitwę: *Dziękuję Ci, Panie Boże, za szczęśliwy dzień, a proszę o szczęśliwą noc dla mnie, dla wszystkich moich krewnych, dalszych i bliskich, przyjaciół, dobrych ludzi, dla wszystkich dzieci świata. I żebym kiedyś była bogata.*

Od śmierci Jacka minął miesiąc, był początek września, aura zwiastowała szybkie nadejście jesieni. Po południu Ewa Dyduch i Kosma Bednarz wrócili ze szkoły, szybko zrobili zadania, a potem przybiegli do mnie. W naszym domu było ciekawie. W kuchni na ścianie dziadek przykleił wielką mapę świata i opowiadał o nim, zaznaczając miejsca, w których był, różnokolorowymi bibułkami. Co widział, mówił, ale nie akcentował, w jakich okolicznościach to bywało. Że zazwyczaj w czasie wojen, tak zrozumiałam. Był tu i tam, widział to i tamto. To chciałby jeszcze zobaczyć, tamto też. Że nie chciałby już wojen, ma mnie i nie chce, abym zaznała piekła.

Nieraz przymierzałam jego wojskową czapkę, a dzięki opowieściom wzbudził we mnie zainteresowanie światem. Marzyłam, by pojechać na dworzec kolejowy

w Pobiedziskach i tam, w miejscu „wyruszenia dokądś”, w budynku z czerwonej cegły kupić bilet, a potem usiąść na ławce znajdującej się na peronie z kamiennych bloków i poczekać na pociąg... do świata.

Na dziadkowej mapie miałam swoje ulubione kształty. Zastanawiało mnie, dlaczego Ameryka Południowa jest podobna do Afryki. Czy może coś ją przyciąga do bieguna południowego i tym samym jest w jego stronę jakby rozciągnięta? Wyobrażałam sobie dwóch wielkoludów na Antarktydzie, którzy ciągną nadzianą na wielkie haki Amerykę Południową, licząc, że tym samym przyciągną również Amerykę Północną. Też chciałam mieć taką zdolność – siedzieć na brzegu jeziora i przyciągnąć sobie Madagaskar – skoro komuś udało się dokleić Azję do Europy. Chciałam, by zamiast Jerzyna po drugiej stronie jeziora był Madagaskar. W zasadzie nie wiem, dlaczego. Podobało mi się to słowo, chciałam o tej wyspie dowiedzieć się dużo więcej. Jaka jest, czy ludzie żyją w taki sam sposób jak my? Czym się różnią dzieci ze Złotniczek od dzieci z Madagaskaru?

Opowiadałam te historie Ewie i Kosmie. Miałam mnóstwo wątpliwości, więc *im też zadawałam* pytania. Ewa była moją jedyną przyjaciółką, wierzyła we wszystko, co mówię, słuchała mnie z uwagą, nie przerywając. Próbowwała mi wyjaśnić wątpliwości, obiecała, że zapyta w szkole. Kosma zaś nie, zawsze był kontra, zawsze niedowiarek. Ciągle stawał okoniem. Gdy

się rozpedziłam w opowieści, krzyczał, że kłamię, ale Ewa zawsze stawała po mojej stronie. Będąc zdominowanym, Kosma rezygnował i więcej już z nami się nie kłócił. Podobało mi się, że jest ustępliwy. Niewątpliwie chciałam dominować wśród złotnickiej dzieciarni, byłam pomysłowa, energiczna i kreatywna. Dzieciary siadały koło mnie. „Iga, co będziemy dzisiaj robić? Wymyśl coś! Ty masz najlepsze pomysły!”.

A ja wymyślałam.

Ewa była moją prawdziwą przyjaciółką, nigdy mnie nie zdradziła. Kiedyś na łące za stodołą w trójkę w dole z wapnem lepiliśmy babki. Aż Kosma burknął, bo mu się wapienna babka rozleciała, a my zaczęłyśmy się głośno z niego śmiać, a wręcz wydzierać piskliwymi głosikami na całą wieś. A on, że mój dziadek jest z niskiego miotu. Nabrałam do swojej pięcioletniej łapki garść wapna i pacnęłam nim w jego gębę i wściekła krzyknęłam: „Zamilcz, kreaturo! Nikt nigdy nie będzie źle mówił o mojej rodzinie!”.

Jaki krzyk się wtedy podniósł! Kosma rozdziawił papę i biegł w stronę swojego domu, wrzeszcząc, aż zachrypnął, a potem na drogę wyszła lamentować babcia Bednarzowa. Szła przez wieś i zawodziła jak na pogrzebach, wszystkie baby powyłaziły z domów i zebrały się koło płotu Bednarzy. Lekarz przyjechał szybko, zrobiono z tego wielkie wydarzenie. Razem z Ewą schroniłyśmy się w naszej stodole i nijak nie

chciałyśmy zejść ze słomy. Dopiero dziadek przyszedł i powiedział, że bardzo dobrze smarkaczowi zrobiłyśmy. Wyszłyśmy wtedy z ukrycia i przez dziury w płocie, a potem przedostając się w okolice domu Bednarzy obserwowaliśmy bieg zdarzeń.

Ucichło. Gapie pocłapali do domów, pod płotem Bednarzów nie było nikogo, do moich rodziców zaś doszły wieści, że Kosmę z wypalonymi oczami położyli w łóżku w najciemniejszym pokoju. Obie, Ewa i ja, wyobraziłyśmy sobie, że w tym zacienionym nieprzepuszczalnymi zasłonami (pełnymi kurzu od nieczyszczenia) pokoju babci Kosma czeka na śmierć.

Bo zacienione pokoje babć służą do umierania.

Do późnej nocy Ewa i ja, każda w swoim łóżku, odmawiałyśmy pacierze, by jednak przeżył. W sumie przecież nie był taki zły. Lęk o życie Kośmy i poczucie winy miałam aż do kolejnego dnia, kiedy z zaklejonym okiem podszedł pod nasz płot – gdzie czatowałam na wieści. Chciałam go przeprosić, ale napluł na naszą bramę i znów zaczął wykrzykiwać te swoje wyzwiska:

– Niskie mioty, niskie mioty!

– Wynoś się, diable wcielony! I niech ci się to oko robi czarne jak smoła!

Nie zrobiło się. Zamachnęłam się ręką, by mu rozkwasić nos, zrobić pod niewypalonym okiem limo, kopnąć w kostkę albo przynajmniej odepchnąć. Ale

uciekł.

Mieszkańcy Złotniczek podzielili się na dwa obozy. Niektórzy piętnowali mnie, że planowałam chłopcu wypalić oczy, że działałam celowo. Inni, za sprawą zapewnień Ewy, ubolewali nade mną, cierpiącą katusze duszy. Bo Kosma głupi jest, sam sobie oczy potarł wapnem, kłamie, a generalnie jest kłótlivy jak cała rodzina Bednarzów. Nie wszyscy dali nam wiarę, szkoda, byłyśmy reakcją mieszkańców wsi zaniepokojone.

## **Wiosna 2007**

Moja rozmowa z wicedyrektorem banku nie trwała długo, też nie dał mi wiary, że wyjdziemy z kryzysu. Z gabinetu wyszłam porażona makabryczną wizją. Wrzuciłam telefon do torby, zapięłam zamek i... potknęłam się o stopień. Torba wypadła mi z ręki, lniany kozak obsunął się na stopniu, straciłam równowagę, chwyciłam się ściany., i dostrzegłam żebraka. Siedział pod drzwiami banku i patrzył mi prosto w oczy. Nie ruszył się, by mi pomóc, nic, siedział nieruchomo i patrzył. Odebrałam jego obecność jako znak, sprawdzian dla mnie z człowieczeństwa. Zawahałam się. Kim jestem? Czy potrafię pomóc biedniejszemu od siebie? W końcu sama również mogę znaleźć się na bruku. Dałam już wprawdzie krok do przodu, ale jednak zawróciłam.



Wyjęłam z portfela jedyny pięćdziesięciozłotowy banknot i wręczyłam żebrakowi. Dziad schował go do kieszeni, podniósł się z klęczek i szybkim krokiem ruszył w stronę Starego Rynku. Mój gest dobroczynności na obdarowanym nie zrobił wrażenia. Tylko na mnie. Na mnie samej zrobił duże wrażenie.

Zatrzasnęłam drzwiczki auta i ostro ruszyłam z stronę Pobiedzisk. Nie przeszło mi szybko zniesmaczenie własnym frajerstwem, gnałam, aż w tumanach kurzu gubiłam drogę. W progu domu natknęłam się na Leszka i natychmiast zaczęłam wyłuszczać pretensje.

– Nie chciał mnie przyjąć! Zgrywa wielką szychę, podczas gdy wszyscy znakomicie wiemy, że jest karierowiczem po historii.

– Po co tam pojechałaś? – Mina Leszka była groźna.

– Długo się zastanawiałaś. Dlatego. Nic nie robisz, jestem pewna, że uciekasz od problemów. To mało?

– Możesz mi odpowiedzieć? Po coś tam pojechała bez mojej wiedzy?! – krzyknął.

– Nie krzycz. Jestem zdruzgotana. Wzywają o natychmiastowy zwrot kredytu, nikogo nie interesuje, czy pieniądze mamy w obiegu, czy w skarpecie. Do banku przyjechali komornicy od wydzierżawiającego, dlatego zablokowali nam konta. Wiedziałaś o tym?

– Tak.

On wiedział!

„Są dwa sposoby na to, żeby znaleźć się na wierzchołku dębu. Jeden to usiąść na żółędziu i czekać. Drugi to wspiąć się na drzewo" (Ch.K. Wilson). Gdzieś wyczytałam tę mądrość, ale dopiero wtedy zaczynałam rozumieć jej sens.

Już wiedziałam, że bitwę mogę stoczyć tylko o trzydzieści hektarów byłej rodzinnej ziemi. No i chciałam ratować wspomnienia, zatrzymać Dom Złudzeń, o jakże wymownej w aktualnej sytuacji nazwie.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? To, co robi bank, jest czarną egzekucją.

– Dlaczego miałbym? Nie traktuj mnie jak chłopczyka. Nigdy nie zaszczyciłaś mnie wsparciem – mruknął Leszek i poszedł w stronę wyjścia, czym mnie rozdrażnił jeszcze bardziej.

– Masz zamiar wyjść? Kolejny raz proszę – nie zostawiaj mnie samej! Do szafu mnie doprowadza, że teraz, kiedy powinniśmy oboje działać... – Zabrakło mi słów.

– Grasz obojętność!

Zatrzymał się w drzwiach. Słońce oświetlało jego włosy. Istotnie, przez te kilka lat, odkąd się poznaliśmy, posiwał. Prawdę powiedziawszy, nigdy wygląd mojego męża nie był dla mnie istotny. Kupił mnie, po prostu kupił. Zapłacił ziemią, domem, końmi. Obietnicą dobrobytu. Czy już wtedy sprzedałam swoje marzenia?

– Teraz?! Niczego mi nie ułatwiałaś, zachowywałaś się jak księżniczka, tylko dlatego, że mi urodziłaś syna. Cóż z tego, skoro nawet nim nie potrafiłaś się zająć!

To tak? Jeszcze nie wpadliśmy w ten cały młyn, który nam grozi, który nas chce pożreć, a nie potrafimy znaleźć wspólnego języka? Chciałam współpracować, walczyć razem, ramię w ramię. Bóg mi świadkiem. Mimo że słowa Leszka uznałam tylko za okropny brak delikatności, moja duma znów wzięła górę. Przecież nie pozwolę, by moje słabości wystąpiły z brzegów! Opanowałam się.

– Przeszliśmy w związku od stanu zainteresowania, bo nie sądzę, by było coś więcej, przynajmniej z twojej strony, do całkowitej obojętności. – Byłam zimna i niedostępna.

– Jeśli tak ma być, *to* lepiej się rozstać. To w zasadzie mój dom.

Jakże byłam rozgoryczona i mimo wszystko oszukana! Dopiekł mi, podważając mój macierzyński instynkt. Choć emocje zaczęły harce w moim ciele, byłam opanowana, mówiłam cicho, dobitnie. Patrzyłam w okno.

– Nie rozmawiamy, bo nie masz nic do powiedzenia, po prostu nie masz pomysłu, *co* dalej robić! W dobrobycie łatwiej się działa, *co*? Mów coś. Możesz wreszcie powiedzieć coś, co mnie uspokoi?

Stał bez ruchu, nic nie mówił. To było ponad moje siły.

– jak zresztą chcesz, do diabła. Nawet milcz, jeśli ci tak wygodnie! Wyjdę z kłopotów, a ciebie u siebie zatrudnię. Zobaczysz. Nie pozwolę, byś mówił, że nie potrafiłam zająć się dzieckiem. Takich słów się po prostu kobiecie nie mówi!

Naprawdę nie chciałam się znów żegnać z ojcem swojego dziecka. Z własnego synka uczynić pólsierotę. Wiele bym dała, żeby usłyszeć, że możemy razem wziąć się do pracy, dać sobie życie jeszcze raz. Może się uda, na pewno się uda. Nie wypowiedziałabym wtedy tych niesprawiedliwych słów.

Z drugiej strony, miałam przecież czystą kartę. Nie byłam ani prezesem, ani w zarządzie, czy w radzie nadzorczej, miałam jedynie udziały. Nie zależało mi na nich, zresztą cóż znaczą, gdy nie ma majątku? To dlatego, że nie wiedziałam, jak go zatrzymać, przymusić do bliskości, potraktowałam go jak głupola.

– Masz rację – usłyszałam. – Pojadę do Kutna, w tym stanie rzeczy Róża potrzebuje pomocy. Chce mojej pomocy.

No tak. Jednak mnie zaskoczył. Obojętnością, tumiwisizmem, Różą! Poruszył mnie. Jeśli tak się sprawy mają, to owszem, niech jedzie. Niech jedzie! Kłamca i nieudacznik. Kłopot będzie z głowy. To nie mnie będą odwiedzać komornicy, wierzyciele. Powiem: „Bardzo proszę: Leszek Podkański – adres: Kutno”.

Chciałam wyrwać z siebie żal, dogadać się, a zostałam odtrącona. Ładnie wykorzystał sytuację. Wymknęło się nam wszystko na zewnątrz. Poza nas. Problemy nas niewątpliwie przerosły.

Niech jedzie. Głupek! Kolejny głupek!

– O tak! Pieprz się z nią, skoro ze mną nie potrafiłeś. Najłatwiej jest tak właśnie postąpić. Narozrabiać, uciec i schować się pod inną spódnicą!

– Wiesz co? Masz szczególne zdolności do rozbijania związków!

Rabnęłam drzwiami, weszłam do pokoju obok, siadłam przy zimnym tym razem piecu kaflowym. Dobrze, akurat potrzebowałam ostudzenia. Czułam silne wzburzenie, silne jak nigdy. Liczyłam przecież, że coś w nim zakrzyczy, jakieś emocje, chęć jakaś. Tymczasem usłyszałam to, co i mi nigdy nie dawało spokoju: „Masz szczególne zdolności do rozbijania związków”.

Na piecu postawiłam garnek z wodą. Gdy się zagotowała, wsypałam zioła, a potem patrzyłam, jak nad garnkiem unosi się para z leczniczych roślin różnego przeznaczenia. Przysunęłam się bliżej i zaczęłam wdychać aromaty. W domu było cicho jak w grobie. Właśnie umierał kolejny mój związek.

Po południu wsiadłam do bryczki i pojechałam do wróżki do Wronczyna, skąd wróciłam nieco uspokojona. Po głowie chodziły mi słowa przepowiedni: „Twoje

szczęście zagości po zachodzie słońca".

\* \* \*

Kolejnego dnia, po zachodzie słońca, moje szczęście niewątpliwie jeszcze nie zagościło. Noc spędziliśmy jak zwykle, każde w osobnym pokoju. Leszek zamknął swój na głucho. Ja podobnie. Miałam nadzieję, że świt przyniesie coś nowego, jakieś rozstrzygnięcie, zmianę, przemyślenie, nowe wnioski. Nic takiego nie nastąpiło, a ja byłam zbyt dumna, by wycofać się ze słów z poprzedniego dnia. Wiem, nie powinnam, ale stało się.

Leszek spakował swój dobytek, w przeciwieństwie do mnie niewiele tego uzbierał. Serce waliło mi w żołądek, ale byłam opanowana. Jego oczy zaszyły łzami, to mi jeszcze bardziej rozerwało duszę. Chciałam dotknąć ręki męża, przytrzymać. Przeprosić za wszystko. Nawet tak się stało – chwyciłam go za ramię, ale wyrwał się i wyszedł. Bez słowa pożegnania, żadnego: „do widzenia”, „halo”, „hej”, „cześć” czy nawet „pa, pa”. Po czym natychmiast wsiadł w stojące na podjeździe auto i odjechał, aż za rozwidleniem dróg jeep znikł mi z oczu. Niedobre myśli, które zaczepiały mnie od dawna, w tym momencie dokonywały na mnie gwałtu. Zostawił mnie. Uciekł jak tchórz. Nie pomyślał, co się z nami stanie. Ze mną, ze Stasiem.

Zostałam sama, bez wsparcia. I bez pieniędzy.

Nie był to czas na łązy. Należało rzucić się w wir pracy, bo nawet jeśli przegram, będę mogła sobie powiedzieć: „Byłaś dzielna, walczyłaś”. A jeśli ta walka mnie złamie, powiem: „Poległaś w boju”.

O wygranej nie miałam odwagi wówczas myśleć.

## **Jesień 1972**

Wygrałam. Kosma Bednarz nie umarł od pacnięcia go wapnem, wręcz przeciwnie. Za kilka dni całkowicie wyzdrowiał, znów się pogodziliśmy, znów poszliśmy na naszą łączkę, gdzie na dowód, że nie jest już obrażony, pozwolił nam mówić na siebie Kosmaty.

To przezwisko pasowało do wiedzy, jaką już miałam. Że Bednarze to diabły wcielone.

Tamtego roku lato szybko zamieniło się w jesień, nasze wczesnopołudniowe zabawy przeniosły się z podwórza do starego grata, jaki stał pod oknami domu Dyduchów. W aucie nie było szyb, ale były dwa wygodne tapicerowane siedzenia i szeroka, miękka ławka. Pewnego popołudnia w Dyduchowym gracie patyczkami podnosiłyśmy do góry obnażone przyrodzenie małego Bednarza. Dotykałyśmy Kosmatego najpierw kijkiem, a potem ręką za członka, a on stał jak porażony i wlepił w nas gały, wcale nie protestował. Rozpychałyśmy się,

każda chciała go dotykać. „Teraz ja, teraz ja!”, „Nie, ty dłużej badałaś!”, „Nie, a właśnie, że ty dłużej!” – krzyczałyśmy podekscytowane.

Jakież te części jego ciała były ciekawe... i przyjemne! Miękkie, delikatne, ciepłe jak aksamit. O tak. Aksamit lubiłyśmy obie równie mocno. Nieraz, leżąc pod jabłonką, oddawałyśmy się marzeniom, że kupimy do swoich domów wielkie otomany pokryte mięsistą, delikatną w dotyku tkaniną w kolorze purpury albo najlepiej złota.

Złoto to przepych, bogactwo.

Kosma stał nagi i poddawał się doświadczeniom, wcale nie protestował, aż tu do grata zajrzała zwabiona naszą krzykliwą ekscytacją stara Dyduchowa i narobiła wrzasku na całą wieś. Nawet pijus Dyduch się wytoczył na podwórze, mimo że to było popołudnie, kiedy zazwyczaj schlany spał. Dyduchowa wynajmowała się u dziadka do roboty, w zasadzie pomagała, spośród wielkoobszarowych gospodarzy tylko mojego dziadka szanowała. Sąsiad sąsiada powinien wspierać, ale do Bednarza by nie poszła, chociaż skupił w swoim zarządzie hektarów więcej niż mój dziadek i był znacznie bardziej bogaty. Jan Bednarz, dziadek Kośmy, miał złe podejście do robotników. Podsłuchiwała kiedyś, jak szydził, że baby trzeba skłócić, a wtedy się do roboty zabierają i z nerwów dziabia i obkopują buraki czy cokolwiek im każe, z dużo większą zaciętością. Jeśli są w zgodzie, wtedy tylko



paplają i robota nie idzie.

No, w sumie...?

Stary Bednarz był skonfliktowany ze wszystkimi mieszkańcami wsi, to i paplać nie miał z kim, zatem się tych bab czepił, a niektórzy powiadali, że z niego taki cichociemny, w sensie, że z cicha pęk. Najbardziej zawzięty w gniewie na Bednarza był mój dziadek, ale nikt nie wiedział dlaczego, a przynajmniej nikt się z tą wiedzą nie ujawnił.

Dyduchowa próbowała porządkować swój świat. Na chorobę alkoholową starego Dyducha cierpiała cała rodzina, ale ona miała swoje małe szczęścia. A to firany ładnie uprężyła i ktoś ją pochwalił. Niektórzy we wsi mieli bawełniane, trudno było po praniu uzyskać ich pierwotny kształt, więc je przypinała do wielkiej ramy, krochmalila i wtedy, gdy je zdjęła, dopiero piękne były, sztywne, cały wzór w swojej okazałości się ujawnił. W łabędzie albo w domki. Takie ładne domeczki, szczęśliwe, bez pijusów w środku.

Ewy matka wychodziła na ogród, przypinała firany do wielkiej ramy, śpiewała. Wtedy była szczęśliwa. Słońce podczas pracy muskało jej twarz, bo wystawiała ją, by poczuć z tym słońcem związek, tyle co była poza domem, bo do niego to słońce naturalnie wstydziło się zaglądać. Nic w tej kobiecie nie zgasło, często słyszałam jej śmiech. No i nie była chorowita. Gdy czasem do nas przyszła, najczęściej po wypłatę, gdy usiadła z rękoma

złożonymi na brzuchu, lubiłam kucać na ziemi i podglądać, jak jej ciało wylewa się z bioder i ud na wszystkie strony taboretu, w podobny sposób do ciasta drożdżowego z misy.

Wtedy jednak, podczas lekarskich ćwiczeń w gracie Dyducha, wystraszyła nas i zawstydziła. I znów, przyłapanie, bez wcześniejszych uzgodnień zrzuciłyśmy winę na Kosmę. Cała wieś (włącznie z sołtysem Nowickim) uwierzyła w naszą bajkę, powiadali nawet, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Czyli Kosma od Bednarzów. Byli i tacy, co chcieli, żeby ksiądz na ambonie opowiedział tę historię jako przestrożę dla innych niewinnych dziewczynek. Jednak nie okazało się to możliwe, bo stary Bednarz duże kwoty na tacę rzucał i baldachim nad księdzem w Boże Ciało trzymał, a podczas kolędy tylko u niego proboszczowie gościnnie przyjmowali. Z moim dziadkiem co najwyżej grywali w karty, snując do rana opowieści o świcie albo słuchając radia Wolna Europa, a była to nie lada atrakcja, radio bowiem mieliśmy we wsi jako pierwsi. Podobno jeszcze przed moimi narodzinami.

Nieraz z ciekawości zachodziłam do sklepu Bednarzów, udawałam, że po cukierki, ale przede wszystkim, by zobaczyć, czy są, jak mawiał dziadek, te wcielone diabły. Nic szczególnego ani na podwórzu, ani w sklepie nigdy nie zauważyłam. Mama Bednarzowa była nijaka, mówili we wsi, że jest domowym popychadłem.

Kiedyś zapytałam dziadka, *co znaczy słowo „popychadło”*. Nie umiał mi odpowiedzieć w sposób, jakiego oczekiwałam. Dał mi jedynie do zrozumienia, że wychowując mnie jak chłopaka, chce mnie od takiego losu ustrzec.

To była moja ostatnia dziecięca jesień w Złotniczkach. Na święta Bożego Narodzenia w 1972 roku tata wybłagał w firmie wygodne mieszkanie w Poznaniu na ulicy Grobla. Moja mama zwierzyła się Basi, a ja to usłyszałam, że wyprowadzamy się ze Złotniczek, bo nie możemy dłużej pozwalać na złe traktowanie przez dziadka. Nie rozumiałam, co mama miała na myśli.

Miałam jej wtedy za złe takie gadanie.

## **Wiosna 2007**

Przykre i złe wiadomości szybko wychodzą na jaw Basia pojawiła się ze Stasiem na tylnym siedzeniu natychmiast, gdy auto Leszka zniknęło za zakrętem akacyjnej alei. Jeszcze nie wystygłam, wyobrażając sobie, że Leszek przejeżdża obok hyczkowego zaułka, jak jadąc, żegna się z Przepadliskiem, z Brodkiem. Niemożliwe. To nie były miejsca jego wspomnień.

Basia musiała zauważyć, że płakałam. Zaczęłam całować Stasia, przytulać się do niego, chciało mi się wyć

z rozpacz.

– Mamo, bo mnie przekochasz!

– Idź, zobacz, czy twój pokój znajduje się w tym samym miejscu.

Staś pobiegł na piętro. Podeszłam do krzesła, na którym leżał pled po babci, ciepły, otulający, gdy marłam. Zwinęłam go i schowałam do szafy. Teraz będzie inaczej, bez sentymentów. Basia początkowo przyglądała się, co robię, ale w końcu nie wytrzymała.

– Wyrugowałaś kolejnego faceta ze swojego życia? Nie mówiłam, że tak będzie?

– Nic nie wiesz. – Zatrzymałam się. Nie takich słów teraz oczekiwałam. – Wiele się pozmieniała Wiesz, czym jest utrata zaufania? Wiesz, czym jest rozczarowanie?

– Cóż za bzdury! Na każdym kroku tracę do kogoś zaufanie. Życie mnie rozczarowuje bardziej, niż myślisz.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że ja ciebie rozczarowałam?

– Gdybyś widziała, jak Staś tęsknie wygląda za tobą oknem, jak czeka. Mówię mu, że przyjedziesz, że niebawem, że porozmawiasz... Jednak ty pojawiaasz się dopiero wtedy, gdy jest śpiący, a przecież nie masz na to żadnej wymówki! Igo, a Leszek? Chodził jak zbity pies, podczas gdy tobie ten cały dobrobyt wykasował logiczne Myślenie. Nie można mieć wszystkiego, czego się zapragnie!

– Wszyscy coś mi zarzucacie. Postaraj się mnie zrozumieć. Chociaż ty!

– Bo mnie zależy, żeby wam było dobrze. Ale wiesz co? Mam jedną prośbę: żebyś nazwiska swojego ojca nie zbryzgała błotem.

Miałam jej za złe takie gadanie. Gdy Basia, pierwszy raz tak bardzo względem mnie niedobra, wróciła do domu, ja, zraniona krytyką, wzięłam Stasia za rączkę, usiadłam i posadziłam go sobie na kolanach. Przytulałam się mocno do synka, podobno zaniedbywanego, ale nie wytrzymał długo czułości. Wyswobodził się z moich ramion, zszedł i rozłożył na podłodze układankę, ja też wyszłam i zabrałam się za sprzątanie pokoju Leszka.

Niewiele tam było, ze dwie koszule w szafie, ze trzy swetry, dwie pary gacek i dwa krawaty. A gdy we wspólnej łazience nie zauważyłam maszynki do golenia i męskich kosmetyków, włącznie z perfumami, które mu niedawno kupiłam w prezencie, zrozumiałam, że w tym wielkim domu pozostał mi tylko maleńki synek, który mnie, taką niedobłą, nietaktowną, mało czułą, ale dumną kocha bezwarunkowo. Widziałam przez otwarte drzwi, że układa obrazek, przygryzając dolną wargę, w podobny sposób, jak robiła to Ola, gdy była jeszcze mała.

Zostaliśmy ze sobą kilka godzin. To był dobry czas.

Wieczorem nadal porządkowałam dom. Przestawał być nasz, a stawał się mój. Ubyło w nim Leszka. Został

mi po nim terakotowy wojownik, którego przywiozłam z wyprawy do Chin. Nie zabrał go ze sobą. Figura obrosła kurzem, stała w kącie, zaniedbana, opuszczona, bez splendoru, jakim obdarzona jest sama legenda o Terakotowej Armii w Chinach. Byłam tam, widziałam i wiem, że siedem tysięcy pięćset figur wojowników cesarskiej armii naturalnej wielkości zostało kilkadziesiąt lat temu przypadkowo odnalezionych pod ziemią przez trzech – chłopców, którzy kopali studnię.

Wypucowałam figurkę i zaniiosłam do sypialni, gdzie na byłym małżeńskim łóżu rozgościł się wraz ze swoimi układankami Staś.

– Będę dzisiaj spać z tobą.

– Ja też...

Minęło kilka godzin, wieczór zmienił się w noc. Deszcz stukał o dach, a ja opadłam na łóżko obok synka i pochwyciłam jego małą łapkę w swoją. W tym zapleceniu i z terakotowym wojownikiem na szafie poczułam się bezpieczniej.

Bardzo chciałam być z terakoty.

\* \* \*

Nie mogło być inaczej. Ola szybko dowiedziała się o złej sytuacji majątkowej firmy i rodziny. Chciała

natychmiast rezygnować ze studiów i przyjeżdżać pod Poznań. Ledwo jej to wyperswadowałam. Leszka nie było w domu już kilka dni. Wprawdzie kontaktowaliśmy się dwa razy przez telefon, ale to nie wniosło nic nowego w nasze relacje. Niestety, by rozmawiać bez emocji, musiałam nabrać pokory i dystansu. To było trudne, ale starałam się.

– I co byś mi dalej radził? – pytałam go. Rzucona w krwiożerczy świat interesu, zupełnie mi nieznany, schowałam dumę do kieszeni.

– Walcz o swoje pieniądze – powtarzał zniecierpliwiony – Dla ciebie zawsze byłem drugim gatunkiem człowieka.

To nie tak. Absolutnie.

Kończył się czwartek. Pozostawiona sama sobie, truchlałam na myśl, co przyniesie pierwszy dla mnie od lat roboczy dzień – poniedziałek. Nie miałam oparcia, mało tego: sama musiałam je dać Stasiowi, Oli i ludziom zatrudnionym w firmie. To mnie, rzecz jasna, przerastało.

Ola, mimo mojego zakazu, w piątek po południu zjawiała się w Złotniczkach. Jakże wypiękniała! Wysoka, smukła, z jedwabiście jasnymi włosami i błyskiem w niebieskich oczach. Wszystko w jej sylwetce i buzi było proporcjonalne. Gdyby nie jasny kolor włosów, wyglądałaby jak młoda Carla Bruni. Ubrana w białą,

prześwitującą bluzkę bez rękawów, jasnobezowe skórzane spodnie i zielone buty na wysokim koturnie była niezwykle kobieca, a jednocześnie silna.

Moja maleńka Ola (jak ją w myślach ciągle nazywałam) była w tym czasie o kilka lat starsza niż ja, gdy ją urodziłam. Po chrzcinach w Farze pieszo poszliśmy do „Smakosza” na obiad. Zamówiliśmy bryzol z pieczarkami, tylko Emil wziął boeuf Strogonow. To było wydarzenie! Ola leżała w wózku, dała nam się najeść w spokoju. Gdy podraستاła, robiła się podobna do chłopca, ludzie się mylili. „Jaki śliczny chłopczyk” – mówili, *co Olę oczywiście denerwowało. Mogli się mylić, miała jasne, proste włosy, poważne i nad wyraz jasne spojrzenie. Nie lubiła sukienek, zatem ubierałam ją przeważnie w spodenki. Miała śliczne, niebieskie oczy, ludzie powiadali, że poczciwe. Nie była wtedy szczupła, odziedziczyła sylwetkę swojego ojca – oponki na brzuszku i pucki na policzkach. Miała nieustępliwy charakter. Doskonale pamiętam uwagi wychowawczyni z przedszkola: *Do kolegi, Marcina, który jest otyły, powiedziała: „Ty grubasie!” Albo: Ola Rachowała się, bardzo nietaktownie, Damiankom oznajmiła, że jest głupi.**

Bywała też oczywiście urocza. Gdy miała sześć lat, kupiliśmy malucha i wyjeźdzaliśmy za miasto. Emil sadzał sobie Olę na kolanach i od domu do głównej drogi kierowała ona, potem on. Kiedyś za miastem wyprzedziła nas maluchem kobieta, a potem zwolniła, to my ją



wyprzedziliśmy, potem znów jej auto znalazło się przed nami. Emil się wściekł i warknął: „Baba za kierownicą to horror”. Ola wtedy spojrzała na ojca i powiedziała coś, co długo potem opowiadaliśmy jako anegdotę: „Tatusiu, ja też chcę być horrorem!”. Nie była horrorem ani wtedy, ani potem: była miła, tyle że zawsze się rzucała w oczy. Nie tolerowała drugich szeregów, wołała pierwsze. A egzamin na prawo jazdy dla „horrorów” zdała dzień po ukończeniu siedemnastego roku życia.

– Zawsze ci powtarzam, jedź wolniej. Brakuje, żebym się jeszcze o ciebie zamartwiała! – wygłosiłam zamiast przywitania.

– Baba za kierownicą to horror. Hej, brzdącu! – Zaśmiała się i zwichrzyła Stasiowi czuprynę. – Sama jesteś? Gdzie Leszek? – już od wejścia zaczęła zadawać te swoje precyzyjne pytania.

– W Kutnie.

– W Kutnie? Po co? Tutaj jest potrzebny.

– No, pojechał. Nie wiesz, że tam mamy ziemię i młyn? Dam sobie radę.

– Mamo, to nie są tematy dla kobiety. Przecież ty już dawno temu odpuściłaś i nie zdajesz sobie sprawy, jakie zagrożenia czyhają przy prowadzeniu firm. Gazet nie czytasz? Co z Leszkiem, tak dokładniej?

– Przestań mnie wypytywać. Zamieszkał w Kutnie.

– Sam?

– Chyba z Różą. No, ona też tam mieszka...

– I ty tak lekko to mówisz? Nie możesz pozwolić, żeby kolejny facet cię zostawił, w końcu nie jesteś już młoda.

– Ty też to samo?! Wystarczy, że Basia ciągle o tych rzucających mnie facetach klepie. Błagam. Są ważniejsze rzeczy. – Ściszyłam głos, widząc w pobliżu Stasia. – Reasumując, firma de facto jest upadła.

– Jak to upadła?! Rób coś. Za chwilę możecie się wszyscy znaleźć na bruku! – krzyknęła Ola.

– Najpierw „nie rób”, teraz „rób”. Zdecyduj się na coś w końcu – podniosłam głos.

– Przecież mamy dom... – wyszeptał Staś, na którego żadna z nas nie zwróciła uwagi. Był przerażony.

– Nie bój się, bobasie. Przeniosę się na indywidualny tryb studiów i poszukam etatu, to ciebie, mamó, odciążę w jakimś stopniu. W Warszawie jest sporo propozycji pracy. A Leszek ma za co żyć? Gdzie oni mieszkają?

– Róża ma mieszkanie. Tak jakoś się porobiło...

– Mamó! W co ty się wpakowałaś? Masz jakiś plan?

– Przejrzę papiery i wyliczę, ile muszę mieć, żeby cokolwiek uratować. Dom Złudzeń i ziemię rodzinną. Trzydzieści hektarów.

– Po co ci ta chata? Stoi w środku wsi jak urząd gminy, każdy pies ze wsi obsikał nieraz jej płot. Opuść

sobie, z Domem Złudzeń nie jesteś związana. Stać cię?

– Nie stać. A czy stać mnie, żeby stracić? Nic po nim nie mam, dom rodzinny Basia sprzedała zaraz, jak umarł. Ten gminny czworak stał naprzeciwko. Będąc dzieckiem, s codziennie na niego patrzyłam, rozumiesz? Codziennie. To dziadek i ja tak go nazwaliśmy. Na tyłach domu jest byczkowy zaułek, gdzie się jako dzieciarnia zbieraliśmy co wieczór. To mało?

– No nie wiem, dzisiaj sentymenty nie są w modzie.

– Najbardziej się boję, że będę musiała z firmy zwolnić sporo ludzi. Dorobię się wrogów, nikt nie będzie pamiętał, że otrzymywał od nas kosztowne prezenty, premie i inne bonusy. Że było generalne spijania sobie z dzióbków.

Ola słuchała mnie w milczeniu, Stasia posadziła sobie na kolanach.

– Akacyjny Dom jest niezagrożony, to moja własność. Może go sprzedam, jeśli potrzebne będą pieniądze, kto wie? – kontynuowałam.

– Mamo! Błagam cię, tylko nie popełniaj głupstw. Ceny nieruchomości teraz spadają! Sprzedasz za małe pieniądze, które się prędko rozejdą.

– Nieważne. Nie lubię tego miejsca, nie mam dobrych wspomnień, na to wszystko nakłada się porażka z Leszkiem. Olu, nie mów nic o mnie swojemu ojcu, on zawsze miał mnie za niezborną.

– Ojej! Gdybyś wreszcie zechciała z nim normalnie rozmawiać, na pewno mógłby ci pomóc. Mamo, ty musisz przede wszystkim nauczyć się rozmawiać z innymi ludźmi, nie jesteś samowystarczalna. Na pewno są tacy, którzy chętnie pomogą, bo po prostu lubią to robić, nawet bez pieniędzy.

– Nie znam takich.

– A ja znam, naprawdę.

– Dobrze, wierzę ci. Olu! Potrafisz poukładać mi w głowie.

– W końcu kiedyś będę miała do czynienia ze sfrustrowanymi albo zaszczutymi klientami. Muszę zdać magisterkę i zrobić aplikację. Widzisz, co ja mam na głowie? Będę jechała.

– Już? Zawsze wpadasz na chwilę. Nie mogę się tobą nacieszyć. Olu, usiądź, poczekaj, chcę ci powiedzieć coś bardzo dla mnie ważnego. Bo wiesz... On zawsze był dla mnie autorytetem, wychowywał mnie. Gdy umarł, zostałam bez oparcia, twój ojciec był ode mnie zaledwie o kilka lat starszy i miał rodziców, to bardzo ważne. A ja? Byłam przede wszystkim sierotą. Urodziłam cię, mając niespełna dziewiętnaście lat, chyba rozumiesz, że nie miałam prawa wiedzieć jeszcze, jak żyć. Miałaś roczek, pojechaliśmy z tobą autostopem na wakacje. Plan był taki, by dotrzeć nad morze, ale udało się tylko dojechać do Żnina, to jest jeszcze Wielkopolska. Tam zamieszkaliśmy

w namiocie i dzisiaj mi się wydaje, że to był dla mnie najszczęśliwszy okres. Dopiero teraz znów zaczynam o coś walczyć, czegoś chcieć.

– On? Mój pradziadek, oczywiście? Zawsze był dla ciebie najważniejszy. Zawsze żyłaś dla niego, nawet gdy już umarł. Nie oszukuj się, po jego śmierci nic się nie zmieniło, on wciąż był dla ciebie najważniejszy. Mamo, ja to wszystko wiem, ze wszystkiego, co cię trapi, zdaję sobie sprawę, nie jestem głupia! Ale pamiętaj, że mnie też wychowywał mężczyzna.

To było odkrycie. Ołę też wychowywał mężczyzna. Fakt.

Gdy wyszłyśmy przed dom, na naszą łąkę wjechały kosiarki. To była ostatnia we wsi łąka do drugiego koszenia. Sianokosy były dla mnie ukoronowaniem wiosny, początkiem lata. Lato. Upały. Kopce siana, na których można urządzić sobie drzemkę. Albo wejść na sam czubek, rozłożyć ręce i czekać, aż wszechświat obdarzy siłą i chęcią, by żyć. Pobiegać boso.

W Złotniczkach lato zaczynało się zapachem bzu, akacji, maciejki, róż i piwonii. I zapachem suszonych traw. Kumaryną.

\* \* \*

Była już noc, gdy zajrzałam do Stasia. Sam się tego

wieczoru położył spać, co było niezwykle. Nawet nie zauważyłam, kiedy się to stało. Rozmawiałyśmy z Olą, potem jeszcze kilka razy dzwoniła z drogi. Dopiero wtedy zauważyłam, że Stasia nie ma w pobliżu. Wystraszyłam się, zaczęłam go szukać, ale okazało się, że smacznie sobie śpi już w łóżku. Przykryłam synka kołdrą, sama zaś zeszłam na dół i długo jeszcze siedziałam przed domem, aż się doczekałam SMS-a od Oli, że jest kilka kilometrów przed Warszawą. Odetchnęłam, mogłam wreszcie się położyć, poszłam do sypialni i rzuciłam się na łóżko obok dziecka. Leżałam na wznak, nie mogłam zasnąć, myśli przekrzykiwały się w mojej głowie, ponadto wybudzały mnie mocne bicie serca i bezdechy.

Do pokoju wpadało pomarańczowe światło z lamp stojących przy drodze, a na niebie uprzedła się siatka z gwiazd. Staś wiercił się, sapał, a materac pod nim trzeszczał. Był nerwowy, ja też. Cichutko zapłakał przez sen, a ja pożałowałam, że z Olą rozmawiałam o tak trudnych sprawach przy chłopcu. W końcu odrzucił gwałtownie kołdrę, usiadł na łóżku i uderzył piąstką w stelaż. Zeskoczył z łóżka, taka drobinka, stanął naprzeciwko mnie i zaczął tupać.

– To ja jestem nieważny, tak? Nieważny? – krzyczał łamiącym się głosem.

– Dziecko! Już spokojnie, jest noc, trzeba spać. Mamusia też musi odpocząć.

– Nigdy nie chcesz ze mną rozmawiać. Nigdy. Tylko

z Olą rozmawiasz. – Znowu zaczął tupać i płakać.

– Nie masz racji. Nie dodawaj mamusi kłopotów. Boksował mnie, drapał, kopał w nogi. Wpadał w płacz coraz większy. Nie reagowałam, bo nie powinnam ulegać. To jasne. Ola dostała ode mnie tak mało miłości, a wcale o nią nigdy nie prosiła. Teraz, kiedy uznała, że należy mi pomóc, natychmiast pojawiła się w Złotniczkach. Staś ma tonie na co dzień, blisko.

Coraz głośniejsze i coraz gwałtowniejsze zanosił się płaczem, aż tracił głos. „Spij, jest noc” – powtarzałam w kółko. Ale on nadal krzyczał, tupał... Denerwował mnie, dopraszał się o klapsa. Histeryk. Mały szantażysta. Gdy nie reagowałam, zaczął wrzeszczeć, aż mu nabrzmiały żyły na szyi i czole. Zsinił i przewrócił się obok łóżka. Usłyszałam głuchy odgłos upadającego ciała, potem zrobiło się cicho.

Wpadłam w panikę. Umarł. Mój Staś nie żyje! Wzięłam na ręce zeszywniałe i sine drewno, próbując klapsami w pupę przywrócić w nim życie. „Błagam, błagam, ocknij się, błagam!”. Biłam go po pupie, po buzi, wszędzie, ale on ciągle nie oddychał i coraz bardziej siniał. Krzyczałam, wybiegłam z dzieckiem na ganek, obudziłabym noc, by tylko mój synek przeżył. Byłam jak obłąkana. Chryste! Kocham ich obu, kocham Olę i kocham Stasia. Bardzo, bardzo.

– Stasińku! Syneczku! – powtarzałam. – Oddychaj, zrób to dla mnie, kocham cię!

Złapał oddech i siność na jego buzi ustępowała, otworzył oczy. Był słabutki i przytulał się do mojej szyi. Całował mnie, a ja, płacząc, powtarzałam słowa, które przywróciły mi dziecko.

– Kocham cię, moje maleństwo, kocham bardzo i zawsze tak będzie. Kocham jak potrafię, może niedobrze. Nie wiem. Kocham cię bardzo mocno, mocniej, niż mogę ścisnąć.

Mówiłam i mówiłam, tymczasem Staś na moich rękach zasnął. Gdy położyłam go na łóżku i otuliłam kołdrą, kiedy już spał spokojnie, zadzwoniłam do pediatry. Zaspany, podjął rozmowę, ale zlekceważył objawy.

– Histeria, małym dzieciom często się zdarza. Proszę spać spokojnie.

Nie dałam wiary. Staś był od urodzenia chorowity, mogły to być skutki uboczne angin, zapaleń oskrzeli, katarów, chorób, jakie przeszedł. Nieraz czytałam o zapaleniach mięśnia sercowego, wsierdza, płuc. Poza tym był nadpobudliwy – brał sobie wszystko do serca. No i strachliwy – stronił od robaków, pajaków i zawsze bardzo bał się widoku krwi. Kiedyś przybiegł do domu z rozciętym paluszkiem, z którego wytoczyła się maleńka kropelka krwi, krzycząc: „Mamo, szybko, naklej plaster, bo mi cała krew wypłynie!”.

Dalsza część nocy była spokojna, mimo że



i Złotniczki się na dobre rozpląkały. Burza, która zawisła nad jeziorem i wahania ciśnień mnie uspiły. Nas uspiły. Spaliśmy oboje ze Stasiem jak zabici, a następnego dnia rano przez okno spostrzegłam, że ulewa musiała być wielka i gwałtowna, bo obleciały wszystkie brzoskwinki, które kilka tygodni wcześniej zawiązały się na młodym drzewie.

\* \* \*

Ewa Dyduch odwiedziła mnie w sobotę po południu. Opowiedziałam jej o bezdechu Stasia i o przyjeździe Oli. Martwiły mnie moje dzieci, ciągle miałam w związku z nimi wizje zagrożeń. Ewa nigdy na swoje pociechy się nie żaliła, jej córka Gosia dojeżdżała codziennie do Poznania na studia. Miała być ekonomistką, dla dziewczyny to bardzo dobry zawód, nie to co jej mama, po technikum chemicznym. Syn Rafał po skończeniu ogólniaka zatrudnił się w Kolporterze i rozwoził prasę.

Ewa funkcjonowała jak sprawna maszyna, a takowe nie żałują się na swój los. Całe dni sprzątała dom swój i rodziców, robiła zakupy, jeżdżąc rowerem po okolicznych sklepach, szukała tam, gdzie taniej, a potem pitrasiała. Dobrze jej to wychodziło, trzeba przyznać. Jej popisowym daniem był schab zasmażony w śmietanie kremówce, do której przedtem wsypała dwie torebki zupy

cebulowej. Poza tym klopsy w sosie grzybowym też u niej w domu lubili. Albo karkówkę po cygańsku, z grzybami i na ostro. Wszystkim smakowała.

Ewa czekała na spotkanie z komisją lekarską. Skończyło jej się orzeczenie o niepełnosprawności i prawo do renty.

– Z powodu sercowych incydentów wcale nie śpię, a białe fartuchy wmawiają mi, że jestem zdrowa. Boję się, że odrzucą moje podanie o rentę. Syn ma mnie utrzymywać? Nie może być, żeby dziecko utrzymywało rodzica, to nie jest naturalne. On musi żyć na swój rachunek, bez moich obciążeń. – Ewa zaczęła płakać.

– Nie płacz, zobaczysz, że się ułoży.

– Matka z trudem chodzi, ta przepuklina to żywa rana, czasem mam wrażenie, że jej wszystkie flaki tylko ten pasmanteryjny pas trzyma. Ale kiedy ojciec zamamrocze, zaraz podstawia mu pod twarz kanapki przystrojone jak na pokaz.

– Mnoży roszczenia, bo skaczecie... Moje zdanie znasz.

– Gdy jest trzeźwy, tak się gapi na mnie, jakbym mu coś złego zrobiła. Gapi się i gapi. Siedzi w fotelu bujanym, w spodniach obsikanych, pali peta za petem, i się gapi. Czasem wolę, jak chleje, bo wtedy się tak nie gapi.

– Chryste, ja waszej troski nijak nie potrafię

zrozumieć!

Gdy odprowadzałam Ewę do domu, pachniały akacje. Zerwałyśmy po kiści i zaczęłyśmy wcinać, jak kiedyś, w drodze ze szkoły albo wracając z majowego nabożeństwa.

Do domu wracałam obok ukwieconego domu Adeli Renz, usłyszałam śpiew. *A. gdyby nie te czarne oczy, coś je miał, czarne oczy, smutne oczęta, serce duszę bym dał...* Siedziały na ławce przed domem i śpiewały. Adela i Nina. Po prostu, były szczęśliwe, to śpiewały.

Zapukałam do bramy Adeli. Miałam to w planach, wychodząc z Ewą, wzięłam ze sobą butelkę likieru rumiankowego z Minorki. Nie chciałam jeszcze wracać do domu, siedzieć tam i rozpamiętywać.

Adela pozornie była nowoczesna, ale w życiu kierowała się zasadami. To u niej zobaczyłam, jak na chlebie czyni znak krzyża. No i nigdy z ust Adeli ani Niny nie usłyszałam niewłaściwego i nietaktownego słowa. Obie doskonale znały mój religijny sceptycyzm, ale nie dawały odczuć, że jestem gorsza, ani też nie próbowały narzucać mi swoich poglądów.

Jak zawsze, kobiety ucieszyły się na mój widok, weszłyśmy do domu, siadłyśmy na wiklinowych fotelach z wielkimi poduchami w kolorze moreli. W domu Adeli Renz nigdy nie było nieświeżo, jak często zdarza się w domach starych ludzi. Adela naląła likier do trzech

kieliszków. Wypiłyśmy.

– Dobry, słodki – powiedziały jednocześnie. Nina opróżniła kieliszek do dna i przetarła jego wnętrze palcem. Zlizwała z palca resztki likieru.

– Pani Adelo, a jak było we wsi po wojnie? Był nowy ustrój, wszystkim odpowiadał?

– Wszystkim nie, ale wtedy panowała bezwarunkowa radość z wolności. Nie była taka prosta i oczywista, ale była. 21 stycznia 1945 roku Pobiedziska odzyskały wolność, a i my wtedy dopiero wróciliśmy z Generalnej Guberni do miasteczka. Ludzie opowiadali, że jak weszli Rosjanie, to nie było innej możliwości. Zatrękli grupę strasznie wychudzonych niemieckich uciekinierów, którzy do siebie przecież mieli już niedaleko. Granica dzisiaj na Odrze i Nysie, ale przedtem była tu zaraz, za Pniewami. Tak powinno być? Wet za wet? Życie za życie? Dzisiaj wszystko się wyrównało, nie ma wyraźnej granicy między życiem a śmiercią. Zbrodnia tak nie obrzydza, mimo że nie jesteśmy przecież w stanie wojny.

– Niesamowite są takie historie.

– Igo, żyj swoim życiem, nie masz się czego bać. Ze wszystkim dasz sobie radę, ja w to wierzę. Nina jest tak zapatrzona w ciebie, że nawet ostatnio kapelusz kowbojski sobie zażyczyła. I ja jej kupię, niech się cieszy, kupię, już zamówiłam w sklepie w Pobiedziskach, powiedzieli, że sprowadzą oryginalny z Australii.

– Można kupić całkiem fajne na internetowych aukcjach, nie trzeba aż tak daleko szukać.

– Nieważne koszty, Nina jest pokrzywdzona i chciałoby się jej to wynagrodzić. Wracając do czasów wojennych: jak zechcesz, mogę ci opowiedzieć o dawnych czasach. Będzie jak z Florkiem, też wspominaliśmy.

Chciałam. Postanowiłam zaglądać do domu kobiet częściej. Wiedziałam, że dopiero przeciwstawiając makabrę wojny mojej traumie, znajdę właściwą perspektywę. I to mi pomoże.

\* \* \*

W niedzielę od rana obłożyłam się segregatorami. Jakże żałowałam, że nie pobrałam odpowiednich nauk, miałam ku temu naprawdę doskonałe warunki i przede wszystkim środki. Gdybym zamiast kupowania kiecek i innych głupot zainwestowała we własny mózg, miałabym znacznie lepszą pozycję. No cóż, byłam mądra po szkodzie.

Jagna zajęła się Stasiem, który wyglądał zdrowo i nie pamiętał, co działo się nocą. Uspokoiliam się, widząc go w dobrej kondycji. Skupiona na finansowej równi pochyłej, szybko zapomniałam, że dobę temu synek umierał mi na rękach.

Gdy w południe zadzwonił Ludwik, wpadłam w nastrój, jakbym była na haju.

– Wróciłem z Mazur i mam wszystko sprawdzone. By spaść na dno Hańczy, trzeba się bardzo postarać.

– Może i tak, ale jednak wolałabym nie spaść. Gdzie jesteś?

– W Poznaniu, w Hotelu Włoskim.

Natychmiast zapomniałam o krachu, traumach, o dziecku z bezdechem i o wszystkich innych zagrożeniach i powinnościach. Także o tym, że do tej pory mężczyźni, z którymi wchodziłam w związek, mnie zawiedli. Gnałam do Sommera, jakbym sposobila się do Rajdu Safari. Nie było mnie na ten romans stać, a jednak uczepiłam się myśli, że w całym moim nieszczęściu właśnie Ludwik może być małym szczęściem, jakiego niewątpliwie bardzo potrzebowałam.

Spotkaliśmy się w hotelowej restauracji. Czekał, elegancki, co odnotowałam z przyjemnością. Spodnie w kant, koszula bez żadnego zgniotu i z bardzo dobrej tkaniny, poza tym w moim ulubionym świetlistym niebieskim. Na fotelu przewieszona wisiała marynarka z lnu w kolorze płatków owsianych, pękata teczkę ze skóry postawił na krześle obok. Zauważyłam, że jest wypchana do granic możliwości. Zatrzymałam na niej dłużej wzrok.

– Zostaniesz z nami? – Zaśmiał się. – Ze mną,

i z teczką. Tak ją pożerasz wzrokiem...

– Żartowniś. Jestem, choć nie powinnam, mam przymus bycia w domu, w swojej miejscowości, a nie tutaj – plotłam. – Nie wiem, dlaczego tu jestem.

Oczy Ludwika... Tym razem porównałabym je do koloru czarnej oliwki, zwięzły się niebezpiecznie. Poczuję się dotknięty, a ja na pewno nie chciałam, by się już na wstępie na mnie pogniewał. Tyle kilometrów do niego gnałam, cieszyłam się i w ogóle.

– Zjesz coś jednak? – Wzruszył po chwili ramionami.

– Poproszę kawę. Tak mówię nie tylko dlatego, że dziecko, ale i firma...

– Masz firmę?

– Powiedzmy... – Jeśli chcesz być wolna, sprzedaj.

– To nie jest możliwe.

– Dlaczego?

Patrzył na mnie badawczo, jakby prowadził przesłuchanie.

– Choćby dlatego, że finanse są zbyt zagmatwane. Przepraszam, w ogóle skąd wiesz, jakie mam kłopoty?

– Sama mi powiedziałaś. Enigmatyczna jesteś, zawsze dla mnie taka będziesz?

Znów wlepił we mnie badawcze spojrzenie.

– Zakładałam, że nie będziemy snuć wspólnych

planów.

– Co nie przeszkadza, byśmy znaleźli się w łóżku. Plus zwiedzanie, jeśli musisz mieć powód wyjazdów. – Zaśmiał się, ale jego oczy pozostały poważne, czujne.

– Zabrzmiało tak precyzyjnie, że aż obcesowo. – Zdziwiłam się, że działa na mnie już faza uzgadniania szczegółów. – Masz tyle wolnego czasu?

Ludwik w wydaniu „garniturowym” był inny niż podczas kanikuły, gdy w krótkich gatkach siedział na skale i grał na harmonijce. Albo trząśł portkami w samolocie.

– Pracuję, zarabiam, to i czas mam... – Rozłożył ręce.

– Chyba się mijamy... Masz forszę, ja tymczasem jakby już nie...

– Oszczędzaj, żyj w ascezie. – Uśmiechnął się diabolicznie. Kelnerka postawiła przed nim wielki talerz z polędwiczkami drobiowymi na beszamelu. Przede mną kawę.

Inaczej wyobrażałam sobie nasze spotkanie. Miało być romantycznie. Potrzebowałam małego szczęścia, a nie niepewnego biznesu. Umoczyłam usta w kawie, ale dopadł mnie tak wielki smutek, takie rozczarowanie, aż się rozplakałam.

Ludwik przestał jeść, w zasadzie zastygł z polędwiczką w ustach, gapił się zdezorientowany. Zresztą, te łzy na pewno kłóciły się z moim wizerunkiem,



jaki mu konsekwentnie sprzedawałam. Ale poschodziło z nas coś przy okazji. Gdy poczułam rękę Ludwika na swojej, rzuciłam się w stronę jego twarzy i zaczęłam całować. Szyję, usta, górną wargę w kształcie żelowego serduszka, uszy... Nie bronił się, przeciwnie, chwycił mnie za szyję i przyciągnął do siebie. W czasach, kiedy żaden mężczyzna nie oferował mi gestu ręki, dobrego słowa ani tym bardziej intymności, przyjąłem tę bliskość z zachłannością. Bliskość bez zobowiązań, czego w sumie przecież oczekiwałam, jadąc na to spotkanie.

Znów nie było tak, jak oczekiwałam. Ludwik po chwili odsunął mnie od siebie i chrząknął. Rozdrażniło mnie to, nie opanowałam emocji i krzyknęłam:

– Nie chrumkaj! Nic nie rozumiesz. Też chciałabym siedzieć teraz z tobą na ostatnim stopniu Duomo w Sienie, a nie w miejscu, gdzie każdy może lekko dmuchnąć w moją stronę i już mnie nie ma! Mnie, mojego domu, miejsca, gdzie będę próbować zarabiać na chleb nie tylko dla siebie! O ile na to mi w ogóle pozwolą... – Zbierałam się do wyjścia.

– Usiądź, nerwusko! – Pociągnął mnie za rękę i posadził na kolanach. Rozejrzałam się po restauracji. Wolałam naszą bliskość chronić przed wścibskimi oczami, ale poza nami restauracja nie gościła nikogo więcej.

– Myślisz, że stanę się lepsza, jeśli teraz z tobą zostanę? Nie... – Chciałam powiedzieć, że historia się

powtarza. Znów dla faceta zostawiłam małe dziecko. Niestety, tam, w tej knajpie, Staś nie był już ważny. Zeszłam z kolan Ludwika i patrzyłam, jak kończy pałaszować danie, co czynił w sposób mający niewiele wspólnego z ascezą, jaką chwilę temu mi zalecił.

– Przytul mnie, po prostu tylko mnie przytul – poprosiłam.

Odłożył na talerz sztucce i znów przyciągnął mnie do siebie. Głaskałam go po rękach.

– Mam na górze pokój – powiedział.

Tak, pokój na górze. No cóż. Banał, nie banał. Wiedziałam, po co jadę.

W windzie Ludwik całował moje piersi, które, nie wiedzieć czemu, były już na wierzchu. Czułam, że powinnam się bronić (to złe słowo), stawiać opór (to lepsze), ale absolutnie nie znajdowałam motywacji. Brnęłam w to dalej.

W pokoju ręka Sommera znalazła się w moich majtkach. Gryzł mnie w szyję, łapał zębami moją skórę na plecach, rozpinał węzeł z włosów. Byłam tyłem, czułam jego twardego wojownika na swoim tyłku. W tym hotelowym pokoju nie byłam sobą, wyuzdana, prawie natychmiast poczułam olbrzymi skurcz i ciepły strumień śluzu płynący po nogach. Długo dochodziłam do siebie, mokra, rozgrzana. Zlazł ze mnie cały stres.

– Chciałbym, żebyś zawsze się do mnie spieszyła,

żebyś nie szukała wybiegów. Bronisz mi siebie już na wstępie – szeptał, gdy znaleźliśmy się w łóżku.

Rozbierał się powoli, pierwszy raz mężczyzna rozbierał się dla mnie. Jego klatkę, nogi, brzuch widziałam już na Minorce. Nabrzmiąłem boba zobaczyłam po raz pierwszy. Ludwik natychmiast wszedł we mnie i od razu sprawił, że nie będąc wybrzmiała po poprzednim razie, znów zaczęłam szczytować. Z rozkoszy zebrało mi się na płacz. Z Leszkiem nigdy mi nie było tak dobrze.

Zostałabym z Ludwikiem na noc, zwinięta na łóżku w kłębek, z głową pod pachą kochanka, bezpieczna, ale nie zapomniałam przecież, że jestem matką i właścicielką firmy z kłopotami, wstałam więc i zaczęłam zbierać z podłogi swoje rzeczy – dzinsy, majtki, botki, bluzkę.

– Muszę jechać... – Doprowadzałam się do porządku. Zapinałam bluzkę, wciągałam spodnie, zakładałam kowbojki. A Ludwik nagi leżał na łóżku i przyglądał mi się. Nasycona, spełniona i wreszcie zadowolona, chyba nie byłam wobec niego w porządku. Brałam. Po prostu wysłałam z niego siłę potrzebną mi, by przetrwać.

– Kipisz emocjami, to widać – rzekł po chwili milczenia.

– Ty też! Drobiazg i zaraz się wściekasz. – Odbiłam badmintonową lotkę.

– Niecelnie. Ja akurat jestem ostoją spokoju, zimnego, prawie bezdusznego postrzegania spraw.

Poczekajmy, jeśli chcesz, jeszcze jest czas, by nie dopuścić do większej zażyłości między nami.

Nie chciałam. Stało się. Przekonał mnie do siebie, zostaliśmy kochankami. Kumpel i kochanek, bratnia dusza, na tym mi teraz zależało. Chciałam mieć z kim pić i popalać, milczeć i gadać o świecie, kochać się i płakać. A potem się rozstać.

W drodze do domu nie potrafiłam się skupić na jeździe, wszystko we mnie grało. Na myśl o misterium seksualnym dostałam drgawek. Wybrałam drogi wiejskie, puste, ale pełne zakrętów i drzew, które zwieszały się nad drogą, tworząc zielone sklepienie. W Kicinie skręciłam w boczną drogę wiodącą do drewnianego kościoła na wzgórzu. Było tuż po nabożeństwie wieczornym, po procesji, na podjeździe leżały płatki kwiatów. Wewnątrz kościoła było cicho, na drewnianych rzeźbach osiadły półcienie, pod moimi kolanami trzeszczał klęcznik, a ja byłam przekonana na sto procent, że w tym miejscu mieszka Dobro.

Siadłam w pierwszej ławce, wpatrując się w błękitną Madonnę. Madonno, królowo, matko wszystkich matek, orędowniczko, daj mi siły do bezpardonowego działania, pozwól odzyskać majątek, nie tracić i od razu błagam cię o rozgrzeszenie.

Wyszłam z kościoła, wsiadłam do auta, włączyłam radio, skąd usłyszałam, że trąby powietrzne zniszczyły sto pięćdziesiąt budynków w województwie śląskim. Dotarło

do mnie – nie ja jedna mam kłopoty, nie tylko ja zaliczam krach. Ta wiadomość mnie w jakimś sensie pocieszyła, w gromadzie dużo łatwiej jest być w potrzasku.

Wróciłam do domu. Synka zastałam w dobrej kondycji, na kolanach Jagny.

## **Wiosna 1976**

Więc taki miał być mój nowy dom? Mieszkanie na Grobli było wygodne, miałam swój pokój, rodzice – sypialnię. Był też salon, a w kuchni wystarczająco dużo miejsca na stół i krzesła. Była oczywiście łazienka, osobno ubikacja, nikogo w nocy nie musiałam budzić, by poszedł ze mną do wychodka. Zapisali mnie do dobrej szkoły, gdzie poznałam koleżanki, miasto przyjęło mnie jak swoją. Jednak nie zapomniałam o wsi.

Nie jeździliśmy już do Złotniczek, czasem w niedzielę odwiedzała nas Basia i opowiadała, co się tam dzieje. Kto umarł. Kto nowy się sprowadził. I co on powiedział. Tęskniłam za dziadkiem, za Ewą, za Kosmatym, ale nie zawsze, bo mama mi *zakazała* tej tęsknoty. Powiedziała kiedyś, że powinnam zapomnieć o wsi, bo jesteśmy wyklęci i wydiedziczeni i już nigdy więcej nie postawimy stopy w domu dziadka. Chyba że na jego pogrzebie.

Po słowach o pogrzebie bardzo płakałam.

Od przeprowadzki do Poznania minęło kilka lat. Był 1976 rok, nastąpiła wiosna, zakwitły akacje, które nieodmiennie kojarzyły mi się ze Złotniczkami, z Ewą, z Kosmą, z moją białą szkołą. Myślami byłam już na wakacjach, nie mogłam się ich doczekać. Tego lata miałam pojechać na kolonie nad morze.

Pewnego razu odwiedziła nas Basia. Już od progu zakomunikowała, że się zgodził. Ojciec jeszcze tego samego dnia spakował moje rzeczy, informując mnie, że jednak nie pojedę nad morze. Powiedział, że pojedziemy na wieś.

– Na pogrzeb dziadzi? – zadałam to pytanie, przerażona.

– Raczej nie.– odpowiedział ojciec.

Ucieszyłam się, w pociągu liczyłam stacje, by nie przegapić Pobiedzisk. Poznań Garbary, Poznań Wschód, Ligowiec, Kobylnica, Biskupice, Promno, Pobiedziska. Całą drogę jednak nie potrafiłam wyzbyć się niepokoju, nie wiedziałam, co we wsi zastanę.

Dziadzio siedział pod kasztanem rosnącym obok szopy, ręce starego człowieka opierał na lasce, a obok niego leżał rozczochrany pies. Obaj, i dziadek, i pies, patrzyli na nas. Wyglądało jednak, że jeśli ktoś się na mojego ojca rzuci, to na pewno nie będzie to pies. Dziadek wydał mi się niższy niż kiedyś, chudszy. Zaniedbany, brudny, ubrany w jakieś nieznane mi ubrania,

wyglądał, jakby dopiero wrócił z pola. Nie chciałam go pocałować na powitanie, ale nawet jego naburmuszona mina do tego nie skłaniała. Ojciec prędko się wycofał, usprawiedliwiając pośpiech koniecznością powrotu do Poznania. Usiadłam na kamieniu pod kasztanem i zaczęłam głaskać psa. Wreszcie zdobyłam się na odwagę i spojrzałam na dziadka. Oczy miał ciepłe, życzliwe. Usłyszałam jego cichy głos:

– Dobrze, że wróciłaś!

Zarumieniłam się z radości, bo dowiedziałam się właśnie, że to nie ja byłam powodem niewidzenia, że nie przestał mnie kochać. Nie mnie wyklął.

– Masz pokrzywione i zmęczone ręce. Zrobić ci herbaty? – Położyłam ręce na jego dłoniach.

– A zrób.

Pobiegłam do kuchni. Postawiłam czajnik z wodą na kuchence elektrycznej. To był postęp. Kilka lat temu posiłki gotowało się na kuchni węglowej. Zauważyłam też, że jest doprowadzona woda, a spiżarnia stała się łazienką z wanną i ubikacją.

Wtedy, wraz z moim przyjazdem do Złotniczek, zmienił się nasz wzajemny do siebie stosunek. Dziadek był dla mnie ważny, ale ja chciałam już być w większym stopniu użyteczna, chciałam udowodnić, że umiem to, czego mnie wcześniej nauczył, że nie zapomniałam.

Jeszcze tego samego dnia sprzątnęłam kuchnię,

zdjęłam ze ścian szare od kurzu kilimy z płótna, pochodzące jeszcze spod igły babci. Wyprałam, nakrochmaliłam i od razu wyprasowałam, by były gładkie, jakby od magła. Potem pierwszy raz (choć wisały na ścianie od wielu lat) przeczytałam ze zrozumieniem napisy wyhaftowane czerwoną i zieloną nicią: *Gdzie dobra gospodyni warzy, tam się zawsze dobrze darzy* i drugi: *Gdy będziemy znów we dwoje*. Pierwszy powiesiłam nad szafką, a drugi schowałam do szuflady, nie odnajdując w tym tekście i obrazku (para dwojga małych dzieci trzymających się za ręce) przesłania dla siebie. Nad kuchnią wisały patelnie, niektóre cygańskie, też je wypucowałam, ale schowałam do szafy. Na ścianie pozostawiłam jedynie dwa zdjęcia oprawione w drewnianą ramkę, z których groźnie spoglądał ubrany w mundur Florian Leśniewski. Na jednym w letnim i z gołą, łysą głową. Na drugim, w zimowym oficerskim rynsztunku i rogatywce na głowie.

Wraz z przenosinami do Złotniczek zmienił się zapach mojego domu, ze sterylne czystego, miejskiego, na przykurzony dom wiejski samotnego starego mężczyzny, gdzie rzadko było czuć woń palonego w żeliwnej kuchni drewna. Ale ja znów, tam, poczułam się u siebie. Był to dom mężczyzny, a ja, mimo że być może znalazłam się tam na chwilę, postanowiłam zbudować go po swojemu.

Pobieliliśmy razem z dziadkiem ściany. Umyłam



okno, zaś Dyduchowa naprężyła bawełnianą firanę w róże, którą upięłam na karniszu. Później wyszorowałam biały kredens, z którego odłaziła olejna farba, wyczyściłam zielone uchwyty i szyby w kolorze butelkowej zieleni. Do półki z kubkami przypięłam bawełnianą koronkę, na ścianie zawisł ręczny młynek do kawy z porcelanowym pojemnikiem w kwiaty, a na stole zawsze leżał obrus z haftami. Przez otwarte okno do domu wpychały się rosnące przed domem malwy.

Gotowałam obiady, przygotowywałam kolacje, tylko śniadania każdy szykował sobie sam i zjadał o innej porze. W wolnym czasie znów mogłam kombinować różne ciekawe przygody z Ewą i Kosmą.

Było cudnie, wakacyjnie. Jak kiedyś.

## **Lato 2007**

Tym razem nic nie wskazywało na to, żeby moje życie kierowało się ku dobremu. Nic nie było wakacyjne. W poniedziałek rano odważyłam się wsiąść do bryczki i pojechać do Domu Złudzeń. Bałam się przyszłości.

Lato pełzło wiejskimi drogami. Po burzach i ulewach z ostatnich nocy w powietrzu czuć było wilgoć. Ranek pachniał suszonymi trawami. Zmierzałam do firmy, akacyjna aleja prowadziła doń prosto, wystarczyło sforsować skrzyżowanie z asfaltową drogą, minąć figurkę

przydrożną, potem miejsce, gdzie kiedyś stał dom dziadka, rodowe miejsce Leśniewskich, a obecnie będące w posiadaniu Buczków, z pobudowanym małym dworkiem. Oczyma wyobraźni widziałam siebie przed laty. Dom. Siadaliśmy na kamiennym progu i słuchaliśmy w radio *Malagueny*. Tyle lat upłynęło. Zateśkniłam za tamtym czasem.

Dom Złudzeń był miejscem gruntownie ulepszonym. Kiedy wróciłam do wsi, postanowiłam uratować ruinę, która jeszcze kilka lat temu straszyla swoją bezużytecznością. Chciałam tego dla kontynuacji, ale też dla zachowania wspomnień. Złudzenia? Może... Marzenia? Prawdopodobnie. Gdy jako dziecko oglądałam ten dom zza płotu, zawsze niósł tajemnicę, prawdziwą czy tylko wyobrażoną – nieważne. Od lat nikt już w nim nie mieszkał, a ja nie dociekałam, dlaczego. Budynek idealnie wpisywał się w nową modę na „klimatyczne” i niespotykane miejsca. Firma miała elegancką siedzibę w centrum wsi, a nie na uboczu. Jediną linią niezbieżną z przeszłością był płot, który otoczył budynek i jednocześnie zamknął kawał porosłej hyczką działki. W ten sposób zaanektowałam wyłącznie dla siebie hyczkowy zaułek, miejsce naszych wieczornych dziecięcych opowieści o duchach i w ogóle siłach nadprzyrodzonych.

Wyremontowana bryła budynku, bez ingerencji w kształt, kilka pokoi zaadaptowanych na pomieszczenia

biurowe i nieużywany strych, zmodernizowany, z kominkiem, belkami na suficie i ścianami z kamienia. Dom był piękny, z ceglastą ceramiczną dachówką, podpalanym klinkierem na części parterowej, kamieniem polnym przy schodach i żeliwem przy oknach. Jadąc, widziałam okna z ceglanymi łukami, poszatkwane szprosem, z okiennicami w kolorze rozbielonej zieleni. Kominy z rudej, podpalanej cegły klinkierowej, były wysokie, jakby miały służyć do celów przemysłowych. Plac przed posesją i miejsca parkingowe zostały wybrukowane kostką ciętą na mniejsze kawałki, specjalnie imitującą zabytkową.

Firma. Trzy terenowe samochody do dyspozycji, kilkoro pracowników, dwóch dyrektorów dojeżdżających do pracy z Poznania – to najważniejsze parametry naszego stanu posiadania, żal, że na krótko.

– Gdy przekroczyłam próg Domu Złudzeń, zdałam sobie sprawę, że nic w nim nie przypomina mi mojego dzieciństwa. Przy biurkach siedzieli pracownicy. Nie wszystkich znałam. W zasadzie tylko Waldeczka, którego spotkałam przed firmą, jak odkurzał siedzenia dość leciwego firmowego mercedesa. Pozostałe auta Leszek zabrał do Kutna.

– Od dzisiaj będę szefem i wszystkie decyzje należą do mnie. Firma nie ma się najlepiej i od nas wszystkich zależy, czy przetrwa, czy pójdzie w niepamięć – obwieściłam w pierwszym pokoju.

– Czy to znaczy, że jest pani notarialnie zatwierdzona na prezesa?

– Tak, oczywiście – odpowiedziałam brzuchaczowi w koszuli w niebieskie paski. Pokiwał potwierdzająco głową, a jego wyraz twarzy kazał mi myśleć, że może się za chwilę rozplakać. Był gruby, pocił się i sapał, ale polubiłam go. Po prostu wyglądał pocziwie.

Drugi, w szortach i bawełnianej koszulce, boso dreptał po biurze. Wyglądał jak skrzyżowanie podstarzałej gwiazdy disco polo z Cejrowskim hasającym po Atakamie. Gdy zorientował się, że nie wpadłam na chwilę, a wręcz przeciwnie – zamierzam zostać w firmie dłużej, siadł przy biurku i założył kapcie. O święci pańscy! Ten rodzaj obuwia był nie do przyjęcia. Nawet siedząc w budzie w Krajniku Dolnym, nigdy nie miałam na stopach takich papuci. Po domu chodziłam w skórzanych japonkach kupionych na Sycylii albo ostatnio nabytych *abarcas* z Balearów. Z niesmakiem przyglądałam się brudnym i zrogowaciałym stopom „bosego”. Nic w końcu dziwnego, posadzka nie była czysta ani gładka. Na korytarzach wprawdzie był marmur, którego mydlany połysk napawał mnie dumą, ale w pokojach biurowych podłoga była drewniana.

– Na początek: oczywiście, nie jesteśmy korporacją, ale bardzo proszę panów o reprezentowanie firmy w garniturach i w obuwiu. Nie chodzi o jakieś szczególne, ot spodnie, koszula i marynarka oraz wyczyszczone buty.

Chyba że byłby upał. Wówczas koszula wystarczy, bez marynarki, ale koniecznie z krawatem. I też nie chodzi, by był z jedwabiu. Nie. Po prostu schludność jest w cenie.

Dyrektorzy spojrzeli na siebie, zrobili głupie miny, ja przeszłam dalej. W biurze panowała cisza. Pokoje stały puste, jedynie na samym końcu korytarza, w jakby opuszczonej części biurowej, zastałam dwie księgowy. Młodsza miała długie popielate włosy i buzię grzecznej licealistki, zaś druga była stara i prawie ślepa, ale przypomniało mi się, że Leszek kiedyś powiedział, że będzie ją zatrudniał tak długo, jak ona zechce, bo kobieta bardzo kocha swoją pracę.

Obie siedziały przy biurkach z ciśnieniomierzami nadgarstkowymi na rękach.

– Słyszała pani? Pod Grenoble autokar z naszymi pielgrzymami spadł z mostu, i tyle trupów, tyle trupów... – powiedziała strapiona starsza.

– Nie wiedziałam, to straszna tragedia! Jutro będą u nas gościć przedstawiciele banku. Zechcą obejrzeć firmę i zapewne porozmawiać na tematy finansowe – zwróciłam się do młodej. – Poproszę, by pani powiedziała, że jest szefową działu księgowości.

– Ależ ja właśnie jestem główną księgową!

– No tak. Poproszę też na jutro, albo najlepiej na dzisiaj po południu, wiekowanie rozrachunków. Jak pani na imię?

– Grażyna – powiedziała w taki sposób, że usłyszałam chwaszczenie.

Zdjęła ciśnieniomierz, spojrzała na odczyt, potem na starszą i wzruszyła ramionami, mówiąc: „Podwyższone”. Potem wreszcie wstała, podała mi szczupłą wilgotną dłoń i wydeła wargi niegrzecznej licealistki, po czym oznajmiła bezbarwnym głosem:

– Muszę sprawdzić pozycje w rejestrze. Mam to rzucić i rozrachunki robić? – Mimo zaczepki w głosie, powiedziała to mechanicznie, bez przekonania. Nie polubiłam Grażyny, niestety.

– Da pani radę zrobić i jedno, i drugie. Wróciłam do pokoju dyrektorów.

– Który z panów zajmuje się produkcją?

– Ja. – Wstając, gruby strącił teczkę z papierami. Wgramolił się pod wielkie biurko i zbierał papierzyska. Zniknął pod meblem, skąd wystawał tylko jego wielki tyłek.

– Pan Krzysztof, jak sędzę? – Nie czekałam, aż wstanie. – Jakie mamy stany magazynowe? Ile jest ziarna? A najlepiej proszę podać mi wszystkie towary i materiały.

– Pójdę sprawdzić. – Wygramolił się i wyszedł.

Patrzyłam na drzwi, za którymi zniknął. Ani przeprosił, ani zaprosił, nie wyjaśnił. Atmosfera w firmie była co najmniej familiarna, wiedziałam na sto procent, że

cała ta pracownicza banda chętnie przekształciłaby się w egzekutorów i rozszarpała to, co jeszcze z majątku pozostawało.

Nikt z bliskich i znajomych nie dopuszczał do siebie myśli, by ziemia trafiła w inne ręce. Iga ma, Iga kupiła, Iga załatwiła, Iga posiała. Tak mówiono, jakbym była sama, jakby przy moim boku nie było Leszka. A był. To on tę ziemię kupił jako pierwszą, by uczynić mnie szczęśliwą. Dla mnie to czynił, abym mogła konsumować, a raczej zjeść. Każdy grosz przepuć. ( Zamknęłam się w byłym gabinecie Leszka.

Był urządzone ascetycznie, z prostotą, jaką przypisywałam mojemu mężowi. To ja zrobiłam szkic i to ja narzuciłam swoją wolę, ale potem uległo to drobnej modyfikacji. W sumie Leszek, jak to on, pokazał tylko, w którym miejscu chce mieć biurko, nic więcej nie powiedział, natychmiast wynajął ekipę i plan zrealizował. Czy wymyślając ów gabinet, miałam na uwadze, by jemu było w nim dobrze? Nie. Sama teraz poczułam się w tym miejscu nie najlepiej i przestawiłabym (a najchętniej wyrzuciłabym) meble w kolorze kremu waniliowego, za którym to kolorem przecież nigdy nie przepadałam.

W pokoju czuć było zaduch, miejsce dawno nie było wietrzone, przeszło zapachem kurzu i lnu z zasłon i oparcie krzeseł. Otworzyłam okno i drzwi, pozbierałam dokumenty leżące na biurku. Chciałam wrzucić je do dużej biurowej szafy, gdy tam zajrzałam, na podłogę

wypadła sterta papierów. O ironio, były to faktury kosztowe wystawione na firmę i zapewne do zapłaty. Niektóre wydrukowane na drukarce igłowej, wyblakłe, miałam problem z ich odczytaniem.

– Możesz uprzejmie zdradzić, ile jeszcze tajemnic i zagadek skrywa szafa w twoim gabinecie? Wyjdź spod spódnicy Róży, wreszcie pomyśl o przyszłości Stasia, resztę załatwi Kurczewski. Bądź z nim w kontakcie! – Nagrałam komendę Leszkowi na automatyczną sekretarkę.

Podeszłam do okna. Sąsiad zza płotu Domu Złudzeń wioził wielkie szczapy drewna, zaprzęgnięty do wózka. Poczułam wspólnotę. Usiadł na plastikowym krzeselku, ale za chwilę wstał, zaczął się krzątać. Nic wielkiego nie czynił, a ja wciąż stałam w oknie i obserwowałam, jak ustawia niewielki grill, jak z papierowej torby wysypuje brykiety, wkłada podpałkę, zapala, na ruszcie umieszcza jedną kiełbasę, siada na plastikowym krześle, otwiera puszkę z piwem i czeka. Zaintrygował mnie ten obraz, film z bohaterem na wózek z polanami drewna, jeden grill i jedną kiełbasę. Też czułam się bohaterką własnej powieści sensacyjnej z bilansem i rachunkiem zysków, a raczej strat w tle.

Jakaż ze mnie i z Leszka była para durni!

Przebywając kilka godzin w biurze, inwentaryzując pomieszczenia w budynku, podjęłam decyzję, że opuszczę rezydencję nad jeziorem, zamieszkam na strychu Domu



Złudzeń i przypomnę sobie na powrót, kim jestem. Decyzję o wynajmie, a docelowo sprzedaży Akacyjowego Domu, podjęłam zaskakująco szybko. Gdyby nie pleśń po babci, kredens i piec kaflowy, nic by tam nie określało mojej tożsamości. Przez ostatnie lata byłam przede wszystkim mieszczką, nigdy nie poczułam się w tym nowobogackim wiejskim domu dobrze. Sprzedać, spieniężyć, co się da, spłacić, co konieczne, wypłacić swoje nazwisko, siebie, Olę, Stasia z wszelkich zobowiązań. I stworzyć firmę wypłacalną. O ile taki plan się w ogóle powiedzie.

Kiedyś oglądałam rodzinne zdjęcia sprzed lat. Najpierw dziecięce, jeszcze miałam pełną rodzinę. Byłam uśmiechnięta i bardzo szczęśliwa. Potem już mojej twarzy nie znaczyła beztroska, przeszłam kurs życia.

Gdy wieczorem wróciłam do domu po pierwszym dniu przesowania, miałam w głowie zatwierdzony plan gry. Pocałowałam śpiącego Stasia, odprawiłam Jagnę, uszykowałam sobie garsonkę na dzień następny, przebrałam się w pidżamę i już miałam zamiar starać się o sen, ale zachciało mi się grać na harfie. Wysunęłam ją zza szafy. Koślawe to było brzdękanie, ale mimo to w chropawych dźwiękach, znalazłam jakąś część siebie. I wiarę w talent. To było przyjemne odkrycie.

## **Lato 1976**

Czasem mówiono mi, że jestem utalentowana. Najbardziej ponoć do pracy na roli. Ale ja też wiedziałam, że nie chcę grzebać się w ziemi na stałe. Ciągłe coś wymyślaliśmy. Latem, podczas wakacji, organizowaliśmy zabawy w gminnym domu naprzeciwko domu dziadka. Mieszkała tam między innymi rodzina, która pochowała syna Jacka. Ów dom zamieszkiwały też dwie piękne kobiety. One akurat były samotne. Dziadek, siedząc pod kasztanem, patrzył, jak wieszają pranie i trzepią chodniki. Kiedyś powiedział, że te kobiety są jak róże, ale gołe, bez kolców. Gdy go zapytałam, co posiadają, bo nie mogłam pojąć, w jaki sposób się utrzymują, on tylko machnął ręką i mruknął, że mam nie zaprzętać sobie głowy biedakami bez ziemi, którzy żyją według formuły „z łapy do papy”, bo przez to sama utknę w niedostatku. Dowiedziałam się wtedy, że jedynym stanem posiadania ludzi z tego domu są niespełnione marzenia, dlatego w konsekwencji karmią się złudzeniami.

– Marzenia i złudzenia są dla naiwnych – dodał i zaczął się śmiać.

Rozczarował mnie. Był mądry i nie powinien z ludzi szydzić.

– Marzenia, a nawet i złudzenia mieć, to dużo – mruknęłam.

Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego mi przyszła do głowy

taka myśl. Dziadek podczas rozmowy przerzucał kartki „Poradnika Rolnika” i palił giewonta, ale zerknął na mnie spod oka i nic już więcej nie powiedział. Sądziłam, że mnie wyśmiej, on taki był. Gdy ktoś głupotę palnął, to śmiał się i śmiał. I ciągle powtarzał: „Głupków trzeba wyśmiać, innej rady nie ma”. Tymczasem on wtedy się nie zaśmiał, ani też mnie nie pochwalił czy skarcił. Milczał.

Niedostatek. Niech ludzie z gminnego domu z niego w końcu wyjdą. Niech kupią ziemię, domy ze złotymi otomanami z pluszu, niech nie kiszą się w ciasnocie! Od tamtego czasu często podglądałam, co trzeba robić bądź czego nie robić, by utknąć w biedzie na zawsze. Nic szczególnego nie wpadało mi w oczy. Z czasem zrozumiałam, że ludzie biedni są tacy sami jak ja i moja rodzina. Nikt z mieszkających w tym domu nie pił alkoholu, wszyscy pracowali, nie mieli żadnych słabości. Jedna z kobiet nawet była nauczycielką w mieście. Kolejna, starsza, owszem, ona akurat często miewała ataki duszności, po wsi się rozniosło, że to astma.

Czyli choroba.

Stałam za płotem i patrzyłam, że kobieta kaszle i kaszle. Siedziała na ławce przed domem i kaszlała aż do nocy. Kiedyś Ewa zaproponowała, abyśmy podeszły bliżej i posłuchały, jak jej świszczy w płucach. Ewa przysięgała, że słyszała te świsty, a czasem nawet furkoty. Nie chciałam, byłam na sto procent przekonana, że jeśli

rzeczywiście tak jest, kobieta na pewno niedługo umrze, a ja bałam się myśleć o kolejnej śmierci.

Nie umarła. Któregoś dnia przyjechał do niej młody mężczyzna, miał czarne włosy, był opalony i ubrany na biało. Najpierw mówiono, że to lekarz, ale okazał się jej siostrzeńcem, marynarzem z wielkiego statku. Stałam przy płocie, oczekując, co dalej nastąpi, bo czułam, że coś musi się wydarzyć. I miałam rację.

Kobieta przed wieczorem zapukała do naszych drzwi, przynosząc w koszyku wielki okrągły owoc. Powiedziała, że to melon z Hiszpanii. Dziadzia nic tym razem nie burczał, życzliwie ją przyjął, kazał usiąść za stołem, ja nalałam do dzbana maślanki, wypiliśmy wszyscy po kubku, a mój oschły zwykle dziadek podziękował kobiecie i nawet z nią porozmawiał.

Przyznał się, że zna te owoce, że kiedyś i on jadł melony.

Wraz z pojawieniem się siostrzeńca, kobieta stała się szczęśliwsza, to było widać. Uśmiechała się i nie kaszłała. Gdy tak siedziała za naszym stołem, ja czekałam, aż znów zacznie się dusić z kaszlu, ale nic takiego nie nastąpiło. W płucach jej trochę świszcząło, owszem, ale trzeba się było naprawdę wsłuchać. Na końcu, wychodząc już, wyznała, że przyszła się pożegnać, bo wyjeżdża na zawsze z Polski. Zakazała nam rozgłaszać to we wsi. Powiedziała, że w tym kraju nie ma czego szukać, nawet klimat jest niedobry. Szepnęła, że ten polityczny, znaczy

się ustrój, też nie jest dla niej.

Dziadek nadal jej nie wyśmiał, wręcz przeciwnie, powiedział cicho, aż go nie poznawałam, że też żałuje, iż nie został w Niemczech. Że niepotrzebnie podczas wojny moja babcia szukała dla niego wstawiennictwa. Życzył tej kobiecie powodzenia. Słyszałam. Od tamtego czasu mówił o niej, używając imienia.

Polubiłam Halinę.

Po wyjściu kobiety z naszego domu zjadłam kawałek melona. Był słodki, soczysty. Tak jakby w nim skryło się letnie prażące słońce. Wyobraziłam sobie, że ten nieznany mi świat musi mieć smak tego owocu.

Wiele mnie kosztowało, aby nie przekazać Ewie jakże ciekawej nowiny o Halinie mającej zamiar uciec z Polski.

Za kilka dni Halina wyjechała z tym młodym mężczyzną, specjalnie zamówili w Pobiedziskach taksówkę, co w naszej wsi nie było zwyczajne. Na dworzec chodziło się pieszo albo jeździło na rowerach. Miałam przeczucie, wręcz pewność, że wraz z opuszczeniem Złotniczek życie tej kobiety zmieni się na lepsze.

**Lato 2007**

Mijały dni, ja konsekwentnie realizowałam plan. Wizyty w firmie stały się moim codziennym obowiązkiem. Przeprowadziłam swój dom na strych, z posiadłości nad jeziorem kazałam przewieźć tylko najbardziej potrzebne rzeczy. Łóżko, stół, dwa fotele, kanapę, biurko, meble z pokoju Stasia, kredens i starą biblioteczkę, także dwa telewizory. Na biurku postawiłam terakotowego wojownika. Na strychu Domu Złudzeń było niewiele miejsca, coś ponad sześćdziesiąt metrów. Dla mnie przestrzeń stała się mniej ważna. Strych lubiłam z uwagi na klimat, jaki tworzyło drewno, kamień i kominek. Nikt nigdy tam nie mieszkał, zatem duchy zmarłych mieszkańców nie miały prawa zaburzyć dobrej energii. Kiedyś suszono tam pranie, choć i tak częściej trzepotało na wietrze przed domem.

Kraj nadal nękały niszczycielskie trąby powietrzne i wichury, a ja oraz dwie księgowe ciągle nie potrafiłyśmy znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego we francuskich Alpach w wypadku autobusowym śmierć poniosło dwudziestu sześciu Polaków.

Nie rozumiałam, dlaczego nie porządkuję swojego życia. Jakiś czas wcześniej uświadomiłam sobie potrzebę, wręcz nakaz rozvodu z Leszkiem. Chciałam nadać mojemu życiu przewidywalność, wprowadzić porządek, by było sterylne. Odciać tamten czas i przede wszystkim uciec od zobowiązań, w jakie wpakował się mąż.

W sprawie rozvodu rozmawiałam z mecenasem

Kurczewskim. Na razie sprawnie przeprowadził podział firm, a w zasadzie utworzenie nowej, cesje majątku i niektórych umów. W innych sprawach (zwłaszcza dotyczących starej firmy) Kurczewski nie był skuteczny, ale coś mi kazało trzymać się tego specjalisty od ratowania „wdowiego grosza”.

Z grubsza nakreśliłam mu, że rozwód miałby być bez orzekania o winie i bez wyciągania wszystkiego na wierzch. Zachnął się, wolałby z ustaleniem winnego, ale podjął się, dodając, że nie na pewno, a w jego ocenie sprawa zakończy się na jednej rozprawie. To byłoby mi na rękę. Sprawy majątkowe miały się tak, a nie inaczej, a tym posunięciem zrobilibyśmy krok w dobrą stronę. Leszek też nalegał, aby zakończyć nasze małżeństwo szybko, jednak nie zaproponował niczego więcej ani też nie wniósł sprawy do sądu. A czego się spodziewałam? Że nie wyrazi zgody? Że będzie próbował wkleić nas na małżeńską fotografię? Owszem. Głęboko w duszy miałam takie właśnie pragnienie. Moglibyśmy przecież nadal jakoś żyć. Moglibyśmy razem ratować strzępy naszego posiadania. Ciągle miałam nadzieję.

Od nocy, kiedy Staś zaniósł się płaczem i zsiniał, częściej mówiłam dziecku o miłości. Że jest dla mnie ważny. Noce były spokojne, zasypiał w moim łóżku, to już stało się normą. Gdzieś około północy i ja padałam, łapiąc go za rączkę. To też już było normą. Nie zawsze mogłam zasnąć, już nie Staś, lecz ja kręciłam się w łóżku.

Bywało, że w środku nocy wstawałam, przebierałam się w dres albo owijałam chustą i przeglądałam papierzyska. Jednak rzadko potrafiłam się skoncentrować, ciągle wracały do mnie wspomnienia. Często przychodziły mi na myśl sceny z życia w dobrobycie, bez kłopotów. Strzępy rozmów z mężem. Ale i pretensje Basi po moim rozstaniu z Leszkiem. Najczęściej jednak wracało do mnie wspomnienie seksu z Ludwikiem. Chodziły mi po głowie erotyczne sceny, jakbym oglądała film. Bywało, że równowagę łąpałam dopiero po odsłuchaniu nagrania, jakie stworzył dla mnie psychoterapeuta. Dopiero wtedy udawało mi się zapanować nad uporczywymi myślami, nadać im właściwy kierunek i tym samym uzyskać spokój. *Wszystko zalety od ciebie, tylko ty możesz sobie pomóc, tylko ty znasz siebie najlepiej. "Zacznij budować życie od teraz.* Słów terapeuty słuchałam codziennie, zazwyczaj rano. Zakładałam słuchawki na uszy, opierałam się na poduchach, zamykałam oczy, pozwalałam, by zdania płynęły do mojej podświadomości. Tylko ja mogę sobie pomóc. Jakież to było proste. Od jakiegoś czasu czułam efekty tej terapii. Stałam się konsekwentna, miałam więcej energii i w ogóle chęci działania, pracowałam z masochistyczną wręcz intensywnością.

\* \* \*

Miałam policzone, ile muszę zapłacić, a także ile



powinno wpłynąć na moje konto. Dane bilansowe. Już się nie bałam zaglądać w twarz bestii. Rachunki, cyfry zbijane w rubryki, conocne finansowe pacierze. Rzygałam tym. A to był dopiero początek. Niech diabli porwą, jeśli nie dam rady! Uparłam się, taka już byłam, nie przeszkodziło mi nawet kolejne gwałtowne pogodowe załamanie, gdzie w pakiecie znów była ulewa i burza z piorunami. Choć oczy mnie piekły i nie widziałam cyfr, nad ranem spakowałam do teczki gotowe zestawienia dla Kurczewskiego i dokumenty, jakich potrzebował. Byłam niewyspana, a przyszłość nie zapowiadała się optymistycznie, jednak nie użalałam się nad sobą. Wystarczyło, że spojrzałam na kowbojski kapelusz umieszczony na wieszaku. „Dasz sobie radę, tylko ty możesz sobie pomóc” – myślałam.

Na śniadanie wypiłam mocną czarną kawę i zjadłam chleb z miodem, a Staś oblizywał się, wpatrzony w miskę pełną marmolady z brzoskwiń. Zdecydowałam się na prześwietlenie serduszka Stasia. Wolałam mieć pewność, że sinienie było incydentalne. Chore serce u dziecka? Brzmiało jak wyrok.

Długo czekaliśmy w szpitalu na naszą kolej, Staś bez jedzenia i picia był marudny, kręcił się. Mogłam mu tylko zwilżyć usta wacikiem nasączonym wodą mineralną. W końcu dziecku zaserwowano do wypicia kontrast. Osłupiałam, gdy zobaczyłam, jak mój „niejadek” pije białą gęstą ciecz bez smaku, jak buzia mu się uśmiecha

i jak mówi: „Dobre było!”. Wpięli go w skórzany pancerz i powiesili na haku. Byłam przerażona, tymczasem Staś śmiał się, jakby miał gilgotki.

– Byłeś szyneczką w sklepie, bąku – zaśmiewaliśmy się oboje po badaniu. Do domu wracaliśmy w dobrym nastroju. Prześwietlenie nie wykazało zmian, podobnie jak USG. Z radości, że Staś nie jest ciężko chory, gdy tylko usnął, siadłam w fotelu i zaczęłam pisać SMS-a do Ludwika.

Jestem bardzo samotna.

Nie narzucam się Tobie? Iga

Mogę zadzwonić? Ludwik

Możesz. Iga

Ładnie potrafił mówić, jeśli chciał. O wspólnocie dusz, o wzajemnym przyciąganiu, o intymności. Słuchałam, co mówi, to znów była inna wersja Sommera. Kiedy usłyszałam w słuchawce plusk wody i wyobraziłam go sobie nagiego w wannie, namydlonego albo ociekającego wodą, podnieciłam się. Zaczęłam coś mówić bez ładu i składu urywanymi zdaniami. Ludwik podobnie. Klepaliśmy głupoty, które to, rzecz jasna, rozumieliśmy tylko my dwoje. Wystarczyło, aby wsiadł do swojego auta, a ja do swojego. Mimo nieprzespanej nocy byłam gotowa jechać do niego nawet i pięćset kilometrów.

Zapytałam, gdzie jest. Odpowiedział, że w domu, w Kaliszu.

– Na pewno z żoną...

– Ano, tak się składa. Wybieramy się do teatru.

– W takim razie dlaczego ze mną teraz rozmawiasz?

– Bo chciałem usłyszeć to, co właśnie usłyszałem.

Poszukałam w komputerze zdjęć z wyjazdu na Minorę. Wszystko było fajne. Lubiłam jego szramę na brodzie. Mówił, że gdy był mały, spadł z krzesła na beton. Też miałam kilka wypadków, być może nawet w tym samym czasie. Kiedyś włożyłam głowę w otwór w oparciu krzesła i nie mogłam jej wyciągnąć. Trzeba było ciąć krzesło. Albo wepchnęłam sobie do nosa korek z buteleczki po olejku do ciasta i chodziłam z nim całą dobę, bojąc się przyznać.

Rozmowa z Ludwikiem była niezobowiązująca, a jednak z podtekstem. Nie posunęliśmy do przodu. Od pierwszego spotkania przyciągaliśmy się i jednocześnie budowaliśmy między sobą gruby mur. Nigdy nie wyszłam z nim poza zdawkowe tak zwane kilka słów. Ale działał na mnie niesamowicie. Lubiłam jego mięśnie, zapach, fakturę skóry. . Poza tym co chwilę wybuchał radosnym i zaraźliwym śmiechem. W zasadzie mógłby nawet mieć brzuch i klatę owłosioną jak małpa, jako przeciwwagę do łysej głowy, nic by to dla mnie nie znaczyło. Gdyby tylko zechciał mi dać oparcie, siłę czy jak to zwał, nawet

chwilowo. Ale dużo częściej niż teraz. Gdyby... Niestety, facetem na skinienie palcem nie był. Szkoda. Bardzo potrzebowałam męskiego ramienia. Bywało, że ze strachu skryłabym się wraz z firmą (tak dotkliwie kontuzjowaną) w gabinetowej szafie, razem ze stertą ukrytych tam przez Leszka dokumentów kosztowych.

Czy i moje życie zmieni się na lepsze?

## **Lato 1976**

Na schodach prowadzących na piętro Domu Złudzeń (to była moja i dziadka nowa nazwa gminnych czworaków) dawałyśmy koncerty, od lat organizowałyśmy nasze Opole, nasz Sopot. Ewa wykonywała swoje ulubione piosenki, ja swoje. Czasem śpiewałyśmy na dwa głosy, bywało, że każda coś innego. „Consuela” Czerwonych Gitar nam wychodziła. Albo „Korowód” Marka Grechuty. *Kto pierwszy w noc bezsenną wymyślił wielką armię? Kto został bohaterem? Kto żył i umarł marnie? Kto pierwszy został panem? Kto pierwszy został sługą? Kto musiał wstawać wcześniej, a kto mógł spać za długo?*

Gdy skończył się festiwal piosenki w Opolu, my organizowałyśmy nasz, wiejski. Oczywiście do śpiewania było chętnych wiele dzieci, to nic, że brzmiały jak setka kóz ciągniętych za cycki. To nic. Każdy dzieciak musiał

zapłacić wpisowe (skąd znałyśmy takie pojęcie?), więc w naszym drewnianym pudle zwanym kasą gromadziły się pewne kwoty. Nie było wyjątków. Każdy kandydat na gwiazdę piosenki supłał drobne, aczkolwiek chętnie by tego nie czynił. Była tak duża frekwencja, że musieliśmy znaleźć inne niż do tej pory miejsce, ze splendorem.

Pognaliśmy rowerami przez pola do Krześlic. Ówczesny zarządca pałacu wyraził zgodę na imprezę, jak się okazało, liczną. Nie dość, że obecna była dzieciarnia, to także ich rodzice, wszyscy oni zakupili od nas bilety. Wiadomo, ludzi przyciągnęło miejsce, pałac wprawdzie był zrujnowany, ale mimo to na pewno bardziej atrakcyjny niż gminny dom dla ludzi bez ziemi.

Nikt nie wygrał wtedy naszego festiwalu piosenki, tylko jeden dzieciak został wyróżniony. Pieniądze z wpisowego podzieliłyśmy między siebie na dwie równe części i trzymałyśmy na czarną godzinę w pudełkach po landrynkach. To był pierwszy raz, kiedy do naszej kasy nie dopuściłyśmy Kośmy. Było mu wszystko jedno, zresztą już wcześniej zadzierał nosa, powiedział nawet, że i tak mu nigdy w bogactwie nie dorównamy. Miał rację, mój ojciec zarabiał marnie, tyle że spadło, jak pokpiwał dziadek, „ze stołu do kloaczego dołu”. Tymczasem gospodarstwo Bednarzy wzrastało w siłę i przynosiło niezłe dochody, zresztą mieli dwa źródła pomnażania bogactwa – sklep i czterdzieści hektarów dobrej ziemi. To bardzo denerwowało mojego dziadka, który z nimi

rywalizował. Rok przed naszym powrotem do Złotniczek odkupił od wdowy po Kaczmarku dziesięć hektarów, co razem dawało mu około trzydziestu. Sporo, ale mniej niż zgromadzili Bednarze.

Najgorzej wiodło się rodzinie Ewy. Bywało, że nie mieli co jeść. Dyduch chlał, pieniądze przepuszczał przez gardło, a to, co zostało, chował przed rodziną. Otwierał drewnianą pokrywę do zejścia do piwnicy, wlaził tam i czasem już nie wracał, spał schlany przy piecu. Łajza. Bali się, że kiedyś spali ich wszystkich i siebie też przy okazji. Ale spalił tylko skrywane w węglu pieniądze, a może nawet nieraz, bo zniknęły, gdy nachlany dołożył do pieca. Stary Dyduch, mimo pijaństwa, zawsze dobrze zarabiał, był traktorzystą w Pomarzanowicach, a tacy w porze żniw mieli wzięcie. Nikogo nie obchodziło, czy jedzie traktorem nagrany, pole było szerokie, ruch traktorów żaden, a roboty wiele. Żniwa zresztą wymagały „chlapnięcia” od czasu do czasu, a nawet codziennie. Przez pozostałą część roku dorabiał jako kierowca, aż dziw bierze, że nigdy nie spowodował wypadku.

Starsza o osiem lat siostra Ewy, Kasia, uciekła z patologicznego domu i odkąd skończyła podstawówkę, pracowała, najpierw jako uczeń, potem już na cały etat, mieszkając w internacie, a potem na stacji. Rzadko zaglądała do Złotniczek. W końcu przeprowadziła się na Górny Śląsk, zyskując usprawiedliwienie „nieprzyjazdów” do Wielkopolski.

## Lato 2007

W niedzielę odsypiałam cały tydzień. To były czasy, kiedy naprawdę bardzo mało sypiałam. To czułam w oczach, pod powiekami, pod skórą.

O rany! Ale wrażenie! Poczułam ukłucie w policzek. Podskoczyłam na łóżku, zaczęłam się trząść, a potem płakać. Taki drobiazg, a miał siłę rażenia strzały z harpuna. Siadłam na łóżku, zorientowałam się, że jest dzień, a nade mną stoi bosy Staś ubrany tylko w lekką pidżamę i trzyma w ręce ołówek, którym jeszcze chwilę temu dźgał mnie w policzek.

– Nie mamy pieniędzy, bo za długo śpisz! – krzyknęło moje dziecko, gdy usiadłam na łóżku.

– Dlaczego tak mówisz? – Patrzyłam na wykrzywioną złością buzię dzieciaka.

– Babcia Basia powiedziała, że jak ktoś długo śpi, to pieniędzy nigdy nie dogoni.

– Nie o mnie mówiła! – Wyrwałam z jego ręki ołówek. Staś mierzył mnie wzrokiem. Coś w moich oczach go przekonało, bo zmienił ton.

– Pójdziemy do koników? Obiecałaś!

– Jutro. Na razie mam, no wiesz, misję...

– Co to znowu jest ta misja?

– Takie posłannictwo, ważne, konieczność zrobienia czegoś. I pamiętaj, misji nie można zaprzepaścić, jak się jama.

– Będziemy potem znów mieć pieniądze?

– Tak, ale nie od razu, jakiś czas upłynie, zanim się wykaraskamy z kłopotów.

Zabrzęczała komórka, weszła wiadomość.

Co słyhać? Bo milczysz znacząco...

Ludwik rzadko pisał do mnie SMS-y. Bywały dni, że zapominałam o jego istnieniu, i wtedy było mi dobrze. Potrzebowałam go naprawdę tylko wtedy, kiedy napięcie nie dawało mi żyć, a jednocześnie nie ścigały mnie żadne terminy, spotkania. Wtedy za nim tęskniłam, z tej tęsknoty czasem nawet zapłakałam w poduszkę. Jednak absolutnie w tamtym czasie nie chodziło mi o celebrowanie seksu ani naszego związku, chodziło mi o akt, bliskość i świadomość, że jest to wzajemnie. Odpisałam: **Dla dobrego samopoczucia, zwykłego odprężenia, kłopotom zadośćuczynienia, dobrego trawienia, podczas prasowania, podśpiewywania, pogodniejszego na świat i ludzi spojrzenia... potrzeba mi kawałka faceta! Dziwne?**

„Pojechałam” z tym tekstem! Absolutnie tak nie myślałam. To było kłamstwo. Miałam tego dnia naprawdę precyzyjnie ustawione priorytety, pośród których próżno byłoby szukać erotycznych uniesień. Jednak jakiś czas



wcześniej to ja dałam Ludwikowi całkiem odmienny sygnał. Zrobiło mi się głupio, nie chciałam wyjść na uczuciową manipulantkę.

Po namyśle dopisałam kolejne zdanie: Nie dzisiaj, nie tego wieczora, nie tego tygodnia. Kiedyś.

Więcej już nie ślaliśmy sobie wieści, znów długo w nocy psułam sobie oczy, ślęcząc w tej obrzydłej mi makulaturze. W końcu padłam w ciuchach na łóżko obok Stasia. Nic mi się nie śniło.

Rano, pijąc kawę, patrzyłam w okno na akacjową aleję. Drzewa tworzyły wielkie baldachimy z liści. Znów zbierało się na burzę, której się bałam.

Martwiłam się o Olę. Wcześniej mi się to rzadko zdarzało, ale, widać, w ten sposób zaczęłam reagować na straty. Doceniałam, co mam, kogo mam, bałam się kolejnych nieszczęść. Niestety, przy okazji stawałam się pesymistką, swoją przyszłość widziałam w ciemnych barwach. Porzekadło, że po siedmiu latach tłustych przychodzą chude, było w moim przypadku pewnikiem. W ogóle w tamtym czasie często zaglądałam w głąb siebie. Bałam się przyszłości, ale i przeszłość zaczynała mnie doganiać. Bo gdybyśmy oszczędzali, na pewno nie dotknęłaby nas finansowa kraksa. Katowałam siebie.

Zawsze miałam mnóstwo lęków. Psychiatra uznał, że to lęki pierwotne, ale ja byłam pewna, że zostały mi przekazane z mlekiem ciągle chorej matki, która

obarczyła mnie swoim wojennym strachem. Gdy byłam mała i wsiadałam na rower, widziałam w jej oczach panikę. Wychodziłam do szkoły – było podobnie. „Tylko wróć szczęśliwie” – wołała. Potem, gdy już jej nie było, stało się ze mną coś odwrotnego. Przestałam się bać, uważając, że nic gorszego od sieroczej samotności nie może mi się przytrafić. Długo to trwało, bywało, że zachowywałam się jak *desperado*. Dopiero teraz zmieniłam się, dojrzałam i ogarniał mnie strach.

Staś śmiał się, siedząc przed ekranem telewizyjnym. Oglądał „Cudowne lata”. *What would you think if I sang out of tune* – brzmiały słowa piosenki w wykonaniu Joe Coopera. Świetny serial, Staś zaśmiewał się albo oglądał w milczeniu. Mały Kevin Arnold wraz z Paulem Pfeifferem i Winnie Copper po swojemu badali świat.

„Co ja bym pomyślała, gdyby ktoś zaśpiewał, fałszując?” – przetłumaczyłam słowa piosenki z czołówki serialu. Bądź co może ktoś sobie pomyśleć, gdy to ja fałszywie zaśpiewam? Parę miesięcy temu byłam rozkapryszoną bogaczką, a teraz zupełnie na odwrót. Czy fałszuję?

## **Lato 1976**

Co cztery lata w czasie wakacji organizowaliśmy olimpiady sportowe. Ewa, Kosma i ja. Nasze dziecięce, na

niby, ale równoległe z prawdziwymi. Latem 1976 roku, tuż po zakończeniu tej w Montrealu, nasza też się odbyła. Deska i piasek – i był skok w dal. Pozostałość po trzepaku, deska, a po drugiej stronie siennik – i było wzwyż. Wzwyż ja zawsze wygrywałam. Ewa biegi. Kosma Bednarz w skokach i biegach z nami przegrywał, ale w pchnięciu kulą był bezkonkurencyjny. Wszystko obmyślaliśmy, siedząc w hyczkowym zaułku obok gminnego domu ludzkich złudzeń.

W moim wiejskim domu nie było złudzeń. Dziadek wieczorami siedział z uchem przy radiu i słuchał Wolnej Europy, skąd dowiedział się, że znów są w Polsce protesty. W legalnej telewizji nie było o tym mowy. Kiedyś, pomstując, na czym świat stoi, pokazał mi transmisję ze spotkania Gierka z robotnikami. Ten Gierek był bardzo przystojnym i miłym panem, polubiłam go. Ale dziadek zakazał mi tej sympatii.

– Całe mięso od polskich rolników do ruskich za darmo śle, a Polskę na Zachodzie zadłuża. Nie mamy szczęścia jako naród – ubolewał.

– Ludzie jednak go lubią – zaoponowałam, mając na myśli uczestników akademii. I nadal siebie.

– To nie są zwykli ludzie, to klakierzy!

Potem gdybał, że lud może w końcu ruszyć na władzę, że szykuje się powstanie narodowe, które przerodzić się może nawet i w wojnę. Polacy to nie

konformistyczni Czesi, są od nich dużo bardziej odważni. Rzeczywiście, krótko potem nastąpiły demonstracje robotników w Ursusie, Radomiu i Płocku. Te krajowe wydarzenia przytłumiły inne, dużo dla mnie ciekawsze wieści ze świata. Na przykład, że po raz pierwszy amerykańscy kosmonauci sfotografowali marsjańską twarz. Czy inna wieść, dużo bardziej tragiczna. W Chinach nastąpiło olbrzymie trzęsienie ziemi, podczas którego zginęły tysiące ludzi. Wtedy doszłam do wniosku, że ubolewamy po jednym zmarłym, a nad tysiącami już nie.

Nastrój w Polsce był pesymistyczny, mówiono o znakach na ziemi. Wojna. Znów się jej bałam. Znów w domu zastanawiano się, czy w ogóle kupić mi książki do szkoły, bo w tak wzburzonym świecie nic już nie jest pewne. Chciałam, by na świecie mieszkali szczęśliwi i zdrowi ludzie.

Wtedy rozszerzyłam swoją wieczorną modlitwę, dodałam kolejne prośby: *Dziękuję Ci, Panie Boże, za szczęśliwy dzień, a proszę o szczęśliwą noc dla mnie, dla wszystkich moich krewnych, dalszych i bliskich, przyjaciół, dobrych ludzi, dla wszystkich dzieci. Żeby nie było wojny i żebym kiedyś stała się bogata. Poproszę Cię też o szczęście dla Ewy i dla jej mamy, żeby też się w niedalekiej przyszłości wzbogaciły. I proszę, by wreszcie umarł stary Dyduch.*

## Lato 2007

Kurczewski znów okazał się skuteczny, szybko przeprowadził rozdział naszych majątków. Zostałam dzierżawcą rodzinnej ziemi, która za długi Leszka na powrót trafiła do agencji, inaczej się nie udało, ale moim celem był jej zakup w przyszłości. Kurczewski dowiedział się, oczywiście w nieformalny sposób, że agencja ma w planach ją w niedługim czasie zbyć. W moim imieniu renegotjował warunki dzierżawy Domu Złudzeń i muszę przyznać, że nowa miesięczna kwota pozytywnie mnie zaskoczyła.

W takim stanie rzeczy przygotowania do żniw na owych trzydziestu hektarach też przebiegały bez zakłóceń. W firmie sprawy same się zaczęły czyścić, spadło zatrudnienie, na szczęście bez mojej ingerencji, czego podjąć się bałam. „Bosa i podstarzała gwiazda disco polo skrzyżowana z Cejrowskim” znalazła pracę w Poznaniu i złożyła wypowiedzenie, co było mi na rękę. „Stara i zasłużona księgowa” też poprosiła o rozwiązanie umowy, argumentując to wyjazdem do siostry, a od nowego roku szkolnego opieką nad najmłodszymi wnuczkami.

Zaczynałam mieć nadzieję na spokojniejsze dni, od razu moje myśli powędrowały do Ludwika. Postanowiłam mu o sobie przypomnieć, ale on mnie ubiegł, odpowiadając na moją wcześniejszą głupią wiadomość.

Ale się zagalopowałaś! Czy jest już „kiedyś”?

I dalej, że będzie przejazdem w Poznaniu i czy w związku z tym możemy się spotkać następnego dnia rano. Te jego nieustające przejazdy przez Poznań! Czy ja mieszkam na bawełnianym albo jedwabnym szlaku wędrówki kupców? Nic to. Ucieszyłam się, wystarczył impuls. Znowu nieważne stały się sprawy firmy, dzieci, umówione spotkania z Ewą, Adelą Renz, obiecane opowieści o wojnie, wysiedleniu, o braku zasiewów, nędzy, wtedy i oby nie teraz...

Następnego dnia już od szóstej byłam na nogach. Będąc w drodze do Poznania, dostałam telefoniczną wiadomość od Ludwika, że się spóźni, bo korki, bo remont dróg, bo generalne dojazdowe horrory. Miałam kwadrans. Na Półwiejskiej kupiłam maleńkie czekoladowe serce, które ekspedientka opakowała w białe pudełko i przewiązała czerwoną wstążką. Czekałam na Sommera w kawiarni w Browarze, cukierkowe pudełeczko postawiłam na stoliku.

Pojawił się spóźniony, w ręce trzymał drobne fioletowe kwiaty. Wstałam, nie dopiwszy kawy. Jakże byłam szczęśliwa, że jest, że jesteśmy. Wziął mnie za rękę, jak kiedyś Emil. Gdy zjeżdżaliśmy na dół schodami, całował mi rękę, w której trzymałam kwiaty, palec po palcu, a ja cieszyłam się jak mały głupol, dziecko bez trosk, jeszcze sprzed tych wszystkich odejść, sprzed sieroctwa. Przecież moje kłopoty tylko się zamieniły.

Kiedyś chorująca matka, potem śmierć, ojciec, brak ojca, generalny kres, teraz zawał firmy. To banalne określenie, ale tak to widziałam. To dzięki Ludwikowi byłam szczęśliwa, młoda i oczekująca. Wystrojona, elegancka i wypachniona, byłam łakomym kąskiem. Mniem, mniem. Podobałam się, wiem to. Chciałam, by tak było.

– Chodźmy! – Podrapał mnie po szyi, po jednym ze znienawidzonych przeze mnie pieprzyków. Szara, jedwabna bluzka z głębokim pęknięciem w dekolcie i kokarda pod szyją nie zamaskowała zmian na skórze. Nikt ich nie zauważał, tylko ja. Wcześniej bardzo mało mnie obchodziły, ale dla Ludwika chciałam być doskonała, piękna.

Szliśmy Półwiejską. Ona i on. Przechodnie zwracali na nas uwagę, co mnie peszyło, byłam pewna, że doskonale wiedzą, dokąd i po co idziemy. Było ciepło, wakacyjnie, przyjemnie.

W hotelu Ludwik od razu włożył mi rękę tam, gdzie nikt tak prędko by się nie ośmielił. Gwałtownie i śmiało. Krzyknęłam i mocno się do niego przytuliłam.

– Powiedz, że tęskniłaś.

– Tęskniłam... czekałam... – Mów jeszcze...

– Chciałam, żebyś to robił, byśmy byli... ze sobą...

Resztę moich myśli zagłuszyła eksplozja uczuć, radość z „my”. Cwałowanie walkirii. Całowaliśmy się, kochaliśmy, a ja na przemian śmiałam się i ryczałam jak

nastolatka. Nieważne było, że to spotkanie z kolekcji „tu i teraz”. Sama tak chciałam. Po wszystkim leżałam naga, zmęczona, zwinięta jak kot, wtulona, z głową na piersi Ludwika. Było spokojnie, czułam się tak bezpiecznie... Już kiedyś porzuciłam podejrzliwe myśli w związku z Sommerem, nie wypytywałam go o nic. Trudno. Będzie chciał, to sam powie. Zawsze było pół na pół. Najbardziej zraniłoby mnie, gdyby nie miał czystej, dobrej duszy. Chciałam, by okazał się dobrym człowiekiem. Niemniej, nadal chciałam, by nasz związek był luźny, bez egzaltacji, bo inaczej... Znów może boleć? To ja narzuciłam ten standard.

– Pójdziemy na spacer? – zapytałam pod wpływem nagłego impulsu.

– Nad Malte?

– Nie, bliżej, mam buty na obcasie.

– Może ktoś w pobliżu świadczy usługi leksykalne? – zaśmiał się Ludwik.

Jednak wyszliśmy, Ludwik rzeczywiście wyciągnął mnie nad Malte. W knajpce przy torze narciarskim wzięliśmy sałatki, ja z tuńczyka, a on z łososia w brokułach. Wyglupiał się. W ogóle nie używał sztucców. Chwytał rybę i warzywa w ręce, lizał, cmokał, upaprał sobie brodę, oblizywał palce, mlaskał, znów było podniecająco.

– Tak właśnie się powinno jeść. – Oblizywał palce,



wyciągał jęzor, mlaskał.

Aż do popołudnia siedzieliśmy na trawie na brzegu Malty, obserwując wioślarzy, kajakarzy, kanadyjkarzy i gadając o miejscach, jakie zwiedziliśmy. Ludwik w kontekście swojego nurkowego hobby, a ja tak ogólnie. Wtedy, siedząc te kilka godzin na trawie, zrozumiałam, że jednak potrzebuję kogoś dusza przy duszy, serce przy sercu.

Kiedy wracałam autem do domu, w okolicy Promna zastanowiło mnie samotne drzewo o bordowych liściach i różowych kwiatach. Takie samotne czerwone drzewo.

## **Lato 1976 – wiosna 1977**

Wojna po wypadkach radomskich nie wybuchła, Dyduch nie umarł ani się nie wzbogacił, podręczniki kupili mi tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego. Dowiedziałam się, że jesienią 1976 roku nie będę wracać do szkoły w Poznaniu. Ponownie zapisali mnie do podstawówki we Wronczynie.

Moja mamusia zapadła na zdrowiu, znów cała nasza rodzina zamieszkała w Złotniczkach. Ojciec nie mógł dać sobie rady w opiece, sam w Poznaniu na Grobli, pracując i utrzymując dom, ale też ważne było (tak doradził lekarz), by mama oddychała świeżym wiejskim powietrzem. Dziadek marudził, jak to on, ale ja

wiedziałam doskonale, że jest zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Ponieważ latem nauczyłam się gotować, tak zostało – codziennie wydawałam ciepłą zupę dla wszystkich. Sporo było na mojej głowie, dźwigałam ciężar, jakiego nie powinnam była nieść, będąc tak małą dziewczynką, ale rozpierała mnie duma, że potrafię. To był czas, kiedy nieustannie wybaczałam mamie. Że nie jest sprawna jak matki moich koleżanek, że udaje chorobę. A potem zaraz musiałam wybaczyć sobie, bo jestem niedobra, bo nie wierzę własnej matce. „Bądź grzeczna. Nie chcesz chyba, żeby mamunia jeszcze bardziej się rozchorowała?” – mówiła. Odkładała gazetę i patrzyła na mnie smutno, gdy zaczynały mi się trzymać figle. Była z wyglądu podobna do swojego ojca, ale jakże inny miała charakter. Cicha, ugodowa, nie narzucała swojej woli. Regularnie czytała „Kobietę i Życie” oraz „Działkowca”, obok jej łóżka leżały zawsze całe roczniki, z niektórych powycinała przepisy albo porady i powklejała do grubego stukartkowego zeszytu. Gazety były ułożone w równe stosy, nic się po pokoju nie plątało. Łóżko, mimo choroby, było zawsze ładnie pościelone. Najbardziej lubiłam białą pościel w mereżkowe szlaczki albo tę ze szydełkowymi wstawkami.

W jej pokoju pachniało dobrą, ale słabą kobietą. Czasem lubiłam ten zapach.

Długi czas byłam przekonana, że choroba mojej

mamy jest przeze mnie. Gryzło mnie sumienie. Chodziłam po domu na palcach albo siedziałam obok jej łóżka w ciszy. Mogłam tak wiele godzin. Nawet uczyłam się, siedząc w małżeńskim łóżku moich rodziców i pilnując, by szelest kartek z mojej książki nie zakłócił mamie spokoju. Spełniałam każdą jej prośbę.

Moja biała szkoła we wronczyńskim zamku po Jackowskich dawała mi wytchnienie tylko na chwilę. Nieraz przysnęłam na ławce albo wracając, na łące przy wrzosowiskach. Bywało, choć się tego wstydzę, że specjalnie opóźniałam powrót do domu, by nie mieszać tych zup, nie strugać ziemniaków, nie robić zacierki. Zapach polewki wywoływał u mnie torsje, ślepe ryby – odruch wymiotny, nawet rosół, który kiedyś tak lubiałam, mi obrzydł. Gdy nie wróciłam do domu w porze obiadowej, wymyślałam kłamstwo.

Kiedyś zasnęłam w lesie i obudziłam się, gdy już było ciemno. To wtedy zobaczyłam pierwszy raz robaczki świętojańskie. Nie miałam odwagi się poruszyć, byłam pewna, że widzę złośliwe ludziki z latarkami, które będą mnie uderzać w głowę małutkimi siekierami. Wtedy umrę. Potem usłyszałam głos dziadka grzmiący w ciemnym lesie: „Iga, Iga!”. Ucieszyłam się, że jestem bezpieczna i pędem pobiegłam w jego stronę.

Dzień później znów lałam na talerz zupę dla mamy i dla dziadka, potem stawiałam na stole nakrycie dla ojca, który zawsze o tej samej porze wracał do domu, coraz

bardziej zgaszony. Nie czuł się dobrze w Złotniczkach, nie jak w swoim domu. Pociąg z Poznania do Pobiedzisk przychodził o 16.15, a droga do Złotniczek na rowerze zabierała mu dziesięć minut. Stałam przy oknie od pokoju albo wychodziłam przed furtkę. Gdy wyłaniał się zza zakrętu, taki szczupły i smutny, głęboko oddychałam, cieszyłam się, że jest, a gdy wchodził do domu, przytulałam buzię do rękawa jego koszuli. Dziadek, widząc smutnego zięcia wracającego z pracy, mrucał swoje:

– No, jest wreszcie ten gołodupiec!

Potem jednak, widząc, jak ojciec przemyka do domu, machał ręką i dalej brzęczał:

– Z niego pożytku żadnego nigdy nie będzie! Za grosz nie ma drygu do roboty.

Za to ja (może by zadośćuczynić) zaczynałam ów dryg mieć. Snopki dziadkowi podawałam zgrabnie, nie chciał nikogo innego do współpracy. Praca mnie lubiła, ale nie lubiła moich rąk, które były szorstkie i z odciskami, jak u starych ludzi, pracujących całe życie fizycznie. Nogi też miałam sine, pokłute od ścierniska.

Dopiero wieczorem, gdy ojciec kładł się spać obok mamy, ja, wykapana i przebrana do snu, czułam się zwolniona z obowiązków. Dziadek kiwał na mnie wykrzywionym od ciężkiej pracy palcem i zapraszał do „naszej” kuchni:

– Chodź wreszcie, zostaw ich tam!

Zamykałam drzwi do pokoju rodziców i siadaliśmy do stołu, zaczynając żyć jak normalni ludzie. Czajnik z wodą stał na rozgrzanej kuchence, w kubkach czekała świeża mięta, czasem dodałam pokrzywę z ogrodu i liście malin. Kroiliśmy chleb na grube pajdy, smarowaliśmy masłem. Lubiłam dodać poszatkowany czosnek, położyć go na chleb. To wystarczało.

Jedliśmy, rozmawialiśmy, słuchaliśmy radia, nawet się śmialiśmy. Na pobielonej ścianie poruszały się nasze cienie. Lubiłam cienie. Miały duszę, żyły razem z nami, nie umierały niespodzianie. Potrafiłam zrobić z palców zajaczka. Śmialiśmy się. Stary mężczyzna i ja. Nie mogłam się doczekać, kiedy rodzice zasną, by wreszcie zacząć żyć. Kolejny raz słuchałam opowieści dziadka, bywało, że znałam je już na pamięć, ale mimo to mnie nadal ciekawiły. Opowieści o pierwszej wojnie światowej, kiedy, jako nastolatek wcielony do wojsk niemieckich, zwędrował cały świat, od Gorlic przez Palestynę aż do Togo. O czasach przed drugą wojną światową, o współżyciu mieszkańców różnych narodowości, mieszkających w tej okolicy. Ilu było Żydów, ilu Niemców. O wcieleniu do wojska i ucieczce do Rumunii. O obozach. Rosyjskim, a potem niemieckim. O czasach po wojnie, o rozczarowaniu. Słuchałam tych opowieści, aż nieraz z emocji nie mogłam zasnąć.

W tamtym czasie mało spałam, słyszałam, jak mama

płacze i wierci się w łóżku, jak mówi coś szeptem do ojca. wreszcie, jak krzyczy! Rozdzierała mi tym krzykiem serce. Dziadek przychodził do mojego pokoju, siadał na łóżku i trzymał mnie za rękę.

Był wściekły. „Znowu się drze!” – mówił.

## **Lato 2007**

W firmie im bliżej było zniw, tym bardziej brakowało pieniędzy na wynagrodzenia i generalnie powiększał się dług. To mnie frustrowało, a jednocześnie zmuszało do działania. Już dawno miałam to zrobić, ale nie będąc pewną, czy Kurczewski wynegocjuje najem Domu Złudzeń, wstrzymywałam się i nie przekazałam oferty o wynajmie bądź sprzedaży Akacyjnego Domu do biura nieruchomości.

By mieć pieniądze na bieżące wydatki, czyli by przetrwać, zaczęłam się wyzbywać drobnego majątku. Na aukcji internetowej wystawiłam książki, ubrania i obrazy. Wiele z ubrań, które wisiały w moich szafach, było w ogóle nienoszonych. Zwożone z całego świata w ramach pozbywania się pieniędzy, które otrzymywałam na cukiereczki, jak mawiał Leszek, cieszyły się zainteresowaniem. Listonosz przynosił mi całkiem przyzwoite kwoty, których nie mogłam lokować na koncie, nie znając zakusów komorników i całej hałasty,

która starała się osaczyć Leszka i mnie, żonę dłużnika. Tym bardziej że moja firma przejęła część do niedawna zadłużonych dzierżaw. Nic nie znaczyła nasza rozdzielnosc majątkowa ani fakt, że to nie moja firma zrobiła długi.

Nie bałam się biedy. Że ja będę biedna. Że ja nie będę miała jedzenia, telefonu, paliwa do samochodu, prądu, gazu, ciepła. Nie mogłam ryzykować, moje dzieci musiały jeść i żyć.

Dzięki uzyskanym ze sprzedaży rzeczy pieniądzom udało się nam przeżyć kilkanaście dni, a nawet zostało na podróż i pobyt w Warszawie u Oli.

\* \* \*

Tęskniłam. Dawno nie byłam w stolicy, chciałabym częściej widywać się z córką, ale nie w smak mi było natykać się na Emila, widzieć jego szczęście, a z drugiej strony, kwaśne miny i fochy, jakie stroił zawsze, gdy się pojawiałam. Tym razem postanowiłam podróżować razem ze Stasiem, który, zżyty ze mną bardziej niż dawniej, patrzył tęsknie, gdy się szykowałam. By oszczędzić dziecku trudów eskapady, zaplanowałam nocleg w Kutnie, u Leszka. Róża bardzo nas zapraszała. Lubiłam ją. Róża Bielska miała bogatą matrymonialną historię. Czasem się tak układa, kolejny związek z jakichś

powodów się kończy, potem następny. Pierwszy, „kościelny” mąż Róży był w równym stopniu alkohikiem, co i chamek. Róża była winna, Róża była powodem, Róża była pretekstem, w końcu stawała się skazańcem. Gdy pewnej nocy pijany zechciał wepchnąć ją pod wannę, była pewna, że tak wygląda koniec. Nawet nie walczyła. Poddała się woli pijaka, zdając się... Na łut szczęścia? Opatrzność? Stało się inaczej, bo jest sprawiedliwość, w co zawsze wierzyła. Kara za grzechy przychodzi nieraz po czasie! Ale jednak.

Gdy kolejny raz spróbował tego samego, Róża znów nie walczyła, znów liczyła na sprawiedliwość. Słusznie, bo wtedy w tej łazience zdechło to męskie bydlę, a nie ona, jak pierwotnie się zanosilo. Zawał. Pochowała go z ulgą i wielką pompą, ale później nie obnosiła się ze swoim wdowieństwem, nie pogrążyła w żałobie, od razu po pogrzebie zdjęła czarne „szmaty” i zaczęła wpadać w krótkotrwałe romanse. Aż spotkała Zdzicha, byłego „szkieła”, jak mówiła. Był wielki jak dąb. Dlaczego wcześniej się nie pojawił? Zrobiłby porządek z jej „starym”. Mało co dzieje się na czas.

Zdzichu zaopiekował się Różą. Był nerwowy, to prawda, ale dbał o nią jak nikt przedtem. Staneła na nogi. Także finansowo. Emocjonalnie najbardziej. Jako kobieta? Wypiękniała, wiem, pokazywała mi swoje zdjęcie nago w wannie, jakie Zdzichu „trzasnął” jej zaraz po ich pierwszym razie. „Gdy kobieta naprawdę chce,



idzie" – skusił ją tymi słowami. A Róża tyle już życia straciła... Po kilku latach względnego dobrobytu na zawał zmarł również Zdzichu.

Smutne.

Przed wyjazdem zajrzałam do firmy, jak zwykle, zdenerwowałam się, widząc rozpasanie, jakie tam panowało. Gdy braknie pieniędzy, nie ma również autorytetu. Doskonale słyszałam te szept, półsłówka, pogaduszki. I różne dziwne tłumaczenia kontrahentom, dlaczego nie płacimy. „Nie wiem, kiedy. Nie wiem, dlaczego. Szefowa wie, ale jej nie ma i nie wiem, kiedy będzie". I kropka. Gdybym była wierzycielem firmy, której pracownicy posyłają w eter takie wieści, siedziałabym już dawno na progu „oszustów i naciągaczy" razem z komornikami. Nie cieszyłam się szacunkiem ani we wsi, ani w firmie. Za wszystko obwiniali wyłącznie mnie. Leszek, mimo że od dawna nieobecny, nadal cieszył się estymą. No cóż, nie tylko o sobie myślał. Hojny był.

Im dalej odjeżdżałam od Złotniczek, tym bardziej zapominałam o kłopotach. Zawsze tak było. Wyjazdy na spotkania z Ludwikiem też miały ucieczkowe podłoże. Jazda samochodem zawsze działała na mnie dobrze, relaksująca. Niemniej mijane pola uprawne, będące w dobrych gospodarskich rękach, przywoływały pamięć o mojej beznadziei. Czy gdybyśmy nie popadli w tarapaty, Leszek też by zniknął z mojego życia, korzystając z pierwszej lepszej okazji? Odjechałby z małą podręczną

walizką? Niewykluczone. Cóż ze mnie była za kobieta? Taka sama jak te z mojego dzieciństwa. Wiecznie chora i niepracująca.

Wieczór zmierzał do przystani. Krył się przed nocą. Staś, szczęśliwy, że jedziemy razem, zasnął na tylnym siedzeniu. Zbliżaliśmy się do Kutna. Znałam adres, ale nigdy wcześniej u Róży nie byłam, trochę pobłądziłam, po zmierzchu wszystkie blokowiska są dokładnie takie same. Źle oznakowane. Gdy w końcu stanęliśmy w drzwiach mieszkania Róży, Staś, mimo że dopiero przebudzony i jeszcze nieobecny, uwiesił się Leszkowi na szyi i całował go tak, jakby miał go nigdy więcej nie zobaczyć. Zdałam sobie sprawę, jaką wyrządzamy dzieciakowi krzywdę. Zakłuło mnie serce. Nie przemyślawszy, palnęłam, że synek mógłby kilka dni zostać w Kutnie, że mogłabym go odebrać, wracając z Warszawy. Leszek nic nie powiedział, uniósł brew i spojrzał na Różę. Staś biegał po domu, włączał telewizor, radio, zaglądał do pokoi, otwierał szuflady, lodówkę, nawet wyjście na balkon. Dopiero kiedy wszystko obejrzał, usiadł na fotelu, wydymając wargę.

– Zostanę pod warunkiem, że razem z mamą – powiedział.

Zaśmiałabym się, gdybym była u siebie. Poza tym było mi smutno. Co innego wiedzieć, że mój mąż, a jednocześnie tata Stasia, mieszka z inną kobietą, śpi z nią, uprawia seks, a co innego widzieć to na własne oczy

i udawać, że mnie to nie obeszło. Niestety, obeszło.

– Musicie wrócić do Złotniczek, tutaj nie ma tylu pokoi – rzekł Leszek.

Najlepiej dziecku z mózgu zrobić sieczkę! Do diabła, to przecież nie o pokoje chodzi. Zabolały mnie te słowa.

– Ja mam myśl! Niech ciocia Róża pojedzie do Złotniczek, a mama i ja zostaniemy z tobą, tatusiu. Mogłoby tak być?! Zgódź się.

Róża wyszła do kuchni, skąd najpierw doleciał odgłos skwierczenia tłuszczu na patelni, a potem zapach smażonego mięsa. Leszek stał i patrzył w okno. Nigdy dużo nie gadał, ale w tej konkretnej sytuacji mógłby coś bąknąć. I tak byśmy stali, nic nie mówiąc, pewnie jeszcze długo, ale Róża wniosła do pokoju dzbanek z herbatą i ciasto z morelami, na które Staś od razu się rzucił i tym samym zapomniał, że jeszcze przed chwilą scalał rodzinę.

– Może porozmawiamy? – Korzystając z faktu, że Róża znów wyszła do kuchni, podeszłam do Leszka i dotknęłam jego ręki.

– Nie mamy o czym – powiedział i też wyszedł do kuchni, skąd za chwilę wrócił razem z Różą.

– Posmakujcie świeżynki. Kupiliśmy od rolnika pół świni i teraz mamy co jeść, bieda nam niestraszna. – Uśmiechnęła się.

Rozmowa by się nie kleiła, gdyby nie Róża, która, opowiadając w dowcipny sposób plotki z rynku rolnego,

zachowywała się najbardziej naturalnie z nas wszystkich. Staś śmiał się głośno. Sama też dałam się uwieść opowieści o koledze, właścicielu kilku młynów, który chciał zastrzelić księgowego, gdy ten wyliczył mu olbrzymi podatek dochodowy za okres, kiedy niczego jeszcze nie sprzedał. Staś śmiał się najgłośniej (jakby rozumiał) i biegał po mieszkaniu, naśladowując raptusa. Machał łapkami i krzyczał:

– Jaki podatek, nieuku?! Jaki podatek, durniu?!  
Palancie, oddaj mi mój podatek, bo cię zastrzelę!

– Ma fantazję – śmiała się Róża, a ja z nią.

Leszek patrzył na mnie, jakby chciał zedrzeć ze mnie skórę. Jeżeli cokolwiek (poza Stasiem) nas w tym momencie łączyło, było to niewątpliwie uczucie wzajemnej niechęci do siebie. Mimo że to Leszek mnie ciągle odrzucał, nie ja jego, ale tylko ja miałam wyrzuty sumienia. Znow szybko się przeniósł do drugiego pokoju, tłumacząc się tym, że kolejnego dnia czekają go pilne sprawy. Róża zaczęła rozstawiać dla niego kanapę. Nie było nastroju, by porozmawiać o sprawach majątkowych, małżeńskich ani żadnych innych. W ogóle porozmawiać.

Nie miałam żalu do Róży, jedynie do Leszka. Razem wyjechali odpocząć do Władysławowa, usłyszałam wcześniej. Razem muszą pojechać do firmy, też padło. Razem planują powołać kolejną firmę. Razem. Nie osobno. Oni razem. A to ja nadal byłam jego żoną!

Łóżko mieliśmy przygotowane w maleńkim pokoju z drzwiami z wielką szybą. Staś prędko zasnął, wkładając swoją małą rączkę w moją. Ja nie mogłam spać. Nie dlatego, że w obcym miejscu, nie dlatego, że było mi niewygodnie, nawet nie dlatego, że w sąsiednim pokoju nadal był włączony telewizor i paliło się światło, które kładło się na naszym łóżku. Nie mogłam spać, bo dotarło do mnie, że między nami wszystko to, co dotyczy małżeństwa, bliskości, uczucia, jest zamknięte tak mocno, tak nieodwołalnie, że nie ma już nawet gry pozorów.

Dopiero tam, w tym cholernym Kutnie, uświadomiłam sobie, co się stało. Że rano Staś na pewno dowie się, wręcz zobaczy na własne, śliczne dziecięce oczy, że jego ojciec śpi w jednym łóżku z inną kobietą, nie z matką.

Pół nocy przepłakałam. Dawno nie byłam tak mokra od łez. Nie mogłam się powstrzymać, nie potrafiłam ukryć, że płaczę. Potem już nawet nie chciałam. W końcu zasnęłam. Śnił mi się Ludwik, który w pustym Domu Złudzeń szczotką do zamiatania ściągał z sufitu pajęczynę.

Rano więcej widać niż nocą. Obudziliśmy się w tym samym czasie, chwilę leżeliśmy i patrzyliśmy w sufit. Staś i ja.

– Ja z tatą załatwię, że będzie ciebie kochał – powiedział mój chłopczyk, czym sprawił, że znów nie mogłam powstrzymać strumienia łez.

– Staś, to nie jest temat dla chłopców. Przepraszam cię za wszystko.

– Jeśli tata nie będzie ciebie kochać, to ja będę twoim mężem.

Łzy spływały mi po policzku, a Staś odwrócił głowę. Mądre dziecko. Bawił się moją komórką, szukał melodyjek, pstrykał zdjęcia. Sam się ubrał. Powycierałam się w końcu i też ubrałam, wzięłam chłopca za rękę i weszliśmy do pokoju obok, zapominając o porannej toalecie.

Róża spojrzała na mnie i opuściła głowę.

– Dwie godziny temu pojechał do firmy – powiedziała. Nie słyszałam, żeby się ubierał, spałam porażona poczuciem kresu.

Nic wtedy nie odpowiedziałam, ale poczułam do tej sypiającej z moim mężem kobiety sympatię. Mimo że to właśnie w jej mieszkaniu doświadczyłam, jak smakuje trójstronny układ, ale byłam wdzięczna, że to się stało. Takiego doświadczenia było mi trzeba, takiego walnięcia w głowę. Po tym nic mnie w związku z nimi przecież nie powinno czekać. Wystarczy tylko swoje życie zrozumieć i poukładać. Owszem, może i nie kochałam Leszka, ale w Kutnie poczułam coś na kształt pogardy dla siebie, że znów straciłam kilka lat życia.

Nie wiem, jaki był ich związek, Róża wyładniała, nabrała blasku. W jej oczach widziałam strach, pewnie

bała się końca romansu, niewiele szczęścia miała w życiu. Dotknęłam ręką jej ramienia, uczyniłam ten niemy gest dla niej. Zrozumiała. Myślałyśmy o tym samym, że utknęłyśmy w hermetycznym układzie. Taka wspólnota możliwa jest tylko między dwiema ciężko doświadczonymi kobietami. Ona bierze\* na siebie część jego obciążeń, ja rozprawiam się z pozostałą. Ona – bo jest „teraz”, ja – bo było „kiedyś”.

Wiedziałam, wiedziałyśmy obie, że stałyśmy się sobie bliskie.

\* \* \*

A w Warszawie? Staś oczywiście dokładnie odmalował Oli „obrazki z Kutna”. Nawet zdradził, że bardzo płakałam.

– Tata spał całą noc z Różą, nasza mama nie ma już męża, ale my chyba mamy tatę – wyrecytował, co mu w duszy grało.

Ola była konkretna:

- Matkę mamy jedną, a ojców dwóch.
- Przestań, Oleńka, plątać w głowie maluszkowi. On jest za mały. – Czochrałam Stasiowi włosy.
- Jaki mały? Duży jest i musi znać prawdę. Jedynie prawda nie miesza w głowach! – Śmiała się Ola

i tarmosiła Stasia z innej strony niż ja.

– Kto jest moim drugim tatą? Nie ciągnijcie, bo wyłysięję! – krzyczał.

– Wyłysięjesz, jak ci powiem. Jeśli chodzi o ojców, to każdy ma tylko jednego. Ty Leszka, a ja Emila.

– Ja też chcę mieć Emila, on nie mieszka na wsi, tylko w mieście, a w Warszawie są fajniejsze samochody i są korki, i tramwaje. I samoloty. Niedobry tata Lechu spał z Różą...

– Dzieciaku, ojca się nie zmienia. Nie masz wyboru, po prostu szybko dorastaj, a jak się dostaniesz na studia, będziesz mógł u nas w Warszawie zakotwiczyć. Tutaj są inne perspektywy niż w zapyziałym Poznaniu.

Dwa dni w stolicy dały mi wytchnienie, ale do diabła! Świadomość zamknięcia pewnego etapu życia ciągle bolała. Wracając do Wielkopolski, zrozumiałam, że muszę przeorganizować nasze życie, na przykład zapisać Stasia do przedszkola. Basia podpowiedziała, że najlepiej byłoby dać go do takiego, które jest konserwatywne i uczy uniwersalnych zasad. Sama kończyła szkołę prowadzoną przez zakonnice. Przystałam na to.

\* \* \*

Stasia przyjęto do przedszkola. Zakonnice uznały, że



się nadaje i już następnego dnia z rana go tam zawiozłam. Nie płakał, dał mi buziaka i wszedł na salę. Bohater. Nie pokazałam, jak mi było smutno, nie mogąc się na niczym skupić, odebrałam go już przed leżakowaniem.

– Jak było?

– Okropnie.

– Czyli tak jak mi w Złotniczkach.

– Nie, bo nie masz zakładnic na karku.

– Mówi się „zakonnice”. Mam za to innych ciemiężców. Zamyśliliśmy się oboje. Matka i jej maleńkie dziecko.

Tak jak kiedyś – stary dziadek i jego wnuczka. Chwilę milczeliśmy.

– O czym myślisz, mamu? – zapytał mnie Staś.

– O swoich wadach.

– Niektórych ludzi z wadami można kochać.

– Skąd wiesz?

– Bo ciebie Kocham.

– Tak, ale gdybym była ideałem, nie byłoby tych wszystkich złych rzeczy, co teraz się nam przytrafiają.

Nie wiem, czy dobrze robiłam, wkładając małemu chłopcu tak ciężkie tematy do głowy. Nie wiem. Wtedy tylko go mocno przytuliłam do siebie.

Meteorologiczny wyż zamieszkał nad Wielkopolską

na dobre. Już drugi tydzień było upalnie. Zero deszczu. Dobrze, bo zboża pięknie dojrzały i zaczynały się kłască. Nieraz wychodziłam albo wyjeżdżałam na rowerze, by zobaczyć efekt naszej pracy. Wracałam z pękiem kłosów w ręce, już nie taka jak kiedyś. Inna, bo to, co robiłam, było moje. Znowu zaczynałam utożsamiać się ze wsią, z tymi polami, których nigdy nie udało mi się zmierzyć swoimi krokami.

W firmie we wszystkich wazonach miałam pozatykane bukiety z kłosów żyta, owsa, jęczmienia. Kazałam też utkać wieniec ze zbóż i udekorować nim drzwi wejściowe. Trzeba było kończyć żniwa. Z okna biura widziałam, jak maszyny koszą zboże, śmigają po polu, to mało powiedziane.

Potrzebowałam choćby maleńkiego sukcesu. Czułam, że on jest tuż-tuż. W firmie się poukładało, od kilku tygodni atmosfera była lepsza. Gdy jest praca i choćby minimalna zapowiedź wpływu gotówki, morale się poprawia. Gruby przyszedł mnie poinformować, że pojedzie w pole, to dobrze, że dbał. Maszyny były wynajęte i każda złotówka oszczędności była ważna. Dałam mu kluczyki od swojego subaru, nie chciałam, by jechał własnym rzechem, pamiętałam, jak żalił się jakiś czas temu, że kiedyś na zakręcie kierownica została mu w rękach. Nie zniósłabym wypadku przy pracy.

– Niech szefowa się nie martwi, jestem odpowiedzialny.

Gruby dyrektor nazywał się Krzysiek Mucha i nie miał jeszcze nawet czterdziestu lat. Nie lubił swojej otyłości, ale uwielbiał o niej gadać. Już po kilku dniach pracy wiedziałam, że już w jego przedszkolnym wieku coś musiało zaważyć na jego psychice. Wstawał w nocy i jadł, bo bał się zasnąć. W szkole średniej pierwszy raz pokazał się u endokrynologa, który wysłał go do szpitala. Potem jeszcze kilka razy. Chudł, ale po miesiącu waga zwykle wracała. W jednej z klinik poznał żonę, razem, jak sam żartował, ważyli ponad dwieście kilo.

Gdy Mucha odjechał, zajrzała Ewa. To dobrze, bo musiałam wreszcie wyrzucić z siebie damsko-męskie fiasko z Kutna.

– Kwintesencja mojego życia w pigułce. Uświadomiłam sobie, że mam dzieci z dwoma mężczyznami, ani jeden mąż, ani drugi nigdy o mnie nie walczyli i nie próbowali mnie zmienić, co uważam za wyrządzoną mi krzywdę. Nie zrobili nic, żebym stała się lepsza. Czyli byłam im obojętna! Rozumiesz to? Mąż podobno jest na dobre i złe...

– Żona też. – Ewa wzruszyła ramionami.

– Zaangażowali się w inne związki i cokolwiek by mówić, to ja jestem przegrana. Pogodziłam się, że będę sama i koniec. Chciałabym kogoś poznać i związać się, ale już na innych zasadach. Luźniej i bez miłości. Może nas łączyć seks, on mi, ja jemu, bez przywiązania. Żeby się potem tylko otrzepać i mieć w nosie to, co nas łączyło.

Dużo więcej teraz wiem o życiu.

Ewa siedziała ze wzrokiem wbitym w okno i nic nie mówiła. Znałam zresztą jej poglądy. Miała jednego męża i koniec. Ojciec to ojciec i też koniec. Nie wiedziałam tego na pewno, ale chyba chciałabym mieć Ewy stanowczość, a nie rozedrganie niszczące pierwszą najlepszą myśl. W tamtej chwili nie miałam w głowie żadnej pierwszej myśli. Ot, słyszałam buczenie maszyn, czułam ospały rytm lata na wsi.

– Igo, spójrz!

Ewa krzyknęła, co mnie od razu postawiło na baczność. Spojrzałam za okno. Niemożliwe! Dym, siwy dym! Moje pole! Zboże nabrzmiałe ziarnem! Jak to?! Przecież ja mam finansowe plany, zapotrzebowanie na sukces, wizję, nadzieję! Byłam przerażona. Ewa nie mniej. Czerwony kur się wylał. Dał się słyszeć dźwięk wozów straży pożarnej. Gruby nie odpowiadał na telefony. Wybiegłyśmy z domu, Ewa wzięła stojący przy płocie rower, już na nim siedziała, ja otwierałam garaż, w którym stał mój. We wsi wyły wszystkie psy.

Na pole dotarłyśmy, kiedy ściernisko przy drodze było już bez ognia. Ale to nie wszystko. Jeden wóz strażacki to mógł sobie sikać, by dogasić harcerską watę, a nie kilkanaście hektarów suchego zboża. Na między między polami stał traktor, a na przyczepie kilkanaście worków ziarna, czyli urobek dnia. Całe zboże było skoszone, a stóg sprasowanej słomy stał w bezpiecznym

miejscu. Chwała Bogu. To zobaczyłam najpierw. W oddali, przez chmurę dymu, widać było grupkę mężczyzn, którzy biernie przyglądali się uwijającym się strażakom, coś między sobą omawiali. Niedaleko nich na ściernisku stał mój subaru. Nie było widać ognia, tylko dym, który wychodził jakby z wnętrza ziemi, którą coś mi ciągle kazało miłować. Chmura dymu, mimo strażackich wyczynów, wcale nie malała. Wbiegłam na pole, nie zważając, że ściernisko rani mi nogi. Chciałam się przedrzeć przez gryzącą w oczy chmurę, ratować, gasić, działać, a nie sterczeć biernie przy drodze. Gruby, zorientowawszy się, że biegnę w jego stronę, rozłożył ręce.

– No co pan! No co pan! Gasić trzeba! – krzyczałam.

– Czym, rękoma? – Zaśmiali się mężczyźni. Kolejne wozy strażackie wjeżdżały na pole. Jęzor ognia pełził po ściernisku w stronę auta. Gdy nastąpił wybuch, rzuciłam się na rżysko i waliłam w to rozjeżdżone przez kombajny piaszczysko pięściami. „Dlaczego mi to robisz, dlaczego mi to robisz?!” – moje krzyki zagłuszyły nawoływania jakichś ludzi. Słup dymu obejmującego auto szczypał mnie w oczy.

Ewa z Basią zaciągnęły mnie do samochodu Rysia, który stał na polnej drodze. Wszyscy się tam zjechali. Wszyscy ze wsi. I ci, co mi źle życzyli, i przyjaciele. I ci, co chętnie zagospodarowałyby moje hektary, i tacy, dla których ziemia była tylko ugorem. Siedziałyśmy na

poboczu polnej drogi, trzy baby, które musiały się boksować z życiem, każda na swój sposób. Basia kruszyła i strzepywała mi z głowy spalone włosy, powtarzając w kółko: „Iguś, czy na pewno nic ci się nie stało? Mów prawdę. Jak się czujesz? To nic, że teraz dobrze, potem mogą wystąpić objawy zatrucia czy wstrząsu. Pojedźmy do lekarza. Trzeba sprawdzić, zbadać krew, mocz i nie wiem co jeszcze. W dymie jest cała tablica Mendelejewa”.

– Gdzie jest Staś? Basiu! Nie bierz go nigdy tutaj. Nie pokazuj pola. On musi być inny, nie taki wiejski jak ja.

Spalony kikut auta za ponad pięćdziesiąt tysięcy złotych pomieszał mi zmysły.

Czy rzeczy mogą też umierać?

## **Wiosna 1977**

Na początku maja 1977 roku stan mojej mamy się poprawił. Nie była już taka apatyczna. Czasem poprosiła, aby włączyć telewizor, lubiła obejrzeć wiadomości. A tam ogłaszali wyłącznie złe rzeczy. Znaleziono zwłoki Stanisława Pyjasa, mówiono ciągle o warchołach, ale dziadek skądś się dowiedział, że właśnie dzięki tym „warchołom” wybuchają strajki i demonstracje, że idzie ku dobremu. Powiedział kiedyś przy kolacji, że działa Komitet Obrony Robotników. „O rolników nikt nigdy nie dba, jesteśmy gorszym gatunkiem człowieka” – rzekł

wtedy i ja to zapamiętałam.

„O Jezu. O Matko Święta" – odpowiadała mu mama tym swoim cichym głosem. Nieraz musiałam zniżyć głowę, by ją zrozumieć. Wtedy, w maju, mówiła nieco głośniej, i częściej siedziała oparta o poduchy, niż leżała. Tylko te nieustające niepokoje. Ale jeśli ktoś się martwi przyszłością, ma mu się na życie.

Pewnego popołudnia pojechaliśmy z dziadkiem na pole. Tej wiosny bywałam z nim dla towarzystwa. To były moje szczęśliwe miesiące. Wtedy nasłuchiwałam się o świecie najwięcej. Wyjechaliśmy tylko na chwilę, ale rozszalała się burza i nie sposób było wrócić do domu. Zaczęło lać, istne oberwanie chmury. Siedzieliśmy ukryci pod wozem, koń tylko prychał z nerwów i prychał. Nagle usłyszałam straszny huk, od razu błysk, a gorące powietrze przewróciło mnie z kucek. Piorun rozłupał na pół wielkie drzewo stojące kilkanaście metrów od nas, na drodze do Krześlic.

Po powrocie do domu chciałam natychmiast opowiedzieć mamie, że z bliska widziałam piorun. Nie był straszny, tylko bardzo gorący. Zaniosiłam do jej pokoju kubek polewki, lubiła tę zupę, mówiła, że wygładza jej chory żołądek. Polewkę jadła codziennie, odkąd miała kłopoty z trawieniem. Chwaliła, że umiem taką dobrą ugotować. Postawiłam jej kubek na stole, by wystygła, a sama siorbałam białą ciecz, ale nie przypominam sobie, czy była dobra. Po prostu ją piłam.

Odsłoniłam zasłony, a kiedy światło oświetliło twarz mamy, wystraszył mnie nieznany grymas, a bezruch odebrał nadzieję. Dotknęłam rękę mamy. Była zimna. Moja mama poszła do nieba. Do aniołów. Wtedy jeszcze wierzyłam w ich istnienie.

Nie rozpaczalam. Byłam przygotowana na jej odejście, ciele mojej mamy śmierć zamieszkała znacznie wcześniej. Wszyscy w domu o tym mówili. W uszach dzwoniło mi ciągle powtarzane ludowe porzekadło: „Kiedy baba w maju słaba, pacierz zmów”. Miałam jednak nadzieję, a to uczucie głupich. Kilka lat wcześniej to mama się odgrażała, że wrócimy do Złotniczek, dopiero gdy umrze dziadek. A umarła ona. Siedziałam na taborecie przy łóżku. Wyglądała tak, jakby spała. Zrozumiałam, że śmierć jest głębokim snem i, jak z każdego snu, moja mama też się kiedyś obudzi. Odeszła. I co dalej? Wtedy ubzdurałam sobie, że dziadek będzie nieśmiertelny. Po prostu, nie mogą wszyscy, których kocham, wymrzeć!

Wstałam z taboretu uspokojona myślą o nieśmiertelnym dziadku i zaczęłam się siłować z zimnym i sztywnym ciałem mamy, chcąc je umyć. Nieraz wcześniej słyszałam rozmowy, kto Jaśkę umyje i ubierze, jak „to” nadejdzie. To nic, że nie miałam nawet dziesięciu lat. Byłam przedwcześnie dojrzała, swoje wiedziałam i widziałam. Nie bałam się. Podczas obmywania zauważyłam na plecach i biodrach mamy



blizny jak po oparzeniu. Całe jej plecy i pośladki były w głębokich i rozległych bliznach. Nigdy mi nikt o nich nie powiedział, pewnie chcieli mnie od tego widoku i od historii blizn na ciele mojej mamy uchronić.

Dziadek po śmierci mamy też nie płakał, powiedział tylko:

– No i umarła!

Czekałam, aż mi wytłumaczy zagadkę życia i śmierci, ale wyszedł z domu w pole i długo nie wracał. Pojawił się w obejściu pod wieczór i przywołał mojego ojca pod kasztan, gdzie siedli obok siebie, palili papierosy i nic nie mówili.

Basia, która wtedy studiowała na Akademii Ekonomicznej w Poznaniu, rzadko na weekendy wracała do domu z akademika. Przyjechała dwa dni przed pogrzebem i słysząc dziadkowe gadanie o słabeuszach, zdenerwowała się, jak to ona. Wypluła wtedy z siebie całą gorycz, mówiąc do mnie:

– Dziewczyno, zapamiętaj na zawsze! On nikogo nie potrafi kochać, dlatego był dla Jaśki tak niedobry!

Barbara Leśniewska była moją koleżanką, nie ciocią, dzieliło nas tylko dwanaście lat. Ona, piękna jak wyrzeźbiona przez mistrza, jeździła motocyklem, samochodem, rowerem, bryczką, konno. Wszystkim. Będąc na wsi, wołała motocykl. Sadzała mnie przed sobą i pędziłyśmy w świat, przed siebie. Gdy było ciepło,

zachodziłyśmy nad jezioro na cypel, rozbierałyśmy się do naga i pluskałyśmy w wodzie. Dwie małe dziewczynki. Nie mogłam oderwać wzroku od nagiej Basi, chciałam być taka sama. Zaś ubrana była jeszcze ładniejsza, kolorowa, wbrew czasom generalnie czarno-białym, zawsze miała kiecki o wymyślnym fasonie, najstaranniej uszyte. Nieraz zakładałam jej buty i przymierzałam jej letnie muśliny w kwiatki.

Nie miała racji, mówiąc o dziadku, w ogóle jej stosunek do własnego ojca nie był sprawiedliwy. Wytykała mu oschły charakter, niedobre traktowanie kobiet. Dzielila ich przepaść wiekowa, Basia urodziła się, gdy jej ojciec miał ponad pięćdziesiąt lat. Zaś on się prawdopodobnie wstydził, że spłodził dziecko w tak poważnym wieku, i to z kobietą młodszą zaledwie o dziesięć lat.

Przyjaciele zmartwili się moim pólsieroctwem. Ewa głośno płakała, nie mogła się uspokoić:

– Tylko ty z wszystkich dzieci w szkole nie będziesz miała mamy. Wszyscy inni mają – mówiła przez łzy.

Kosma długo siedział w milczeniu, potem też próbował mnie pocieszyć:

– Twoja mama umarła, a mi się tego samego dnia urodził brat, Jurek. Dziwne, no nie?

– Nic mnie nie obchodzi jakiś brat! – burknęłam.

– Najpierw powinien umrzeć twój dziadek, a dopiero

potem mama – dodał współczującym tonem Kosmaty.

Jak to?! Mój dziadek?

Uderzyłam diabła wcielonego pięścią w głowę, krzycząc:

– Zapamiętaj sobie! On nigdy nie umrze! Nigdy. Rozumiesz?!

Kostna nie obraził się, widać dobrze rozumiał moje położenie i stan nerwów.

Dzień przed pogrzebem dziadek zabrał mnie maluchem do Pobiedzisk, miałam mu doradzić w zakupie czarnego garnituru. Wybraliśmy bardzo drogi i szykowny, z zakładu w Bytomiu. W żałobnym stroju Florian Leśniewski wyglądał ładniej niż Edward Gierek.

Basia bardzo płakała. Wtedy, po pogrzebie, powiedziała mi, będąc już przy furtce, że to jej ojciec zatruł wszystkim krew, dlatego pomarli. Nie dlatego! Jak ona mogła?! Pomarli, bo byli słabi i chorowici.

Obwiniła go, że nie potrafi kochać.

A ja wiem, że potrafił. Kochał, mnie kochał. Gdy wróciłam do domu, mocno się do dziadka przytuliłam.

## **Lato 2007**

Po pożarze pola nie miałam się do kogo przytulić. Nie kochał mnie żaden dorosły mężczyzna. Stasia

z przedszkola odebrała Basia, miał w Nadroźnie zostać na noc. Wieczorem nie miałam siły wstać i wyjść z domu, w którym cuchnęło spalenizną.. Włosy, ubrania, buty w przedpokoju – wszystko przeszło mieszanką zapachu płonącego ścierniska, spalonej skórzanej tapicerki i samochodowego lakieru. Nie wykapałam się po powrocie z pola, nie zmieniłam odzieży, jedynie umyłam brudną od popiołu twarz.

Rzeczywiście, zostawili mnie samą, tak jak prosiłam, Staś na szczęście niczego nie wiedział. Jagna nie wypaplała, potrafiła się zachować w sytuacji kryzysowej, w końcu sama wychowała pięcioro dzieci z trzech mężów i zaliczyła niejedną kataklizm. Gdyby Staś widział i wiedział, co się stało, gdyby poczuł ten fetor nieszczęścia, całe swoje życie by sikał do łóżka.

Jest coś takiego jak próg odporności na stres. Zaczynałam się do niego zbliżać, a co dopiero dziecko. Zaczęłam kombinować, co dalej. Na polu do wielkich strat nie doszło. Auto spłonęło całkowicie, było coś groźnego w wypalonym szkielecie po subaru. Kilka dni wcześniej miałam zapłacić drugą ratę autocasco. Nie miałam pieniędzy, to i nie zapłaciłam. Mogłam nie otrzymać od ubezpieczyciela złamanego grosza. Powinnam wczytać się w umowę, ale nie udało mi się jej znaleźć, mogło nawet i tak się zdarzyć, że spaliłam ją w kominku wraz z innymi papierzyskami, których mnogość tak źle na mnie działała.

Wieczorem, zrezygnowana, położyłam się na sofie i włączyłam telewizor. W wiadomościach na pasku przesuwiał się nagłówek: *Celowe podpalenie? Kolejne „nieszczęśliwe” Zrządzenie losu u pobiedziskiego bankruta? Czym jutro wyjedzie z garażu Teksańska?*

Teksańska? Tak mówiono na mnie na wsi. Na ekranie telewizora zobaczyłam siebie wsiadającą do błyszczącego subaru, z szopą rozpuszczonych włosów, w kowbojskim kapeluszu na głowie, kusej spódnicy w kwiatki, w rudych kowbojkach na nogach i w czarnym skórkowym zakieczku. Ależ, to były zdjęcia sprzed kilku miesięcy, jeszcze z czasu dobrobytu! Przez chwilę patrzyłam jak na fabularny film, miałam wrażenie, że to nie ja tam paradyję, ale aktorka, mój sobowtór. Gdy wreszcie dotarł do mnie prawdziwy przekaz, chciałam uderzyć czymś w telewizor, ale co on winien? Chwyciłam za słuchawkę telefoniczną, by zadzwonić do dyrektora telewizji i mu nawciskać, ale zauważyłam przez okno, że w stronę mojego domu zmierza Adela Renz. Wieści z telewizora mają wielką siłę rażenia.

Nie zdobyłabym się na to, by z kimkolwiek roztrząsać temat mojego rzekomego bankructwa. Siedziałam bez ruchu, aż Adela przestała się dobijać do drzwi, zrezygnowała, uznawszy, że mnie nie ma. Przysłuchiwałam się, co mówi do gołębiarza.

– Bronku, widziałeś, co te pismaki wyczyniają? Gdyby nasza Iga była blisko koryta, na pewno daliby jej

spokój, a nawet podali rękę. Widzi pan, co się dzieje? Na uczciwych politykach psy wieszają, wszędzie wygrywa pieniądz. Muszę namówić Ięgę, by pozew złożyła do sądu o zniesławienie. Nie można bezkarnie opluwać ludzi! To infamia.

Infamia? A cóż to znowu znaczy? Ta Adela!

Gołębiarz Broniek (wcześniej nie znałam jego imienia) nic nie mówił, palił papierosa i beczelnie patrzył w moje okno, a ja siedziałam w kącie tak, by nie było mnie z zewnątrz widać i gryzłam czarne od popiołu pazury, które z jeszcze rok temu wypieszczonych i wymuskanych rączek damy przemieniły się w kanciaste, splekane dłonie robotnicy. Adela nie miała racji – gdybym chciała składać pozwy, musiałabym zamieszkać w sądzie. Tyle by ich było.

Suche, przegrzane lato zawsze będzie mi się kojarzyć z czymś złym. Wieczorem po pożarze podjęłam decyzję. Ucieknę. Rzucę to wszystko. Zostawię Stasia, jak kiedyś zostawiłam Olę i wyjadę.

Zostawię ten bajzel.

\* \* \*

Wyjechałam, ale nie na zawsze. Zostawiłam bajzel. Każdy w firmie wiedział, co ma robić, przecież nie rozdzielałam codziennie zadań. Firma z powodu mojej

kilkudniowej nieobecności na pewno nie podupadnie bardziej. Oddalenie od problemów doradził mi psychiatra, nawet dał skierowanie do ośrodka dla psychicznych rekonwalescentów. Nie skorzystałam, zarezerwowałam sobie pokój w niewielkim pensjonacie w Ustce, położonym nad brzegiem morza. Wzięłam ze sobą niewielki bagaż, dwie zmiany odzieży, niewiele kosmetyków i ciepłą kurtkę. Wsiadłam w Pobiedziskach do pociągu, na dworcu głównym w Poznaniu przesiadłam się do kolejnego, z którego miałam wysiąść dopiero w Słupsku.

Jeszcze się dobrze nie usadowiłam, gdy odebrałam telefon ód Leszka. Darł się jak nie on, że jestem dziwką, skoro zostawiam dziecko, wcale się o malca nie troszcząc. Zostawiłam Stasia, owszem, ale w dobrych rękach. Jeśli można kogoś znienawidzić w jednej sekundzie, to tak właśnie się stało. Nienawidziłam Leszka. To uczucie się we mnie ugruntowało za sprawą słów i złego, co nam uczynił.

– Jak jeszcze chcesz mi uprzykrzyć życie? Zostawiłeś mnie, złapałeś się tego, co powiedziałam w gniewie i ładnie skorzystałeś z sytuacji. Tymczasem ja jestem sama z milionem kłopotów, w jakie nas wpakowałeś – krzyczałam, nie bacząc na współpasażerów. – Rozpieprzyłeś mój świat! Nie był idealny, ale jednak to był mój świat!

– Sama o nas postanowiłaś. Chcesz, żebym ja

wychowywał naszego syna?

Oddać Stasia? Oddać mojego małego filozofa? Gdy Emil zabrał mi Olę, byłam młoda, głupia, bez macierzyńskich instynktów, egoistycznie patrzyłam na życie. Pogubiłam się po śmierci dziadka. A teraz? Jestem dobrą matką. Poprawię się, będę jeszcze lepszą, gdy wszystko poukładam. Serce zacisnęło mi krtań.

– Wiesz, co to zbudować dla syna dom? Taki, w którym będzie się dobrze czuł? Gdzie będzie chciał godzinami układać puzzle, grać na bębenku, zadawać pytania na temat egzystencji, bawić się klockami Lego? Oglądać : „Cudowne lata”? Nie wiesz!

Młoda kobieta siedząca naprzeciwko podała mi papierową chusteczkę.

– Synek może sobie z piasku rezydencję wybudować. Nad naszym morzem szczęśliwie jest go sporo. Czyli są możliwości... – zażartował starszy pan siedzący przy oknie.

To było dla mnie *dictum acerbum*. Boże chwilowo niewypłacalnych, Panie kompletnych bankrutów, gdzie jesteś?! Jak ciebie znaleźć?! Jak rozpoznać? Daj znak.

Towarzyszom podróży nieźle z oczu patrzyło, uśmiechali się pod nosem z dowcipu, jaki przed chwilą padł. Byłam im coś winna. Powinnam się wytłumaczyć z krzyków i nieprzyzwoitych słów, jakie z moich ust padły.



– Przepraszam, ale jestem na granicy wytrzymałości. Jadę do Ustki zamknąć się przed ludźmi i przed kłopotami. Generalnie przed strzałami, jakich przyjąć już nie może moje pęknięte serce.

– Czuję poetycką duszę. – Dojrzały dowcipas spod okna się uśmiechnął.

– Nie można mieć naraz aż tyle nieszczęść. Człowiek sam sobie ich najwięcej zawsze napyta, ale żeby aż tyle? – odezwał się milczący do tej pory mężczyzna o wyglądzie urzędnika skarbowego.

– Aż tyle. Jadę do Ustki, bo chcę jeszcze żyć.

Pasażerowie zamilkli i nic więcej do końca podróży nie powiedzieli.

\* \* \*

W ośrodku wzięłam masaże, bicze, kąpiele solankowe i komorę Infrared. Zarezerwowałam godziny na basenie i zapisałam się na wszystko, co się na nim działo za darmo. Aerobik, ćwiczenia w wodzie i taniec z piłką. Dużo. Miałam jeszcze czas, by spacerować po plaży.

Pasjonatów spacerów brzegiem morza było wielu. Dwóch dziadków w marynarskich czapkach. Gdy się zrównaliśmy, zaczepili mnie, pytając, czy im w tych

rogatywkach jest do twarzy. Inni staruszkowie czarowali stada mew. Jeszcze dwaj kolejni w rękach nieśli Gruzińską Princessę. Mijałam parę bardzo tęgich osób, on głaskał japo brzuchu i nucił: „Zono moja, serce moje, nie ma takich jak my dwoje”. A łysy facet z bladą twarzą robił z ukrycia zdjęcia kobietom. Wszędzie panoszyło się ptactwo, którego odgłosy przypominały mi o moich żalach.

– Czy to są mewy, czy rybitwy? – spytałam jakiegoś pana, który karmił je chlebem.

– Nie wiem, nie pytałem – zażartował. Pożegnałam się i pobiegłam na masaż.

– Odchudzamy się? – zapytał masażysta.

– Nie, chodzi o stres.

– Tak zapytałem, bo widzę, że chudnąć nie byłoby z czego. Jaki obszar?

Pasowała mi jego gadanina, nie lubiłam słyszeć przyspieszonego masażem oddechu mężczyzny.

– Wielkopolska – odpowiedziałam.

– Pytam, co szwankuje – uśmiechnął się szeroko. Naprawdę, ten masaż był poezją. Odpłynęłam do życia w lepszym samopoczuciu.

W weekend nie miałam żadnych zabiegów, nie wychodziłam w ogóle z pokoju. Myślałam, ile w swoim życiu narozrabiałam. Intymne epizody z Ludwikiem

pomagały mi czasowo. To były tylko chwile. Orgazm nie jest panaceum na wszystko. Na brak uczuć, na brak pieniędzy, na brak perspektyw. Na brak pomysłu, co dalej robić. Na odrzucenie. W Ludwiku mimowolnie szukałam oparcia, choć wiedziałam może i na sto procent, że nasz związek z jakichś powodów jest niemożliwy.

Wieczorem zadzwoniła Ola. Kochane dziecko, zmartwione moim stanem zdrowia, pewnie nie chciało mi dokładać trosk. Ale przy okazji się wygadała, że musi kończyć, bo spieszy się na trening. Znów? Nie byłam zwolenniczką usportowienia dziewczyn. To przekraczanie granicy wytrzymałości organizmu i treningi ponad miarę nie będą na pewno obojętne dla jej zdrowia. Przecież będzie chciała mieć dzieci! Od biegania wytrzęsą jej się macica i jajowody! Przywykłam, że czasem bierze udział w maratonach i półmaratonach, ale tym razem spieszyła się na trening pływacki. No i wyciągnęłam z niej, że bierze udział w przygotowaniach do triathlonu. O matko jedyna! Jednego dnia ma przejechać dziewięćdziesiąt kilometrów na rowerze, dwadzieścia biec i dwa płynąć na otwartym zbiorniku wodnym. Poza tym to dyscyplina dla mężczyzn, dla samotników. Chciałam, by Ok miała przyjaciółki, chłopaka, męża, dzieci, praktykę adwokacką w znakomitej kancelarii. Taki rozpisałam dla niej scenariusz. W końcu na roczek jako pierwszą chwyciła książkę, a nie czepek pływacki czy buty biegowe.

– Oleńko, błagam cię, nie forsuj się. Boję się, że

z wysiłku podupadniesz na zdrowiu.

– Mamo, takie czasy. Lepiej uprawiać sport niż pić i palić albo tłuszczyć z ud odsysać. Poza tym dobrze jest zawsze mieć przed sobą jakiś cel.

– Nie sądzę, by ktokolwiek badał zasadność takich alternatyw.

– Wiesz, jak sobie uregulowałam tętno? Spoczynkowo mam już tylko pięćdziesiąt uderzeń na minutę.

A ja przeszło sto! To, co powiedziała o tętnie, przeraziło mnie.

– Olu! Nie ty jesteś od regulowania sobie tętna! Nie jesteś Bogiem!

– No, jakby nie.

Przedostatniego dnia wyszłam na pożegnalny spacer po plaży. Falochron obsiedli wczasowicze i kuracjusze, z daleka wyglądali jak ptactwo. Nie było słońca, przez co widnokrąg nie był wyraźnie zarysowany, wraz z niebem tworzył gołębią szarość. Jedynie dwa pomarańczowe paski na pogłębiarce dały koloryt.

Po zabiegach i odpoczynku byłam wyluzowana, zadowolona i nabrałam jakiegoś – wcześniej wydawałoby mi się – irracjonalnego przekonania, że z każdego kłopotu można wyjść silniejszym, o ile się tego chce. Jeśli masz matnię, siedzisz w niej po zęby, złapiesz się każdej mrzonki i uwierzysz w każdy banał. Byle by powiało

optymizmem. Przedostatniego dnia, już bez tonów melodramatycznych, mogłam wreszcie zadzwonić i porozmawiać ze Stasiem.

– Kotku, myszko, tęsknię, martwię się i zaczynam wszystko układać. Jeszcze dzień... i wracam.

– Mamuniu, czy zrzuciłaś z siebie jarzmo? – Oj, tak!

Zaczełam się z tego jarzma śmiać wniebogłosey. Potem poszłam na deptak i w Cafe Anna zjadłam pożegnalną szarlotkę – własny wypiek właścicielki. Czego tam nie było? Oczywiście jabłko, ale i agrest, suszona żurawina i zielone winogrono, a na górze pianka beżowa.

Zrobiło się chłodno, słońce wybierało się za horyzont. Lubiłam zachody słońca nad morzem, wypatrywałam wracających kutrów rybackich, które na pomarańczowym niebie wyglądały jakby wykonane pędzlem artysty malarza. Wieczorem było jeszcze chłodniej. Długo siedziałam na tarasie owinięta kocem i skubałam ciemne winogrono. Wszystkie smaki, które lubiłam, kojarzyły mi się z późnym latem. Grzyby, śliwki renklody i węgierki, gruszki klapsy, winogrono, takie jak jadłam, czarne jak węgiel. Jeżyny.

Nie chciało mi się wracać do pokoju. Było cicho, pod koniec sierpnia nad morzem można naprawdę odpocząć. Zmierzchało, szum morza mnie ukołysał. Zasnęłam na tarasie, otulona kocem. Obudziłam się po kilku godzinach

zziębnięta. Obok mnie siedziały rybitwy.

\* \* \*

Dzień później wróciłam do Złotniczek i kilka minut po rozpakowaniu walizki i włączeniu komputera na moją pocztę nadeszła wiadomość. Znalazła się firma chętna na wynajem Akacyjnego Domu. To agencja reklamowa z Poznania, opierająca swoje usługi na fotografii, ale trosze będąca również agencją modelek. Odpowiadała im kwota, miejsce – wszystko. Chcieli się wprowadzić od razu. Już dawno temu pożegnałam się z tym domem. Za bardzo pamiętał złe chwile albo ja miałam wiele w związku z nim do zapomnienia. Oczywiście wyraziłam zgodę na wynajem, na tę firmę, na to, że od razu, obawiając się, czy dwadzieścia kilometrów, jakie dzieliło Złotniczki od Poznania, nie okaże się w przyszłości przeszkodą.

Ta transakcja była *clou* dnia.

## ROZDZIAŁ 2

*Mleczce wybieram okolic,  
Słońc postukując maleńkich,  
Których, nim zasną powoli,  
Nic nie wytrąci mi z ręki.*  
Marek Maj – *Z mleczami w tle*

### **Lato 2007**

Słońc poszukiwać maleńkich, skoro za miesiąc, półtora nadejdzie jesień? Na łąkach i nieużytkach już pod koniec sierpnia zakwitły nawłocie. Rozmnożyły się tego lata, a może ja wcześniej ich nigdy nie zauważałam? Nadal po okolicy szła fama, że jestem niewypłacalna. To nieprawda. Niewypłacalny był Leszek, moje przedsięwzięcie było wolne od długów, ale też ciągle niewiele zarabialiśmy. Straty w zbiorach na skutek pożaru okazały się wprawdzie niewielkie, ale doszczętnie spłonął mój prywatny samochód. Kikut subaru stojący w chaszczach hyczki straszył. Basia i Rysiu udostępnili mi leciwego escorta, którego trzymali z myślą o rabacie przy zakupie nowego auta.

– Jeśli ty nie powalczysz o swoje, nikt za ciebie tego

nie zrobi – powiedziała Basia, przekazując mi kluczyki do auta. – Nie wiem, czy wiesz. Pewnie tobie nie opowiadałam. No jasne, że nie, bałam się, że mnie źle ocenisz. Ale teraz, skoro jesteś ukierunkowana na zarabianie pieniędzy, niech tam. Opowiem. Wydarzenia miały miejsce na początku lat dziewięćdziesiątych, ciebie wtedy już w Wielkopolsce nie było.

Gruchnęła wieść, że ma upaść bank, w którym ulokowałam wszystkie oszczędności, w tym pieniądze ze sprzedaży t ziemi i domu rodzinnego. Nie masz pojęcia, jak bardzo się wystraszyłam, że wszystko stracę. Powiedziałam sobie wtedy, że jeśli ja sama nie odzyskam pieniędzy, to nikt tego za mnie nie robi. Świtało, kiedy pojechałam pod bank, a tam od nocy kłębiły się tłumy chcących dokładnie tego samego co ja. Było wiadomo, że pieniędzy mogło wystarczyć dla niewielu. Cóż było robić? Nie dbając, czy kogoś pokopię albo przewrócę, przecisnęłam się do drzwi wejściowych, na przód kolejki. Oczywiście słyszałam wrzaski, wyzwiska, nawet chcieli mnie wynieść, zlinczować, ale ja się uczepiłam balustrady i nie dałam przewrócić. Nie wiedziałam, co dalej robić, po prostu nie miałam pomysłu. Już chciałam zrezygnować, ale nagle wpadł mi do głowy genialny plan.

Nie wiem, skąd mi się wziął. Do dzisiaj zachodzę w głowę. Zaczęłam wrzeszczeć, że chcę dokonać wpłaty: „Ludzie, wpuście mnie, wyjeżdżam i muszę wpłacić pieniądze”. To był pomysł, wszyscy czekali za wypłatą,



więc każdy grosz był ważny. Byłam uratowana. Musiałam wyglądać na niezłą wariatkę, ale uwierzyli mi i wpuścili. Weszłam do banku jak zwycięzca i wzięłam co swoje. Udało się, wypłacałam wszystko. Wychodząc z torbą pełną pieniędzy było mi obojętne, co kto o mnie myśli.

– No i co potem z tymi pieniędzmi zrobiłaś?

– Potem już bałam się banków. Zainwestowałam, jakąś część pożyczyłam udającej się na emigrację koleżance, umówiłyśmy się, że odda mi we frankach. A resztę kilka lat trzymałam w domu.

– Nadal masz je w skarpecie?

– Nie, większość ty dostałaś.

– A reszta?

– No cóż, koleżanka dobrze się urządziła w Lozannie, więc mogę powiedzieć, że pieniądze zdeponowałam w Szwajcarii. – Basia zaśmiała się sarkastycznie. – Nie oddała.

– Starłaś się je odzyskać?

– Owszem, kilka lat, ale w końcu uznałam, że szkoda mojego czasu. Przestałam się łudzić, zresztą nie miałam pisemnej umowy.

– Nigdy bym cię nie podejrzewała, że straciłaś pieniądze. Gdybym ja teraz miała torbę pełną forsy, nikomu nie pożyczyłabym ani złotówki.

– Nigdy nie mów nigdy, to moja rada. – Basia

uśmiechnęła się. – No ale masz takie prawo.

\* \* \*

Po żniwach i sprzedaży ziarna komornicy znów często zjeżdżali pod Dom Złudzeń i śłali listy zaadresowane do Leszka. Wiadomo było, że w moich rękach pojawił się wreszcie jakiś pieniądz. Był, owszem, na tajnym koncju.

Po pożarze, a potem po wyjeździe do Ustki coś we mnie pękło, przestałam się nad sobą uzalać. Biznesowo zhardziałam. Nie znajdowałam ani powodu, ani czasu, by przyjmować wszystkich molestantów, czytać ich wypocin, biegać z tą twórczością do Kurczewskiego, z jego pomocą odrzucać wezwania i pozwy, za co potem mecenasa hojnie opłacać. Generalnie tracić. Od ślubu mieliśmy z Leszkiem rozdzielność majątkową, a i rozwód w zanadrzu. Niemniej on nic w sprawie firmy nadal nie zrobił. Kiedyś Ludwik, nieświadomy mojego położenia, przekazał mi pewną biznesową prawdę, że dopóki nie ma upadłości, firmę odwiedzają wszyscy możliwi krwiopijcy. Wprawdzie mówił o jakiejś ze swojego podwórka, której nazwy nie wymienił, ale ja zapamiętałam jego słowa bardzo dobrze. Leszek nie ogłosił upadłości, tkwił w Kutnie, a nadal był zameldowany w Złotniczkach, zatem tutaj amunicja szła z największych kolubryn. Jego

tchórzostwo mnie rozwścieczało. Nieraz wrzeszczałam w słuchawkę, by złożył wniosek o upadłość. I nie składał.

Wzięłam na siebie sporo, bo wciąż miałam poczucie winy. Bóg mi świadkiem, chciałam Leszka wspomóc, choćby odpowiadając na wezwania i odrzucając pozwy, ale entuzjazmu wystarczyło mi zaledwie na kilka miesięcy. Gdybym chciała zapanować nad tą pisaniną, musiałabym znać wszystkie kodeksy i umieć się w nich poruszać. Że jeśli taki paragraf, to tak, a jeśli inny, to siak. Niemniej wieczorami wciąż wertowałam różne prawne i ekonomiczne opracowania. Nadmiar wiedzy mi szkodził, niestety. Nieświadomy człowiek boi się mniej...

Tak, jak postanowiłam, co dzień stawiałam się w firmie. Zawsze w skrzynce pocztowej znajdowałam kilka awizów. Słyszając pukanie do drzwi na strych (bywało, że późnym popołudniem), gasiłam światło i kładłam palec na ustach, gdy dziecko było w domu. Staś odkładał bębenek, na którym lubił czasem pobębnić, siadał w kąciku, zasłaniając buzię rączkami, czekał, gdy powiem „już”.

– Czy my jesteśmy poszukiwani? – zapytał kiedyś, a jego usta ułożyły się w podkowę.

– Nie bój się! – Przytuliłam go do siebie. A raczej to ja przytuliłam się do niego.

– Nie zabiorą nam bębenka i harfy?

– Nie mają takiego prawa.

Wzięłam sobie do serca obawy Stasia, wprawdzie nadrabiałam miną, ale strach przed przyszłością mnie paraliżował. Wiele robiłam, by nasze dni nie różniły się niczym od dni ludzi szczęśliwych. Poranek był kubkiem kakao, południe twarożkiem ze śmietaną i koperkiem, a wieczorem, kiedy drewno w kominku grzało nasze wyziębione serca, opowiadałam dziecku o swoim dzieciństwie.

– Można być szczęśliwym, skoro wszyscy umarli? – zapytał zdumiony.

– To jest może dziwne, ale byłam bardzo szczęśliwa. Czułam się bezpiecznie. Byli dziadek i Basia. Miałam przyjaciółkę i przyjaciela. Do szczęścia wystarczy jedna mądra i kochająca osoba. Czas zaciera to co złe.

Kręcił głową i nic nie powiedział. Po prostu przyjął to, co powiedziałam.

Nocą kładłam się spać, marząc, by sen odwołał wszystkie tragedie. Niestety, i we śnie nie byłam spokojna. Którejś nocy przyśniła mi się filharmonia. Stałam na scenie, a na widowni siedzieli wierzyciele Leszka. Był już komplet widzów. Grałam na harfie. Oni słuchali. W tym śnie wydawało mi się, że można wieść i takie rozmowy. Gdy zabrakło strun, bym mogła grać, gdy zabrzmiały ostatnie akordy i ucichła muzyka, ja stałam na scenie obnażona ze wszystkich emocji, z zamkniętymi oczami, oczekując na złe... Tymczasem rozległy się brawa. Wyraźnie słyszałam oklaski i okrzyki:

„Brawo!”, „Brawo!”, z akcentem na „o”.

Nie wiedziałam, co to znaczy, więc w razie czego po prostu się obudziłam.

W moim życiu nie było jak we śnie, nikt mi nie bił braw. W dni wolne od pracy byłam u siebie, czułam wtedy, że wiele mogę. Oni też mieli dni wolne. Miałam powietrze. Byłam wolna.

Często myślałam, jak wszystko się pozmieniało. Kiedyś chciałam mieć letnie lniane kozaki, miałam, innym razem znudziły mi się kiecki, które kupiłam w Paryżu, kupiłam dwa razy więcej nowych, a tamte wsadziłam do worka i wystawiłam przed dom, gdy była zbiórka odzieży dla ubogich. Na co biedakowi kiecka z Paryża? Płaszcz ciepły, szal wełniany, dobra czapka, tego potrzebuje bezdomny. Kozaków, co by nosiły jego biedę przez kilka mroźnych lat. Nie kiecki z Paryża albo markowej jedwabnej apaszki.

Gdybym mogła przewrócić kartki kalendarza o kilka lat wstecz, długo i z dwóch stron oglądałabym każdą złotówkę przed wydaniem.

\* \* \*

To była radość! Minęły dwa tygodnie, a do opustoszałego Akacyjowego Domu wprowadziła się firma. Otrzymałam pokaźną kaucję, co obudziło we mnie dawne

tęsknoty. Kupić coś, wydać, to by na pewno mnie pocieszyło. Korciło mnie, by wyruszyć do miasta, do sklepów. Powstrzymałam się jednak.

Kilka dni po wprowadzeniu się firmy do domu nad jeziorem ledwie zdążyłam wrócić po odwiezieniu Stasia do przedszkola, a Adela Renz przyniosła sensacyjne wieści, że na łące niedaleko cypla i na naszym pomoście, a nawet i po Przepadlisku biegają strasznie wymizerowane dziewczyny w skąpych strojach kąpielowych. Są też podobno tacy we wsi, co je i nago biegające widzieli.

– W pobliżu droga gminna wiedzie, do kościoła prowadząca. .. – wyraziła wątpliwość Adela.

– I wiatry przewalają się po wsi, nad jeziorem tym bardziej odczuwalne... – dodałam swoje.

W taki sposób sobie ponarzekałyśmy. Też widziałam pod wieczór (powiadają, że to złota dla fotografów godzina) niedaleko Domu Złudzeń, przy starej pompie, trzy chude jak patyk modelki i dwóch fotografów, w tym jednego z bardzo ciemną cerą. Generalnie zachwycił mnie obraz, jaki stworzyły. W świecących satynowych kieckach, ledwo co okrywających kruche ciała o papierowym kolorze, opierały się o zardzewiałą pompę. Jedna była w turkusowej sukience, druga w szafirowej, trzecia w amarancie. Ta amarantowa mnie zachwyciła, aż zaczęłam grzebać w pudłach, których jeszcze od przeprowadzki nie rozpakowałam, w poszukiwaniu

podobnej, jaką kiedyś kupiłam.

Ale... Szybko zapomniałam o sensacji i zajęłam się tym co zawsze. Od czasu do czasu odświeżałam internetową pocztę. Od paru dni miałam tam ustawione alerty na swoje nazwisko. No i masz! Przeczytałam o sobie paszkwil w gazecie gospodarczej!

To nie tak! Niewątpliwie finansowo wychodziłam na prostą. Urodzaj z lata sprawił, że na konto firmy wpłynęło sporo pieniędzy. Paradoksalnie każdy chciał mi (dzięki sławie bankruta) pomóc i spłacał swoje zobowiązania w terminie, a ja nie chwaliłam się, że zaczynam w tunelu widzieć światło. Zatem, zaczynało być nieźle, odpukać (!). Niemniej artykuł mnie znokautował. Włączyłam Netrebko i się zasłuchałam.

Później nastawiłam w Google alerty na nazwisko Sommer, raz z imieniem, a raz tylko Sommer i miasto Kalisz. W ten sposób kilka dni później dowiedziałam się, że Nina Sommer, żona Ludwika, jest grubą ubezpieczeniową rybą i prowadzi wykłady na prywatnych uczelniach, kursach i podczas szkoleń dla niepełnosprawnych. Przy okazji poznałam też adres Sommerów, ale wciąż było mi mało. Weszłam na Google Earth, szukając ich domu w Kaliszu. Ni estety, poczułam się nieswojo, nie tylko dlatego, że była to okazała rezydencja. Wyszłam z programu, czując się w świecie Sommerów paskudnym intruzem. Widzieć to więcej niż wiedzieć.

Dzień później z rana zatelefonował Kurczewski. Termin rozprawy rozwodowej wyznaczono już na wrzesień. Super. Dzięki koneksjom mecenasa wszystko się zająbiło. Kurczewski zaprosił mnie na rozmowę. Wsiadłam w eskorta i w ciągu godziny zaperkotałam pod kancelarię. Oczekiwałam, nawet byłam pewna, że chodzi o odszkodowanie za subaru.

– Czy są jakieś wieści od ubezpieczyciela? – Tym pytaniem od progu zburzyłam spokój mecenasa.

– Będą, gdy tylko będzie to możliwe, naturalnie. – Kurczewski podniósł ciemne oczy znad biurka.

W kancelarii nie byłam panią sytuacji, czułam dyskomfort. Kurczę, płaciłam za usługi pokaźne kwoty, a tak niewiele miałam do powiedzenia. Hasło: „Klient nasz pan” w tej kancelarii nie działało. Dalej mecenas tłumaczył się, jak to on, zasłaniał opieszałością sądów, urzędów, poczty i tak dalej. Owszem, kiedyś przyjmowałam owe zapewnienia za dobrą monetę, ale, przyznaję, od jakiegoś czasu zaczynałam wątpić, czy za subaru otrzymam cokolwiek.

– Ale chciałabym wiedzieć coś konkretnego, kiedy i ile? Kurczewski nic nie powiedział, wstał z za biurka i wyjął z czarnej rzeźbionej szafy teczkę z napisem „Podkańska”, otworzył na pierwszej stronie, a ja kątem oka dostrzegłam przyklejoną do teczki żółtą kartkę i napis: „trudna klientka”. Kuźwa. Owszem, czasem mnie poniosło, bywało, przyznaję, ale jeszcze nigdy



w kancelarii! Ta kartka dała mi dużo do myślenia, odebrała rezon. Natychmiast się pożegnałam nie doczekawszy odpowiedzi na pytanie o stan spraw czy cokolwiek innego. Wzięłam tylko ze sobą sądowe wezwanie na rozprawę rozwodową. Oczywiście, powinnam poprosić Kurczewskiego o teczkę, nawet przy nim ją przejrzeć, ale pewnie byłabym posądzona o uprawianie teorii spiskowych. I znów byłabym „be”.

Jakże nie znałam wcześniej realiów życia!

Wracając, zastanawiałam się, czy gdybym użyła pewnej finansowej sztuczki, to byłoby coś złego? Raczej nie. Czy gdybym zadzwoniła do Ludwika, nawciskała mu, że nie dzwoni, nie przyjeżdża, nic, byłabym posądzona o nachalność? Też nie. Chyba.

Moja jedna połowa była biedna i poraniona, druga zaś zasobna i dumna. Ta pierwsza niejednokrotnie chciała zadzwonić do Ludwika. Było mi tak ciężko. Druga strona – zasobna i dumna – zabroniła mi komukolwiek ujawnić słabość. Zabroniła też oczekiwać od niego czegoś więcej ponad chwilową bliskość. Wcisnęłam numer. Chciałam tylko usłyszeć jego głos, chociaż to. Tymczasem powitało mnie nagranie: „Dzień dobry, tutaj Ludwik Sommer, proszę zadzwonić później!”.

Gdyby się odezwał, skasowałabym połączenie.

– Miałem kilka prywatnych połączeń. To ty? – Mój telefon zaterkotał po kilkunastu minutach.

– Nie – skłamałam.

– Jak to? Ty masz numer ukryty! Nigdy nie wiem, czy dzwoni jakiś akwizytor, czy moja perwersyjna Iga. W Norwegii byłem, wiesz, ponurkować. Nawet pod wodą o tobie myślałem... – zawiesił głos.

– Akurat! To pewnie mówisz też innym kobietom.

– Ho, ho, doszliśmy do pojęcia zdrady?

– Zostałeś mi tylko ty... Nie rozumiesz, jak to jest wyć do księżyca, jak to jest, gdy nie masz siły się podnieść! Potrzebuję cię częściej! – krzyknęłam niestety.

– Nie ma to jak popołudniowa urocza pogawędka... Tajemniczy, niewiadomy, zakryty, silny. To mnie do niego przyciągało. Ta niewiedza. To szukanie za i przeciw. Owszem, zawoalowany, ale tylko słabi mówią o sobie wszystko. Nadają tak bardzo, jakby tylko ich walnięte albo nudne życie było ważne. Uważają się za interesujących. A nie są przecież.

Jeśli chodzi o Sommera, niewiadoma była wzajemna. Nie wiedział, gdzie mieszkam ani nawet tego, jak się nazywam. Ha!

Nocą przyśniły mi się płaszczyki. Czarne, śliskie i ruchliwe. Oblazły mnie, nie dawały się usunąć. Zgarniałam je ręką, a one nadal po mnie łąziły, brrr, bardzo chciałam, by natychmiast odpadły z mojego ciała jedna po drugiej, śliskie, płaskie, ciepłe i wilgotne. By pacnęły o podłogę.

Ale się obudziłam.

## **Jesień 2007**

Na rozprawę rozwodową Leszek przyjechał osobiście, chociaż przewidywałam, że albo przyśle pełnomocnika, albo podda się walkowerem. Nie wałczył o mnie nawet w sądzie. Oczekiwałam, że nie przyzna się do winy. Powodem naszego rozwodu miało być między innymi zadłużenie firmy, niegospodarność. Leszek niczego z siebie nie wykrztusił, tak miał mnie dość. Zaledwie paręnaście minut czekaliśmy na korytarzu na ogłoszenie wyroku. Niedługo trwało uzyskanie formalnej wolności. Dziwne. Zresztą, skoro ślub można zawrzeć szybko, to i rozwód powinno otrzymywać się w tym samym tempie.

Nie było mi dobrze z nowym statusem, ba, cierpiałam. Daliśmy życie synkowi, wspólnie się dorabialiśmy. Nie tak miało być. Przez Stasia i (paradoksalnie) przez wspólne kłopoty będę z Leszkiem związana na zawsze. Nawet się nie pożegnaliśmy, zostałam sama na korytarzu jako podwójna rozwódka. Odchodził tym sądowym korytarzem i jednocześnie odbierał mi siebie. Patrząc na jego zgarbioną sylwetkę, przysięgłam sobie, że to na pewno będzie ostatni raz, kiedy oddała się ode mnie jakikolwiek mężczyzna. Wraz

z kłopotami zaczęłam rozumieć istotę miłości. Istotę bliskości i poszanowania. By brać, ale i dawać.

Po rozprawie wróciłam natychmiast do Złotniczek, niewielu wiedziało, gdzie i po co byłam. Ewa, Basia, Rysiu, no i mecenas. O rozwodzie chciałam też oczywiście poinformować Stasia, lepsza jest prawda niż udawanie (nawet przed takim maluszkiem), że jej nie ma. Ale nie wiedziałam, jak to zrobić.

W pustym i martwym domu nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Zachciało mi się pójść między ludzi, pogadać. Wprosiłam się do domu Adeli i Niny Renz. Przywitały mnie jak długo wyczekiwanego gościa.

– Pani Adelo, możemy zacząć od dzisiaj?

– Jak chcesz, drogie dziecko. Zapalę świecezki, nastroję dom. Chcesz poduchy pod plecy? Wiklina ich wymaga, inaczej gniecie w tyłek.

Oparłam się na poduchach, które ubrane w powłoczki z szarego lnu w różnobarwne kwiaty dawały wrażenie ciepła i wpisywały się w wiejski folklor. Chciało mi się siedzieć w domu Adeli. Kobieta z namaszczeniem zapalała świecezki w drewnianych domowych latarniach i świecznikach, których miała z kilkadziesiąt.

– Może i ty, Ninusiu, posiedzisz z nami? – Jak mamusia chce. A Iga długo u nas będzie?

– Długo, bo mi u was dobrze, lepiej niż u siebie – zapewniłam Ninę.

Adela uścisnęła moją rękę, to samo uczyniła Nina, małpując matkę. Pod powiekami poczułam łzy. Ich relacja była tak bliska, że aż zatęskniłam. Obie spojrzały na mnie, ale nic nie powiedziały. I dobrze, bo rozkleiłabym się. Absolutnie. Adela zaczęła od faktów.

– Pod koniec sierpnia 1939 roku Florek Leśniewski i mój ojciec wraz z innymi mężczyznami zostali powołani do wojska. Wsie i miasto opustoszały, wbrew temu, co się za chwilę miało wydarzyć, było pięknie, słonecznie. Po prostu upał. Szykowałam się, by po wakacjach wrócić do szkoły.

– Do tej we Wronczynie?

– A nie. Mieszkaliśmy wtedy w Pobiedziskach. Szkołą się nacieszyłam tylko przez kilka dni, bo 13 września 1939 roku wojska niemieckie zajęły wszystkie wsie w gminie. Przed wojną na tym terenie mieszkała przeszło setka Niemców. Później okazało się, że niemieccy gospodarze wiedzieli dużo wcześniej, że wybuchnie wojna. Byli perfekcyjnie przygotowani na naloty. Pomontowali w kominach lustra, by w ten sposób oznaczyć domy, na które nie należy zrzucać bomb. Gdzieś po miesiącu dowiedzieliśmy się, że mój ojciec i twój dziadek po kapitulacji, jak większość polskich żołnierzy, próbowali uciec do Rumunii. Nie udało się, bo ani jeden, ani drugi przez granicę się nie przedarli, schwytali ich Rosjanie. Wierzyłam dorosłym, którzy między sobą mówili, że wystarczy kilka dni, a Niemcy przegrają wojnę

i opuszczają Polskę jak niepyszni. Tymczasem zaatakowano nas z obu stron.

– Z Rosji wielu nie wróciło...

– Tak, ale naszym się udało. Na wiosnę 1940 roku przyszedł od mojego ojca pierwszy list. Że mamy się nie martwić, bo nie są już w Rosji, ale w niemieckich gospodarstwach, gdzie wprawdzie muszą ciężko harować, ale traktowani są dobrze. Rosjanie wymienili ich z Niemcami na swoich. To była wspaniała wiadomość. Żyli, więc trzeba było działać. Maria Leśniewska i moja mama jeździły do niemieckich bauerów z Pomarzanowic i z Kołaty, by się za nimi wstawili. Ci niemieccy gospodarze do wojny byli kolegami, wszyscy żyliśmy tutaj w zgodzie. Mój ojciec i Leśniewski mówili po niemiecku biegle, chodzili przecież do niemieckich szkół. Poreczyli. Była wprawdzie wojna, ale nie wszyscy Niemcy byli źli. Okrutni byli ci w brunatnych mundurach. Akurat zaczynały się żniwa, kiedy latem 1940 roku obaj wrócili.

– Czy to znaczy, że mój dziadek podpisał volksliste?

– Ależ skąd! Zarówno on, jak i mój ojciec byli patriotami. Tyle, że Niemcy poniekąd traktowali poznańskie jak część Rzeszy. Wrócili. Chociaż od początku wojny nie upłynął nawet rok, mój ojciec bardzo się postarzał. Zmienił mu się wyraz twarzy, stał się jakby pozbawiony uczuć, często się zamyślał. Wiele złego widział, to stąd, mówił, że najgorzej było w obozie

ruskim. Twoja babka tymczasem zachodziła w głowę, że nie mają żadnych wieści od Józefa. Florek też się martwił o brata i nawet w jego sprawie jeździł do Poznania, ale nic nigdzie nie wskórał.

– Nie wiedziałam o istnieniu Józefa! Z dziadkiem nigdy nie rozmawialiśmy o nim.

– Józef był od Florka młodszy, uczył się w szkole podchorążych w Dęblinie. Rodzina na niego postawiła, bo nauka wiele kosztowała. Florek też się dokładał. Józef po kapitulacji również uciekał, ale czy mu się udało, nikt nie wiedział. Wiosną 1940 roku Himmler wydał dekret, w myśl którego koloniści niemieccy bądź chłopci „krwi niemieckiej” z Generalnej Guberni po zniwach mają zostać przesiedleni do opuszczonych gospodarstw w Wielkopolsce. Zaczęto szykować dla nich gospodarstwa. W naszym regionie wiele rodzin wysiedlono, nas jeszcze nie, choć każdej nocy czekaliśmy spakowani. Od Bednarzy, którzy od zimy mieszkali w chełmskim, przyszły wieści, że dobytek trzeba ograniczyć, bo po drodze i tak Niemcy nas go pozbawią. Wiedząc o wysiedleńczych czystkach, mój ojciec i Florek pod osłoną nocy zakopali w swoich ogrodach pieniądze i kosztowności. Zakopane, ale nieodkopane. Po wojnie nic w naszym ogródku nie znaleźliśmy. Niestety.

– Przydałoby się przekopać ogród Buczków! Ależ mnie korci! – powiedziałam. – Myślę o powojennych skarbach. Dziadzio w stanie wojennym zdradził mi

tajemnicę o swoim „ziemskim banku”, chciał, żebym wiedziała, gdzie on jest na wypadek wojny.

– Jeśli nawet tam coś zostało, to albo zardzewiało, albo dawno straciło swoją wartość. Ileż to denominacji było po drodze? Zależy, od kiedy liczyć...

## 1977–1979

Z dziadkiem nigdy nie rozmawialiśmy o naszej rodzinie, być może dlatego widziałam ją pokracznie. Przez długi czas byłam przekonana, że świat składa się z rodzin takich jak nasza, gdzie kobiety są chore albo umierające, a mężczyźni lepiej lub gorzej pracują i muszą się opiekować swoimi żonami. Przywykłam do tej myśli.

Kilka dni po śmierci mamy skończyłam dziesięć lat. Już wtedy swoje doświadczenia dzieliłam na dobre i złe. Gdy żyła mama, niedziele w Poznaniu na Grobli były prawdziwym świętem. Jednak minęły czasy rosołów z kury i podsmażanego mięsa w koperkowym sosie. Zapomnieć miałam też smak smażonych ziemniaków z chrupiącą skórką. Zajadaliśmy je, popijając zsiadłym mlekiem. Grzyby w śmietanowym sosie... Ech...

W moim życiu zapadła głucha cisza. Kilka dni po pogrzebie ojciec zakomunikował, że w lipcu wrócimy do mieszkania na Grobli. Moja biała szkoła, droga do niej prowadząca, mój las, azyl, moje miejsce, ciepły cień na



drodze. .. Przyjaciele. Znów miałam się zegnać? Jak to?!

We wronczyńskiej szkole siedziałam w drugiej ławce, w bibliotece wypożyczałam książki, których było mi mało i mało, znosiłam do domu dyplomy za sukcesy czytelnicze. Na koniec roku szkolnego, w czerwcu, przyniosłam książkę – nagrodę za bardzo dobre wyniki w nauce. Dziadek, tak bardzo nieskory przecież do wylewności – wystarczyło, że spojrzał, a ja wiedziałam, że jest dumny. Był dumny. Zaprzągnął konie do bryczki i pojechaliśmy w pole, bym tam, wśród zbóż, traw, rzepaku i kukurydzy czuła to samo co on. Miłość. I ja ją czułam wtedy.

Wraz z przewodniczką do Poznania skończyły się wyjazdy w pole i kolacje z dziadkiem, opowieści o wojnie, o życiu. Pożegnałam się ze wszystkim, co kochałam. Ojciec robił naprawdę wiele, żebym zapomniała o wsi i o tym, czego się tam nauczyłam, że ziemię trzeba kochać. Posłał mnie na lekcje gry na harfie. Mimo wszystko spodobało mi się to, a nauczyciele chwalili mnie za okazywanie emocji.

Jednak podczas wakacji, podobnie jak to miało miejsce wcześniej, opuszczałam Poznań i przenosiłam się na wieś. Nic nie było ważne, żadne obozy wędrowne, kolonie, półkolonie. Wracałam jak do domu, witała mnie Ewa, znów zaczynałyśmy nasze młodzieńcze ekscesy. Czasem pojawił się Kosma, ale wtedy już wstydził się z nami obiema spotykać.

W 1979 roku zaniedbane gospodarstwo samotnej i leciwej Kruszewskiej przejęła dużo młodsza wdowa po bogatym pobiedziskim kupcu, Adela Renz. Ludzie opowiadali, że Karol Renz nabył sporo ziemi przed śmiercią, podobno ale tylko w Złotniczkach. I co mu z tego przyszło? Po co to kupować, skoro wiadomo, że kiedyś się umrze? Nie było mu dobrze w mieście, gdzie i sklepy, i dworzec kolejowy, kościół, szkoły, a nawet kino było w pobliżu, a w sobotę można było potańczyć w świetlicy Domu Kultury?

Adela Renz nie mieściła się w kanonie ówczesnych wdów, ubrań czarnych nie nosiła, a i swojej Ninie zakazała. Ponoć, tak mówiono, żałobę w sercu nosiły, i to miało wystarczyć! Adela od razu zapoznała się z mieszkańcami wsi, była odważna i nie bała się nowych znajomości. Kiedyś do swojego domu zaprosiła mojego dziadka, mówiąc, że na winko własnej roboty.

Ucieszyłam się. Renzowa była wdową w wieku nieokreślonym, chyba sporo od mojego dziadka młodszą. On, wdowiec, a ja chciałam mieć wreszcie babcię. Nawet czyniłam zakusy, choć odkąd pojawiła się we wsi, zawsze się z niej śmiał.

– Podoba ci się pani Adela? – pytałam.

– To babochłop i ma swoje poglądy. Zawsze je miała, nawet w czasie wojny.

– Znaliście się wcześniej?

– Wojnę razem przeżyliśmy. Wyszliśmy.

– Tak? A gdzie? Nigdy nic o wysiedleniu nie mówiłeś.

– Bo co tu gadać?! Nie ma co. Była nastoletnią dziewczynką, a już miała swoje zdanie na każdy temat i zero pokory. Nawet mężczyznom potrafiła się przeciwstawić.

– Jeśli chcesz, żebym i ja była jak chłopak, musisz zdać sobie sprawę, że też będę miała swoje poglądy!

– Ty to co innego, jesteś moją wnuczką i masz być twarda.

Renzowa o polityce mówiła jasno, wcale się nie bała. Prędko wyszło, że i na prowadzeniu gospodarstwa zna się jak nikt, byli tacy, co na sołtysa ją chcieli, ale tych wtedy nie wybierało się w demokratycznych wyborach. Żałowałam bardzo. Za nic miałam ostrzeżenia dziadka, żebym nie starała się o zażyłość z Adelą Renz.

Postanowiłam postarać się o tę przyjaźń!

– Najlepiej skrop się święconą wodą, żeby nie rzuciła na ciebie czaru! – Zachichotałam.

– Baba mną nigdy nie będzie rządzić! – burknął i zapalił papierosa.

Ha! A to akurat była nieprawda! Byłam babą i mimo to nim rządziłam. Wiedziałam doskonale, że kocha mnie po swojemu i nigdy nie skrzywdzi, a oschłością jedynie

kamufluje samotność. Nieraz, leżąc wieczorem w łóżku, widziałam jego cień na ścianie kuchni. Nie mógł spać, siedział przy stole, głowę opierając na dłoniach. Bywało, że do rana.

Tamtego lata często zaglądałam do Adeli Renz. Razem z córką stworzyły piękny dom w tym szarym czasie. Na sufitowych pobielonych belkach suszyły się wiązki różnych ziół i kwiatów. Wisiały też wieńce suszonych grzybów i sznury drewnianych koralików różnego koloru. Na jednej ze ścian kapelusze. Białe słomkowe, czerwone z filcu, a nawet niebieski zrobiony na drutach. Różne fasony.

– Korzystaj, Iguniu, z dzieciństwa, z młodych lat, ile możesz. Ja niestety takiej możliwości nie miałam – doradzała mi Adela.

– Wolę zarobić trochę pieniędzy.

– Dziewczyno kochana! Jeśli po to, by spełnić swoje marzenia, to też dobrze...

Jesienią znów opuściłam Złotniczki, wróciłam do Poznania i zaczęłam naukę w szkole. Ojca, zatopionego w żałobie po mamie, nic już nie było w stanie bardziej załamać. Nie dbał ani o mnie, ani o siebie.

**Jesień 2007**

I ja nie dbałam o siebie. Odkąd rozwiedliśmy się z Leszkiem, minął miesiąc. Nie widziałam się z Ludwikiem, nie kontaktowałam się z Olą, Staś był obok mnie, ale Basia częściej niż poprzednio zaglądała do Domu Złudzeń. Po prostu chciała mieć nas na oku. Najchętniej powtarzałyby te swoje: „A nie mówiłam?”.

Był październik. Ogłoszono przedterminowe wybory, zmienił się rząd. Mnie nie pasjonowała polityka. Miałam swój mały parlament, swój lud, swoją niewielką ojczyznę, swoje dekrety, nieprzegłosowane ustawy i inne jeszcze gorsze przegrane.

Byłam zmęczona, bez sił, mimo że codziennie słuchałam kolejnego nagrania, jakie stworzył dla mnie psychoterapeuta. Ciepły, męski głos wbijał mi do głowy, że sama uporam się z problemami, znajdę siły, po prostu wygram, jeśli będę tego bardzo chcieć. Same pozytywy. Wmawiał mi albo wróżył. Szarlataństwo. Przy słowach, że dokonam tego sama, zawsze ledwo co opanowywałam szloch. Jednak po kilkunastu dniach zauważyłam, że systematyczna codzienna terapia sprawia, że staję się organizmem bez emocji, bez zmian nastroju, tym samym (w moim przekonaniu) bez duszy. Przestałam się miotać we własnym ciele i rzeczywiście zaczęłam odkrywać w sobie jakąś głęboko schowaną do tej pory siłę. Zawodowo stawałam się coraz bardziej cyniczna i jednocześnie mniej spontaniczna. Nie bałam się już tak bardzo, choć każdy telefoniczny dzwonek zwiastował

niebezpieczeństwo. W ciszy wysłuchiwałam gróźb firm windykacyjnych, podawałam numer telefonu Leszka, po czym grzecznie się zegnałam i rozłączałam.

Kiedyś każde stuknięcie lub szmer sprawiały, że trzęsły mi się nogi, a tymczasem, gdy wszystko powinno stawiać mnie do pionu, nic mnie już nie przerażało jak dawniej. Sama odbierałam Stasia z przedszkola albo przywoziłam go od Jagny, albo od Basi, po czym zamykaliśmy się w Domu Złudzeń w części mieszkalnej. To była nasza twierdza. Nikt niepowołany po firmie ani po części prywatnej się nie kręcił. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że to była ucieczka, ale jakże słuszna. Musiałabym każdorazowo okazywać się papierami, dokumentować rozwód i rozdzielność majątkową, odbywałoby się to w obecności pracowników, a często synka. Wiem, że Staś się bał, zauważyłam, że chodzi po domu na palcach. Zapytał mnie kiedyś, co się stanie, gdy wyważą drzwi. Powiedziałam, że nic, że założymy czapkę niewidkę. Uśmiechnął się, ale ja wiedziałam, że w czapkę, która czyni ludzi niewidzialnymi, nie uwierzył wcale.

Wieczory spędzaliśmy w pokoju, którego okna wychodziły na ogród i z którego światła nie było w ogóle z drogi widać, jedynie posesję sąsiada i jego gołębnik. Czasem w pustych i ciemnych pokojach bawiliśmy się w chowanego albo słuchaliśmy, czy echo ma podobny głos do naszych. Bywało, że przy świeczce graliśmy w dziecięce scrabble. Co ja się wtedy nudawałam?!

Przegrywałam, bo Staś tolerował wyłącznie zwycięstwa. Gdy któregoś dnia przegrał, przez nieuwagę wyłącznie, był tak niespokojny, że rzucał się w nocy w łóżku i popłakiwał.

– Jak to jest, gdy się jest dorosłym, a jednak się przegrywa? – zapytał mnie kiedyś.

Nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie tak, by dzieciaka nie przestraszyć życiem. Milczałam.

\* \* \*

Był kolejny jesienny wieczór. Leżałam już w łóżku i wpatrywałam się w belki na suficie, kiedy zaterkotał telefon. Odebrałam zaraz po pierwszym sygnale. Telefon po dwudziestej drugiej podnosił mi natychmiast ciśnienie. Spodziewam się najgorszego, najbardziej tragedii dotyczącej Oli. Nawet nie spojrzałam na numer, który się wyświetlił, po prostu wcisnęłam guzik.

– Cześć. – Usłyszałam. Ufff. Nareszcie.

– Dlaczego znikasz, gdy najbardziej ciebie potrzebuję? – Tymi słowami wyrzuciłam z siebie całe napięcie.

Ludwik milczał, nic nie odpowiedział. Jest takie powiedzenie: „Nie mów od razu, bo a nuż powiesz prawdę”. Natychmiast mi się przypomniało.

– Po prostu mieszkam gdzieś indziej – odrzekł w końcu.

– Udaj, że mnie kochasz, udaj, że pożądasz, zrób to dla mnie...

Znów cisza. Czasem mi się zdawało, że Ludwik się mnie po prostu boi.

– Nie sprowadzaj pożądania do poziomu potrzeby – wykrztusił w końcu.

– Myślałeś kiedyś, co zrobimy z tym, *co* nas łączy?

– Musimy coś robić? Tym razem ja zamilkłam.

– Igo, czasem nie wiem, jak z tobą rozmawiać. Od początku grałem czysto, w luźnej radosnej tonacji durowej, bez alikwotów.

Chciałam wreszcie coś wiedzieć, coś zaplanować, być czegoś pewna. Chciałam – wbrew temu, co kiedyś postanowiłam – widywać Lutka częściej, generalnie być bliżej. Ciągle mi się wymykał. Nic nie było pewne. Uczucie do tego igrającego ze mną łysola wymknęło się spod mojej kontroli. Zrozumiałam, że po prostu za nim tęsknię.

– Zabierz mnie stąd na kilka dni! – Byłam bezczelna. Tego wieczoru chciałam, by mnie potrzebował tak samo jak ja jego. Zasnął przy mnie nieraz, ale gdy było po wszystkim, to ja pierwsza zbierałam manatki i znikałam. Powiedział kiedyś, że jestem dobrym człowiekiem, po prostu. Powiedział też, że na świecie przeważa zło. Nie



wiem. Ale potrzebowałam, by zasłonił mnie przed burzą.

– Dokąd? – zapytał, czym wyrwał mnie z zamyślenia.

– Do Positano? To bardzo daleko stąd. Dlatego tam, że daleko.

– No właśnie. Daleko.

– Wiesz, jak to jest, gdy ci wszystko spada na głowę?

– Nie przesadzasz?

– Nie.

– Oj, zadzwonię, jak nie będziesz tak enigmatyczna. Niech ci się przyśnią konfitury jedzone palcem prosto ze słoika.

Nie rozmawialiśmy nigdy o uczuciach, o tym, co nas łączy. Spotykaliśmy się, bo oboje tego chcieliśmy. Do diabła! Ludwik jest inteligentny, musiał wyczuć, że coś się zmieniło, znał się znakomicie na psychice osoby w panice. Dlatego warto było od czasu do czasu gnać do niego. Dla tego poczucia zrozumienia.

\* \* \*

Od tej nocy, gdy poprosiłam Ludwika, by zabrał mnie do Positano, minęło kilka dni, kiedy w moim telefonie rozległ się brzęczyk. Tym razem Ludwik nie kluczył i nie silił się na rozmowę z podtekstem.

– Możemy się spotkać w Castiglioncello.

– Super. Na jak długo? – Zaskoczył mnie. A raczej ucieszył.

– Parę dni.

Od razu mnie uprzedził, że żonę zawiezie do znajomych w Livorno, a stamtąd do Castiglioncello jest bardzo blisko. Przy takim obrocie spraw mógłby zarezerwować pokój w niewielkim hotelu, póki co na wybrzeżu Włoch jest jeszcze dwadzieścia stopni ciepła. Wiedziałam, że jakoś zdobędę pieniądze na ten wyjazd, choćbym miała wyciągnąć je spod ziemi. Nieważna była jakaś żona, ogony po mojej stronie, nic, liczyło się tylko to, że spędzimy kilka dni z dala od Złotniczek. Nie, nie czułam się tą „trzecią”. Wciąż miałam w głowie zmodyfikowane postanowienie z początków naszej zażyłości. Gdy już nie będzie mi potrzebny, rozstaniemy się.

Tak... Jednak było nieco inaczej. Owszem, to ja chciałam dawać siebie, swój czas, uwagę. Po prostu dawać, ale do diabła (!), oczekiwałam przecież wzajemności!

\* \* \*

Kilka dni później przypomniał się krótkim e-mailem. Zaledwie kilka słów – **Czekam w C.** – L. Doskonale

wiedziałam, o co chodzi. Szukałam lotów, koniecznie chciałam dotrzeć na wybrzeże Etrusków na czas. Wysupłałam ostatnie pieniądze na bilet i pożyczyłam kilkaset euro od Basi, by podczas seksualnego wypadu nie umrzeć śmiercią trywialną – z głodu.

Ludwik czekał na mnie w Livorno. Stamtąd nadmorską promenadą sunęliśmy wynajętym autem w kierunku Castiglioncello. Po drodze musiałam wysłuchać opowieści o idiotach – topowych ekspertach ekonomicznych. Brzęczał, co wydało\* mi się nieadekwatne do sytuacji. Miał bzika na punkcie polityki i biznesu.

Udało mi się przerwać ów monolog i tym razem ja zaczęłam klepać te swoje bzdety o nas. Ludwik prowadził auto powoli, bez fantazji, w skupieniu. Ja dalej trajkotałam, że tym razem Toskanię odbieram inaczej niż kiedyś, jako nagrodę.

– Mimo wszystkich nieszczęść, jestem z tobą tutaj szczęśliwa, wiesz?

– Tak? – Ludwik spojrzał na mnie i podniósł brew. Ludwik, szczuplejszy niż kilka tygodni wcześniej, opalony, w czarnym t-shircie i jeansach prezentował się równie dobrze jak w garniturze.

– Myślałeś kiedyś o rozwodzie? – Złapałam go za kolano.

– Nie.

– Pomyśl. Wiem już, że wprawdzie nieco poboli, ale potem przestaje. Rozwiedź się dla mnie. Chcę wypatrywać z tobą świtu, wstawać znacznie wcześniej niż kury. Siadalibyśmy na progu naszego domu i milczeli. Wyobraź sobie. Jesienią oboje obserwujemy, jak sikorki żebrzą, a w letni wieczór wsłuchujemy się, czy przed nocą cichnie las.

– Jesteś ubzdryngolona, Ignacjo?

– Mam na imię Iga!

Nadal majstrował przy tym odgradzającym nas murze, a ja znów między nogami poczułam wilgoć. Będąc w Złotniczkach, nieraz go przeklinałam i chciałam wykasować całą naszą korespondencję e-mailową oraz wszystkie SMS-y. Ogarniał mnie taki gniew, takie zniechęcenie, taka pogarda dla siebie, jednak byłam pewna, że samotność Ludwika jest bardzo podobna do mojej. No cóż, ten obrzydliwie niekliwy romans totalnie mnie wyjąławiał. To ja, ratująca fortunę rodziny, mam teraz polec z powodu uczucia do łysego, ponoć ekonomicznego eksperta, niby nurka, z dużymi uszami?

Jadąc z Livorno drogą przy morzu, po kilkunastu minutach dotarliśmy do Castiglioncello, a potem do niewielkiego hotelu. Usytuowany pośród lasu piniowego, niedaleko od kamienistych plaż zapraszał, obiecując chór cykad i szum morza.

Tej nocy było mi milej niż zawsze. Wszystko miało

inny wymiar, inny zapach i inne wrażenia. Byłam wyluzowana i miła. Kochaliśmy się długo i satysfakcjonująco. Nocą wyszliśmy do piniowego lasu zawłaszczyc dla siebie zapachy. Ciepły deszcz sprawił, że ziemia w lesie była miękka, nieco rozmokła, parowała. Położyłam się na niej, a deszcz zmywał z mojego ciała wszystko co złe. Ludwik położył się obok mnie i delikatnie wziął mnie za rękę. Mokrzy wróciliśmy do hotelu, gdy już świtało.

Wyjeżdżając ze swojego domu, generalnie ze Złotniczek, zawsze czułam ulgę. Tym razem też. Mimo trudów lotu do Włoch, mimo niepewnej miłosnej przyszłości, w Castiglioncello byłam szczęśliwsza niż kilka miesięcy temu, jeszcze za czasów dobrobytu. Nie wychodziliśmy z hotelu przez parę dni. Ludwik i ja. Nie oddalaliśmy się. Pierwszego dnia wyłączyłam komórkę i tak zostało do końca pobytu na Wybrzeżu Etrusków.

Uciszyłam myśli o dramatach. Znów dotykałam słońca.

\* \* \*

Gdy wróciłam do Polski dzień później niż obiecałam, dowiedziałam się, że bali się o mnie. Wezwali z Warszawy Olę, która drogę do Złotniczek przebyła w ciągu trzech godzin. Zawsze jej mówię, że za szybko

jeździ! Wzięła Stasia i oboje poszli do Domu Złudzeń. Tam, jak Staś opowiadał Basi, gdy nikt nie otwierał drzwi, zaczęli najpierw pukać, a potem w nie kopać. Bo przecież ja na pewno wróciłam i znów zamknęłam się przed światem. Kopali w drzwi, aż wszystkie psy we wsi zaczęły szczekać, a potem wyć.

Gdy wylądowałam w Poznaniu, włączyłam telefon i zadzwoniłam do Basi, nie zdając sobie sprawy, jakiego zamieszania jestem sprawczynią. Jakże byłam nieodpowiedzialna! Znów nikt mi nie powiedział złego słowa. Tylko musiałam obiecać, że od tej pory będę mówić, dokąd jadę, z kim i kiedy wrócę.

Gdy się wykapałam, wypakowałam i odsapnęłam po podróży, siedliśmy we trójkę i zaczęliśmy rozmawiać. Staś wdrapał mi się na kolana i ciągle całował, w policzek, w szyję, po rękach. Był szczęśliwy. Byliśmy szczęśliwi. Oli dawno nie widziałam. Co innego słyszeć przez telefon, a co innego widzieć własne dziecko i móc przytulić. Nie chciałam, by przyjeżdżała do Złotniczek, wolałam pojechać do niej do Warszawy. Nie chciałam jej upaprać błockiem, w jakim tkwiłam. Moja Oleńka. Była taka szczupła, pod swetrem odznaczały się tylko wystające łopatki, nos jej się wydłużył, jeansy trzymały się wyłącznie na pasku. Wkręciła się w te treningi do triathlonu. Po co?

– Olu! Naprawdę mogłabyś kilka kilogramów przytyć!

– Mam w ciele tylko dziesięć procent tłuszczu – oznajmiła z dumą. – Mamo, czas, byś przestała żyć w fałszywym przekonaniu, że człowiek zdrowy i sprawny musi być tusty. Nic bardziej błędnego. Ty też zacznij wreszcie biegać. Nie musisz od razu robić wielu kilometrów, zacznij od kilkuset metrów, a potem codziennie systematycznie wydłużaj dystans. Kup sobie odpowiednie obuwie do biegania, nie do trekkingu. Też nie mogą to być zwykłe sportowe buty, bo od razu strzaskasz sobie stawy.

– Żartujesz, po stu metrach chyba bym się zrzygała z tego wysiłku.

– Ja też na początku byłam przerażona i nie zdawałam sobie sprawy z tego, ile muszę wytrenować, wypłakać, ile wywalczyć ze sobą. Teraz tyłek mnie boli dopiero po trzech godzinach jazdy rowerem. Mogę przebiec dwadzieścia kilometrów i już nie mam rozwolnienia ani nie boli mnie żołądek. Mamo, spróbuj.

– Nie mów mi rzeczy będących dowodem na to, czego się boję. Że twój organizm się w końcu zbuntuje. Boję się o ciebie. Mało mam stresu i kłopotów?

– Ależ właśnie o stres chodzi. Gdy biegasz, masz inne podejście do życia, zaczynasz w siebie wierzyć, poza tym po wysiłku wydzielają się endorfiny, czujesz się wspaniale.

I właśnie dla tego uczucia warto trenować. Po

treningu jesteś na emocjonalnym „haju”. Naprawdę, to działa. Ojciec tak się zawziął, że raz z Powiśla musiałam go zbierać, bo nie miał siły wsiąść do auta. Po prostu wziął za duży dystans. Ale jak dotarł do domu, chwilę odpoczął i był wniebowzięty. Opowiadał o tym każdemu. A teraz oboje z macochą zapisali się na półmaraton. Można? Można.

– Ja też chcę startować! – wykrzyknął podniecony rozmową Staś.

– Jest triathlon kids, ale chyba jesteś jeszcze za mały, najpierw dorośnij. Mamo, obiecaj mi, że się za siebie weźmiesz.

Obiecałam. I za chwilę o przyrzeczeniu zapomniałam.

Zapomniałam, bo zaprosiła nas do siebie na wino Adela Renz. Purpurowe, z czerwonych winogron, dojrzałych w pełnym słońcu zeszłorocznego upalnego lata, z czereśni, wiśni, aronii i czarnej porzeczki.

Rozgościliśmy się w salonie, z drugiego pokoju słychać było muzykę Albiniego. Patrzyłam na wino pod światło, było klarowne, ciemne. Na języku – dość ciężkie, nieco cierpkie, mocne.

– Chciałabym mieć taką babcię jak Adela Renz – powiedziała Ola po powrocie do domu.

Tak jak i ja kiedyś!



Wieczorem zasnęliśmy we troje na jednym łóżku, po jednej stronie miałam Olę, po drugiej Stasia. Spali, ale nadal trzymali mnie za rękę. Ja zaś musiałam opanować wzruszenie, by nie wyszło, że jestem wystraszoną i łkającą bohaterką powieści sensacyjnej, być może z happy endem. Wyswobodziłam rękę, wstałam i nie zapalając światła, wyciągnęłam z za szafy harfę. Postawiłam ją obok łóżka. Byliśmy w komplecie.

Tej nocy spałam bez tików nerwowych, bezdechów, a także bez metaforycznych snów.

\* \* \*

Następnego dnia Ewa przyniosła mi pęto kiełbas i kaszanke własnego wyrobu. W domu zapachniało majerankiem i jałowcem. Wszystko było smaczne, tym razem nie miałam nic przeciw. Pokroiłam kiełbasę w plastry i zjadłam do ostatniego. Ewa uśmiechała się lekko, jak to ona, a potem powiedziała coś zastanawiającego, w sposób, jakby była skrepowana swoimi słowami:

– Jesteś zakochana.

– W kim?

Mogłam się zakrztusić z wrażenia!

– Nie wiem, w kim, ale wiem, że jesteś.

– To widać?

Przypomniał mi się mój powrót do Złotniczek w 2003 roku. Był maj. Kwitły akacje, pachniało. U Bednarzy zza betonowego płotu zwieszały się ciężkie kwiaty białego bzu. Wracając do wsi po latach, nie spodziewałam się, że niecały rok wcześniej do Złotniczek wróciła też Ewa Dyduch. Znów znalazłyśmy się obok siebie, nic się nie zmieniło, nie podzieliły nas lata różnych doświadczeń ani jakże odmienny materialny status. Znów byłyśmy dziewczynami z hyczkowego zaułka.

– Jesteś zakochana. To widać po twoich oczach. – W ten sposób mnie wtedy przywitała.

– Tak. – odpowiedziałam krótko, nie chciałam zapeszać. Było nam z Leszkiem tak dobrze. – Dlaczego nigdy nie szukałaś ze mną kontaktu? – zapytałam, zmieniając temat. – Tyle lat, tyle rozmów przemilczanych.

– Wiem. Byłam niedaleko, mieszkałam w Poznaniu, ale moje życie z tamtego okresu jest nie do opowiedzenia. Przez ostatni rok zrobiłam więcej ważnych rzeczy niż dotąd. – Zaczęła się śmiać.

Czy miała rację, mówiąc w ten sposób? W samotne zarabianie na dom zaczęła się bawić od razu po ślubie, w separację – po trzech latach małżeństwa, a wdową została w tym samym czasie, co nowi niemieccy właściciele fabryki zredukowali ją i jako ten „socjalistyczny przeżytek” musiała odejść z firmy,

w której była zatrudniona przeszło dwadzieścia lat. Na szczęście odeszła z dużą odprawą.

Męża pochowała z pompą, stypę mu wyprawiła, choć bab i nieślubnych dzieci miał w nadmiarze, ale żonę kościelną jedną i dzieci z prawego łóża tylko dwoje. Niemoralnego nieboszczyka Ewa ulokowała na wronczyńskim cmentarzu, przez co świeczkę na grobie na święto zmarłych zapala mu tylko ona. Wreszcie nie dzieliła go już z żadną inną! Ich dzieci przy grobie ojca nie pojawiły się nigdy. Uważały, że był skurwysynem. Nie ojcem. Skurwysynem.

– No cóż. Stary dom rodziców w Złotniczkach stał się moją szansą. Wymogłam na nich pozwolenie na dobudowanie piętra, zgodzili się w końcu, gdy obiecałam, że spłacę siostrę.

Spłaciła, chociaż trochę czasu wymagało, aby poszli do notariusza przepisać dom na Ewę, bo pierwotnie miało być „na gębę”. Wybudowała swoje gniazdko na górze, nad speluną Dyducha i nad miejscem spędzania kiepskiego życia przez Dyduchową. Zleciła ocieplenie domu styropianem, ozdabiając drzwi i okna gzymsami. Kazała otynkować na różowo.

Ja miałam Leszka, ona nikogo. Ona przy sobie dwoje dzieci, ja tylko jedno. Drugie, niestety, daleko. Mój ojciec nie pił, a umarł, jej pił i truł.

– No i masz swój domek, czystą małżeńską kartę,

w rubrykę „mąż” możesz śmiało wpisać „nieboszczyk” – powiedziałam. Chciałam, by dostrzegła „plusy”.

– Nago go pochowałam.

Gdy wreszcie jej słowa do mnie dotarły, i co najważniejsze, gdy to sobie wyobraziłam, zaczęłam chichotać.

– Całkiem nago, bez butów, bez majtek, bez niczego. Ręce mu tylko oplotłam różańcem – dodała.

Dawno się tak nie śmiałam, nie mogłam się uspokoić. Ewie też lekko drżały kąciki ust. Było jak dawniej, jak podczas zabaw w starym gracie Dyducha. Nic się nie zmieniło.

– Dobrze, że jesteś, Teksańska – powiedziała Ewa. „Teksańska” – tak nazwali mnie we wsi, bo jeździłam konno i paradowałam w oryginalnych kowbojkach i skórzanym kapeluszu.

Kolejnego dnia wstałam wcześnie, zawiozłam Stasia do sióstr zakonnych, już się z nimi zaprzyjaźnił. Wróciłam i w firmie zabrałam się za przeglądanie poczty. Na biurku zastałam kilkanaście pism sądowych adresowanych do Leszka.

– Kto potwierdził odbiór tych pism? – Wyszłam wściekła z gabinetu, trzymając w ręce wachlarz listów.

– Ja – odpowiedziała Grażyna Chraplak.

– Chraplak to chyba nie Podkańska? Nieprawdaż?

– Nie.

Przełknęłam takie jedno nefajne zdanko. By wyładować złość, zadzwoniłam do byłego męża i zaczęłam krzyczeć, by natychmiast podał wszem wobec, że nic nas nie łączy, jesteśmy po rozwodzie i mamy rozdzielność majątkową.

– Dobrze być doradcą, prawda?

Jakim, kuźwa, ja jestem doradcą? Działam, walczę, ryzykuję. Trzasnęłam telefonem, założyłam kurtkę, wsiadłam na rower i pognałam do lasu. Musiałam natychmiast gdzieś wykrzyczeć swoją rozpacz i rozczarowanie życiem. Krzyczałam i waliłam głową w pień brzozy, straciłam równowagę, ale mimo to wciąż wyrywał się ze mnie krzyk rozjuszonego zwierza. W końcu bez sił opadłam na trawę i zaczęłam płakać. Tak zastał mnie zmrok. Nie bałam się złowrogiego lasu, było mi wszystko jedno. Po jakimś czasie pozbierałam się i wsiadłam na rower.

Wracając, zajrzałam do Nadrożna. Staś szykował się do snu, pogadaliśmy chwilę, ale nie chcąc w jego życie wprowadzać dalszego zamętu, odjechałam. Dobrze, że miałam sztab opiekunek do dziecka. Co by było, gdybym sama zajmowała się synkiem i firmą naraz? Wróciłam na wieś, weszłam do domu i od razu, bez zdjęcia kurtki, zaczęłam otwierać wszystkie listy, układać nakazy zapłaty po jednej stronie biurka, wezwania po drugiej. Zbierało mi się na mdłości. W końcu poszłam za radą Leszka –

palnąłam to wszystko razem do kominka i podpaliłam. Ogień wylizał je szybko. Zamknęłam cały horror za kominkowymi drzwiczkami, a kiedy ogień dogasał, zjadłam dwie tabletki nasenne i położyłam się w ubraniach do łóżka.

Spałam dłużej niż zawsze. Dopiero po śniadaniu włączyłam telefon komórkowy. Natychmiast wyświetliła mi się wiadomość od Ludwika:

Igo, nie myśl, że jestem podły. To nie tak. Ale muszę Cię poprosić, byś nie snuła planów. Nigdy nie będziemy razem w takim pojęciu, jakie masz na myśli. Przemyśl, czy taki wariant Ci odpowiada. Ludwik.

To był cios w samo serce. W ogóle nie będziemy już nigdy razem? Poniosły mnie emocje i odpowiedziałam od razu:

Gratuluje precyzji. Jeśli strzelać, to w samo serce, do tego zaocznie. Wariant bez ciebie jest okrutny, ale bij dalej.

Odpowiedź była lakoniczna: Bądź moją kochanką. To wszystko.

Gdy po południu Basia przywiozła Stasia, miałam zaczerwieniony nos, rozczochrane włosy i opuchnięte od płaczu oczy.

– Mamo, jak ty wyglądasz! Ola miała rację. Nawet zakładnica mi dzisiaj potwierdziła, że nie jesteś za stara na bieganie. Siostra Madonna została triathlonistką, jak miała

czterdzieści dziewięć lat! Musisz zacząć biegać!

– No, jeszcze ty! Siostra Madonna miała chody w niebie.

– Musisz postanowić coś o bieganiu.

Tak. Postanowiłam zaprząć konie do bryczki, chociaż wcześniej nie miałam takiego zamiaru. Nie chciałam, by mi dzieciak ciosał kołki na głowie. Byłam napięta i rozdrażniona, potrzebowałam się jak najszybciej wyciszyć.

Staś natychmiast wstał. Lubił starą bryczkę z czerwoną tapicerką na siedzeniach, nie wybrzydzał, choć nikt się tak niemodnym pojazdem w okolicy nie poruszał, tylko my. I nie wszędzie. Wyłącznie po drogach polnych i leśnych.

– Dziecko zostanie w domu. – Basia obrzuciła mnie spojrzeniem, od którego można było dostać kolki.

Pojechałam sama. Cichy kościół bez ludzi w środku. Czym dla mnie jest? Antidotum? Miejscem odkupienia? Ucieczki? Nie byłam religijna, nie byłam praktykująca. Ale czy można było mnie uznać za stuprocentową ateistkę? Też nie. Do świątyń zaglądałam, gdy były puste, potrzebowałam czasem zrobić rachunek sumienia, a niewątpliwie byłam najbardziej szczerą, gdy czyniłam to przed bytem niematerialnym.

*Spraw, bym miała siłę, spraw, bym szła odważnie i się nie lękała. Będę grzeszyć, będę błądzić, inaczej*

*przecież nie potrafię. Nie potrafię i żyć, i nie grzeszyć, jednak chcę, muszę być lepsza.*

Z kościoła nie pojechałam do domu, skręciłam w drugą stronę. Cmentarz. Poradzić się? Dialog z umarłymi jest bzdurą? *Tylko głupcy nie walczą.*

Gdy wracałam, przed Akacjowym Domem wysiadały z auta modelki ubrane w kolorowe haftowane kozuchy. Przeskakiwały wyboje na drodze jak stadko kózek.

– Basia przed chwilą powiedziała, że wieś jest odmłodzona. Co to znaczy? – zapytał Staś, gdy wróciłam do domu.

– No, jakby... Chyba miała na myśli modelki i fotografów. Basieńko, czas, byśmy pomyślały o świętach. Zawsze wy wyprawialiście, ale tym razem ja chciałabym was zaprosić na Wigilię. Oli nie będzie, mało nas, a tutaj jest przytulniej. No i chciałam się sprawdzić w roli gospodyni.

Basia nie powiedziała „nie”.

## **1980**

Całe lato 1980 roku Ewa i ja pracowałyśmy na polu dziadka, jednak już za pieniądze. W wolnym czasie odwiedzałam Adelę Renz, ona miała mi zawsze dużo do zaoferowania. U niej nauczyłam się szyć na prawdziwej



maszynie, haftować kwiaty na lnie, dziergać na szydełku i na drutach. Nawet tkąć kilimy. Gdy chciałam się ładnie ubrać, sama tworzyłam kreację. Na zimę wydziergałam z resztek włóczki suknię z wielkim golfem i Lady Godiva na piersi. Na jesień uszyłam lżejszą, z płótna, długą do ziemi, była zielona i miała czarne skórzane aplikacje. Na lato zaś żółtą z płótna, ze spódnicą z koła. Czułam się wystrojona.

Basia, która w tamtym czasie prowadziła w Pobiedziskach niewielki sklep odzieżowy, zabierała mnie ze sobą, jadąc do rzemieślników po towar. Kiedyś nawet zabrała mnie do krawca do Warszawy. Krawca gwiazd! Powitał mnie i Basię pocałunkiem w policzek, chwycił za ręce i cieszył się z naszych odwiedzin. Oj, jak on pięknie się cieszył!

– Jak dobrze! Jak dobrze! Moja pani Barbara chce nadal taki szmat drogi do mnie przyjeżdżać, piękną młodą dziewczynę do mnie przywożąc?! Cieszę się niezmiernie, bo ja się zżywam z moimi klientami. O, proszę zobaczyć, ten czerwony płaszcz szyłem klientce osiem lat temu. Tkanina jest ciągle w znakomitej kondycji, fason też nie wyszedł z mody, ale podszewka się wytarła. Więc wymieniam na nową. Czekał na swoje drugie życie, teraz znów będzie jak nowy – powiedział, sunąc ręką po grubej czerwonej tkaninie damskiej dyplomatki, bez żadnego zmechacenia.

– Pamiętajcie kochane, prawdziwy krawiec szyje

tylko dwie rzeczy naraz. Nie wolno się spieszyć, dzieło musi być Wypracowane. Każde dzieło.

Krawiec ów był niewysokim, drobnym, starszym mężczyzną w staromodnych okularach. Jego pracownia, znajdująca się w głębokiej piwnicy domku jednorodzinnego na Saskiej Kępie, zarzucona była skrawkami różnych materii, nici, muster, drewnianych miar i papierowych wzorników kołnierzy. Pełno tam było flizeliny i innych usztywniaczy. Stały dwa manekiny. Na drewnianym pajacu wisiał czarny płaszcz, jeszcze bez rękawów, z białą, fastrygą. Obok męska marynarka z wełny, z jakiej szyje się dla pilotów pasażerskich samolotów.

Krawiec, prawdziwy rzeźbiarz w suknie. Na dziele jego krawieckich rąk nie mogło być żadnej zmarszczki, przypadkowej, niezamierzonej fałdki, rozporek w odpowiednim miejscu też miał czemuś służyć. A jak ważne są wypustki albo podszewka! Gdzie zaplanować talię? To jest kluczową, sprawą dla wyeksponowania biustu. Guziki, niby szczegół, a to właśnie one (w przypadku płaszcza, czasem też kostiumu) powinny być o ton ciemniejsze. Nie każdy to wie.

Poza tym Rysiu Koronowski, starający się wówczas o rękę Basi, by zaskarbić sobie jej serce, prezentami obdarowywał również mnie. Kupił mi w Modzie Polskiej perfumy Coty, lubiłam Wild Musk, choć i Masumi mi się podobało. Kiedyś dał mi w prezencie kupon ręcznie

malowanego jedwabiu z Milanówka i pod kolor zielone skórzane klapki. Od razu zabrałam się za szycie.

Tamtego lata, wynajmując się u dziadka do pracy, zgromadziłyśmy nawet dość interesujące sumy.

– Co zrobisz z tak dużą forszą? – żartował dziadek.

– Chciałabym kupić harfę.

– Cóż to takiego ta harfa?

– Instrument muzyczny. Już trochę umiem grać, tata mnie posyła na lekcje.

– Chcesz być gołodupcem i komunistą jak twój ojciec?! Żebyś mi więcej nie wspominała o głupotach! Ziemia jest ważna, tylko ziemia.

Tak, ziemia jest ważna, słowo dziadka było najważniejsze, szybko porzuciłam myśli o harfie. Ewa i ja pojechałyśmy do Gniezna wydać zarobione pieniądze (Ewa w obawie przed pazernością Dyducha, ja dlatego, że zrezygnowałam z zakupu harfy). Długo chodziłyśmy po mieście, to był świat! I niewiele towarów w sklepach. Zjadłyśmy ze trzy lodowe różki, kupiłyśmy po parze tenisówek i po kilka metrów tkaniny frotte na sukienki. Może nawet wystarczyłoby jej na plażowe wdzianka. Zadowolone z zakupów, klapnęłyśmy na ławce na dworcu kolejowym, oczekując na ostatni tego dnia pośpieszny pociąg do Pobiedzisk. Gdy wjechał, siadłyśmy w przedziale, a po trzydziestu minutach pociąg zatrzymał się, tak jak to było w rozkładzie. Stałyśmy przy drzwiach,

by wsiąść. Uppps! Wsiadłyśmy do innego pociągu! To Trzemeszno, nie Pobiedziska! Wskoczyłyśmy w ostatniej chwili. Zmierzchało. Ewa płakała. Ja nie. Co powie jej matka, kiedy nie wróci na noc do domu?! Zabije. Ojciec! Mój umrze z załamania. Dziadek. Musimy za wszelką cenę wrócić do domów przed nocą.

Wyszłyśmy na szosę. Autostop – to był jedyny sposób dotarcia do domu jeszcze tego samego dnia. Zatrzymał się tarpan. Kilku młodych roześmianych facetów w środku. Tak, podwiozą, nawet do Poznania, ale muszą się po drodze zatrzymać. Na chwilę. Potem tak, owszem, pojedą dalej. Zgodziłyśmy się, auto zatrzymało się w jakiejś wsi po drodze, kilku wysiadło, zostało dwóch. Plus kierowca.

Ale przecież poruszałyśmy się ciągle w stronę naszych domów!

Jeden całował mnie, milczałam, było to przyjemne, ale nie miało nic wspólnego z tym, co wyczytałam u Wisłockiej. Drugi próbował całować Ewę, która nie wykazała się życiowym pragmatyzmem, zaczęła wrzeszczeć, żeby natychmiast zatrzymać wóz. Zatrzymali. Wskoczyłyśmy z auta w ciemnym polu i od razu razem z torbami pełnymi tekstylnych zakupów wskoczyłyśmy do rowu. Nie wrócili, nie szukali nas. I dobrze.

Szłyśmy przez ciemne pole do światełka, które migało w oddali. Długo to trwało. Wydawało się bliskie, ale pole okazało się nierówne, a światło ciągle było

daleko. Wreszcie dotarliśmy do gospodarstwa, w którym jeszcze nie spali. Zapukałyśmy do drzwi, ktoś zaświecił nam latarką w twarze. Poprosiłyśmy o nocleg.

„Tak, ale w stodole” – usłyszałyśmy męski głos. —

Położyłyśmy się na słomie, pochlipałyśmy, ale niedługo, bo coś zaczęło szurać i drapać. To myszy. Bałyśmy się gryzoni. Myszy są straszne, mają takie długie chude ogony i chytre oczka. Straszne są, ale matka Ewy też. Leżałyśmy, słuchając szelestów, myśląc o Dyduchowej i o dziadku. Ciągłe szurało. Można by było zasnąć, gdyby nie szurało: W słomie toczyło się życie, tymczasem noc zamknęła świat ciemnością.

Szuranie się wzmogło i przybliżyło. Poczułam na swoich ustach coś miękkiego i poślinionego. Jęzor śliski. Brzydki zapach. Chropawe ręce pod bluzką. Chwilę to trwało. Milczałam. Za chwilę już nie czułam. Poszedł. Zaszurało obok. Ewa zaczęła krzyczeć: „Bo powiem pana żonie!”. Szuranie ustało. Usłyszałyśmy szybkie kroki. Już nie spałyśmy, nasłuchując.

„Piąta rano. Wstawać, wstawać, czas do domu” – wściekał się właściciel posesji, według naszych młodych oczu absolutnie bezzębny starzec. Był wściekły i nieprzyjazny. Podziękowałyśmy i wyszłyśmy ze stodoły. Do Gniezna . było jeszcze osiem kilometrów i nic nie jechało. Po godzinie doszłyśmy na dworzec, chwilę później wsiadłyśmy do pociągu.

Na dworcu w Pobiedziskach zastałyśmy Dyduchową i Basię. Były białe jak śnieg. Chciały przed zawiadomieniem policji sprawdzić jeszcze ten pociąg. Słuchały naszego opowiadania o podróży. Kłamałyśmy. Kazały wysłać podziękowanie starszemu panu, który dał nam schronienie. Przytaknęłyśmy. Nic wtedy nie było ważne, ani prawda, a *może* jej brak. Ważne, że wróciłyśmy.

Gdy dotarłam do domu, dziadek siedział przy stole z Adelą i Niną Renz, nic nie mówiąc. Widać było, że żadne z nich nie spało poprzedniej nocy. Poderwali się na mój widok.

– Mówiłem, że moja Iga nie jest głupia!

Przytuliłam się mocno do niego. Nie płakałam.

## **Zima 2007**

Nadszedł czas świąteczny. W Wigilię wstałam z łóżka w dobrym nastroju, z energią. Już od piątej rano odgarniałam śnieg przed domem. Było surowo, ale pięknie, nieskazitelnie białe. Chciało mi się bawić śnieżkami. Gdyby napadało kilkadziesiąt centymetrów więcej śniegu, musiałabym wydrążyć w zaspach korytarze. Jeszcze było ciemno, gdy zajrzałam do biura, w którym od tygodni nie było pracowników, kazałam im wziąć urlopy. Wolałam być sama, po prostu mi

przeszkadzali. Na korytarzu, przy wejściu do mojego gabinetu postawiłam małą sztuczną choinkę i ustroiłam kilkoma bombkami.

Na strychu Domu Złudzeń pachniało prawdziwą choinką z lasu i cynamonem, jak kiedyś. Było mi dobrze. Już tydzień wcześniej dekorowaliśmy ze Stasiem pierniki, a dzień przed Wigilią przystroiliśmy choinkę. Kłopoty nie zabrały mi wspomnień o świątecznych zapachach. Przed Domem Złudzeń rosły dwie tuje, jedną rozświetlały sznury liliowych drobnych żarówek, a drugą podobne w kolorze seledynowym. Wysokie i strzeliste, oświetlone miały postać lampionów wytyczających w śnieżnych bielach ścieżkę do domu i dalej do zaułka porośłego hyczką. Cieszyła mnie uroda świata, a także wizja, że za kilka godzin w moim domu będą goście.

Nakryłam stół, uszykowałam latarnie ze świeczkami. To był dla mnie trudny rok, w którym kłopoty toczyły pojedynek z małymi szczęściami. Wigilia była tym małym szczęściem. Basia, początkowo nieprzekonana, w końcu zgodziła się na inne miejsce świątecznego ceremoniału i dała nawet odpowiednią sumkę, co mnie tym razem nie zawstydziło.

– Żeby nie było. Nie lubię kompotu z kartofli – powiedziała.

– Błagam. Przy Stasiu nie opowiadaj żartów o kicie z okien i kompocie z kartofli.

– On już od dawna je zna.

Chciało mi się wszystkich uszczęśliwić. Ewa i ja złożyłyśmy sobie życzenia, potem zatelefonowała Renzowa, też z serdecznościami. Pogadałam z Olą, popłakałam się, kiedy obiecała, że od przyszłego roku każdą Wigilię będzie spędzać z nami. Powiedziała, że bardzo tęskni. Róża napisała do mnie SMS-a, a ja jej natychmiast odpisałam. W końcu poczyniłam neutralnego e-maila do Ludwika.

**Witaj w południe (prawie jak „Rio Bravo”)! Czuję, że masz już luz i szykujesz się do wielkich (bez złośliwości, a z pobłażliwością) przedświątecznych, męskich zadań, czyli przycięcia choinki, ogłuszenia karpia i zaopatrzenia barku. To nasze trochę wspólne święta. Zastanawiam się, jaki masz nastrój? Mnie ogarnęła radość, że będzie kilka dni wolnych, będziemy słuchać kolęd, może nawet zorganizujemy kulig. Cieszy mnie spokój, jaki niosą święta, posiedzimy przy stole i porozmawiamy. W roku, który niedługo się skończy, dzięki Tobie miałam swoje małe szczęścia. Spotykamy się i jest prawdopodobne, że i teraz odwzajemniasz mój nastrój i myśli. Iga**

A on też mi odpisał natychmiast:

**Igo! Właściwie z niczym w początkowej fazie listu nie trafiłaś. „Rio Bravo” – akcja tego filmu nie dzieje się w południe. Masz zapewne na myśli inny film – „W samo południe” z Garym Cooperem. W „Rio Bravo”**



**grał John Wayne i Dean Martin, Choinkę kupilem w doniczce – no, owszem, musiałem ją przewieźć. Karpia mam już śniętego, a co do barku, jest w nim wiele trunków, ale wcale nie ubywa, bo niewiele piję. Całuję wigilijnie – Ludwik.**

Zacząło się ściemniać, krzątając się w kuchni, nie czułam upływu czasu. Wyglądałam niewidoczne zmarszczki na jedwabnym, bordowym obrusie. Na stole stały półmiski z rybami na zimno, był ulubiony przez wszystkich śledź z wiśniami i z sosem Worcester. To mój pomysł z przeszłości. A w salaterce obok śledzie z cebulą, grzybami marynowanymi i śliwkami w occie. Rok wcześniej u Koronowskich podczas Wigilii jedliśmy zupełną rybą i barszcz z uszkami. Uszka kleiła cała rodzina już kilka dni przed świętami. To była u nich tradycja, potem wystarczyło je podgrzać i w trakcie świąt podsmażyć. Tego roku podczas wieczerzy chciałam, by na stole był karp pieczony, a potem duszony w winogronach. Poza tym na pewno kapusta z grzybami i kompot z suszonych owoców.

Z pokoju Stasia dobiegała kolęda *Dzisiaj w Betlejem*, znalazłam niedawno płytkę z kolędami w wykonaniu chóru chłopięcego. Ubrałam się odświętnie, nastrój też miałam uroczysty, jeszcze tylko przyjedzie Basia z Rysiem i Stasiem, i już będziemy siadać do stołu...

\* \* \*

Po świętach we wsi gruchnęło. Nieraz już gruchało o mnie źle. W ogóle nie miałam w gminie wielu przyjaciół; ludzie się brzydzą biedy i nie lubią silnych kobiet. Ale było kilka osób, na które zawsze mogłam liczyć. Ewa złego słowa o mnie nigdy też nie powiedziała. Także Adela i Nina Renz były mi zawsze bardzo przychylne.

Jednak brat Kosmy, Jurek Bednarz, ile razy mnie spotkał, zawsze patrzył wilkiem. Bednarze w ogóle byli bardzo stabilną majątkowo rodziną, finansowo mocni po wojnie, nic nie stracili w komunizmie, a w czasach raczkującego kapitalizmu jeszcze się majątkowo wzmocnili. Jurek nie tylko zachował hektary po rodzicach, ale dokupił kilkadziesiąt nowych. Dobrze, że mój dziadek nie dożył czasów tak dużej między zwaśnionymi rodzinami dysproporcji.

Tym razem jednak gruchnęło na, inny temat. Że Dyduchowa zahaczyła nogą o stopień i spadła na parter. Podobno leciała kilka metrów z głową w dół, cud, że się nie zabiła. Rozcięła nos, odbiła sobie nerkę i kto wie, co jeszcze. Jest w szpitalu. Sama się potknęła? A pijus gdzie był w tym czasie? Ha? Ewa się wygadała, że parę razy w pijackim widzie szarpał się z matką. Jak ja go nienawidziłam?! Próbowałam się z przyjaciółką skontaktować, przyobieczać wsparcie, ale nie odbierała moich telefonów. Wreszcie po kilku godzinach się

odezwała. Mama złamała kręgosłup.

– Już nigdy nie będzie chodzić, w ogóle jest w naprawdę kiepskim stanie. Niedawno sobie kupiłam czarną suknię, boję się, czy to aby nie proroctwo?

Rzeczywiście. Ja też przy okazji rozprawy rozwodowej wygrzebałam z szafy czarny kostium. Nie założyłam go wtedy, bo wydał mi się zbyt markowy, niestosowny. Odwiesiłam go do szafy, z myślą, że kiedyś się przyda.

Na szczęście nic z naszych zabobonów się nie ziściło. Po Nowym Roku karetka pogotowia przywiozła Dyduchowa, do domu. Kupiłam białe róże i poszłam odwiedzić chorą. *Leżała*, zagipsowana w ortopedycznym korycie, ruszała tylko oczami, kompletnie nic nie mówiła. Na Ewę spadł obowiązek opieki nad dwiema dorosłymi i niepełnosprawnymi osobami. Każde z innego powodu.

I znów. Wpadła w kierat obowiązków, troszczyła się o dom, nic jej nie można było zarzucić, no może tylko to, że zupełnie zapomniała o sobie. Próbowałam ją przekonać, by nie przesadzała z opieką, wystarczyłoby posiedzieć chwilę przy matce, kilka razy dziennie zmienić jej pampersa i nakarmić. Ostrzegałam, że jeśli będzie podchodzić do opieki tak emocjonalnie, szybko się wypali, zmęczy.

Ewa wzruszała tylko ramionami, nic z tego, o co prosiłam, nie docierało do niej.

– To są moi rodzice – odpowiadała zawsze tak samo, zamykając mi tym samym usta.

– Czy ja mówię, że nie? Rozumiem, że stałam się dla ciebie nieważna... – ripostując, użyłam sformułowania, jakim posłużył się Staś zazdrosny o Olę, której według niego poświęcałam znacznie więcej uwagi.

– Zrozum, wreszcie mam szansę podziękować za wszystko dobre, co od nich dostałam. Tak już ten świat jest skonstruowany. Oni nas rodzą, a my odwdzięczamy im się opieką na stare lata. Nie zapominam o tobie, ale naprawdę nie mam czasu. Musisz mi wybaczyć, to się kiedyś zmieni.

Zmieni się. Kiedy? Według mnie Ewa była nadopiekuńcza, nic się dla niej nie liczyło, tylko ten patologiczny dom, według mnie – nie dom, ale emocjonalny wampir. Nieraz podjechałam bryczką albo autem pod płot Dyduchów. Zatrzymałam się w niewidocznym miejscu i obserwowałam, jak Ewa trzepie wielki dywan z powypalanymi dziurami. Drobną, pokorną, w wielkim nieprzemakalnym płaszczu po Dyduchowej. Jak biega po obejściu, jakby ją coś goniło a to z miotłą, a za chwilę z grabiami. Pucuje to i tamto w pośpiechu, jakby robiła to na czas. Za szybko! Wiem, że jeśli chodzi o dom, miała umowę o dożywocie i on, znaczy Dyduch (matka przecież nie), mógł nawet z błahego powodu zarzucić jej brak opieki i wszystko odebrać. Nawet tę dobudowaną część Ewy też mógłby

sprzedać i przechlać. Dlaczego jej życie było ciągłym doświadczaniem piekła? Ja miałam chociaż nadzieję. A ona?

Miarka się jednak przebrała, gdy odmówiła mi wspólnego wyjazdu na cmentarz. Nie musiałyby iść pieszo, czy jechać rowerem, autem byłoby szybciej. Powiedziała, że dziękuje, że jednak pójdzie sama, bo chce w ciszy i samotności wyzalić się nieboszczykowi. Sama. Jasne. Cóż za bzdura! Jak można się zwierzać umarłemu babiarczowi? Nie wytrzymałam.

– No, sorry! Naprawdę rozumiem, że masz sporo na głowie, ale nie tłumacz się chęcią pogawędki ze świętej pamięci puszczałskim! Ocknij się! Kiedyś za życia rozmawialiście? Nie, nie było takiej okazji, bo prędko, dla jakiejś cichodajki, zostawił ciebie z dwójką maleńkich dzieci! To mało?

Wraz ze słowami, które – miałam pewność – były zbyt ostre, pojawiła się u mnie refleksja, że, dokładam Ewie przykrości. Nie powinnam była tak mówić, przecież ona to wszystko wiedziała. To ja byłam żalosna – będąc zazdrosną jednocześnie o pijaka Dyducha, ale i o nieboszczyka – babiarza.

– Jest okej. Nie ma co roztrząsać przeszłości – powiedziała Ewa, nie pokazując po sobie, że moje słowa ją zastanowiły. – Wiesz, co będzie dla mnie największą

nagroda? Gdy ojciec zrozumie, że można być dobrym. Gdy coś w ogóle z życia skuma. Może kiedyś wreszcie połapie się, jakim był skurwysynem? Ale i ojcem...

– Pijaka chcesz uczyć bycia dobrym? Najpierw odstaw go od butelki!

– Po pięćdziesięciu latach nałogu? To nie jest możliwe. Wiesz jak?

– Nie wiem, prawdę mówiąc.

– Skoro nie dane mi jest żyć w miarę szczęśliwie, postaram się teraz żyć prawdziwie.

To akurat rozumiałam. Żyć prawdziwie ja też dopiero niedawno zaczęłam.

## **1980–1982**

Pod koniec sierpnia, kiedy wróciłam ze Złotniczek do Poznania, w kraju zaczęły się strajki. Gdy wreszcie podpisano porozumienia, wybuchła ogólnonarodowa euforia, ale przed nami było jeszcze wiele spraw do „wystrajkowania” i „wydemonstrowania”. Jesienią podczas ulicznych zgromadzeń nieraz krzyczałam: „Lechu! Lechu!”, zaś ojciec wieczorami objaśniał mi, jaki czynię błąd, nie ufając socjalistycznej władzy. Nadal nie wyszedł z załamania, zwątpił we wszystko, w co do tej pory wierzył, w końcu znalazł sobie substytut wiary i stał

się socjalistą w czasach, kiedy cała Polska strajkowała przeciw rządowi ludzi o poglądach takich jak jego. I przeciw systemowi politycznemu, w jaki dopiero co głęboko uwierzył.

W sklepach nie można było nic kupić, ale to, co było na kartki, nam wystarczało. Luksusów nie znałam. Ojciec, poza obwinianiem za braki w sklepach warcholstwa z Solidarności, w domu nie robił nic, nie potrafił, a może nie chciał mi pomóc. Nigdy nie było między nami bliskości, dla niego liczyła się tylko mama, a ja byłam zaledwie skutkiem ubocznym ich związku. W stanie wojennym ojciec i ja zbudowaliśmy między sobą mur na miarę berlińskiego. Każde z nas żyło na swój sposób.

Minęło półtora roku, w styczniu 1982 roku, gdy stopniały śniegi, dziadek przywiózł maluchem na Groblę wyroby ze świniobicia. Zmartwiłam się. W klapie marynarki miał wpięty znaczek Solidarności Rolników Indywidualnych, a był stan wojenny. Poza tym dostawy do miasta masarskich wyrobów można było podciągnąć pod przestępstwo. Widząc moje przerażenie, machnął ręką.

– Mam doświadczenie, to moja trzecia wojna – powiedział. – Komucha nie ma w domu?

– Nie ma, jest na partyjnym zebraniu.

Już miał wychodzić i wracać do Złotniczek, ale się zatrzymał w drzwiach.

– Nie myśl, że jestem skąpcem, że tylko mięsem mam zamiar ciebie wesprzeć. Gromadzę z myślą o tobie schedę w banku ziemskim, a to najbardziej pewny bank.

– Istnieją jeszcze banki tego typu? W socjalizmie? – zapytałam zdziwiona. Nie byłam wprawdzie obeznana z ekonomiczno-prawnym słownictwem, ale świtało mi, że banki ziemskie rację bytu miały przed wojną. Oświadczenie dziadka o schedzie sprawiło mi przyjemność, poczułam się wyjątkowa, wyróżniona, że zadbał o mnie.

– Istnieją, ale musisz zapamiętać, gdzie zakopałaś. Zaczęliśmy wtedy chichotać. Potem pocałowałam dziadka w pokurczoną rękę, a on mnie pogłaskał po włosach.

– W banku ziemskim mam broń z wojny, możesz ją w razie niebezpieczeństwa użyć. Ruscy ledwie wstrzymują się z wejściem do Polski.

– Gdzie jest to miejsce konkretnie?

– W ogródku przed domem, niecały metr od okna, na około metrze głębokości.

O banku ziemskim Floriana Leśniewskiego szybko przestałam pamiętać. Tyle się wówczas w Polsce działo. I w moim życiu...

**Wiosna 2008**



Minęło kilka miesięcy. Też się działo. Ze dwa razy spotkałam się z Ludwikiem, nasz romans się działał. Oczywiście, byłabym szczęśliwsza, gdybyśmy widywali się częściej, ale już potrafiłam sobie Sommera odmówić. Poza tym miałam inne priorytety. Po uniesieniach z kilku pierwszych spotkań i potem, po ustanowieniu granic dla naszej bliskości, coś się zmieniło zarówno w mojej relacji do niego, jak i odwrotnie również. Uspokołam się, choć nadal chciałam więcej, Ludwik też chciał, ale w inny sposób. Ja nadal oparcia i przyjaźni na amen, on... dzielić się wrażeniami z wyjazdów, a także z biznesowych osiągnięć.

Ewy było mi ciągle mało, nadal mi siebie broniła. Za to w międzyczasie rozwinęła się moja znajomość z Różą, która odnalazła we mnie partnerkę do rozmów. Zawsze je rozpoczynała w podobny sposób.

– Chciałam cię przeprosić. Bardzo, ale to bardzo mi przykro. Mogłam pomiędzy was nie włączyć, ale stało się. Nie powinnam.

– To nie tak, sytuacja była bardziej złożona. Nie pracowałam, wisiałam mu na szyi jak naszyjnik, używałam pieniędzy, jakby miały się nie skończyć. Wprawdzie Leszek dobił mnie krachem, ale i zmusił do działania, to dobrze. Zastanawiam się, czy gdyby mi powiedział o kłopotach firmy wcześniej, byłoby dla nas uczciwiej. Musiał wiedzieć. Okej, rozumiem, można mieć nadzieję na wzrost koniunktury, można też

domniemywać, że za chwilę pojawi się interes życia. I czeka się na cud, który się przecież nie zdarzy.

Powinien szybko zamknąć interes. No cóż, mogę mówić. Ode mnie nie przyjmie żadnej rady, po prostu uważa mnie za debilkę. Owszem, wyrzuciłam go z domu, to i uciekł, o zaprowadzeniu porządku w papierach zapomniawszy. Czeką teraz, bo się boją. Ogłoszenie upadłości jest chronieniem tyłka swojego i rodziny. Nie pomyśli, że maleńkiego Stasia obarcza swoim długiem. Ale wyrzuty sumienia mam wyłącznie ja...

– I ja... Wiesz, wyprowadził się. Nie wiem, co z nami dalej będzie – rzekła po chwili Róża. Słysząc było w słuchawce, jak zaciągnęła się papierosem i pyknęła dymem. – Zatrudnił się za wikt i opierunek niedaleko Sieradza. Ma być „na czarno” administratorem w gospodarstwie agroturystycznym.

Czy mnie to ucieszyło? Oczywiście, że nie bardzo. Znowu skorzystał z sytuacji i wprowadził w inny sposób niż mnie, zostawił też Różę, najpewniej z długami. W Kutnie zawiązali spółkę.

– Masz za co żyć? – zapytałam po chwili milczenia. Też zapaliłam papierosa.

– Tak. Znalazłam pracę. Mam zarządzać kobietami, dwadzieścia sztuk. Horror.

– Nie przesadzaj. Na etacie będziesz miała znacznie większy komfort. Prowadząc własną firmę, codziennie

spotykasz się z milionem problemów. Przejmujesz się losem ludzi, co zrobią, jak ich zwolnisz, martwisz się finansami, czy ci zapłacą. Czy sprzedasz. Pojedynczy człowiek w kryzysie sobie znacznie lepiej poradzi niż właściciel firmy.

– Igo, Leszek zdecydował, abym jego nieużywane ubrania i rzeczy przysłała do ciebie.

– Ani mi się waź.

Było mi smutna Krzyk kawek pogłębił moją nostalgię.

Zapaliłam świecę. Jedną, potem drugą. I trzecią. Szukałam w lodówce czegoś do zjedzenia. Było kilka plasterków wędliny, która leżała na talerzu od kilku dni. Zatęskniłam za smakiem prostego jedzenia, jaki znałam z dzieciństwa. Ziemniaki z koperkiem i maślanką. Twarożek ze szczypiorkiem. Gzik po poznańsku. Ogórki ze śmietaną. Kaszanka zasmażona z majerankiem. Na niedzielę mogłabym upiec kurę.

Dlaczego nie tęsknię za francuskimi ciastkami z czekoladą, które jadałam na śniadanie w czasach dobrobytu?

## 1982

Była wiosna 1982 roku, krótko po Wielkanocy.

Święta spędziłam w Poznaniu, było, jak było, tylko ojciec i ja. Beż rzeżuchy, bez mazurków. Były za to pieczona szynka i żurek. Podczas śniadania nawet nie przełamaliśmy się jajkiem, wiadomo, mój tata wyznawał komunistyczne doktryny i wykluczył ze swojego życia wszystko, co tchnęło nawet maleńkim śladem wiary. Po świętach w Poznaniu na dobre topiła się zima, ja popołudnia spędzałam w Centrum Kultury Zamek, gdzie uczyłam się gry na harfie. Jeszcze nie uzyskałam biegłości, z trudem uczyłam się czytać nuty. W maju chciałam pojechać do Złotniczek na grób mamy i pod tym pretekstem zaproponowałam ojcu, by odwiedził też dziadka.

Powiedział, że po jego trupie.

Nie minęła piąta rocznica śmierci mamy, kiedy podczas jednej z partyjnych narad zawał zabrał politycznie i rodzicielsko niespełnionego tatę do mamy na zawsze. Dziadek, jak zawsze, nawet nad trumną mojego ojca mruczał swoje: „Mógł mnie głupek słuchać, a i tak dobrze, bo o jednego komucha mniej”.

Wtedy tam, na wronczyńskim cmentarzu, dotarło do mnie, że moje dzieciństwo właśnie dobiegło końca. Połykałam łzy, by nie płakać.

Po pogrzebie dziadek odprowadził mnie na dworzec. Szliśmy powoli skrótami. Do odjazdu pociągu było sporo czasu. Na naszej łące kucnęliśmy przy strumieniu, wody w nim leniwie lizały brzeg i wybłyszczały kolorowe

kamienie na dnie. Dziadek położył palec na ustach i słuchał szeptów strumyka. Przyglądałam się, co robi, a on zerwał źdźbło trawy, podniósł je do góry, a wiatr natychmiast je przegiął.

– Gdy będziesz powolna jak ten strumień, każdy wiatr cię przegoni. Jeśli będzie silny, to i złamie. Nie daj się, bądź szybsza i mocniejsza niż wiatr. Nie szepcz, mów głośno, a nawet krzycz.

Łatwo powiedzieć. Wróciłam do miasta, mieszkałam na Grobli sama, już bez przymusu opieki nad kimkolwiek. Byłam samotnym dzieckiem, dopiero w drugiej klasie liceum, a musiałam sama radzić sobie w życiu, choć pieniędzy z renty po ojcu wystarczało mi tylko na dwadzieścia kilka dni.

Byłam osierocona. To nie to samo co bycie sierotą. Bardzo samotna. Nieraz w nocy we łzach topiłam poduszkę, natomiast w dzień, przypominając sobie przypowieść o wietrze, nie dawałam się.

## **Wiosna 2008**

Wszystko wskazywało, że ten ciepły kwietniowy wieczór będzie podobny do poprzednich. Wgryzając się w czerstwe pieczywo sprzed kilku dni, włączyłam komputer. Nieczęsto mi się ostatnimi czasy to zdarzało. Net nie jest dobry dla zmęczonych. Do firmowej skrzynki

e-mailowej owszem, czasem zaglądałam. Ale tylko tam. Do prywatnej bardzo rzadko. Nikt do mnie nie pisał, zwykle zastawałam reklamy i inne podobne nagabywania, które od razu, nawet bez zaglądania w nie, przenosiłam do kosza. Wieczorem, po rozmowie z Różą, zajrzałam do skrzynki, ot kliknęłam bezmyślnie i jak zawsze zaczęłam kasować reklamy. Wśród śmieci była informacja o wiadomości na Naszej Klasie. Nie było mnie tam od dawna. Wszyscy się „pozbieraliśmy”, stawiając krzyżyk na tych „nieodnalezionych”. Zresztą, ja na tych z klasy chętnie postawiłabym krzyżyk, gdyż ze szkolnymi koleżankami i kolegami od dawna miałam niewiele wspólnego. Ale weszłam na portal, ktoś umieścił nowe zdjęcia, zmieniono regulamin, wprowadzono jakiegoś śledzika. No i... czekało na mnie zaproszenie do znajomości.

    Nie wierzyłam własnym oczom.

    Wpatrywałam się w zdjęcie nadawcy wiadomości. To było coś! Najlepsze z zaproszeń, bo... wystosował je Kostna Bednarz! Niezmieniony, co najwyżej na lepsze, z uzębieniem jak Clooney i błyszczącymi czarnymi oczami też jak Clooney, w koszuli z czarną broszką pod szyją. Kos Bednarz. To brzmiało lepiej. Już nie (wzorem lat dziecięcych) – Kosmaty.

    Czytałam wiadomość mega podekscytowana:

**Igo, jesteś niedobra! Dlaczego nie jesteś na Facebooku? Musiałem się w końcu tutaj zalogować, choć nigdy nie czułem potrzeby ujawniać się inteligentom z mojej szkoły. Niektórych kolegów nie mogłem poznać, nigdy dotąd nie widziałem tak starych ludzi! Ale to nie dotyczy Ciebie.**

**Nie będę kręcił, czytałem w necie i wiem też od brata, że masz problemy. Za tydzień przylecę do Polski, najpierw pobędę kilka dni w Gdańsku, potem przyjadę do Poznania, i do Złotniczek. Jeśli chcesz... moglibyśmy się spotkać, chciałbym Ci pomóc. Kosma.**

**PS Nie lepiej było zostać ze mną? Nie byłem przecież taki straszny. K.**

Diable wcielony! Owszem, mam problemy, jak widać znane nawet na amerykańskiej ziemi! Niemniej zrobiło mi się milej, radośniej, od roku do tej pory nikt mi nie zaproponował pomocy.

Znaliśmy się tak dawno temu. Czy lata go zmieniły? Moje serce waliło, ręce się trzęsły, nawet nogi dygotały, kiedy odpisywałam na e-maila. Napisałam prawdę. Że się bardzo cieszę. I owszem, potrzebuję pomocy jak nigdy przedtem. Podałam też swój numer telefonu, a dopiero na końcu spojrzałam na datę otrzymania e-maila od Kośmy. Marzec 2008 roku. Przeszło miesiąc wcześniej. ;! Kolejne dni chodziłam z poczuciem straty. Kosma napisał, że

może mi pomóc, złapałam się tego, obudził we mnie nadzieję. Nic mi nie wychodziło, wszystko leciało z rąk. Źle się żyje z rozczarowaniem. Tak było kilka dni. Potem wróciłam do starej prawdy, że muszę radzić sobie sama. I już.

W międzyczasie Marek Bieniakiewicz, stary dłużnik, przyjechał zapłacić mi za usługę. To akurat było miłe. Dał mi kopertę z pieniędzmi i wytłumaczył się, że dlatego płaci gotówką, bo nie zdążył wpłacić na konto. Bzdura. Wiedział, że im szybciej pieniądze dostanę do ręki, tym lepiej. Bieniakiewicz był moim znajomym od dawna, jeszcze z dzieciństwa, można powiedzieć, choć był ode mnie sporo starszy. Znany w regionie, potrafił wyjść z każdych kłopotów. Jakoś zawsze spadał na cztery łapy, nigdy się nie pokaleczył. Hobbystycznie przywracał świetność starym autom. Jego mercedes z 1923 roku był cackiem. Nic widziałam na żywo, ale na zdjęciach i owszem.

Ledwo Bieniakiewicz się pożegnał i wyszedł, a zadzwonił telefon. Miałam go nie odbierać, ale stało się.

– Samosia jak zawsze! Gdybyś kiedyś nie postawiła na swoim, inaczej by wyglądało nasze życie. Zjemy na mostku paczkę landrynek?

Nasz mostek. Zapomniałam. *Zapomniałam twoje oczy, pogubiłam twoje słowa*, jak śpiewała Sipińska. Nie nam śpiewała. Basi i jej Rysiowi. Stare dzieje, ale to wcale nie był mostek. To był całkiem spory Most



Starołęcki!

Chryste! Jednak Kos jest nadal w Polsce?! Cuda się zdarzają! Pomyślałam, że skoro chce mi pomóc i z jakichś powodów chce mi podać rękę, musi mnie zobaczyć taką, jaka teraz jestem i w miejscu, które jest dla mnie ważne.

– Przyjedź na wieś! Pamiętasz jeszcze nasz Bródek? Bródek to mała przełęcz między dwoma morenowymi wzniesieniami. Chyba nikt tak nie nazywał tego przejścia na skróty ze Złotniczek do Pobiedzisk, przez las. Nieraz z Kosmą podczas wakacji się tam spotykaliśmy. Nie tylko z nim. Więcej nas tam bywało.

– Będę za godzinę.

Umyłam włosy i wysuszyłam, nie spinając ich. Założyłam kozaki do jazdy konnej, skórzane spodnie, zielony top, czarny wełniany żakiet i na to wszystko zielone ponczo. Na głowę nasadziłam kapelusz. Już miałam wychodzić, ale przypomniałam sobie o kopercie z pieniędzmi od Bieniakiewicza. Wrzuciłam ją do szuflady.

Wsiadłam do bryczki i w dwa konie pognałam drogą przy lesie, w stronę naszego miejsca. Do tej okolicy pasował dźwięk dzwonów i pianie kogutów. Tymczasem słyszeć było siekanie cebuli, a może szczypiorku i dźwięk reklamy na TVN.

Kosma już czekał. Siedział w otwartym aucie, które stało przy omszałym murku. Patrzył na mnie, gdy się

zbliżałam. Mój światowy przyjaciel – Kosma Bednarz. Kos. Może nieco utył, ale nie tak, by widzieć go statecznym. Był przystojny. Wiele lat temu, wychodząc za Emila, chciałam mu dokuczyć, pokazać, że skoro nie chce swej uwagi poświęcić wyłącznie mi, skoro woli politykę, będzie miał za swoje. Widziałam wtedy dla nas tylko dwie drogi. Życ wyłącznie dla siebie albo nie być ze sobą wcale. Czy kiedyś żałowałam, że tak się sprawy potoczyły? Że się rozstaliśmy? Owszem, nieraz. Kosma wysiadł z auta, na powitanie rozłożył ręce, podobnie, jak ojciec wita swoją małą córeczkę. Emanował radością, optymizmem, zadowoleniem z siebie, co i mi się udzieliło. Zeskoczyłam z bryczki i podbiegłam, wpadając w jego ramiona, zarzuciłam mu ręce na szyję.

– To ty!

Konie parskwały, Kosma mocno mnie przycisnął do piersi. Nic nie mówiliśmy. Potem odsunął mnie od siebie na długość ramienia i przyglądał się, uśmiechając. To uzębienie! Boskie. Nigdy wcześniej nie zaglądałam facetom w zęby. Wtedy, przy naszym wyschniętym strumieniu, byłam pewna, że skoro znów się pojawił w pobliżu, moje życie na pewno odmieni się na lepsze.

Siedzieliśmy na murku i wpatrywaliśmy się w lasy, pola, w naszą wieś na horyzoncie. Nie jedliśmy landrynek z papierowej torebki (jak dawniej), ale z eleganckiego blaszanego pudełka. Ssaliśmy kwaśne cukierki, milcząc. Było nam, dobrze w tej ciszy. Ale nie spotkaliśmy się

przecież, by possać cukierki! Zaprosiłam go do bryczki, chciałam pokazać ci moje areały. Ruszyliśmy ostro. Stałam i mocno ściągałam cugle. Wywijałam batem. Konie cwałowały dziurawymi drogami, a ja czułam adrenalinę.

– Gdybym jeździł z tobą częściej, musiałbym nastawiać kręgosłup. – Śmiał się Kosma. Też wstał z siedzenia i wyjął mi lejce z rąk.

Konie zaczęły cwałować jeszcze szybciej, czyniąc dużo większy niż chwilę wcześniej raban.

– Teraz na pewno muszę wymasować koniom karki!  
– Zrewanżowałam się za „kręgosłup”. Wjeżdżaliśmy na „moją” polną drogę. Zatrzymaliśmy się pod dziką jabłonią.

– Zaskoczyłaś mnie. Nie wyobrażałem sobie, że spotkam tak silną kobietę. – Kosma opadł na siedzenie. – Zawsze taka byłaś, ale ubzdurałem sobie, że po tym wszystkim będziesz po prostu połamana.

To, co usłyszałam, było miodem dla mojej duszy. Nie w głowie mi były jednak komplementy. Zeszłam z bryczki, weszłam na pole, było długie, aż do zagajnika. Przy miedzy rosła dzika czereśnia, puściła już maleńkie listki. Zapaliłam papierosa.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo można pożądać rzeczy i wierzyć, że to jest możliwe, choć wszystko wskazuje, że to mrzonka. Muszę mieć tę ziemię

na własność. Ona zawsze była nasza.

Wzięłam grudę ziemi w rękę, była ciężka i wilgotna. Kosma patrzył na mnie bez słowa. O rany! Ktoś mnie słuchał, ktoś wierzył w to, co mówię. Zgniotłam obcasem niedopałek papierosa.

– Nie pożądam żony bliźniego swego ani żadnej rzeczy, która jego jest! – W końcu się zaśmiał.

– Nie mam męża, więc luzik. – Też zażartowałam.

– Nie masz. Wiem. Ja natomiast mam żonę. Mówię to, bo chcę, żebyś nie miała mnie za kłamcę. Dowiedziałem się, że wyszłaś za męża, to i ja się postarałem, a wyszło, że zrobiłem na złość sobie. I tak żyjemy jak pies z kotem.

Nie, tylko nie to. Na pocieszycieli czyichś mężów się nie nadawałam. Znów zapaliłam papierosa. Usadowiłam się na siedzeniu bryczki, położyłam głowę na oparciu, podparłam jedną ręką i zaciągając się dymem, patrzyłam na niebo. Nadzwyczaj kształtne cumulusy płynęły w dal spokojnie. Jak moje myśli. I jak dymek z mojego peta.

– Zostawiłeś mnie. – Spojrzałam na Kosmę.

– Ależ to ty nie potrafiłaś pójść na kompromis. Zamyśliłam się. Kosma usiadł obok mnie.

– Wiesz? Każdy, z kim byłam, może mieć do mnie pretensje. Tak jest. Powinnam może pójść do spowiedzi, ale wyobraź sobie, nie wszystko miałabym odwagę księdzu powiedzieć. Tak zabałaganiałam swoje życie.

Dlaczego teraz tobie to mówię?

– Co?

– No to, że miałam dwóch mężów i jeden otwarty długoletni związek. Kochanków i koleśki na jedną noc nie liczę, sporo ich było. Dawno temu...

Moje słowa zawisły na źdźbłach trawy, na kiełkującym zbożu, między nami, wszędzie. Pewnie tylko konie miały moje wyznanie w nozdrzach, parskwały, gryzły trawę. Tym gadaniem o koleśkach na jedną noc Kosmę mogłam jedynie spłoszyć, miał prawo nawet poczuć się zażenowany. Przesadziłam. Zawsze prowokowałam. Są ludzie, którzy potrafią pokazać siebie w lepszym świetle – ja odwrotnie. Zawsze najpierw wyłaziło ze mnie to co złe. Zerknęłam na Kosmę. Nie całkiem był taki jak kiedyś, był bogatszy o swoje życiowe doświadczenia. Znów nic nie powiedział, trzymał lejce i patrzył na mnie tak, jakby nie było tych wszystkich koleśki w moim życiu. Jakbym wciąż była nienaznaczoną doświadczeniami dziewczyną sprzed lat.

– No wiesz, nie miałem w zamiarze pytać cię o detale – zażartował po chwili.

Podobnie jak ja położył głowę na oparciu, to wystarczyło, abym poczuła się rozgrzeszona. Wzięłam go pod rękę, tego antagonistę z lat dziecięcych, „potomka wcielonych diabłów”, a jednocześnie zawsze dobrego kolegę, byłego chłopaka, mężczyznę z kiedyś,

a w zasadzie od zawsze. Wdychaliśmy zapach koni, pola, zapach wiosny. To było nasze.

– Nie myślałaś nigdy, jak by to się potoczyło, gdybyśmy byli razem? – Kosma zadał pytanie, jakie i ja ostatnio sobie zadawałam.

– Kiedyś nie. Teraz myślę czasem. Chyba byłabym lepsza jako człowiek. – Oparłam policzek o miękką skórę jego kurtki.

Może Kosma chciał czegoś więcej, może i ja, ale gdyby nie było Ludwika... To na myśl o Sommerze miałam przecież mokro w majtkach. Jego ręce, jego język, to mi wystarczało, abym czuła się stworzeniem seksualnym. Kobietą. Przy Ludwiku byłam podniecona tak mocno, że nieważne stawały się firma, pieniądze, ich brak, hektary, dzieci i wszystkie domy razem wzięte, nawet te z marzeń czy złudzeń. Ludwik był moją namiętnością. Tajemniczą, przekorną, niedającą pewności co do „jutra” namiętnością.

Kosmę miałam za zbawcę. Był od zawsze, tak bardzo mi znany, przewidywalny.

– Dlaczego się spotkaliśmy? Po tylu latach? Po co? – zapytałam. Usiadłam i zajrzałam mu w oczy. Zawsze znajdowałam w nich pocziwą duszę.

– Chcę ci pomóc.

– Ty mi? Dlaczego?

– Bo może nigdy nie przestałem o tobie myśleć?

Godzinę trwała nasza bojowa narada. Kosma wyłuszczał wszystkie za i przeciw pozostania w Polsce. Pokazywał szanse, jakie istnieją w Stanach. A ja słuchałam. Bo miał niewątpliwie rację. Zaczynałam chcieć więcej. Niektórzy tacy są od zawsze, a ja pazerna na życie stawiałam się z każdym zwycięstwem bardziej i bardziej.

Tak zastała nas szarość zmierzchu.

– Igo, trzymaj się tego, co sobie powiedzieliśmy. W Stanach życie jest na dużo wyższym poziomie. Nawet jeśli przedsiębiorca zbankrutuje, natychmiast powoła nową firmę i działa dalej. W Polsce krach firmy wiąże się z końcem wszystkiego. Ktoś cieszył się szacunkiem, gdy bankrutuje, traci wszystko, włącznie z szacunkiem, a przecież to ciągle ten sam człowiek. Zostając w Polsce, nie uciekniesz od niczego, a wręcz przeciwnie, ugrzęzniesz i na pewno nie wyjdiesz z makabry, zachowując radość życia. Daj sobie pomoc. Ale uprzedzam, że jestem najbardziej socjalistycznym kapitalistą w stanie Teksas.

Dobrze gadał. Obiecałam, że się zastanowię.

Zawiozłam Kosmę do miejsca, gdzie zostawił samochód, sama wróciłam do domu, nic nikomu o tym „polowym” spotkaniu nie mówiąc. Znów miałam do myślenia o Bednarzach. Jurek, Kosma. Dlaczego Kośmy nigdy nie miałam za wroga? Dlaczego Jurek wciąż nim jest?

Jagna nigdy nie była zadowolona z nadgodzin. Weszła w wiek, kiedy pieniądze nie są tak ważne jak możliwość cieszenia się każdą minutą życia. Poza tym narzeczony, senior z koła emerytów, wydzwaniał do niej aż sześćdziesiąt razy. Kiedy nie odbierała, wpadł w histerię.

– I dobrze, niech się martwi. Jak kocha?! –  
Uspokoiliam Jagnę.

– Stary zazdrośnik! On ma na myśli jedno. Że przyprawiam mu rogi!

Stasiu bawił się balonem, grał nim jak w siatkówkę, podrzucał, turlał po podłodze. Balon pękł.

– To było do przewidzenia! Nie nadmucham ci kolejnego, bo nie mam już w płucach powietrza!

Staś wystraszył się i zapłakał.

– Nie znasz się na żartach?

Uspokojony, z nowym balonem w ręce, poszedł, umyć zęby. Leżał już w łóżku i wtedy mnie zapytał:

– Co to jest ułuda? Długo się namyślałam. Ale mi zadał bobu! Ułuda. Gdy byłam dzieckiem, fantazjowałam. Leżałam w łóżku i wyobrażałam sobie wspaniałe święta Bożego Narodzenia. Siedzimy przy wigilijnym stole i składamy sobie życzenia, potem znajdujemy pod choinką prezenty. Chciałam mieć łyżwy albo nowe, kolorowe ubranie. Tymczasem sama musiałam ugotować zupę rybną oraz kompot z suszu i nigdy nie dostałam



prezentów, o jakich marzyłam. Jednak, mimo że wiedziałam, jak będą wyglądały kolejne święta, nadal fantazjowałam, bo to było przyjemne.

Albo niedawno. Byłam pewna, że zawsze będę żyć w dobrobycie, że pieniądze dają szczęście, że są na zawsze. Przekonanie, że bez pieniędzy nie da się żyć, czym jest? Nieprawdą? Da się żyć, a nawet można dostrzec małe chwile szczęścia. Małego szczęścia w nieszczęściu.

## 1983

Stan wojenny zniesiono, co dawało nadzieję na szczęśliwsze czasy. Od września czekała mnie trzecia klasa ogólniaka. Pod koniec wakacji w Złotniczkach odwiedził mnie Kosma! Nie spotykaliśmy się już dobre kilka miesięcy, rok wcześniej latem też go nie widziałam. Mówiono, że wyjechał do Kłody pod Rydzyną na studenckie praktyki, a ja się z tym pogodziłam, bo wystarczyła mi Ewa. Zwierzałyśmy się sobie z pierwszych miłości, czytałyśmy po kryjomu książki o seksie, oglądałyśmy się za chłopakami z Pobiedzisk, a nawet byłyśmy w miasteczku nad jeziorem na zabawie. Wróciłyśmy późnym wieczorem, odprowadzone pod sam dom przez dwóch przystojniaków.

Ucieszyłam się, że Kosma o mnie nie zapomniał.

Rzeczywiście, zaczął studia na Akademii Rolniczej w Poznaniu i miał zamieszkać w akademiku na Golećcinie. Zmienił się, wydorósł, spoważniał. Był wysoki, dużo wyższy ode mnie, przystojny, taki do pokazywania się w jego towarzystwie, wiadomo, on był już studentem, a ja tylko licealistką. Nie był ciapowaty, jakim wydawał mi się jeszcze dwa lata temu. Nie był też buntowniczy, zresztą już nie chciałam go zdominować, byłam milutka, do przytulania. Podobał mi się.

Umówiliśmy się po południu w miejscu naszych dziecięcych spotkań, niedaleko Bródka. Siedzieliśmy na murku i paliliśmy papierosy. Robiłam to po raz pierwszy, ale nadrabiałam miną, nie chciałam, by Kosma uznał mnie za dzieciaka. „Pufałam” dymem jak komin u Dyduchów. Kosma wyjął mi papierosa z ust i zaczął całować. Robił to przyjemniej niż chłopcy poznani na zabawie w Pobiedziskach. Zostaliśmy tam do nocy. Szept lasu, śpiew ptaków. Dwoje młodych ludzi. Zakochałam się. Byłam miła i uległa. Kosma zdziwił się, że taka potrafię być. Wtedy powiedział, że mnie kocha, bo jestem silna.

Spotykaliśmy się jeszcze kilka razy tego lata. Miłość między nami zakwitła na przekór nadchodzącej jesieni. Miała ciepłą barwę, jak kaczeńce na łąkach.

We wrześniu wróciłam do liceum, zapuściłam swoje rude kręcone włosy aż do pasa, ubrania też nosiłam niesztampowe i ciągle nie brakowało mi pomysłów na życie. Wszyscy się wtedy cieszyliśmy życiem. Kosma

zamieszkał w Poznaniu, staliśmy się parą. Po kilku miesiącach wprowadził się do mnie na Groble, to była jego inicjatywa, co mnie zaskoczyło. Pieniądze, jakie miał przeznaczone na akademik, trafiły do mojego portfela, a i do reszty się dokładał. Nareszcie odetchnęłam. To z nim był mój pierwszy raz, nie miałam jeszcze osiemnastu lat. Byliśmy parą dzieciaków, która planowała ślub i bardzo poważnie podchodziła do życia. Kiedyś, podczas spaceru po Placu Wolności, zaczepiła nas Cyganka. „Dajcie sobie powróżyć, dajcie sobie powróżyć”. Kosztowało to aż siedem złotych, byłam oczywiście niechętna, Kosma się jednak uparł, zapłacił i poprosił o wróżbę dla pary. „Nie będzie dwudziestu miesięcy, jak ty, kochana, wyjdiesz za mąż i kilka miesięcy po ślubie będziesz miała córeczkę. A ty, przystojniaku, za niecałe pięć lat też dochowasz się dwóch ślicznych córek”.

„Jak to?! Czy to znaczy, że nie będziemy mieć wspólnych dzieci?! Oddaj, kłamliwa Cyganicho, pieniądze!” – chciało mi się krzyczeć. Blefowała. Kosma przy okazji poraził mnie hojnością. Nawrzeszczałam mu, że trwoni nasze wspólne pieniądze na oszustów.

Szybko zapomnieliśmy o tym, co powiedziała nam Cyganka. Myśli nasze krążyły przeważnie wokół szybkiego ślubu i wspólnego życia. „Diabły wcielone”, czyli rodzina Kośmy nie była oczywiście powiadomiona, że się spiknęliśmy, ja także nie miałam odwagi

opowiedzieć o związku z „Bednarzowym plemieniem” dziadkowi, odkładając rozmowę na później. Tak upłynęło kilka miesięcy, Kosma dobrze zaliczył pierwszą sesję na uczelni. Dostał stypendium. Ciągle odwlekałam rozmowę z dziadkiem.

Potem już nie musiałam nic odwlekać, nie było owego „później”, bo Kosma, oddalony od wiejskiego domu, prędko poczuł w mieście wolność i zajął się polityką. Przez nasz dom przewijały się grupy podobnych zapaleńców. Początkowo nawet byłam dumna, że mój mężczyzna jest wywrotowcem. Sama jednak, w dzieciństwie skutecznie przestraszona wizjami wojen, nie chciałam się politycznie wikłać. Rozumiał mnie. Było mi miło. To zrozumienie nie przeszkodziło mu pewnego dnia zakomunikować, że chcąc się politycznie zrealizować, musi się przeprowadzić do Gdańska. To „musi” mi dopiekło.

– Diable wcielony! A ja nic dla ciebie nie znaczę?! – krzyknęłam jak w dzieciństwie.

– Możesz tam zamieszkać ze mną – powiedział, ale nie zauważyłam w jego oczach dość entuzjazmu. Wydawało mi się, że powiedział tak tylko przez grzeczność, bez podtekstu wspólnej przeprowadzki.

– Nie mam zamiaru! Niech ci ten Gdańsk wyjdzie oczami!

Nie będzie mnie poniżać Kosmaty Bednarz!

Pamiętałam dobrze dziadkowe nauki. Nie pojechałam do Gdańska, a tydzień później, szukając pocieszenia, w klubie plastików „Dno” poznałam Emila Zarębę. Nadawał się na pocieszyciela.

Był na ostatnim roku handlu zagranicznego.

## **Wiosna 2008**

Kilka dni po wyjeździe Kośmy z Polski rozmawiałam przez Skypea z Olą. Wreszcie ją zastałam w domu i nawet miała dla mnie chwilę, choć oczywiście znów była przed treningiem. Nadal nie mogłam przyzwycząić się do jej dziwactw ani tym bardziej się z nimi oswoić. Miałam nadzieję, że w końcu jej odradzę, aż zrezygnuje z uprawiania triathlonu.

– Olu, przeczytałam, że mordercze treningi powodują przerost komór serca i wady zastawek. Po prostu serce musi przepompować znacznie większą ilość krwi, a to prosta droga do uszkodzeń, a może nawet i kalectwa.

– Po pierwsze: nie obu komór, ale tylko lewej, po drugie: jak podczas wysiłku przepompuje mi większą ilość krwi, to później mam niższe tętno spoczynkowe, więc serce odpoczywa. Saldo jest takie samo. Poza tym, gdy jesteś pod opieką profesjonalistów, wątpliwe są takie zmiany. Ja mam indywidualnie dobrane treningi, właśnie pod kątem prawidłowej gospodarki tlenowej i regularnie

się badam. Początkowo, gdy ćwiczyłam bez profesjonalnego wsparcia, raz badania wykazały, że owszem, miałam komory nieco przerośnięte, nawet się nieco przestraszyłam. Ale już jest dobrze, wiem, o co chodzi i wyniki, które robię raz w miesiącu, też mam dobre. Zresztą bez ciągłego poszerzania świadomości i regularnej samokontroli nie mogłabym myśleć o starcie w IronManie.

– Gdzie ty chcesz startować?

– IronMan. Niecałe cztery kilometry woda, sto osiemdziesiąt rower, niecałe czterdzieści bieg. I trzeba się zmieścić w siedemnastu godzinach, by zaliczyli.

– Powiedz! Wymyśliłaś to wszystko, by mnie przerazić? Błagam, zrezygnuj, na pewno jest jeszcze pora. Nie widzę nic złego, gdybyś od czasu do czasu się przebiegła, ale ty chcesz popełnić samobójstwo! Staram się, ale mimo to nie mogę cię zrozumieć. Masz wszystko, mogłabyś naprawdę cieszyć się życiem.

– Mamo, ja muszę mieć cel. Może będziesz zdziwiona, ale teraz mam znacznie lepiej zorganizowany czas i na uczelni zaliczam wszystko jak leci, bez żadnych problemów. Zresztą to właśnie jest to, co chcę robić i to jest mój jedyny sposób na to, by cieszyć się życiem. Zrozum.

– Kiedy są te zawody? Pytam, by się psychicznie i medycznie przygotować, naprawdę wolałabym nie

umrzeć ze strachu. Jestem przekonana, że będziesz miała objawy zawałowe, ale nie odpuszczisz. Po kim ty taka jesteś?

– Po tobie, mamó. Też się martwię. Chciałabym, żebyś rzuciła te swoje biznesy, makabrycznie się boję, że ten stres kiedyś cię zje. Też będziesz miała objawy zawałowe, ale nadal nie wyjdiesz z gry. Domy Złudzeń, hektary, po co? Też się boję. Mamó, czy ty tego nie widzisz?

Milczałam.

– I jeszcze jedno. Proszę cię, byś towarzyszyła mi na mecie. Jeszcze nie wiem, czy będzie to Zurych, Hawaje, czy jeszcze jakieś inne miejsce. Chciałabym, byś była ze mnie dumna.

– Kilkanaście godzin w potwornym napięciu? To raczej nie będzie dobre dla mojego systemu nerwowego.

Rozmowa z Olą sprowadziła mnie do innego myślowego korytarza. Zaczęłam w Internecie szukać ciekawostek o triathlonistach. Sporo tego było, ale ku swojemu nieszczęściu zawędrowałam na stronę najbardziej morderczego wyścigu w Badwater. No i zrobiło mi się słabo na myśl, że Ola i tam zechce się sprawdzić. Dwieście siedemnaście kilometrów ciągle w górę, w upale, bez wody. Straszne. Doprawdy, miałam swoją córkę za napaleńca!

Pod wieczór oglądałam „Dom dusz”. Nie było to

pierwszy raz, chyba trzeci, ale ciągle znajdowałam w tym filmie coś nowego. I znów płakałam, gdy Esteban Trueba umierał z tęsknoty po śmierci Clary del Valle Trueba.

Ktoś zadzwonił do furtki, nie zdążyłam wytrzeć łez. To posłaniec!

Kos pocztą kwiatową przesłał dla mnie bukiet z czterdziestu gałązek różowej i bordowej eustomy! Piękny. A wieczorem kolejny raz czytałam e-maila od Ludwika. Gdy Kosma wrócił do Beaumont, Ludwik (okazało się) wrócił do Polski z nurkowej eskapady.

**Hej, Igo! Pozwolisz, że znów podzielę się z Tobą wiedzą o głębinach. Wyobraź sobie, że byłem na Karaibach. Glovers Reef, mówi Ci to coś? Miejsce odkryte przez Jean-Michel Cousteau. Gdzieś czytałem, że jeszcze dwadzieścia lat temu było tam tak bogate życie podwodne, że nurkowie musieli się przepychać między rybami. Rzeczywiście, mnogość gatunków jest tam nadal przeogromna. Byliśmy też na atolu Belize, skąd już niedaleko do Blue Hole. Wiesz, że to marzenie wszystkich nurków? Rify są zdradliwe jak kobiety. Żartowałem. Ulokowane na niewielkiej głębokości, są bardzo niebezpieczne dla nawigacji. Wszelkie pójście na żywioł studzą wraki statków, które co rusz mijamy. Na Blue Hole kapitan Cousteau wysadził onegdaj kawałek rify, aby możliwe było dotarcie tam jego Calypso. Na około stu metrach głębokości, gdzie już dochodziło naprawdę niewiele światła, widziałem**



piękne stalaktyty. Poczulem się w tej studni ciemności, pośród skalnych nawisów, jak strzępiel. Wolny, nieograniczony, w symbiozie z naturą. Popłynęliśmy także do Half Moon Caye, na tej wyspie jest rezerwat przyrody, gdzie spotykamy lęgowisko ptaków podobnych do pterozaurów. Za krawędzią rafy zachwyca nas jedno z piękniejszych miejsc, z olbrzymią ilością ryb. Rekin rafowy, barakudy samotniczki, olbrzymie tarpuny, można było podplnąć do nich, wcale się nie bały. W płytszej części tej strony prawdziwe akwarium pod względem ilości ryb i koralowców. Widziałem mnóstwo langust, ale nie było muren i ośmiornic. Na Karaibach (jak pewnie wiesz) normalnością są huragany, które niszczą dżungle na wyspach i rafę koralową, ale też przesuwają koralowce, co naturalnie sprzyja tworzeniu się nowych raf. Ach, długo bym jeszcze mógł pisać. Nocami nie mogłem zasnąć. Nie potrafiłem zrozumieć, że ja, ludzki robaczek, penetruję najbardziej magiczne twory geologiczne. Ale wiesz co? Tej nocy, kiedy zaliczyłem Blue Hole, szybko zasnąłem. I Ty mi się przyśniłaś. Byłaś ze mną, nurkowaliśmy, ale nie miałaś kombinezonu płetwonurka. Ja tak, Ty nie. Miałaś na sobie czerwoną kieckę, w której przywitałaś mnie kiedyś na Starym Rynku pod Prozerpiną. Doświadczeni nurkowie mówią, że sny znad Blue Hole się sprawdzają. Zobaczymy... Jak myślisz? – Ludwik.

Dla mnie, lękającej się wody, wyobrażenie, że błędę w odmętach wśród roślin wodnych, dotykam śliskiego szlamu wraku, spotykam się oko w oko z drapieżną rybą, albo, co gorsza, z ławicą, gubię się w wodnej pustyni, boję się i uciekam, brakuje mi powietrza, które mam nad sobą kilkadziesiąt metrów... byłoby wstrząsem. A to, jak mawia mój psychiatra, też jest rodzajem terapii.

Kosma pokazał mi światło na horyzoncie. Nadal jednak spodziewałam się najgorszego, tym bardziej, że w rolnictwie każda wiosna wymagała dużego finansowego wkładu. Jeśli się posieje, to się zbierze. Innej drogi nie ma.

Od Ludwika odebrałam kilka SMS-ów, na parę odpowiedziałam, ale nic więcej poza tym między nami się nie wydarzyło. Kosma słał e-maile, na które też grzecznie odpowiadałam. Czas niszczy relacje, czyni je obojętnymi, ale nie zapomniałam, co sobie z Kosmą powiedzieliśmy na polu ani też tych iskier, jakie zawsze strzelały między mną i Ludwikiem. Ludwik i Kosma. Obaj byli dla mnie ważni. I Róża się zapowiedziała. Miała być w Poznaniu u lekarza, oczywiście zaprosiłam ją do Złotniczek, ale nie chciała przyjechać. Wymówiła się banalnie, że przyjechała pociągiem i musi wrócić do domu tego samego dnia.

I ja postanowiłam, że do Poznania pojedę pociągiem. Odwiedziłam w kiosku Renie.

– Dobrze, że pani jest. Piszą w gazecie, że dwie

kobiety się zmówiły i zamordowały faceta, który dla jednej był kochankiem, a dla drugiej mężem. Wywiozły go do Niemiec, utopiły niedaleko Poczdamu, a na końcu dały sobie wzajemnie alibi. To było jakiś czas temu, jeszcze przed wejściem Polski do Unii. Po latach się pokłóciły, poszło o to, którą bardziej ów nieboszczyk kochał. Zaczęły mówić. No i się wydało.

Wsiadłam do pociągu. Też jechałam na spotkanie z kochanką mojego męża.

Po drodze przyglądałam się zrujnowanym dworcom kolejowym. Moja historia. Poznań Garbary – to stamtąd wraz z rodzicami wyruszaliśmy na wieś. Tam też wysiadłam. Dworcowy budynek po zimie wyglądał na swoje lata. Podjechałam dwa przystanki autobusem, a potem pieszo ulicą Wroniecką dotarłam do Starego Rynku.

Ostatnio widziałam Różę kilka miesięcy temu w dobrej formie, tymczasem teraz zastałam ją w restauracji wymizerowaną i starszą o kilka lat. Kłopoty, zapewne, skąd ja je znam?! Sama jeszcze niedawno wyglądałam jak cień. Wiosna jest piękna, owszem, ale i okrutna, opowiada historię naszego przemijania. Zebrało nam się na wspominki, zamówiłam setkę koniaku, który wypiłam duszkiem, potrzebowałam się wyciszyć. Potem powtórzyłam zamówienie, Róża nie chciała trunku. Zamówiła kawę. Było mi dobrze w jej towarzystwie. Dwie opuszczone przez tego samego mężczyznę kobiety.

Dwie silne kobiety.

– Wyobraź sobie, ja jemu powiedziałam, że nie jest ostatnim maharadzą, a tylko zwyczajnym wkurzającym moim byłym mężem. Gburem, po prostu. Ale rozwodu mi nie utrudniał! On wtedy powiedział, że jeśli ja jestem w rui, to jak chcę, to on też będzie. To nie było miłe, właściwie nie wiem, dlaczego ci to mówię. Nigdy przedtem taki ordynarny nie był – paplałam.

Róża milczała.

– Wiesz, ja go rozumiem – powiedziała i uciekła wzrokiem w bok.

– W jakim sensie?

– Słyszał, że kaszlę, długo to trwało. Dawali mi antybiotyki, ale nie przechodziło. Kaszlesz i kaszlesz, to co sobie myślisz? W końcu poszłam się prześwietlić. Bałam się odebrać wynik, poprosiłam Leszka. Wprawdzie opis był po łacinie, ale może gdzieś się dowiadywał. Wystraszył się i ja go rozumiem. Każdy facet chce mieć zdrową kobietę – rzekła Róża, a jej oczy były wciąż nieme. Nie rozumiałam, co chce mi powiedzieć.

– Twojego kaszlu się bał? Żartujesz! Idiota!

– Nie kaszlu. W opisie była diagnoza. On ją przeczytał, czyli wiedział prędzej niż ja. Jutro zaczynam chemię.

– Rózo! Co ty mówisz? – Nie rozumiałam. – Dobrze słyszałaś. Mam raka i jutro biorę pierwszą chemię. – Róża

tym razem powiedziała to głośno i wysoko podniosła głowę. Tak, jakby chciała w ten sposób pokazać, że nie wstydzi się choroby. „Tak, mam raka, ale nie jestem gorsza niż wy, zdrowi!”. Wszystko, co w tej chwili chciałam jej powiedzieć, było banalne. Natychmiast wytrzeźwiałam. Chwyciłam Różę, moją Różyczkę za obie ręce.

– Będziemy walczyć, razem będziemy walczyć! – powtarzałam.

– To była taka sobie zwyczajna diagnoza. Ma pani pecha, powiedzieli. „Mapajpeja”, usłyszałam, po prostu lekarz miał wadę zgryzu i niewyraźnie mówił. „Ma pani pecha”, powtórzył wyraźniej. Trzy krótkie słowa. Króciutkie zdanie. Nieważny jest ani tryb, ani też długość obrzydliwie złej wiadomości.

– Jak ci pomóc? Potrzebni są lepsi lekarze? Porozmawiam ze znajomymi, na pewno kogoś znajdą. Musimy koniecznie znaleźć kogoś nieobojętnego. Są jeszcze tacy Judymowie, naprawdę.

– No, nie wiem. Jest jak wszędzie, ustawią cię na końcu kolejki, nieważne, czy masz szansę, czy nie. „Masz pecha”, w tych słowach zawiera się całe ohydztwo. Jakiego ja, kurde, mam pecha?! Mam raka. Potwornego skorupiaka, który wszystko gryzie w człowieku, a najbardziej mózg. Myślisz wtedy: dlaczego ja? Dlaczego teraz? Teraz, kiedy jest dobrze.... Wreszcie jestem sama ze sobą, mam odnowione mieszkanie, jest ładnie, spokojnie,

bez pijaka, bez kogokolwiek na głowie. Tak bardzo chciałam, by wokół mnie było jasno, biało, różowo, to sobie tę jasność zafundowałam, wyobraź sobie, nawet na balkonie zasadziłam kilkadziesiąt białych petunii. Ludzie odwracają głowy, podziwiają. Nie mam żalu do Leszka, że wyjechał, zrozumiałam, że facet mi do niczego nie jest potrzebny. Dopiero teraz chce mi się żyć. Chciało...

– Nie mów Różyczko, oszczędzaj się. – O Matko, jak bardzo chciało mi się żyć!

– Mogę mówić, ile chcę. To nie jest rak gardła, to skorupiak płuc z przerzutem do skóry i wątroby.

Pytanie, a raczej wyrzut: „Dlaczego teraz?” jest kluczowe w karuzeli życia i śmierci. Do tej pory walkę z przeważającymi i przerażającymi mnie siłami prowadziłam dla siebie, by było mi wreszcie dobrze. Dla majątku. Ale wiem na pewno, że nie potrafiłabym walczyć ze śmiercią. Nie patrzyłam w oczy wymizerowanej Róży, mimowolnie odwracałam wzrok, by nie pokazać, jak bardzo przygnębia mnie jej choroba. Jej potrzebne były siła, wsparcie, motywacja do walki.

– Mam jeszcze marzenia. Wiesz? Chciałabym pojechać do Łeby, postawić stopę na ruchomych wydmach, zanurzyć się w zimnej wodzie, sprawdzić, czy jest słońce. W tak wielu ciekawych miejscach w Polsce nigdy nie byłam...

– Pojedziesz, na pewno.

Odprowadziłam Różę na dworzec. Popłakałyśmy się dopiero na peronie. Następnego dnia miała wrócić do Poznania i położyć się w szpitalu. Stałam na peronie aż do odjazdu pociągu, zrozpaczona, przybita, wkurzona na Boga, na przeznaczenie, na zły los, że nie będę mogła spokojnie pracować, żyć, myśleć o życiowych banałach, nawet moje kłopoty wydały się żadne.

Po powrocie do Złotniczek wsłuchiwałam się w odgłosy domu. Wieczorem Staś spał, a ja siadłam przed komputerem i zaczęłam rozsyłać do znajomych zebrzące o kontakt do dobrego onkologa e-maile. Potem długo nie mogłam usnąć, więc włączyłam terapeutyczną płytkę.

*Usiądź Igo wygodnie i pomyśl, że wraz każdym oddechem wdychasz życiodajną energię,. Pomyśl, że jesteś w pięknym miejscu, tam, gdzie najbardziej lubisz. Na łące, nad morzem, w tropikach, a może na bezludnej wyspie czy na największym na świecie jachcie dla bogaczy. Wszyscy, których kochasz są obok, zdrowi i szczęśliwi. Musisz w to wierzyć.*

\* \* \*

Minął dzień, a ja ciągle nie pozbierałam się po spotkaniu z Różą. Niewiele osób odpowiedziało na mojego e-maila, w zasadzie rozumiałam to. Rak to choroba bardziej niż zaraźliwa. Leszek. Pieprzony tchórz.

Jak mógł? Mnie zostawił z kłopotami, owszem, ale od Róży uciekł, zostawiając ją sam na sam ze śmiercią.

Na dokładkę księgowa firmy, Grażyna Chraplak, pewnie już wcześniej zorientowawszy się, o co, będąc księgową, przecież nietrudno, że firma mlekiem i miodem nadal nie płynie, nie ma pieniędzy na podwyżki, znalazła nową pracę i oznajmiła mi to z miną taką, jakby wygrała szóstkę w totka. Chciałam coś z nią wytargować, rok obrachunkowy nie był zakończony, nie widziałam też sensu zatrudniać na jej miejsce kogoś z zewnątrz, wtajemniczać w sekrety firmy. Nie, to nie byłoby roztropne. Grażyna jednak nie była skora do ustępstw, z emocji mówiła o trzy tony wyżej i trzaskała segregatorami.

– Od zaraz, ani dnia dłużej – powtarzała w kółko. – Jutro będę w nowej firmie, z czego się bardzo cieszę. Tutaj jest tak trudna sytuacja, że nawet odbiorcy wzywają, do zapłaty! To bankructwo. Przecież widzę.

– Odbiorcy wzywają do zapłaty? Jak pani może takie głupoty wygadywać? Działam, robię, co mogę, a pani mi to po prostu utrudnia.

– Nic nie utrudniam. Zresztą, na temat pani kodeksu postępowania mogłabym wiele powiedzieć, ale po co? Chcę odejść i już.

– Trzymajmy się prawa. Jest też Kodeks pracy, czyż nie? Absolutnie nie zgadzam się na porozumienie stron.



Owszem, możemy się dogadać, ale muszę mieć zakończony miesiąc.

– Nie może mnie pani zatrzymać na siłę. Nie jestem niewolnikiem!

Grażyna zaczęła płakać, ciągle trzaskała segregatorami, a jeden, stojący na podłodze przy biurku, kopnęła.

– Proszę się uspokoić, nie histeryzować. – Chwyciłam ją za rękę.

– Chce pani mnie wyekspluatować, a potem samej ulotnić się z pieniędzmi? Przecież widzę na kontach, co się dzieje. Nie będzie mnie pani szarpać!

Nie chciałam, by przeniosła skandal na środek wsi. Znów przytrzymałam ją za rękę, wyrwała się jednak i w spazmach wybiegła z biura. Dogoniłam ją na schodach, zagroziłam drogę, ale popchnęła mnie i już jej nie było. Byłam zbyt tolerancyjna, powinnam powiedzieć jej do słuchu. Niestety, okazało się, że gruby dyrektor słyszał każde nasze słowo, zresztą pucujący auto Waldek też.

Jak brzmi jedno z praw właścicielskich? Gdy jest kryzys w firmie, wystarczy zwolnić dyrektora finansowego. Nie godziłam się z tym. Widziałam przez okno, że Grażyna wsiada do auta parkieciarza, który czekał na nią przed biurem. Byłam wypompowana, chodziły mi po głowie jej słowa o moim jakoby

nieetycznym kodeksie postępowania. Były tak bardzo niesprawiedliwe.

Wychodząc z pustego biura, wzięłam z biurka kopertę z pieniędzmi od Bieniakiewicza. W domu zaczęłam liczyć banknoty. Miało być pięć tysięcy. Było sześć. Na pewno się pomylił, podobnie jak kiedyś Leszek, i Bieniakiewicz miał zwyczaj pieniądze nosić w kieszeni luzem. Tak samo jak Leszek i jak ja kiedyś, na pewno nie wiedział na sto procent, ile wydał, także ile powinien mieć. Pokusa była spora. Oddać czy zostawić? Mogłabym pomóc finansowo Róży, na pewno będzie potrzebować pieniędzy.

Po południu zajrzała Ewa, opowiedziałam jej o zajściu w firmie, potem o Róży.

– Przepowiadałam, że z Różą to się tak właśnie skończy. Ach.

Oczywiście, miała na myśli, że choroba to kara boska za życie Róży z żonatym. O mało *co* się i z Ewą nie pokłóciłam, ale zajrzała Adela Renz. Dotarły do niej wieści o Grażynie. Ewa zaś, korzystając z sytuacji, prędko się pożegnała.

Rozmowa z Adelą też mnie nie wyciszyła. Gdy zostałam sama, na siłę szukałam miłych tematów. Przez chwilę myślałam tylko o zbożach ozimych, o urodzaju, o nadwyżce od Marka Bieniakiewicza, ale w końcu padłam na łóżko, szlochając. Staś na szczęście został u Koronowskich.

Znów wszystko zwiastowało katastrofę. Chodziłam po ciemku od okna z jednej strony domu, do okna w drugiej części. Stojący na tyłach domu szkielet spalonego subaru straszył, oświetlony księżycową latarnią. Codziennie coś mnie do tych okien pchało, podobnie jak topielca do wody. Okno prawe, okno lewe, parking prawy, parking lewy. I znów to samo. I jeszcze raz. Jakby niebezpieczeństwa ucłowieczyły się i mnie osaczyły.

Noc była zimna, jak to często bywa w czasie panowania „zimnych ogrodników”. Jeszcze tylko „zimna Zośka”, a potem podobno miało się zrobić cieplej. Zamknęłam okiennice, zapaliłam lampę, wrzuciłam do kominka dwa sosnowe drwa. Buchnęło ogniem i natychmiast zapachniało świeżym drewnem. Po domu snuł się zapach olejków sosnowych. Zamknęłam przestrzeń w lepszej, cieplejszej i spokojniejszej myśli. Ciepło i sosnowe zapachy utuliły mnie do snu.

\* \* \*

Następnego dnia Grażyna nie przyszła do pracy, zrobiła tak, jak powiedziała. Po południu jej przyjaciel, parkieciarz z Pobiedzisk, przywiózł zwolnienie lekarskie na osiem dni. Wystawił je chirurg. Przyjrzałam się pizdusiowi dokładniej. Był to zmarnowany życiem typ

o przerzedzonych włosach, trudnej dla krawca figurze, w wieku, według mnie, dobrze po czterdziestce. W szarych, przekrwionych oczach typa brakowało jakiegokolwiek uczucia. Co skłoniło bądź co bądź młodą i ładną lasencję do związku z takim indywiduum? Nie pasowali do siebie, byli jak piękna i bestia.

Parkieciarz, wychodząc z biura, mruknął zamiast pożegnania, że pracowników nie traktuje się tak brutalnie, że to podlega karze. No, jasna cholera!

– To nie pana sprawa! – powiedziałam zimnym tonem.

Nie był jeszcze na schodach i oczywiście musiał słyszeć, ale się nie odwrócił.

I ja tego popołudnia zostawiłam Złotniczki. Pojechałam do Poznania z wynikami Róży, tym razem do lekarza, którego poleciła mi znajoma. Niestety, rozłożył ręce. Nowotwór płuc, nieoperacyjny, z przerzutami do wątroby i prawdopodobną drogą dojścia do mózgu, zależy, jak chora zareaguje na chemię i naświetlania. Nie znał przypadku, by ktoś w tak zaawansowanym stadium żył dłużej niż półtora roku. Mówił o cudzie, o sile woli chorego i że generalnie ośmiu lat dożywa tylko dziesięć procent pacjentów z rakiem płuc. Powiedział też, że leczenie nowotworów złośliwych w większości przypadków jest zaledwie przedłużaniem życia. Smutne to było.

Zajrzałam do szpitala, choć po tym, co usłyszałam, nie miałam złudzeń i to być może było wypisane na mojej twarzy. Róża przywitała mnie w bardzo dobrym nastroju.

\* \* \*

Minał miesiąc. Grażyna nie pojawiła się więcej. Poczta przysłała dwa listy za potwierdzeniem odbioru, pełne pretensji, jak ją rzekomo źle potraktowałam. Kurczewski uznał, że w ten sposób dokumentuje sprawę. Próbowałam zająć się zaległościami, ale nie potrafiłam poruszać się w finansowym programie. Ręcznie, metodą słupków, tworzyłam sprawozdania finansowe i podatkowe zeznania, byle tylko dotrzymać terminów do urzędów. Brakowało tylko tego, żeby i one zwały mi się na głowę. Nie bałam się urzędników, już nie, ale ręczyć za Grażynę i jej działalność nie miałabym odwagi.

Róża znów była w szpitalu. Pojechałam do niej – była po dwóch silnych wlewach, łysa, chuda. Powiedziała, że dobrze znosi chemię. Ucieszyła się, że przyjechałam i zaczęła opowiadać szpitalne historie, jak to cały dzień siedziała w przeciagu na korytarzu, oczekując na swoją kolej, nie było dla niej miejsca. W końcu, po awanturze, znalazło się, co spowodowało, że zaczęła mieć kilku wrogów w szpitalu. Powiedziała, że lekarze nie mają pewności, czy w ogóle wystarczy na trzecią dawkę dla

niej. Chciało mi się rozbijać mury obojętności. Przyjechała gotowa na tortury, na pograniczu życia i niebytu, a potraktowano ją tak, jakby walczyła z katarem. Nie mieściło mi się to w głowie. Żyłam w przekonaniu, że po wykryciu raka wdraża się natychmiast leczenie, używając wszystkich dostępnych i sprawdzonych metod. Nic bardziej błędnego. Róża najpierw musiała wygrać ze skostniałym i zobojętniałym medycznym potworem.

– Dopiero tutaj nauczyłam się pokory i... cierpliwości. Na ulicy, gdy widzę, jak ludzie przypatrują mi się, że nie mam brwi, a na głowie zamotaną chustkę, wtedy klęę, warczę: „Zostawcie mnie, nie oceniacie, nadal jestem kobietą! Żyję”. Ale w sumie... najczęściej nie krzyczę.

Chciałam ją zapytać, jak to jest dokładnie, co się czuje w takich chwilach, ale Róża, wyczuwając moje intencje, machnęła ręką.

– Zobacz... – Pokazała na śpiącą na łóżku obok starszą kobietę. – Ona tak strasznie płacze, tak bardzo jest rozszalona. Ciągłe powtarza, że nie chce jeszcze umierać. Nienawidzę, jak się rozkleja, chcę wtedy, by się zamknęła. Niech umiera, skoro nie umie walczyć.

Patrzyłam na blade ręce starszej kobiety z sąsiedniego łóżka, z siatką granatowych żył, oplecione różańcem z koralikami z drewna. Spała. Milczałam. Prawdę mówiąc, będąc w szpitalu, naprawdę nie wiedziałam, jak

się zachować. Róża zauważyła moje onieśmienie.

– Iguś, uśmiechnij się, ja już swoje w życiu zrobiłam, reszty dokonał psycholog, przygotował mnie na śmierć. Godzę się, to może za dużo powiedziane, ale nie boję się pustki po... Bo to o pustkę przecież chodzi, prawda?

Westchnęłam. W takiej chwili trudno znaleźć odpowiednie słowa.

– Moje problemy przy twoich są niepoważne – powiedziałam tylko takie, które przyszły mi wtedy na myśl.

– Nieraz się przekonałam, że w nas, kobietach, tkwi nieprawdopodobna siła. Tobie się ułoży i mi też! – Pocieszała mnie Róża. – Ale błagam cię, zatroszcz się o siebie, żyj zdrowo, nie pal, nie przemęczaj się, nie stresuj. Mną się nie martw. Dwóch dziadów wykończyłam, jednego wystraszyłam, to tego najbardziej chamskiego też pokonam.

– Dobrze... Na pewno tak zrobię. – Głaskałam ją po rękę.

– Wiesz, nawet dzieci umierają... Ja swoje przeżyłam już...

– Przestań! Tak nie mówi kobieta, która wykończy czwartego dziada!

Róża zaśmiała się.

– Igo, ty zawsze miałaś klasę. Proszę cię, obiecaj mi,

że zadbasz o siebie. Wszystko co złe, stresujące i obciążające, odkłada się w nas, kiedyś w to nie wierzyłam...

To nieprawda, że Róża umrze. Jeśli ona odejdzie, przestanę wierzyć w wygraną z rakiem. Tak myślałam, gdy wracałam z Poznania do swojej wiejskiej sypialni. Przecież od dawna wierzyłam w cuda i szczęśliwe zwroty. Gdy chorowała mama, wierzyłam. Gdy ojciec miał sprostać życiu wdowca, też wierzyłam. Gdy dziadek zachorował – również wierzyłam, mimo że wcześniej nie wydarzył się żaden cud. Musiałam wierzyć, by żyć. Muszę nadal.

\* \* \*

Wieczorem, po powrocie ze szpitala, próbowałam się skontaktować z Ludwikiem. Dawno się nie odzywał. Ani ja do niego. Choroba Róży uświadomiła mi, żeby niczego nie odkładać na potem. Potrzebowałam seksualnych wyczynów, po których znów, przytulając się mocno do kochanka, czułabym się bezpiecznie. Chciałam dotykać, pieścić, być w nagich, ciepłych ramionach Sommera i się nie bać. Żyć. Nie bać się niczego. Być.

Wystukiwałam numer telefonu Ludwika, niestety nikt się nie zgłaszał. Wpisałam imię i nazwisko na „wspomnij bliskich”. W tamtym czasie miałam wyłącznie skojarzenia



zahaczające o ostateczność. Nic nie znalazłam. Nie rozumiałam naszego związku ani jego małżeństwa. Był odpowiedzialny? Możliwe. Ale dlaczego w takim razie niewierny?

Wieczór znów spędzałam samotnie, Basia chroniła Stasia, nie chciałyśmy, by był świadkiem moich skrajnych emocjonalnych stanów. W domu nie mogłam sobie znaleźć miejsca, ale wychodzić do ludzi również mi się nie chciało. Zadzwoiłam do Ewy, tym razem mnie nie zbyła.

– Co jest potem? Co się czuje? – Zakończyłam opowieść o Róży.

– Pustka. – W zasadzie potwierdziła jej słowa. – Nic nie ma. Nic się nie czuje. Czasu sprzed swoich urodzin też nie pamiętamy.

– A jednak bywa, że zmarli przychodzą do nas w snach. A więc coś jest...

– Eee tam.

Już się pożegnałam z Ewą, życzyłam jej dobrej nocy, ale ona nadal się nie rozłączała. Wreszcie powiedziała, że czeka na lekarza, bo pijany „tatuś” zakrztusił się wypocinami. Wprawdzie odzyskał przytomność, ale nadal był siny, więc chciała, by go osłuchali. Rozłączyłyśmy się w momencie, gdy słyhać było sygnał karetki pogotowia.

W końcu, jak to bywało w chwilach, gdy czułam się najbardziej samotna, wyciągnęłam harfę z za szafy

i zaczęłam brzdękać. Nie byłam na tyle spokojna, by pieścić struny, ale grałam długo. Było po północy, kiedy położyłam się do łóżka. Zanim zasnęłam, poprosiłam Boga o czas dla Róży. I zmówiłam zdrowaśkę gratis w drugiej ważnej intencji. Żeby umarł stary Dyduch.

\* \* \*

Minęła noc, a Dyduch, absolutnie niewybierający się na drugi świat, zdążył już zapewne poczynić plany co do kolejnej flaszki. Od Róży też nie napłynęły złe wieści. Ani też dobre... Ewa pojawiła się rano w progu mojego domu, co mnie bardzo ucieszyło. Wreszcie. Tak bardzo chciałam ją mieć blisko, tyle jej opowiedzieć. Oczywiście nie oczekiwałam z jej strony doradztwa, chciałam, by mnie tylko wysłuchała.

– Wszystko we mnie krzyczy! – Tym razem Ewa zaczęła pierwsza.

Nie znałam u niej takich nastrojów, co innego ja. Ona miała poukładany świat, według mnie opacznie, ale poukładany. Ojciec to ojciec, mąż to mąż, obowiązek to obowiązek, oszczędności to oszczędności. A ja? Zawsze wszystko u mnie było w rozsypce.

– Ale to nic, zły nastrój szybko minie – kontynuowała. – Pojadę na wesele siostrzeńca, co na pewno poprawi mi humor. Sprawiałam sobie małą czarną,

dół ma uszyty z koła, by się dobrze tańczyło. Dawno nic dla siebie nie szyłam. Ile się teraz daje na prezent?

– Leszek pracownikom dawał po tysiąc.

– Tysiąc to ja miałam renty. Trzysta złotych odkładałam na opłaty, z siedmiuset mogłam siebie utrzymać. Wychodziło po dwadzieścia trzy złote na dzień. Paczka fajek na dwa dni mi wystarczała, więc zostawało niecałe dwadzieścia. Można się było nie bać przyszłości.

– Będę musiała przed zimą postarać się o pozwolenie na wycięcie choinek, nic już im nie pomoże.

Choinki przed domem marniały już od roku. Ich chorobę nazywa się brunatnieniem igieł. Kazałam je opryskać, ale mało to dało.

– To były czasy, siedemset to nie było wiele, ale można się było utrzymać. Codziennie sprawdzam oferty pracy, ale dla chemików nic nie ma, zresztą, teraz muszę i matką się zająć.

– Nie wiesz, jak długo się czeka na zgodę na wycięcie drzew? Będę musiała zadzwonić do gminy.

Z Ewą często wiodłyśmy równoległe rozmowy. Ona mówiła swoje, ja swoje. Chodziło o wygadanie się, o wyrzucenie z siebie tak zwanych myśli-chwastów.

– Znikam nakarmić rodziców.

Tak zrobiła i znów nie było jej obok mnie.

Czekałam na wiadomość od Ludwika. Milczał.

Czekałam na wieści od Kośmy. Też milczał. Internetowa skrzynka wiała pustką. Po naszym spotkaniu po latach i po deklaracjach Kosa oczekiwałam jakiejś kontynuacji. Tymczasem od naszego wspólnego kolegi dowiedziałam się, że Kosma znów był w Poznaniu, wprawdzie przez kilka dni, ale jakoś z nim zdażył się spotkać, mnie zaś ani nie odwiedził, ani w ogóle nie dał znać, że jest. Na pewno też zajrzał do rodziny w Złotniczkach. Rozważałam nawet, czy by nie zakopać topora wojennego i nie dowiedzieć się od Jurka Bednarza, o co chodzi. Podejrzewałam, że się przestraszył, po prostu moje problemy Kosmę przerosły! Nikogo nie obchodziłam. Zrozumiałam, że czas, bym nauczyła się radzić sobie emocjonalnie w inny sposób, postawić na siebie, bo i tak zwykle nikogo obok mnie nie było.

Od Róży też nie miałam żadnej wiadomości. Zadzwoniłam, odebrała od razu. Znów była w szpitalu, tym razem w jednoosobowym pokoju, prewencyjnie, na dwa tygodnie przed kolejną chemią.

– Firma, w której jestem zatrudniona, ufundowała dla szpitala kilka szafek, dlatego wokół mnie biegają. Oczywiście teraz się nad nimi pastwię za to, jak traktowali mnie wcześniej. Jestem wredna.

Śmiałam się. Życie stało się odrobinę ładniejsze.

– Zajrzałam do nieba. Mam nadzieję, że na chwilę wyrwałam się ze szponów, może trochę jeszcze pożyję, ale jeśli tak będzie, postaram się uporządkować wszystkie

rodzinne sprawy – dodała Róża. – Już to zaczęłam. Wydziedziczyłam Michała.

– A kto to jest Michał?

– Syn.

Nie wiedziałam, że ma syna. Wiedziałam tylko o córce.

Wieczorem doczekałam się odpowiedzi na e-maila. Ludwik napisał wreszcie, żebym się nie martwiła i załączył na pociechę swoje zdjęcie w stroju nurka. Pomyślałam, że kolejnego dnia koniecznie muszę wyjść z tego domu do ludzi, na przykład do Adeli Renz i zagrać z nimi w scrabble.

Tym razem zamiast gry w scrabble usłyszałam dalszy ciąg opowieści o wojnie. Staś, który poszedł w odwiedziny razem ze mną, też się jej przysłuchiwał:

– Była jesień, o czwartej nad ranem usłyszeliśmy „Aufmachen! Polizei!”. Dali nam kilka minut na spakowanie się i opuszczenie domu. Nie pozwolili zabrać futer, porcelany i żadnych drogocennych rzeczy, ale to już było nam wiadome. Żywność tylko na dwa dni i niewiele rzeczy osobistych. Schowałam pod rękawem bluzki zeszyt i kredki, bardzo się bałam, że uznają mnie za przestępcę. Umundurowany Niemiec stał w drzwiach i obserwował, co pakujemy. Wydawał polecenia, przetrząsał kieszenie albo bieliznę, chcąc zarekwirować zakazane rzeczy. Znalazł w torbie mamy złoty łańcuszek z krzyżykiem

i oświadczył, że go konfiskuje. Ale starszy stopniem i wiekiem Niemiec kazał sobie podać ten łańcuszek, pocałował krzyżyk i powiesił na mojej szyi. Nie zrozumiałam, o co mu chodzi. Byłam przerażona, że odbiorą mnie mamie i skonfiskują razem z łańcuszkiem.

– Ja bym wszystkich zastrzelił – wymądrzał się Staś.

– Zawieziono nas do Poznania na Główną, umieszczono w pociągach. Nie były to bydlęce wagony, tylko w miarę normalne, pasażerskie, tyle że panował w nich niesamowity tłok. Pamiętam płacze, krzyki i religijne pieśni. Jechaliśmy długo, dwa razy robiło się ciemno, zanim dotarliśmy do Łodzi. Tam Niemcy zaczęli nas segregować, rozdzielono nas. Modliłam się, by Jezus z mojego złotego krzyżyka nie zasnął z pomocą i pojawił się na czas. Po rewizji na szczęście spotkaliśmy się wszyscy w kolejnym pociągu. Po kilkunastu postojach w polu, po trzech nocach, przed południem pociąg zatrzymał się w Chełmie Lubelskim. Nadjechały kolejne transporty. W jednym byli Żydzi z Konina. Spotkałam się wzrokiem z dziewczynką, była chyba w moim wieku, pokiwała mi. A ja udałam, że jej nie widzę. Dzisiaj się wstydzę, że nie miałam odwagi jej pozdrowić. Gdyby nie wojna, mogłaby być moją przyjaciółką, ale takie to były czasy. Cała podróż odbywała się w upokarzających warunkach, przekraczających wyobraźnię człowieka, który nigdy nie zaznał wojny. Byliśmy zgębieni i załamani, brudni, śmierdzący, podczas transportu

Niemcy nie pozwalali opuszczać wagonów za potrzebą, brakowało żywności.

– Moja mama była silną dziewczynką? – zapytałam.

– Oj nie. Na końcu podróży ciężko zachorowała. W naszym transporcie z zimna i głodu umarły dwie dziewczynki. W Cycowie kazali nam wysiąść, jadąc furmanką polnymi, rozmokłymi, rozjeżdżonymi drogami, pod wieczór dobrnęliśmy zziębnięci i rozhuśtani do Wólki. Na nasze rodziny przydzielono tam po jednym pokoju u samotnej kobiety, w niewielkim biednym gospodarstwie.

## **Lato 2008**

No i minął jakiś czas, kiedy znów ujawniła się cała marskość tego świata. Dostałam odmowę na wycinękę choinek.

– Decyzja z urzędu była lakoniczna. Tymczasem tego samego dnia we wsi pojawiła się ekipa drwali, by wyciąć akacje.

z Jasna cholera, to był dla mnie cios! Latem? Z liśćmi? Skąd ten pośpiech? Te drzewa były tam od zawsze. Ich kwiaty czyniły każdą wiosnę w Złotniczkach pachnącą. Nieraz wcinałyśmy je, wracając z majowego. Przy drodze zebrało się kilkunastu mieszkańców wsi. Robotnicy rozstawiali piły i maszyny do mielenia drewna,

w nosie mieli, że jest lato, że drzewa żyją. To przepełniło we mnie czarę goryczy. Wróciłam do domu i nie zdążyłam się nawet zastanowić, *co* robię. Złapałam słuchawkę.

– Chore świerki, które straszą przed moim domem, mają zostać, tak? Dostaję lakoniczną odmowę, jakbym chciała wyplewić dzieła natury na miarę dębów w Rogalinie. Tymczasem wy tniecie żywe drzewa. Żeby mnie dobić, tak?!

– Pani Igo. Gdyby każdy chciał wycinać drzewa na opał, żylibyśmy na pustyni – oznajmił urzędnik. – Proszę się uspokoić, z akacjami to konieczność, zresztą wytniemy tylko kilka. Otrzymaliśmy z Unii Europejskiej pieniądze na modernizację drogi do wsi.

Wściekłam się, tego popołudnia znów nie odebrałam Stasia z Nadrożna. Ale pojechałam specjalnie, by dać synkowi buzi. Basia o nic nie pytała, nieraz mnie widziała w takim stanie. Sama z sobą oczywiście także walczyłam. Na Boga, naprawdę nie chciałam być aż taką choleryczką! Zapaliłam papierosa, nie zważając na to, że zadymiam cudzy dom.

– Igo, zanim napadniesz na jakiegoś urzędnika, posłuchaj, co mam do powiedzenia w kwestii akacji – zaczęła Basia po chwili.

– Czyli wiedziałaś, że będą je wycinać i nic mi nie powiedziałaś?



– Skąd mam wiedzieć, że ciebie tak żywo interesują jakieś krzaczory? Urzędnicy mają rację, niedługo wpakowałyby się gałęziami na jezdnię. Czytałam kiedyś bardzo ciekawy artykuł na temat dróg i drzew przy nich rosnących. Jest przepis, by przy nowych nasadzeniach odległość od krawędzi drogi do miejsca posadzenia drzewa wynosiła minimum trzy metry. Mówi się, że nawet te trzy metry nie są bezpieczne, najlepiej drzewa sadzić za rowem drogowym i w taki sposób, by nie ograniczały widoczności na skrzyżowaniach. Zauważ, że do Złotniczek z powodu akacji i krzaków rosnących przy drodze wjeżdża się po omacku. Osobiście uważam, że przy każdej wąskiej drodze powinni wyciąć wszystkie drzewa. Bo stwarzają zagrożenie.

Zgasiałam papierosa, nic nie powiedziałam, choć miałam wielką ochotę krzyczeć. Basia powiedziała swoje i tyle. Na koniec zapytała, czy następnego dnia rano zawiozę Stasia do przedszkola. Odpowiedziałam, że owszem, i na tym nasza rozmowa się zakończyła.

Odetchnęłam z ulgą. Do małych dzieci trzeba mieć cierpliwość, czym tego dnia nie mogłabym się poszczycić. Po powrocie klapnęłam przy stole w kuchni. Z chlebaka wyciągnęłam suchą bułkę i zrobiłam gryzą. Przez utarczki z urzędnikami opadłam z sił i straciłam apetyt. Pokręciłam się po domu, ale nadal nie mogłam się uspokoić. Słyszałam warkot pił, ujadanie psów i gruchanie przestraszonych hałasem gołębi. Zamknęłam okiennice

i zarygłowałam drzwi. Chciałam się wyciszyć, wręcz zdrzemnąć. Nie mogłam, denerwował mnie hałas pilarek i tartacznych maszyn oraz towarzyszący im psi jazgot. Dopiero, gdy słońce wpadło w ciemną czeluść za horyzontem, zrobiło się cicho. Wieś stała się spokojna, ale mnie wciąż trzęsło.

Położyłam się na kanapie i przykryłam kocem. Leżałam w ciemności, a w moim ciele buzowała adrenalina, już postanowiłam. Oj, tej nocy chciałam nie być dobra ani miła. Miałam w planach zrzucić bombę po północy!

Jednak przysnęłam. Gdy się przebudziłam, mimo opatuleń kocem wcale nie zrobiło mi się ciepło, jednak to nie miało dla mnie znaczenia. Było po pierwszej. Wieś pogrzyżała się we śnie, ucichły gołębie sąsiada od grilla i jednej kiełbaski, zgasła lampa na zakręcie wyłysiałej po wycince akacji alei. Wtedy wstałam, ubrałam się w stare ubrania, zeszłam na podwórze, z garażu wzięłam kanister. Był pełen. Nie bałam się, wyszłam na ścieżkę, odkręciłam kanister i chlusnęłam benzyną na znienawidzone i ohydne świerki. Wzięłam zapałkę i odpaliłam.

Stanęły w ogniu od razu. Ależ się fajczyły! Płomienie lizały, aż wreszcie wylizały do reszty kikuty byłych drzewek ozdobnych. Jeszcze raz chlapnęłam benzyną i znów podpaliłam. Od ognia pojaśniało ciemnogrnatowe niebo. Zachichotałam. Spłonęły, ale to mi nie dało jeszcze całkowitej satysfakcji. Gdyby jeszcze coś unicestwić!

Chwilę pokręciłam się po podwórzu, pogorzeliśko dogasało. Wieś spała. Wróciłam do domu, ale po chwili znów wyszłam na dół już przebrana, z zamiarem wrzucenia do ognia łańców podpalacza.

– Miły wieczór? – Usłyszałam za swoimi plecami szelest kroków.

Odwróciłam się. Gołębiarz Bronek był w pidżamie. Wzruszyłam ramionami.

– Fascynujący – rzekłam.

– Dobrze się pani czuje?

– Okropnie.

Mieszkaliśmy po sąsiedzku, a ja nawet nie znałam jego nazwiska. Więcej już tego wieczoru nie rozmawialiśmy. Po prostu odwróciłam się i wróciłam do domu. Zrobiłam to, *co* do mnie należało. To były moje choinki, na moim ogrodzie, zasadzone za moje pieniądze, moja wola, moja decyzja. Tak powinno być. Takie myślenie wyniosłam z domu.

Kręciłam się w łóżku długo, było złowieszczo cicho. Nie słyszałam ani rozmów, ani szmerów zwiastujących, że poza gołębiarzem miałam jeszcze innych świadków. Zachichotałam. I pomyśleć, że jeszcze kilkanaście miesięcy temu wiodłam życie znudzonej żony.

\* \* \*

Rano, wyspana i zrelaksowana, bez śladu psychicznego napięcia, otworzyłam okiennice i wyjrzałam przez okno. Przy drodze ubyły trzy akacje. Już mnie to nie martwiło. Pod moimi oknami była pusta przestrzeń i osmolone ogrodzenie.

Tego ranka poczułam, że być może na nowo zaczęłam kochać tę wieś.

Moje włosy cuchnęły spalenizną, ale nie miałam czasu ich umyć. Obiecałam zawieźć Stasia do przedszkola, zresztą, zatęskniłam za nim. Gdy dotarłam do Koronowskich, czekał w przedpokoju już ubrany. Pierwsze, co uczynił, dając mi buzi, dokładnie mnie obwąchał, a i potem podczas jazdy zadawał bardzo dziwne pytania:

- Co się robi, jak się oszaleje?
- Głupoty – odpowiedziałam.
- Dzisiaj będę nocował w domu?
- Tak, przyjadę po ciebie po obiedzie, przed leżakowaniem. Zrobimy sobie długi spacer po wsi.
- Nie chcę ciągle łązić po tej zgniliznie, wolę się pobawić w suchym domu.
- Pobawić się to nie znaczy być ze mną. Pobawić się to znaczy być ze sobą samym.

Staś spojrzał na mnie spod oka i nic nie powiedział.

Mimo że był do mnie konfrontacyjnie nastawiony, tuż \* przed wejściem do przedszkola zatrzymał się i dał mi buzi. Jednak dałabym się pokroić, że znów mnie obwęchał. Potem, już w szatni, powiedział coś, co spowodowało, że zastanowiłam się nad kolejnością zdarzeń.

– Rysiu dzisiaj powiedział Basi, że zaoramy Poznań, ziemię użyźnimy popiołem z choinek i posadzimy pyry, a babcia mu odpowiedziała, że jest głupkiem i powinien trzymać język za zębami.

– „Dziadek Rysiu”, „babci Basi”, się mówi, a w ogóle nie zmyślaj.

– Czasem jeszcze gorzej mówi ta babcia Bacha, a raz nawet dziadka kopnęła, aż go nerka cały dzień bolała. Kobiety to dzikuski! – Basia, nie Bacha! Co byś chciał robić po południu?

– Popłynąć łodzią do Jerzyna.

– Wymyśliłeś. Nie mamy łodzi! Jest zimno, poza tym się boję...

– Mamo, to jak ty chcesz wyjść z dna? Musisz się wreszcie oduczyć paniki!

Gdy wróciłam z Pobiedzisk, usiadłam przy biurku w opustoszałym biurze i uśmiechnęłam się na myśl o rozmowie z synkiem. Rozprawienie się ze zbrunatniałymi choinkami pozwoliło mi poczuć się wygraną.

Po południu przyjechała Basia, przywiozła ciasto fale Dunaju, które mogłabym zjeść całe z wielkiej blachy, takie było dobre! Basia miała tym razem chytre spojrzenie, nic nie mówiła o choinkach, a raczej ich braku, zawsze była wyrywna, zatem od razu zauważyłam w jej zachowaniu coś nieprawdziwego. W końcu, udobruchana komplementami na temat ciasta, przyznała się, że Rysiu był nocą przed Domem Złudzeń. Stał w zacienionym miejscu, zaopatrzony w wiadro z wodą i w gaśnicę proszkową.

– Wyglądałaś jak obłąkana. Potargana, umorusana, w rozpiętej bluzie, chlastałaś benzyną na lewo i prawo. To nie wszystko. Łuna na niebie przyświecająca twoim wariactwom niewątpliwie obudziła samego wójta Pobiedzisk.

– Wyolbrzymiasz! To było zaledwie kilka suchych ogigli!

– Jesteś w matni, dlatego postępujesz w sposób nieprzemyślany, chaotyczny. Wpadasz w panikę, w nerwy, robisz błędy. Napytasz sobie biedy, a potem szukasz na oślep oparcia, które mogą tobie dać tylko najbliżsi, sprawdzeni. Uporządkuj swoje sprawy, po prostu uporządkuj.

– A czy ja w tej chwili nie porządkuję swojego życia?

– Z nikim we wsi, poza Ewą i Renzową, nie utrzymujesz kontaktów. To, że nie znasz ludzi, nie

znaczy, że oni nie wiedzą, co zrobiłaś, przecież wkoło są domy. Ludzie przyglądają się zza firanek, boją się pożarów. Nie licz, że w gminie się nie dowiedzą. To nie koniec, możesz być pewna. Wiesz, jak wysokie są kary za samowolne pozbywanie się drzew? Napytałaś sobie biedy, oj szkoda mówić!

– Mamo, czyli jednak to ty spaliłaś nasze choinki?! – Staś, do tej pory jedynie przysłuchujący się rozmowie, miał przerażoną minę.

Zarówno to, co miała do powiedzenia Basia, jak i pytanie Stasia bardzo mnie rozśmieszyły. Chichotałam i chichotałam. Podczas, kiedy ja wciąż się śmiałam, Basia zapakowała Stasia do auta, ruszyli sprzed domu i tyle ich widziałam. Nie zdążyłam ani ich zatrzymać, ani nawet zaprotestować. Znowu zostałam sama. Ewa nie przyszła ani nie zadzwoniła, a przecież musiała wszystko widzieć. W drodze do serca Ewy, które od zawsze należało troszkę do mnie, przegrałam ze starym Dyduchem. Adela też nie dała znaku życia. Nikt mi nic nie powiedział. We wsi panowała jakaś zmowa milczenia.

Dzień później wygrałam ze sobą i podjęłam decyzję, by jednak oddać Markowi Bieniakiewiczowi tysiąc złotych nadwyżki. Może w ten sposób chciałam zrównoważyć swoje uczynki? Zadzwoniłam i poprosiłam go, by podjechał po tysiaka.

– I dopiero teraz mi mówisz?

– Bo dopiero teraz się doliczyłam.

– Dziwnie długo to trwało, nie uważasz? – zapytał, a ja pożałowałam, że się do posiadania tej forsy przyznałam.

Szybko przyjechał i chyba po drodze przemyślał, bo przywiózł bukiet mieczyków i pięknie podziękował. Nawet dodał dwieście złotych znaleźnego. Pod wieczór, dumna ze swojego morale, siadłam przy oknie i obserwowałam, że gołębiarz Bronek wystawia w ogrodzie (jak codziennie) blaszany jednoosobowy grill na chybotliwych nóżkach, podpala węgiel, kładzie na ruszcie kiełbasę, przysuwa sobie plastikowe krzesło, otwiera blaszaną puszkę z piwem.

I siorbiąc piwko, czeka. A ja słyszałam skwierczenie kiełbasy, czułam zapach podpałki zmieszany z wonią brykietów i smażonej, wędzonej kiełbasy. I też czekałam.

Moje emocje w końcu opadły, ciągle jednak spodziewałam się konsekwencji wybryku z nocy. Basia miała rację. Przecież w tej wsi nie codziennie pieje czerwony kur i rzadko rozgrywają się takie dramaty! Dopiero po fakcie to do mnie dotarło.

Gdy Bronek skończył biesiadę i znikł w domu, mimo że niebo dopiero powlekało się szarością, ja przebrałam się w pidżamę i położyłam w łóżku. Było cicho, może dlatego wtedy usłyszałam hałasy dochodzące z biura. Pukanie, skrobanie, drapanie, szelesty. Potem wydało mi



się, że przeniosły się za okno. I znów usłyszałam je w biurze. Mój rozregulowany system nerwowy natychmiast wpadł w histerię, wstałam z łóżka i otworzyłam okno na oścież. Jabłoń *nie* dosięgała parapetu. Wychyliłam się, skierowałam światło latarki na wejście i chodnik. Tuż za płotem najpierw mignęło mi coś jasnego, a potem ujrzałam sąsiada, który stał i gapił się na jabłonkę.

– Ma pani gościa. Kunę – powiedział, gdy mnie zauważył.

– Chryste! To groźne zwierzę? – zawołałam przerażona.

– Nie tak bardzo jak to całe bractwo, co panią nęka. Ogień ją musiał skądś wypłoszyć. Tak się jej przypatruję, wydawało mi się, że to kuna leśna, ale nie, ta ma białą plamę na brzuchu, więc to najzwyczajniejsza kuna domowa.

– Czy to znaczy, że ona sobie stąd nie pójdzie?

– Pójdzie, o ile się ją wyprosi. Odstraszy ją głośna muzyka, silny zapach, na przykład na mole albo podobny. Trzeba wysypać.

– To jest dla mnie mało wykonalne. Poza tym się jej boję.

– Nie lubię kun, bo zjadają gołębie. Można zastawić żywołapkę albo kupić truciznę, po której zaschnie, ale nie wiem, czy to legalne.

Wzięłam latarkę i zeszłam do biura oszacować straty,

ale niczego szczególnego nie zauważyłam. Segregatory stały w nienaruszonych pudłach na swoich miejscach. Reszta też nie budziła wątpliwości. Wróciłam na górę i starając się nie nasłuchiwać odgłosów z biura, co było denerwujące, zaczęłam klepać w bębenek.

Późnym wieczorem zadzwonił Ludwik, czym mnie zaskoczył, ale i utwierdził w przekonaniu, że dzwoni tylko wtedy, gdy żona śpi albo jest nieobecna. Tym razem zaprosił mnie na przyjęcie papierosowe. Jak to? Ano tak to. On zapalił na balkonie swojego domu w Kaliszu, a ja wychylając się z okna domu w Złotniczkach. Tak też uczyniłam. Wzięłam papierosa w zęby, wychyliłam się za okno i zaciągnęłam mocno. Wypuszczając dym, formowałam z niego kółka.

– Co u ciebie? – zapytał mnie Ludwik między pyknięciami.

– Jeszcze słychać śpiew i rżenie koni...

– Przyjedziesz?

– Tak. Kiedy?

– Zadzwonię.

Było po jedenastej, a ja nie mogłam zasnąć. Miotalam się po domu jak dusza w czyścicu. Nasłuchiwałam głosów z biura, wiadomo, bałam się tej kuny. Było jednak cicho, ale w ramach profilaktyki przeciw łasicom znów zaczęłam bębnić, jednak po chwili wystawiłam zza szafy harfę. Gra mnie uspokoiła, zaczęłam jasno myśleć.

Kosma. Obiecał mi pomoc, to dlaczego teraz milczy? Nie chciałam znów przeżywać tego co kiedyś, wiedzieć, że się znów oddała, a ja nie mam odpowiedzi na pytanie: „dlaczego?”. W nosie miałam dumę, wzięłam do ręki telefon i zadzwoniłam, choć dzieliła nas przepaść czasowa. Kosma, siedząc przed ranczo w Beaumont, prawdopodobnie myślał o lunchu, a ja cierpiałam na bezsenność w pipidówce pod Poznaniem.

Zdziwił się z powodu mojego telefonu. Byłam ranna, ugodzona blisko serca, oszukana. Od dawna nie dzwonił, nie zajrzał, gdy był w Poznaniu. I może jeszcze znalazłoby się kilka innych „nie”. Musiałam wylać całą żółć. Nie będzie mnie facet mamił i oszukiwał! Odkąd zabrałam się za swoje sprawy firmowe, zarządzanie etc, wydawało mi się, że mogę podobnie postępować w życiu. Twardo, bez kompromisów, ale przede wszystkim jasno. Z jakichś przyczyn najbardziej chciałam pomiatać mężczyznami. Wiedziałam doskonale, że takie podejście nie jest fair, ale inaczej nie potrafiłam.

– Zapomniałeś o mnie czy zignorowałeś świadomie mnie i moje kłopoty? Na drugi raz nie rób nadziei i nie obiecuj! – wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

– Nie dzwoniłem, to racja, ale nie jest tak, jak myślisz. – Jakiż banał! Wygląda, że jednak jest tak, jak myślę.

Kurczę, staram się wierzyć ludziom, ale to się nie da!  
– zaczęłam krzyczeć. – To się po prostu nie da, bo każdy

mnie oszukuje! Jeśli uważasz, że będę cię prosić o cokolwiek, to nie miej złudzeń. Chciałam się na kimś oprzeć, pojawiłeś się jak zbawca, zaoferowałeś pomoc, a ja obietnicę tej pomocy przyjąłam jako prawdę! Nie zakładałam, że nawet i ty mnie oszukasz!

Niestety. Wbrew sobie, wbrew temu, że postanowiłam być twarda, zaczęłam głośno płakać. Sama sobie założyłam pętlę na szyję. Oli i Stasia nie chciałam przecież obciążać wszystkimi swoimi paranojami. Basia i Rysiu uważali mnie za wariatkę. Ewa wolała oprzątać Dyducha niż porozmawiać ze mną. Jeśli chodzi o Adele Renz, chciałam słuchać jej opowiadań o wojnie, z czego paradoksalnie czerpałam siłę, ale nie ciągle. Leszek miał w nosie wszystkich i zaszył się w podziemiu, a Emil unikał mnie od lat, jakbym miała trąd.

No i Ludwik. On być może akceptował to co moje, jednak bez szczegółów. I trzymał się tego, że czasem coś daje mi, i niekoniecznie w hotelowej pakamerze zwierzamy się sobie ze swojego życia na bakier.

Zaczynało mi zależeć na stałych punktach odniesienia.

Wybór miałam niewielki. Być sama lub z kimś. Spotkanie na „polu pojaśniałym od piorunów” było dla mnie przełomem. Po raz pierwszy od roku zaufałam. Ten Teksas mógł mi pomóc uzyskać cud niepamięci prawie wszystkich wydarzeń z Polski. Mogłabym wyciąć część swojego życia i kolejny etap budować na nowo. Jednak

nie wzięłam pod uwagę, że Kosma nie jest wolny i nie będzie do mnie dzwonił za każdym pobytem w Polsce. Ma rodziców, brata, kolegów z klasy, znajomych z działalności wywrotowej z okresu stanu wojennego. A nawet teściów.

Poza tym nie wzięłam pod uwagę następnego bardzo ważnego aspektu. Że nazywa się Bednarz.

– Wczoraj miałem pierwszą sprawę rozwodową – rzekł, gdy zamilkłam wystraszona własnym krzykiem.

Od razu obeschły mi łzy. Usłyszałam dobrze. Jak to? Pierwsza sprawa rozwodowa niczego nie przesądza, mają dwudziestoletnie dzieci i szmat życia za sobą. Dlaczego? Teraz?

– Jak wiesz, mówiłem o tym, nasze małżeństwo było nieporozumieniem. Żona odejdzie z nowym domem bez długów, a ja zostanę ze starym i będę spłacał kredyt. Jej też to pasuje. Iguś, mamy podobne historie, czy chcesz, czy nie. Spróbujmy wyprostować nasze życia – powiedział mi to, co chciałam usłyszeć.

Jasne! Wolno mu. Jak i wolno mnie. Nie przeszkadzało mi, że od tego dnia zrobiło się ich dwóch. Uzupełniali się. Nie miałam wyrzutów sumienia ani względem Kośmy, ani tym bardziej względem Ludwika. Była już noc, gdy odkręciłam flaszkę whisky, nalałam sobie do szklanki i spokojnie raczyłam się trunkiem, nie dbając, że do rana pozostało już doprawdy niewiele

godzin. Bilans dnia był niezły.

Hałasów, jakie robiła kuna, już nie słyszałam. Zasnęłam snem spokojnym i głębokim. To naprawdę (mimo wielu emocji) staje się możliwe po wypiciu dużej szklanki whisky.

## 1984

Czas i odległość to wrogowie związków. W relacji z Kostną nie wystarczały mi listy, które przychodziły coraz rzadziej, aż w końcu rozczarowana ostatnim, pozostawiłam go bez odpowiedzi. Widać, nie była to prawdziwa miłość. Nieco później dotarły do mnie wieści, że Kosma jest solidarnościowcem i na pewno nie interesuje się kobietami niezaangażowanymi w walkę o zmianę ustroju. Ponoć na takie „porcelanowe lalki” szkoda mu było czasu. Ja potrzebowałam kogoś na stałe, żebyśmy byli obok siebie. Mimo że nie spełniałam się politycznie, na pewno nie czułam się „porcelanową lalą”.

Zadałam się na dobre z Emilem Zarębą w sumie mnie zawojował. Był na nie, a jednocześnie na tak, co lubiłam. Ludzie, którzy nas znali, powiadali, że się ciągle kłócimy. No, nie wiem, dyskutowaliśmy raczej. Emil mówił mi o doktrynach, o walce klas, o konflikcie czyniącym postęp. Po kilku miesiącach znajomości zaszłam w ciążę i przedstawiłam przyszłego męża dziadkowi.

– Ma ziemię? – zapytał.

– Dziadku, Emil ukończył znakomite studia, zna kilka języków obcych!

– Kolejny głupek!

Nawet nie było mi przykro, że mój przyszły mąż od pierwszego wejrzenia nie zdobył uznania najważniejszego mężczyzny w moim życiu. Dziadek był prześmiewczy, a może i o mnie zazdrosny? Kilka miesięcy później przyjechał jednak na nasz skromny ślub, nawet położył sporą sumę, a nad ranem przy weselnej wódce wdał się z Emilem w rozmowę o polityce i zrujnowanej polskiej gospodarce.

I nawet się nie pokłócili.

## **Późne lato 2008**

Było po zniwach. Chroboty w biurze ani w całym domu już się więcej nie powtórzyły, widocznie kuna się od nas wyprowadziła. Fajnie. Wolałam nie mieć z nią porachunków. Puste biurka w firmie, na których kiedyś piętrzyły się stosy papierów, przywołały wspomnienia o złotych czasach. Jakaż to była prężna firma. Leszek otwierał drzwi, rozkodowywał alarm i od razu rozdzwaniały się telefony. Pracownicy coś ze sobą uzgadniali, przyjeżdżali ludzie z pól, kierownicy oddziałów na narady. Ktoś opowiedział dowcip, inny

przyniósł zdjęcia swoich dzieci, a księgowa upiekła placek dla wszystkich. Osoby z działu sprzedaży konkurowały ze sobą, każdy chciał mieć lepsze wyniki sprzedaży od drugiego. Czasem po godzinach pracy wypięło się wspólnie wino. Panowała naprawdę rodzinna atmosfera.

Teraz było pusto. Wszyscy pracownicy znów dostali bezpłatny urlop na miesiąc. Zresztą nie wydawało mi się, by wrócili, wiadomo, musieli mieć za co żyć. Zmartwiło mnie, że Basia widziała grubego Krzyśka z Grażyną w cukierni na Kostrzyńskiej w Pobiedziskach.

Skupiłam się na tym, co będzie. Miałam taki plan, że gdybym sprzedała Akacyjny Dom, część pieniędzy mogłabym wysłać Leszkowi, by spłacił najbardziej krzykliwych wierzycieli. Albo sama uczyniłabym to za niego. Nauczona w ostatnich latach grymaszenia, musiałam całkowicie zmienić swój charakter. Czułam się tak, jakbym po uroczystym wieczorze w luksusowym wnętrzu i po skosztowaniu wysublimowanych potraw dostała się do podłej szopy, by w aluminiowym kubku wypić kompot z mirabelek.

Tym razem urządziłam sobie ucztę. Jadłam szpinakowy makaron z sadzonym jajkiem, popijając kompotem z kwaśnych jabłek, kiedy coś pod domem zawarczało. Wyjrzałam przez okno. To Basia zwariowała. Przyjechała quadem w skórzanej pilotce na głowie i ze Stasiem na tylnym siedzeniu. Przecież dzieci nie wolno



przewozić w ten sposób! To jasne, że absolutnie co innego mówiła mina Stasia, mały szelma był w swoim żywiole.

– Mam dobre nowiny! Po aferze, jaką wywołałaś w urzędzie, natychmiast wysłali do ciebie decyzję ze zgodą na wycinkę świerków. Nie odebrałaś listu i wróciłaś z powrotem do urzędu. Upiekło ci się, wariatko! – zawołała, gdy zobaczyła mnie w oknie.

– A ty na tym quadzie to niby kim jesteś? – Śmiałyśmy się obie.

\* \* \*

Dzień później jechałam do Poznania na przetarg. Bałam się, że nie dysponując być może odpowiednią kwotą, przegram i stracę rodzinną ziemię. Była jeszcze jedna oferta. W Poznaniu na Lechickiej utknęłam w korku ciągnącym się aż do torów w Strzeszynie. Przeglądałam się w lusterku, kiedy poboczem podjechał luksusowy mercedes. Kierowca, zupełnie „całkiem, całkiem”, wychylił się i zapytał, czy go wpuszczę.

– Jasne – powiedziałam.

Nie było miejsca, by mógł ustawić się przede mną, stanął obok, okno w okno.

– Dobrze się sprawuje ten eskort? – zagadał. Żałosne. Auto, którym przyszło mi jeździć, nie było do

„sprawowania się”, sprzęgło się ślizgało, siedzenia były tak wyrobione, że mój tyłek znajdował się tylko kilkanaście centymetrów nad drogą. Kierownica miała luz i należałoby wymienić podłużnice, inaczej mogliśmy się na drodze rozsypać. W czasie deszczu dostawał czkawki.

– Jakoś, całkiem – odpowiedziałam niezgodnie z prawdą.

– Miałem taki dwadzieścia lat temu. Diesel?

– Nie, benzyna.

– Bo chodzi jak diesel.

Tak. Mnie też denerwowało, że udawał traktor.

– Mąż sknerus czy pani niewarta lepszego auta? Dopiekł mi. Nie odpowiedziałam, choć miałam na końcu języka ripostę. Na szczęście kawalkada aut ruszyła, wpuściłam złośliwca w aucie z hamburską rejestracją przed siebie, aż pomknął, zostawiając mnie daleko w tyle.

Przed salą, w której odbywały się przetargi, było sporo ludzi. Wpłaciłam wadium, nie posiadając kwoty na zakup powyżej ceny wywoławczej, liczyłam na gwarancje bankowe, ale ich nie uzyskałam. Miałam tylko gwarancje od ubezpieczyciela. I tak było to dużo. Liczyłam, że będę sama. Gdyby rok wcześniej ktoś mi powiedział, że wystartuję w przetargu o ziemię, nie uwierzyłabym. Było to możliwe, bo żyliśmy naprawdę oszczędnie, ogień nie strawił ziarna i generalnie był urodzaj. Wreszcie byłam konsekwentna, nie pamiętam, co sobie ostatnio kupiłam

do ubrania, a i na jedzeniu oszczędzałam. Jajka, ziemniaki, woda ze studni, makaron, jakiś kompot czy marynata od Basi.

Byłam napięta jak struny w mojej harfie, bez leku na uspokojenie. Zapomniałam zjeść. Emocje, emocje. Tak bardzo mi zależało, aby ziemia po dziadku wróciła do mnie. Własność to własność. Dzierżawę można odwołać, wypowiedzieć, własnością obracać może tylko właściciel.

Usadowiłam się na krześle w pierwszym rzędzie. Nie było tych rzędów wiele, ot trzy, w każdym po kilka krzeseł z każdej strony. Byłam sama, potem na sali pojawiła się urzędniczka i powiadomiła mnie, że czekamy na drugiego zainteresowanego. Zapytałam, skąd pochodzi druga oferta. Odpowiedziała, że też ze Złotniczek.

O nic więcej już nie musiałam pytać. Do sali wkroczyła postać w jeansach i dzianym swetrze, buc ze znakomicie mi znaną gębą. Ogorzałą, wąsatą, oszpeconą wielkim nochalem i bruzdą między brwiami. Wredną i zawistną. Trochę tylko podobną do twarzy starszego brata. Do Kośmy.

Klapnął na krześle obok mnie. „Uderz, rozkwaś nos, nie będzie na naszej drodze stawać Bednarzowe plemię” – wciąż pamiętałam słowa mojego dziadka. A jeśli przegram? Umrę. Odejdę i będę miała spokój. Kawałek ziemi, wcale nie najwyższej klasy, wcale nie czarnej jak smoła, a wręcz średnio urodzajnej, ma być dla mnie warunkiem, by żyć? Wstałam z krzesła, odwróciłam się

w stronę Bednarza.

– Proszę, byś wyszedł ze mną z sali!

Jeśli młodszy Bednarz był ignorantem, o co go przecież posądzałam, na pewno nie usłyszał w moim głosie rozpacz. Wstał i rzeczywiście szedł za mną, jakby stracił parszywą wolę niszczenia mnie. Znaleźliśmy się na parkingu, stojąc naprzeciwko siebie.

– Czy nie rozumiesz, że chcesz zabrać co moje? – zadałam pytanie grzecznie, na tyle było mnie jeszcze stać.

– Gdyby to pole było twoje, nie ogłaszałiby przetargu! – Bednarz uśmiechnął się kpiąco.

Zapaliłam papierosa, co na chwilę wyciszyło moje emocje. Złapałam oddech.

– Nie kpij. Ta ziemia całe lata należała do naszej rodziny, jest moją historią. Tam przerzuciłam setki snopków, tam narobiłam sobie pęcherzy na dłoniach, nieraz nogi pokaleczyłam o ściernisko. A ileż rozmów z dziadkiem tam odbyliśmy! Nawet moje auto tam zakończyło swój żywot, co zresztą musisz wiedzieć. Pole musi być moje, nie ma innej możliwości. Nawet jeśli ten przetarg wygrasz, zrozumiesz, że ta ziemia nigdy nie będzie twoja. Więc odpuść! Nie mam pieniędzy, by z tobą walczyć, mogę tylko cię poprosić. Więc proszę.

– Jednak potrafisz? Nie sądziłbym.

Jasny gwint! Staralam się, by moja mowa miała siłę rażenia, jednak Bednarz odwrócił się na pięcie i wrócił na

salę, ja zaś zostałam z rozerwanym sercem na zewnątrz. Nic z tego. Nie udało się. Ostry ból szarpnął moją klatkę piersiową, rzuciłam papierosa, przydepnęłam, złapałam się za serce. Nie mogłam wyglądać zbyt dobrze, bo urzędniczka, która wybiegła z sali, by mnie odszukać, zapytała, czy ma zadzwonić po karetkę.

Nie pozwoliłam. Zaprowadziła mnie do cienia, gdzie siadłam na murku. Ten ból. Byłam pewna, że to zawał, że już po mnie. Po ziemi i po mnie. Ktoś przysiadł obok i zapytał, czy mi pomóc. Nie chciałam troski, zawsze ze swoimi słabościami starałam się skryć w mysiej dziurze.

Czułam paniczny lęk. Oparłam głowę na rękach i straciłam przytomność.

– Pani Igo, pani Igo, wygrała pani! Serdecznie gratuluję! – Urzędniczka szarpała mnie za ramię.

– Jak to?

Nie mogłam uwierzyć, gdy się ocknęłam. Kobieta chwyciła mnie pod rękę i pomogła wstać. Wtedy się popłakałam.

– Konkurent się wycofał. Pani wygrała! Proszę się cieszyć.

Posiedziałam kilkanaście minut w urzędzie, wypłam herbatę, gdy poczułam się lepiej, wsiadłam w auto, ale nie wróciłam od razu do Złotniczek, „wylądowałam” u psychiatry.

– Jeśli teraz się ze wszystkiego wycofam, od razu

zapadnę na zdrowiu. Oczywiście dopuszczam myśli, że może mi się nie udać, taka sinusoida towarzyszy mi od dawna. Boję się o siebie – opowiadałam lekarzowi. – Mam wrażenie, że wyczerpałam wszystkie możliwości. Robię jedno, nie wychodzi drugie. Udaje mi się wygrać przetarg, ale nie potrafię ułożyć sobie życia z mężczyzną. Mam satysfakcjonujący seks z człowiekiem, który wydaje się, jest dla mnie stworzony, nie ma mowy o stałym związku z nim na dobre i złe. Nie umiem ułożyć sobie życia. Po prostu wyczerpałam wszystkie możliwości.

– To nie są wszystkie możliwości, jakimi dysponujesz.

– Nie masz racji, nie znasz mnie. Na pewno wszystkie!

– Jest jeszcze jedna, jakiej nie wykorzystałaś. Nie poprosiłaś nikogo o pomoc.

\* \* \*

Wróciłam do domu i zaczęłam liczyć, ile pieniędzy muszę zbierać na ziemię. Tymczasem w skrzynce zastałam e-mail od Ludwika.

**Do Dubrownika przyjechaliśmy zmęczeni. Wyobraź sobie: wakacyjna sceneria i dziesięciu chłopów w kwiecie wieku, którzy wieczorem nie idą się napić do miasta ani zaczepić oko na Chorwatkach. Po prostu**

idą spać, bo od rana czeka na nich głębokie zejście pod wodę, a tam już nie ma żartów. No, ale tak postępują zapaleńcy. Byłem podniecony perspektywą zwiedzenia wraku statku Taranto. Owo żelastwo leży w głębinach przy wejściu do Dubrownika, zatopione w 1943 roku z racji wybuchu miny. Wciągnęliśmy kombinezony, sprawdziliśmy sprzęt, maski, gaz. I do wody. Adriatyk jest inny niż polskie morze. Musisz się kiedyś odważyć, dla przeżyć i widoków, naprawdę warto zejść w głębinę. Woda jest ciepła, przyjemna. Wyobraź sobie, po raz pierwszy widziałem kirnję, nawet trochę się jej bałem. To ogromna ryba, brązowa z żółtymi plamami, podobno we wraku żyją takie dwie. Podpłynąłem blisko stada barakud i dałbym sobie głowę odciąć, że były tam też strzępiele. Bardziej ode mnie doświadczeni koledzy kręcili głowami. Barakudy, owszem, to możliwe, ale strzępiele według ich wiedzy żyją tylko w oceanach. Nie sprzeczałem się, niewykluczone, że nieprawidłowo rozpoznałem. Nie wiem, czy wiesz, ale jeśli nie, to napiszę. Barakuda (brzmi jak paskuda, prawda?) ma torpedowaty kształt, jest srebrzysto-zielona, z licznymi ciemnymi plamami po bokach. I jest bardzo duża. Wokół wraku, który jest naprawdę w dobrym stanie, leżą rozrzucone części, rufa statku zaryła w piasek, a dziób oparł się o podwodną skałę. Statek pękł na pół. To bardzo ciekawie wygląda.

Ufff, bardzo się nad mailem do Ciebie

**napracowałem (nie mam literackiego zacięcia), więc doceń to, proszę! Twój wymoczony (nie wymoczek) – Ludwik.**

Takiemu to dobrze.

Tymczasem ja od kilku dni po przetargu bywałam na przemian w euforii, a potem w obezwładniającej apatii. Zmęczona. Nadal nie spotykałam się z Ewą tak często, jak bym chciała, również częstotliwość moich rozmów z Różą spadła w tamtym czasie. Nie widywałam codziennie mojego małego chłopczyka, rzadko rozmawiałam z Olą. Owszem, telefonowałam do niej, ale ona odpowiadała krótko, że jedzie rowerem i oddzwoni albo że biegnie i potem oddzwoni. Nieraz nie odbierała w ogóle, wtedy zakładałam, że jest na treningu pływackim. Nabierałam coraz większej pewności, że Ola nie zajmuje się niczym innym poza treningami. Owszem, czasem oddzwaniała, ale nasza rozmowa zawsze wyglądała podobnie. Ja jej odradzałam wyczynowe sporty i nakłaniałam do nauki. Ona słuchać tego nie chciała, zapewniając mnie w kółko, że dzięki treningom łatwiej jej skupić się na nauce. I gadała też o swojej indywidualnej piramidzie Masłowa, w której triathlon jakoby znajduje się na szczycie.

Wieczorem, po ciemku (wraz z czarnymi myślami), opierałam się o okno i wypatrywałam powrotu gołębi. Zawsze wracały, bywało, że nawet późno, w nocy. Wracały do domu. Kochałam te ptaki. Jak Bronek.



Pojawiły się na niebie szybko. Na moim parapecie usiadł młody gołąb z poprzecznym czerwonym paskiem na brzuszku, posiedział, zadziobał w okno, ja podrapałam palcem w szybę. Zjadł z parapetu okruchy, a potem wzbił się w powietrze, by za chwilę zniżyć lot i zawitać u sąsiada w gołębniku.

Usłyszałam radosne gruchanie. To dobrze. I ja też mogłam wreszcie położyć się do łóżka, ale na mój widok w sypialni nikt nie zagruchał.

\* \* \*

Minęło kilka dni od przetargu, a nikt nie zdawał sobie sprawy, że nie mogę spać, nie mogę jeść, nie mogę prowadzić auta. Rwące bóle stawów i mięśni nie pozwalały mi normalnie żyć. Łykałam przeciwbólowe prochy, zamiast zrobić wreszcie konkretne badania. Ich wynik napawał mnie lękiem.

Wszędzie woził mnie Waldeczek, który (jak to on) podczas jazdy klepał ozorem swoje głupoty. Że świat jest zaburzony, tyle tych singli i w ogóle jakichś nowych seksualnych orientacji. O małżeństwa nikt nie dba, nawet Kościół. Bo, jak to możliwe by seks służył tylko prokreacji? A co, jeśli żona jest już wygasłym obiektem? Że małżeństwa się fatalnie dobierają. Na przykład moje i Leszka nie było najlepsze. Jakby zgadł! Jego z żoną też

jest trupem. Ciekawe! Zresztą z tych samych powodów co moje i Leszka – dodał. Jakże to możliwe, że nie wymyślono sposobu na komputerowy program dobierania par? Jeśli taki program spełniłby swoje zadanie, wystarczyłoby go rozszerzyć o moduł reformujący instytucję małżeństwa jako taką. W kraju mamy rzeszę pałętających się z kąta w kąt informatyków. Jeśli by stworzyli takie programy, a państwo je kupiło i wdrożyło, byłoby lżej żyć, gdybał.

W tym czasie ja myślałam tylko o tym, by wreszcie zamknął usta. Mógłby się domyślić. Jeśli milczę, znaczy że nie interesują mnie te tematy. Wszystko we mnie się trzęsło, a Waldeczek dalej dopytywał się o Dom Złudzeń, o inne moje interesy. Niezrażony, nadawał swoje, co przeczytał na Płotku. Jakieś to było dla mnie płytkie!

Przed oczyma stała mi Róża i jej walka o życie. Pomyślałam, że powinnam do niej pojechać albo chociaż zadzwonić. W sprawach zahaczających o doczesność byłam tchórzem, nigdy wcześniej nie rozmawiałam o życiu z tak ciężko chorą osobą. Wszystkie pytania, jakie chciałam jej zadać, okazywały się banalne. Nie było dnia, żebym o Róży nie myślała. Powiedziała mi, że od czasu chemii ma arytmie serca, że kilka godzin po trzeciej dawce była nieprzytomna. Dwa razy ratowano ją z powodu infekcji, z których każda mogła zabić. Zdawałam sobie sprawę z powagi sytuacji, miałam jednak nadzieję znaleźć w Internecie coś optymistycznego na

temat raka. „Nie bój się ze mną rozmawiać, naprawdę możesz mnie pytać o wszystko. Powiem ci, co się myśli, gdy nad głową wisi miecz Damoklesa, chcesz? Mogę ci opowiedzieć, co jeszcze chciałabym zrobić. I o czym marzę, bo marzę... Nie tylko o wyjeździe do Łeby”.

Walczyła o życie, ale godziła się na koniec To przyzwolenie ułatwiało jej walkę, była lżejsza o strach przed śmiercią, tak mówiła. Wyklócała się z lekarzami z pielęgniarkami, z ludźmi na ulicy. Niedawno wkleiła nowe zdjęcia na Naszą Klasę. Bardzo schudła, ale wyglądała ślicznie. W zielonym turbanie na głowie, w białych kozaczkach z dziurkami, w dzianinowej jasnej sukience z opadającym golfem, wśród kwiatów. „Dopiero teraz widzę, ile gatunków roślin rośnie w Polsce. W kwiatkach oglądam każdy płatek z osobna, porównuję szypułki. Pojutrze znajomi zabiorą mnie nad morze. Dawno nie byłam nad wodą. Rok temu” – zaśmiała się. „Może pojedziemy na parę dni razem, dokąd zechcesz?” – zapytałam ją niedawno. „Ależ, nie. Ty masz bitwy do wygrania w Wielkopolsce. Pojedziemy, jak wyzdrowieję. I błagam, nie martw się o mnie, dwóch dziadów wykończyłam, jednego wygoniłam, to i tego czwartego się pozbędę” – powtórzyła znane mi zaklęcie. Powtarzała to jak mantrę.

Wierzyłam, że ucieczka „czwartego” jest możliwa.

„Igo, z wielu chorób można wyjść, gdy jest wczesna diagnoza. Życie jest warte, by walczyć. Biegaj do lekarzy,

nachodź ich, wyklócaj się, nie daj się zbyć. Trzymaj swoje zdrowie w swoich rękach i nikomu nie pozwól się z tej drogi zepchnąć". Troszczyła się o mnie, ona, taka chora. Obiecałam. Cóż miałam robić?

\* \* \*

Minął tydzień. Kosma pewnego wieczora dał mi do myślenia. Zlikwidował wszystkie bariery, by przylecieć do Polski. Zaprosił mnie w Karkonosze. Jednak miałam poczucie zagubienia. Sam na sam? Pojęcia typu: „co chcę, jak chcę, z kim chcę i dlaczego?” miałam, jak się okazało, zarysowane mgliście. O ile w ogóle. Niemniej, Kosma był pierwszym mężczyzną, który przejął się moim położeniem i rzucił wszystko, by zaoferować mi pomoc. Do jego przyjaźni podchodziłam naprawdę poważnie.

– Sam na sam? Kosma, nie licz na mnie. Nie jestem młoda, na plecach wiozę bagaż przeszłości, poza tym mam powody, by martwić się o swoje zdrowie. Musisz to wiedzieć.

– Zostaniesz moją żoną i wszystko co złe podzielimy na dwoje.

– Błagam. Nie jesteśmy za dojrzały na romantyczne sceny?! Nie potrafię ci nic zagwarantować, zastanów się. Już raz cię zawiodłam.

– Kocham cię, zawsze tak było. Potrzebujesz mojej

pomocy.

Od miesięcy czekałam, by mi ktoś pomógł, zaoferował coś stałego. W takim stanie spraw wzięłam sobie do serca rady Róży. Prześwietlenia płuc unikałam od lat, bałam się, a rzucić fajkowego nałogu nie potrafiłam. Jeśli miałabym poważnie myśleć o przeprowadzce do Stanów, powinnam zadbać o swoje zdrowie już teraz.

Stany. Zaczęły stamtąd nadchodzić kolejne niepokojące wieści. Co włączyłam radio, słyszałam o krachu. Znawczy tematu przypominali, że już od 2006 roku dostrzec można było w USA spadek cen nieruchomości. W połowie 2007 obligacje *subprime* okazały się bez pokrycia. W lipcu 2007 roku zbankrutowały dwa fundusze inwestycyjne. Mówiło się, że grozi nam kryzys światowy, że za chwilę spadnie lawina. Ja tymczasem się wybierałam do miejsca, gdzie bestia rozszalała się na dobre.

Wieczorem na bębenku Stasia wystukiwałam jednostajny rytm, ale widocznie czyniłam to coraz głośniej, bo obudziłam synka. Wyskoczył z łóżka z potarganą szopą loków. Przecierał zaspane oczy.

– Oddaj, jest mój. Masz harfę! – Wyrywał mi instrument.

– W Ameryce pogłębia się kryzys.

– Będę musiał tamtym dzieciakom posłać swoje

spodenki?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Jak dorosnę zbuduję nowy świat, bez kryzysów!

Klepaliśmy tej nocy łapskami w bębenek, nie było ważne, czy ktoś we wsi słyszy nasze tam-tamy, a może komuś przeszkadzamy, nie dbałam o to.

No cóż. W tej okolicy tylko gołębie były przewidywalne.

\* \* \*

Kosma nigdy nie był skomplikowany, co sobie uświadomiłam. Jednak on niewątpliwie zadał się ze skomplikowaną kobietą, o czym również musiał wiedzieć. W Szklarskiej Porębie mieliśmy dla siebie naprawdę dużo czasu. Nic mi nie było, czyli okazało się, że potrzebowałam odpoczynku. Fajnie spędzaliśmy czas. Opowiedziałam Kosmie wszystko, co mi się ostatnio zdarzyło. O tym, że jego brat zrezygnował z udziału w przetargu, o chorobie Róży, a nawet o odsunięciu się ode mnie Ewy. Człowiek, jak komuś o sobie opowie, to trochę tak, jakby stanął nagi pod prysznicem. Potem może założyć nowe, czyste ubranie. Oczywiście, pominęłam fragmenty dotyczące Ludwika. Ten związek był dla mnie święty, a jednocześnie zbyt grzeszny, by się do niego przyznać.

Mieszkaliśmy w pensjonacie w górnej dzielnicy Szklarskiej Poręby, w jednym pokoju, ale jak siostra z bratem. Gadaliśmy, gadaliśmy i jeszcze raz to samo. Jemu nie przeszkadzało, że było, jak było, na pewno liczył na więcej. A ja? Byłam wierna Ludwikowi czy sobie? Nic jeszcze nie wiedziałam.

Do popołudnia łaziliśmy po górach, potem po mieście, pięknie było, liście nabrały koloru purpury, brązu i żółci. Było ciepło, przyjemnie. Zwiedziliśmy okolicę, pałace i zamki. Niektóre były w ruinie. Ubolewaliśmy nad niefrasobliwością rządzących, nad brakiem pieniędzy, a może chęci, by przywrócić okolicy świetność.

Pojechaliśmy też do Czech, do Pragi. Byłam w Pradze wcześniej, ale latem i niewiele widziałam, bo tłumy turystów zasłoniły każdy zabytek. Wtedy nie kontemplowałam miasta. Tym razem było inaczej, zwiedzających było niewielu, a my mieliśmy sporo czasu na zagłębienie w zakamarki miasta. Kosma był bardzo zaciekawiony, Pragę znał tylko z opowieści.

Gdy wracaliśmy do Szklarskiej Poręby, dostałam SMS-a od Ludwika. Mimo ciekawości nie przeczytałam go od razu, czułabym się nieelegancko, jakbym zdradzała. Jednak gdy zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej i siedliśmy przy stoliku, by wypić kawę, a Kosma zniknął w toalecie, natychmiast to wykorzystałam.

**Chwilowo nie mam interesów w Poznaniu, tak piszę, byś nie płakała z tęsknoty.**

Jasne! Nie myśl sobie! Nie ja! Zmiotłam z sumienia wyrzuty względem Ludwika.

Do pensjonatu wróciliśmy około północy, ale ja jeszcze włączyłam telewizor, gdzie akurat dyskutowano na temat dokapitalizowania amerykańskich banków w obawie przed ich bankructwem. Kosma nalał do kieliszków wino. Przyjrzałam się facetowi, z którym przez kilka dni grzecznie mieszkałam w jednym pokoju. Był niewątpliwie przystojny. Do diabła! Przecież dobrze mi jest z Kosem! Nie boję się, nie martwię, jest tak, jak obiecał, przejął część moich trosk. Z kieliszkiem wina w ręce usiadłam mu na kolanach.

– Wreszcie! – Usłyszałam.

Potem już się potoczyło. Kosma wziął sprawy w swoje ręce, usta i wszystko, co kochać potrafi. Kochaliśmy się jak dwa narwańce, co tłumaczyłaby nasza codzienność.

– Ja – wśród traw błędząca, a Kosma z sawannami Teksasu też był za pan brat. Tego dnia, a raczej nocy, zdecydowaliśmy się na szybki ślub. I poczyniłam drugi plan – postanowiłam natychmiast sprzedać Akacjowy Dom, o czym jeszcze z drogi do domu poinformowałam pośrednika w obrocie nieruchomościami.

\* \* \*



Wróciliśmy do Złotniczek, mimo że pobyt w Szklarskiej Porębie mieliśmy opłacony jeszcze na dwa kolejne dni. Kosma był hojny i nie liczył się z pieniędzmi. To mnie nieco mroziło, bo przecież już byłam świadoma, jak jest, gdy się wszystko przetrwoni. No, ale on żył od lat w kraju kapitalistycznym, gdzie pieniądz gonił pieniądz, podczas gdy ja, no cóż, nadal raczkowałam w kapitalizmie.

Wróciliśmy, bo mieliśmy cel. Klękaliśmy przed Stasiem, Basią i Rysiem.

– To Kosma będzie teraz moim biologicznym ojcem i zabierze mój pokój? – Staś był zaintrygowany zaręczynami. Zaśmialiśmy się wszyscy.

– Nie. Kosma ma duży dom w Stanach Zjednoczonych, w stanie Teksas, gdzie są rancza, żyją prawdziwe mustangi i nikt z mieszkańców nie wie, gdzie znajdują się Złotniczki – wyjaśniłam dzieciakowi.

– Głuptasy ci teksańscy. A wiesz, przyszły tato, że w Polsce będzie organizowane Euro?

– Bałbym się nie wiedzieć. Możesz mówić na mnie Kos – powiedział, po czym złapał Stasia, posadził sobie na nodze i zaczął go huścić. Staś wrzeszczał.

Następnego dnia zarezerwowaliśmy w urzędzie termin ślubu, jedyny możliwy, w kolejny wtorek o ósmej rano. Kosma musiał wracać do Beaumont, a ja bałam się, że się rozmyślę. Wystarczyłby jeden SMS od Ludwika.

Dwa słowa: „Kocham cię”.

Świadkami ślubnej ceremonii mieli być Basia i Rysiu, których poprosiłam o dyskrecję.

– Po co te tajemnice? Szczęście obwieszczaj całemu światu, nie masz się czego wstydzić. Jesteś wolna. – Basia była zachwycona.

– Chodzi o Leszka. On wprawdzie nie chciał ze mną żyć, ale też mi nigdy nie wybaczył rozwodu. Wiem od Róży, że nadal mówi o mnie jak o żonie.

\* \* \*

Ślub był cichy, ani nie wystroiłam się jak panna młoda, ani nie dzierżyłam w ręce bukietu z orchidei. Założyłam zielono-herbacianą spódnicę w kwiaty, kozaki z cienkiej czarnej skóry, czarny żakiet i jedwabną apaszkę pod kolor spódnicy. Nie miałam welonu, tylko wpiętą w rozpuszczone włosy koralową orchideę. Kosma dostosował się do mnie, w kremową muszkę na czarnej koszuli wpiął onyksową broszę. I podobnie jak ja na nogach miał czarne skórkowe kozaki, jakich używa się do jazdy konnej.

Nawet się wzruszyłam. Trzeci raz w swoim życiu składałam przyrzeczenie wierności przed majestatem urzędu. Kos założył mi na palec obrączkę, a ja jemu. Po uroczystości zjedliśmy obiad w restauracji Pod

Koziółkami, po czym wróciliśmy do Złotniczek. Kosma zaprosił mnie do domu Bednarzy. Do teściów i szwagrostwa. Pierwszy raz mi to zaproponował, nie sądziłam, że tak mnie to zaskoczy, wyszło, że jednak nigdy nie łączyłam go z Bednarzami! Odmówiłam, zasłaniając się brakiem gotowości.

Zamiast domowych nasiadówek, kolejne dni spędzaliśmy na wycieczkach po lasach, jesień była piękna tego roku. Kosma nałowił ryb, które usmażone jedliśmy na obiad. Śniadania, obiady i kolacje z mężczyzną. Hmm, po prostu odwykłam.

Kiedy Kos poleciał do Stanów, ja znalazłam poważnego kupca na Akacyjny Dom. Młode małżeństwo z dwójką maleńkich dzieci z Poznania. Ona, właścicielka niewielkiej firmy krawieckiej, on muzyk. Pierwszą transzę pieniędzy otrzymałam szybko, po kilku godzinach od podpisania umowy. Od razu dokonałam ich transferu do Stanów. Wtedy już nie myślałam, by podzielić się nimi z Leszkiem. To były moje pieniądze. Moje i na zabezpieczenie Stasia i Oli. Myślałam egoistycznie, bo miałam konkretną perspektywę. Nie było wieczoru, bym nie snuła wizji szczęścia za oceanem.

Kos już na drugi dzień po przylocie do Beaumont przysłał mi zdjęcia nieruchomości. Niektóre były w opłakanym stanie, ale w dobrej lokalizacji, inne wyglądały lepiej, ale znajdowały się w gorszym miejscu. Wyobrażałam sobie te domy po remoncie. Złapałam

nowego ducha. Zapomniałam o Ludwiku, o traumach, wreszcie zaczęłam żyć przyszłością.

## **1986–1991**

W 1986 roku urodziła się Ola, dwa miesiące przed moją maturą. Od razu wpadłam w pieluchy i tym podobne, nie dotykając żadnych podręczników. Ale urodzenie dziecka dodało mi na tyle pewności siebie, że maturę zdałam z marszu na byle jakie trójki. Zresztą nie miałam ambicji, by mieć wyższe oceny, chociaż zawsze w nauce byłam dobra. Pewnym usprawiedliwieniem kiepskich not mógłby być również wybuch w elektrowni atomowej w Czarnobylu, czym wtedy żyliśmy wszyscy. Maj tamtego roku był piękny, ja zaś zaobserwowałam u siebie objawy nasilającej się hipochondrii i paniki. Ciągle na niebie widziałam radioaktywną chmurę. Przez kilka tygodni nie otwierałam w domu okien ani nie wychodziłam z Olą poza dom. Sama biegałam na egzaminy w maseczce na twarzy.

Kolejny rok przechorowałyśmy. Ola była ciągle przeziębiona, a ja nie mogłam wyleczyć powracających angin. Emil miał w domu niezły szpital, ale nie narzekał. Nie jeździliśmy do Złotniczek, ale wiedziałam, co się tam dzieje. Byłam informowana przez Basię na bieżąco. Wiedziałam, że Ewa też wyprowadziła się do Poznania,

Kosma we wsi się od dawna nie pojawiał, a dziadek miał się całkiem dobrze jak na swój wiek. Przestał też źle mówić o Adeli Renz, podobno zakopali topory wojenne.

Z dziadkiem spotkałam się dopiero na początku następnego roku, na ślubie Basi z Rysiem Koronowskim. Dziadek uznał Rysia za dobrą partię dla swojej córki, bo wprawdzie nie miał własnych hektarów, ale dobrze znał się na rolnictwie, no i dyrektorował w PGR Pomarzanowice. Życzył wtedy młodej parze potomstwa, ze dwa razy powtórzył, że chciałby jeszcze doczekać wnuka. Basia mało wtedy nie dostała furii. Ja chichotałam, bo znałam złośliwe żarty mojego dziadzi. Basia była ładna, mądra i przedsiębiorcza, a od męskich trutki musiała się opędzać, takie miała zawsze powodzenie.

Dzień po ślubie podsłuchałam kłótnię Basi z dziadkiem.

– Nie po to się uczyłam, żeby teraz harować na roli. Ten dom nigdy dla mnie nie był ważny, a ziemia? Ziemia warta jest tyle, za ile ją można zbyć.

– Nigdy mnie nie szanowałaś, nigdy nie byłaś ze mnie dumna.

– To ty mnie nie kochałeś i nie kochasz nadal. Chcesz ze mnie uczynić parobka. Trzeba było już dawno rozmawiać na tematy majątkowe! Zapytać, co planuję.

– Ty też mogłaś powiedzieć, że ojcowizna jest dla

ciebie nieważna.

Szybko musiałam wtedy umknąć, bo Basia nagle wyszła z „naszej” kuchni i trzasnęła drzwiami. Dla mnie dom w Złotniczkach nie był ojcowizną, ale nigdy, przenigdy, nawet ciężko pracując, nie czułam się tam parobkiem. Wręcz przeciwnie, miałam tam wszystko, co było dla mnie ważne. Swoje miejsca, dom rodzinny, zaułek z hyczką, w pobliżu Dom Złudzeń. Nawet sławetny wychodek. I ludzi, którzy mnie lubili.

– Kosma był w Złotniczkach ostatnio? – zapytałam dziadka przed wyjazdem ze wsi. – Kto by tam śledził Bednarzowe plemię. Ale nie był. Nie był. Przepadł. Spotkałam go dopiero pod koniec 1988 roku. Po jakimś przyjęciu imieninowym późnym wieczorem wracałam do domu z Jolką, sąsiadką, na Groblę.

Za zakrętem ulicy Mostowej i Garbar wypadło dwóch wielkoludów w głęboko nasuniętych na oczy czapkach, krzycząc „buuu”. Zaniemówiliśmy ze strachu. Byliśmy pewne, że to zboczeńcy, chociaż takowych wypłoszyła końcówka stanu wojennego. Spojrzałam na twarz jednego z nich.

– Kosma?

Przyznał się, że poznał mnie z daleka. Że jakby nie mógł mnie poznać? To niemożliwe! Wtedy, tej nocy na Grobli, zapytał, czy moją „kózkę” nadal czesze Emil Zaręba. Ktoś mu musiał donieść. Potwierdziłam, wdając

się nawet w szczegóły, że z Emilem jesteśmy kilka lat po ślubie i mamy dziecko. Jola zaczęła się śmiać z tej kózki, że pierwszy raz słyszy i w ogóle. Zażartowała, że jak rozpoznać, czy to kózka, czy koziołek. Kosma wtedy mruknął, że być może po zapachu. Takie wyuzdane żarty nigdy nie były w jego stylu, a wręcz przeciwnie, to my z Ewą miałyśmy bardziej sprośne myśli.

Jola i ja byłyśmy zawstydzone. On zresztą chyba też, prędko się wycofał. Chciałam go zatrzymać, zaprosić na wspólne wypicie kawy, chociaż porozmawiać o wszystkim co nasze, co było, dlaczego było, a nie jest, poprosić o dalszą przyjaźń, ale obrócił się na pięcie i szybkim krokiem odszedł.

Patrzyłam, jak mi się oddala. To nie był pierwszy raz, jak ktoś się ode mnie oddalał.

Stoję i wyciągam rękę, a ten ktoś odchodzi, nigdy nie wraca. Ja zaś nie mam w sobie dość siły ani chęci, możliwości, nawet potrzeby, by *coś* z tym odchodzeniem uczynić.

Wtedy też tak było.

\* \* \*

Olę kochali wszyscy, a dziadek, gdy przyjeżdżał w odwiedziny, już nie mi, a jej opowiadał po kilka razy historie wojenne, które doskonale znałam. I tak żyliśmy

jak większość ludzi. Po jakimś czasie dowiedziałam się od dziadka, że Kosma Bednarz wyemigrował. Że dla niego Polska nie była najlepszym miejscem. I tyle. To wszystko. Dziadkowi to się bardzo spodobało. Jest... Było mi przykro, że Kosma się nawet nie pożegnał. W końcu być może wyjeżdżał na zawsze, z emigracji się zwykle nie wracało.

Gdy Ola miała pójść do przedszkola, zmianę stroju czuć było na kilometr. Zamiast własnoręcznie wydzierganych, nosiłam węgierskie sweterki, a zamiast znoszonych mokasynów z Chełmka – dedeerowskie kozaki. Poza tym paradowałam w kozuchu uszytym na miarę w Nekli ze starych baranów i z torebką kupioną w sklepie łowieckim.

Po 1989 roku Emil wymyślał różne biznesy, po czym od razu z nich rezygnował. Takie mnożył przeciwności i takie widział zagrożenia, że nijak cokolwiek z tą wiedzą można było uczynić, a tym bardziej ponieść ryzyko, jakim obarczone jest każde gospodarcze przedsięwzięcie. Został na uczelni. Walczył o ideały, o prawdę w nauce na poznańskiej Akademii Ekonomicznej.

## **Jesień 2008**

Trzy dni po wylocie Kośmy. Tak wzburzonego Leszka jeszcze nie widziałam. Wynurzył się ze swego



gospodarczego podziemia, pofatygował do Złotniczek. Wpadł na strych, jakby był w amoku, nawet nie rozejrzał się po domu. Nadal miał swój klucz.

– Jesteś dziwką! Jak mogłaś? – wychrypiał.

– Co jak mogłam?

– Wyjść za męż. Nie udawaj, że nie wiesz.

– Co ci do tego? No sam powiedz. Zajmuję się naszym wspólnym dzieckiem, które przez twoje biznesowe pociągnięcia mogło rosnać w biedzie, do końca życia być w spadku dłużnikiem i nie zaznać spokoju.

– Myślałaś, że się nie wyda? Nie łudź się, że zgodzę się na emigrację Stasia. Wystarczyło rzucić w sędzie okiem na wpis o zmianach dotyczących danych udziałowca i od razu wszystko stało się jasne. Iga Bednarz.

– Jasne! Jeżeli ci nie powiedziałam, to wyłącznie w obawie o to, jak się zachowasz. Uciekłeś od nas, ale i od Róży, zostawiłeś ją ciężko chorą, z długami. Obwiniasz mnie, bo jesteś słaby i tchórzliwy!

– A ty jesteś dziwką.

Jasna cholera! Powiedział to spokojnie z uśmiechem na gębie, a ja w konfrontacji z cynizmem nic więcej już nie potrafiłam wykrztusić. Po prostu wstałam z krzesła i pięścią uderzyłam tego tchórze w łeb. Wcale się nie bronił. Uderzyłam jeszcze raz. I jeszcze. Biłam i płakałam. Nie uchylał się, skurczył, złapał za

głowę i tak siedział, aż nie skończyłam go okładać. Och, jak mi było wstyd! Klapnęłam wyczerpana na krześle, strumień łez zalał mi twarz, ale też bardzo szybko wysechł. O nie, nie będę się poniżać!

– Zapamiętaj! Jeśli się nie dogadamy i nie będziemy żyć jak cywilizowani ludzie, wówczas stracisz wszystko, włącznie z dzieckiem.

Mówiłam to cicho, spokojnie, choć zakleszczyły mnie emocje. Jakże uwłaczające musiałam wieść *rozmowy!* Leszek oczywiście dobrze rozumiał swoje położenie, przyjechał i plótł bzdety, bo chciał mnie wkurzyć. Po ultimatum zamilkł. Tym razem to ja mogłam mu wszystko wykrzyczeć, ale nie chciałam.

Tego dnia przypieczętował transakcję na lata, a ja uzyskałam spokój.

\* \* \*

Przez kilkanaście dni po ślubie ciągle myślałam o nowym życiu. Czas mijał na rozmowach z Kostną, poszukiwaniu informacji o życiu w Teksasie i sondowaniu cen domów w Stanach. Nie spotykałam się z Ewą, która (o co ciągle miałam do niej pretensje) skupiła się na opiece nad rodzicami, nie znajdując na rozmowę ze mną w ogóle czasu. Dyduchowa nie wstawiała z łóżka, nie wiadomo było, jak i kiedy się skończy jej koszmar, żaden

z lekarzy nie dawał nadziei na jej powrót do sprawności. A Dyduch chlał w najlepsze, nic sobie z rodzinnej tragedii nie robiąc. Zresztą, to Ewa za jego emeryturę kupowała mu flaszki.

Zaczął się listopad, liczyłam pieniądze za plony z lata, wpłynęły wszystkie. Mogłam być zadowolona. Na koncie pojawiła się też pozostała część pieniędzy za dom. Nowi właściciele zamieszkali nad jeziorem, zachwyceni stanem i jego położeniem. Każdą wolną kwotę słałam do Kośmy.

Jedenastego listopada wzięłam Stasia i pojechaliśmy obejrzeć paradę na ulicy Św. Marcin. Zaparkowałam przed cukiernią i kupiłam cztery rogalie świętomarcińskie, a potem w restauracji pierś z gęsi. „Gęsina na Św. Marcina” – kiedyś w tym dniu poznańskie restauracje prześcigały się w daniach z mięsa gęsiego. Parada, jak zawsze, zgromadziła tłumy ludzi, ale Stasiowi się podobało. Pod wieczór wróciliśmy do domu.

– Odchodzi zieleń, kolor, ciepło, słońce, zapach, brudne chmury niebem płyną... – Patrzyłam w okno. – Pieprzona zima u bram! Wczoraj, na łące, przy wylocie z moczarów, widziałam kalekiego bociana, będzie musiał zostać, nie odleci z innymi. Muszę Rysiowi pokazać gdzie, na pewno znajdzie sposób, by *przeżył* mrozy – kończyłam rozmowę z Basią, przez telefon, kiedy do drzwi załomotała Ewa.

Nie widziałam jej w takich kawałkach nawet po

wypadku matki. Płacząc i trzęsąc się, wyrzuciła z siebie fragment rodzinnego piekła. Dyduch chciał spalić Mućka!

Nawet nie wiedziałam, że Ewa ma psy. Odkupiła od hodowcy ciężarną sukę rasy foksterier, która za parę dni od zakupu urodziła pięć psów. Muciek był najmniejszy, Ewa karmiła go mlekiem przez smoczek, wstawiała w nocy jak do dziecka. No i pijany Dyduch „łapsnął” za grzbiet Mućka, demonstrując, w jaki sposób wrzuci psiaka do ognia. Zazdrosny o uczucia Ewy do psów pijus tarmosił najmniejszego, a ten piszczał, podobnie jak i Ewa. Nawet Dyduchowa z łóżka protestowała zrezygnowanym głosem. A ta męska świnią trzymała psiaka za grzbiet nad piecem, w drugiej ręce flaszkę, i się śmiała. Bełkotał, że dom też wrzuci do ognia. Nikogo nie oszczędzi. Dopiero, gdy Ewa wyciągnęła ze schowka kolejną flaszkę, puścił psa i wylazł z domu.

– Pewnie leży gdzieś narąbany!

Wzruszyłam ramionami. Może i leży... Otóż, ja zawsze byłam pewna, że ojciec Ewy to jednak nie ojciec.

– Może mu się coś stać. – Ewa przytuliła się do mnie. Objęłyśmy się jak dawniej i kołysałyśmy. Długo to trwało.

– Sracza porządnego w obejściu nie było, kuchnia na węgiel, a teraz jest wszystko i on się nie zastanowi, że ja coś kocham i ja coś chcę jeszcze mieć. Wiem, że mam siłę, żeby urządzić życie po swojemu, ale dlaczego to jest

tak trudne? Powiedz mi!

W naszych relacjach do tej pory to ja byłam ekshibicjonistką. Gdy chciałam psioczyć na jej ojca, uciniała temat. Długo mówiła na niego „tata”, a na mamę „mama”. Od niedawna nazywa go ojcem. Ojciec to ojciec. Ojciec to nie zawsze ojciec! Jej ojciec to pijus Dyduch.

– Czy chcesz, czy nie, do największej ekspansji zawsze najszybciej sposobi się trauma, rozlewa się po życiorysie jak lawa – powiedziałam truizm.

– Naprawdę nie mogę nic zrobić, przecież żyję z jego emerytury. Każdego piętnastego tkwię przy bramce, by przechwycić od listonosza pieniądze. On by nam nic nie dał, a tak chociaż pilnuję, żeby nie chlał codziennie. Jakoś z tych pieniędzy się utrzymujemy, mama ma niewiele. Myślisz, że ja lubię tak żyć? Stoję przy tej znienawidzonej furtce, jak wiesz, listonosz nie przychodzi zawsze o tej samej godzinie. Chwilę pokręcę się po ogrodzie, on też, udaję, że coś przestawiam, pozamiatam, rośliny poprzycinam. Posiedzę na schodach, jak jest ciepło na dworze. A teraz jest zimno... Bardzo to dla mnie trudne.

– Pracujesz dla rodziców, opiekujesz się, więc nie miej skrupułów. Gdybyś pracowała na etacie albo mieszkała gdzieś indziej, musieliby wynająć kogoś do opieki i zapłacić.

– W życiu byłam samowystarczalna, mogłam liczyć tylko na siebie, na nikogo więcej. Nikt mi też nic nie dał

niczego gratis. Przywykłam do tego. Nawet bym nie potrafiła przyjąć darowizny. Zawsze tak było. Z domem też. Mogłam im od razu powiedzieć, że chcę, by na mnie go przepisali bez żadnych warunków, ale ja uniosłam się honorem i przyobiecałam, że będę się nimi opiekować do śmierci. I co? Nic.

Zrozumiałam, dlaczego Ewa się ode mnie odsunęła, ileż to można się zalić?! Gdy życie krzywdzi, chciałoby się czasem doświadczyć czegoś pozytywnego.

– Moi rodzice zawsze mieli porąbane psy. Najpierw jeden uciekł, a gdy wrócił, zapchlił dom, nawet i ja pcheł dostałam. Potem pojawił się wielki kundel, co to nie lubił fioletowego. Ile razy wywiesiłam na sznurze mój fioletowy sweter, zawsze znajdowałam go w piasku. Też uciekł. Słuch po nim zaginął. Potem był kolejny, też idiota, bo całe noce szcekał na krety i jeże. Teraz mam wreszcie śliczne i mądre pieski – mówiąc to, Ewa rozpromieniła się, uśmiechała.

– Mogę przyjść i popatrzeć? Poprzytulać?

– Zadzwoń. Boję się, żeby cię ojciec nie obraził. On ciągle jest zły, to przez to, że jego pieniądze biorę. Gdy listonosz wreszcie da mi tę kasę, *to* on nic nie mówi, tylko patrzy na mnie. Patrzy i patrzy. Daję jeść, patrzy, jak go wycieram, bo sam się nie umyje, patrzy, jak czyszczę jego kibel, patrzy. Gdy mu kupię wódkę i ma *co* chlać, wtedy nie patrzy.

– Nie kupuj, niech patrzy, aż z tego patrzenia w abstynencję wejdzie. Albo wykituje.

– Chcę być usłużna. Właściwie muszę, bo się boję. Oni wszyscy dali mi popalić. To z powodu ojca nie szukałam lepszego męża. Dwaj mężczyźni mojego życia. Ojciec pijak i Zbychu z wyżartym przez raka nosem. Straszne nie mieć się do czego odnieść.

– Przestań. Masz poczciwą matkę. Dobre dzieci. Przez ostatnie lata zbudowałaś dom, zrobiłaś dużo więcej, niż mi udało się zdziałać przez całe życie.

Żal mi było Ewy. Doradzać jest łatwo, wysłuchać też. Również chroniałam swoją rodzinę, ale nie zawsze mi się to udawało. Staś był świadom moich kłopotów, przechodził wraz ze mną lekcję życia. Czy to dobrze? Nie widać było po nim, by się przejął. To mądry dzieciak i tak mi pięknie rekompensował wszystko co złe. Popołudniami chodziliśmy na spacer do lasu, poprzedniej jesieni zebraliśmy wiadro kurek, a nawet kilka maślaków. W tym roku u schyłku lata wiaderko jagód. Staś z moją pomocą smażył naleśniki i zawijał w nie jagody z cukrem. Był umorusany, a na nowobogackich ubraniach, z których wyrósł, pozostały plamy nie do sprania.

Coraz bardziej kochałam szkraba. A i on wreszcie uwierzył, że jest dla mnie ważny. Uwierzył w moją miłość.

– Mamo, Jagna dzisiaj rano znowu miała w torbie

olej – powiedział, gdy po rozmowie z Ewą wiozłam go z przedszkola do domu.

– Nie możesz zaglądać do cudzych toreb! To jest grzech.

– Nie, nie jest. Ja dzisiaj zdobyłem prawdziwy grzech, nie taki olejowy.

– Nie mówi się, że grzech zdobyłem, tylko popełniłem. Dobrze, że umiesz się przyznać.

– Okłamałem Jagnę. Powiedziałem jej, że idę zrobić kupę, a zrobiłem siku.

Przez kolejnych kilka dni nie wydarzyło się nic szczególnego. O tym, że Ola wzięła udział w kolejnym triathlonie, dowiedziałam się po fakcie. I na tym oczywiście nie miała zamiaru skończyć, tak jak się spodziewałam. Po krótkim roztrenowaniu znów biegała, jeździła na rowerze, pływała, codziennie po kilka godzin. Znów schudła kilka kilogramów. Przysłała mi zdjęcia z imprezy. Muszę przyznać, że moja córeczka, mimo morderczych treningów i utraty wielu kilogramów, wypiękniała, wysubtelniała. Usportowienie naprawdę jej służyło. Była uśmiechnięta, nie było widać na jej buzi zmęczenia ani trudów codziennych kilkugodzinnych treningów. Wyglądała pięknie w markowych sportowych ubraniach, na które Emil nie poskapił, jak zawsze.

Nieraz miałam żal do niego, że kupuje Olę. Gdy nie



miałam pieniędzy, mogłam tylko marzyć, że przyjdzie kolej na mnie i swojej córce wynagrodzę rozłąkę. Potem, gdy dla mnie nastały lepsze czasy i Leszek podrzucał mi ruloniki ze stówkami na cukiereczki, mogłam poszaleć. To oczywiście miało miejsce. Na Olę czekały w mojej szafie drogie prezenty lub słałam je pocztą, gdy nie mogłam się doczekać jej przyjazdu. Zdawałam sobie jednak sprawę, że nie mając jej obok siebie, blisko, na co dzień, nie znałam jej potrzeb ani gustu w takim stopniu jak mieszkający blisko niej ojciec. Spasowałam z zakupami, bo uznałam, że nie uda mi się z Emilem wygrać tego materialistycznego wyścigu do przyzwoitego, niezmanierowanego serca Oli. Niemniej jej treningi do triathlonu nadal mnie martwiły. Powtarzałam jej wciąż, że koniecznie powinna zrobić badania, skonsultować się z kilkoma lekarzami, wreszcie, że musi jeść regularnie. I tak w koło Macieju. Ola oczywiście powtarzała „swoje”, że mam się nie martwić, bo to fajny sport. Musi ze sobą walczyć, wygrywa, przez co kocha siebie bardziej. Proste?

Ja ją bardzo kochałam bez jej wygrywania. Ciągłe się bałam. A ona mnie straszyla. Powiedziała mi kiedyś, że na początku treningów, po kilku kilometrach biegu zawsze miała kryzys. Nic nie pomagało, żadne odżywki energetyczne i izotoniczne. Nic. Ale pomyślała, że musi dobiec do mety, zrobić to dla swojej mamy, której zawsze wiatr wiał w oczy, a jednak mimo to szła, działała. I mimo wielu przegranych jednak wygrywała.

– Wyobraziłam sobie małą dziewczynkę, która dbała o chorą mamę, choć sama potrzebowała opieki i miłości. To mi dało siłę.

W wyobraźni mojej córeczki byłam kobietą silną i szlachetną. Zawsze chciałam taka być.

Włączyłam telewizor, trwała powtórka debaty z września na temat bankructwa Lehmann Brothers.

\* \* \*

Gdy zaczęły opadać liście z drzew, nadszedł czas, kiedy wreszcie miałam wszystko pod kontrolą. Po koniec listopada byłam dla relaksu w Pobiedziskach, jak zawsze rozmawiałam z Renią, która tym razem sprawiała wrażenie zasmuconej. Gdy nalegałam, by mi opowiedziała, co się stało, usłyszałam historię jednej mieszkanki Pobiedzisk.

– Nienawidzę listopada, liście padają i ludzie też. Ona całe dwadzieścia lat była samotną wdową, szmat czasu, ale ta długoletnia samotność wynikała z potrzeby, bo bardzo długo opłakiwała męża. Wszyscy jej doradzali, że szkoda życia, niech się rozejrzy za jakimś wdowcem. Odpowiadała, że nie ma prawdziwych mężczyzn, że spotyka samych idiotów, bawidamków albo nierobów, co to lecą na kasę. Ale jakiś czas temu przestała tak mówić. Poznała bardzo inteligentnego mężczyznę z Poznania.

Młodsze, ale wreszcie mogła o nim powiedzieć, że dorównuje intelektem Tadziewi, nieboszczykowi. Definitywnie zakończyła żałobę po Tadziewi. Była szczęśliwa, snuła plany. Wiozła go do Poznania do domu, miał wziąć swoje rzeczy i przeprowadzić się do niej. I co? W Promnie jakiś samochodowy gangster zepchnął auto z nimi w środku prosto pod jadące z przeciwka na sygnale pogotowie ratunkowe. Nie żyją. Oboje. Taka tragedia. Nic, tylko nieboszczyk mąż nie pozwolił na zdradę.

Po zakupach artykułów spożywczych i drogeryjnych drobiazgów wracałam do domu z historią opowiedzianą przez Renie w głowie. Na Goślińskiej opadły liście i zrobiło się ślisko, na drodze za miasteczkiem jeszcze bardziej. Musiałam uważać. Tak sobie pyrkałam ostrożnie, trzymając kierownicę oburącz. Zjechałam na pobocze, widząc jadącą z naprzeciwka karetkę. Zajrzałam do środka, czy nie wiozą kogoś znajomego, ale leżanka była pusta.

Niebo zasnuwane było szarą poświatą. Świat stał się ponury. Ani się spostrzegłam, jak byłam przed Złotniczkami. Zadzwoniła komórka, wyświetlił się numer Basi, zatrzymałam auto na poboczu drogi, gotowa w razie czego wrócić do Nadrożna.

- Igo, zatrzymaj samochód. – Usłyszałam płacz.
- Chryste! Co się stało?!

Byłam w panice. Gdy szloch Basi stał się bardziej

rozpaczliwy, straciłam oddech. Przecież w karetkie na leżance nikogo nie było!

– Igo, nie mogę się uspokoić. – Basia mówiła powoli, drżącym głosem, ochryplym od płaczu. – Przed chwilą dostaliśmy bardzo smutną wiadomość. Ewa...

Co, kuźwa, Ewa?! To była pierwsza myśl.

– No mów wreszcie! – krzyknęłam.

– Ewa nie żyje.

– Powtórz!

– Umarła.

Umarła? Nie żyje? To można sobie tak nagle nie żyć? Niemożliwe, ludzie nie są muchami! Kilka dni temu była wprawdzie smutna, zatroskana, ale zdrowa. Przecież od dziecka wiem, że trzeba ciężko chorować, by umrzeć. Zaraz na pewno usłyszę, że to nieprawda, że ktoś się pomylił!

– Basiu, ze śmierci nie czyni się żartów! Chcesz, żebym nigdy nie wstała?! Uspokój mnie!

– Nie uratowali jej mimo naprawdę bardzo sprawnej reanimacji. Rozległy zawał.

Leżałam w aucie z głową na kierownicy i wyłam z bólu. Taki ma być nasz koniec? Bez żadnych znaków, przeczuć. Nic się nie zbiło, nic mi się nie śniło, żadne zęby, żadna brudna woda, żadne kołtuny z włosów. Było jak zawsze.

Ewuniu! Miałam pretensje, że nie poświęcasz mi tyle czasu co kiedyś. Miałam żal, że odsuwasz się ode mnie, a nie zapytałam nigdy, jak się czujesz, jak znosisz to swoje podłe życie. Nie zatroszczyłam się, byś pojechała do lekarza, nawet za pieniądze. Dawno temu mogłam objąć cię programem leczniczym. Kilka dni temu zażartowałam, że będziesz łysa, bo tak bardzo wychodzą ci włosy. Nie zatrzymałam się nad tą informacją. Mówiłaś, że codziennie nad ranem masz napady duszności. Też puściłam to mimo uszu. Tak byłam pozbawiona zatroskania.

Dlaczego ciągle tracę?

W torbie szukałam leków psychotropowych, bez zażycia których nie mogłam się pozbierać. Nie potrafiłam utrzymać rąk na kierownicy, tak mi się trzęsły. Boże, dlaczego znów każesz mi przez to przechodzić? Mało ci było ofiar? Mamusia, tatuś, dziadek. Teraz Ewa. Przecież ja ich wszystkich bardzo kochałam!

– Dlaczego? Powiedz, jeśli wiesz – zapytałam o to samo przez telefon Basię.

– Tak się w życiu niestety zdarza, musimy nauczyć się radzić sobie ze stratą, która coraz częściej będzie nas dotyczyć. Ale nie jesteś sama, masz dzieci, przyjaciół, nas. O tym teraz myśl.

– Ona była zawsze, zanim urodziła się Ola, zanim zmarła mamunia, potem, jak oszedł ojciec i dziadzio.

Była zawsze. Nawet gdy była daleko, a mi się coś ciekawego lub smutnego przytrafiło, obiecywałam sobie, że kiedyś to opowiem Ewie.

– Uważaj na drodze. Gdzie jesteś?

– Przed Złotniczkami, przy krzyżu. Nie wiem, jak podjadę te ostatnie kilkadziesiąt metrów pod górkę.

Podjechałam. Potem były telefony. Co się stało, jak to się stało, kiedy to się stało? I kondolencje. Wieczorem odważyłam się pójść do domu Ewy. Usiadłam przy łóżku Dyduchowej. Były tam też dzieci Ewy. Płakaliśmy. Żadne z nas nie powiedziało słowa. Płacz zastępował wszystkie wyrazy, jakimi można oddać rozpacz Wszystko wraz z Ewą umarło. Mój świat, moja gotowość na przyjaźń.

– Pomyśl o jej dzieciach, pomyśl o jej matce, pomyśl nawet o jej pieskach... – pocieszał mnie wieczorem Kostna. – I nadal myśl o Ewie, wtedy dla ciebie będzie żywa.

Rozpłakałam się, wzruszyło mnie wspomnienie grata Dyducha i nasze zabawy w lekarza, z dzieciństwa. Byliśmy tacy szczęśliwi. Tacy nieświadomi, co nas czeka.

– Nie mogę w nieskończoność tracić. Znikam wraz z tymi, których już nie mam. Kos, powiedz mi, dlaczego tak jest?

– Trzymaj się, Teksańska. Masz o co w życiu walczyć, a to jest dar, nie strata. Ja też cierpię razem z tobą.

Po śmierci Ewy całe dni przeplakałam, wieczorami gasiłam światło i patrzyłam na wieś zatopioną w myślach o Ewie. Nie wychodziłam z domu. Przez okno w dachu widziałam to księżyc, a to słońce. Nieważne były sprawy firmowe ani dom, dzieci, rodzina. Zaprzyjaźniony psychiatra przepisał mi silniejsze psychotropy, po których po prostu spałam.

Pogrzeb miał się odbyć po kilku dniach. Na wiejskich cmentarzach nie ma masówki, gdy ktoś umiera, nie musi leżeć i czekać na swą kolejkę. Zadbano, by nie przeleżała niedzieli, bo wtedy zabrałaby kogoś do siebie. To taki zabobon.

– Ciągle nie pogodziłam się z kalectwem Dyduchowej, a teraz takie nieszczęście! – Basia była rozczarowana życiem, podobnie jak i ja.

– Służyły pijusowi, a on i tak je wykończył. Nawet dąb mocny zeschnie, a jemiola na nim nadal ma się dobrze. Pielęgnowała go z większą troską niż matkę.

\* \* \*

Wieczorem, przed pogrzebem, w pokoju Staś odmawiał modlitwę żarliwiej niż zwykle: „Aniele Stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój...”.

– Mamo, a nam kiedyś Anioł Stróż pomógł?

– Nie sądzę. Gdyby tak było, słyszelibyśmy choć raz trzepot jego skrzydeł. Choć raz.

– Słyszałem, mamó, ja słyszałem! To było wczoraj w nocy, gdy płakałaś!

– To gołębie, one koło naszych okien fruwały, to one.

– Nie, tamte trzepoty były głośnie. I jakby nade mną.

– Oj Staś, nie miej złudzeń. Anioły nas opuściły, ale może kiedyś wrócą, dlatego starajmy się żyć tak, by chciały z nami zamieszkać. By nie bały się tutaj wrócić.

Pomyślałam, jak różne przekazujemy dzieciom wizje świata, ładujemy w nich swoje nastroje, myśli, lęki, często bezwiednie, bez chęci pouczenia, bez dydaktyki. Ot tak.

Gdy zadzwonił Kosma, znów zaczęłam się roztkliwiać.

– Miała mnóstwo marzeń. Chciała nowy żeliwny płot, bo ten stary się rozpadał. I do kompletu takie same balustrady na balkonie też były jej marzeniem. Mogłaby wywiesić i wywietrzyć pościel, bo do tej pory musiała ją znosić do ogrodu, co denerwowało Dyducha. Bywało, że ze złości gasił na nich peta. Planowała kupić dla matki elektryczne łóżko wielopozycyjne, przeciwoleżynowe. Chciała po prostu lepiej żyć. Tymczasem już nigdy nie zobaczy, że mirabelka przy wejściu do jej domu obsypana jest owocem. Nigdy nie ugotuje kompotów na zimę, nie siądzie przy białym kredensie w swojej nowej kuchni. Nie przyjdzie do mnie. – Rozkleiłam się zupełnie. – Ewa



przeszła dwa razy tyle złego co ja, a radości i szczęścia w życiu miała tyle, co kot napłakał. I teraz wreszcie, kiedy wybudowała dom... Mogła żyć. Nie mogę się z tym pogodzić.

– Igo, spójrz na to inaczej. Jesteśmy, ale to nie jest pewne. Ile w sobie nagromadzimy dobra, tyle go dostrzeżemy. Ewa z nami już zostanie do końca. Tak będzie.

– Po co się rodzimy? By umrzeć? Jaki jest sens powoływania człowieka do życia? Założeniem każdego tworzenia jest, by dzieło żyło. Nikt, malując obraz czy tworząc operę, nie zakłada, że jego dzieło umrze. Nawet się mówi, że powołuje się je do życia. Niewiele dzieł umiera. Są zapomniane, pomijane, nie dotrą do wszystkich. Człowiek zatem nie jest dziełem?

– To już tylko jeden Stwórca wie. O ile taki w ogóle jest. Rodząc dzieci, dajemy życie, a jednocześnie obarczamy to dziecko śmiercią. Jeśli to cię pocieszy.

– Ona zmarła z rozpacz. To powinno być karalne. Tak wielka rozpacz powinna być zabroniona, boskie przykazanie takie powinno być.

– Może na tamym świecie będzie jej lepiej?

Tego nie przewidziałam. Fakt. Ewie poza światem może być lepiej.

Żal, tęsknota, żałoba. Myślałam o sobie. To ja czułam żal, to ja tęskniłam, to ja byłam w żałobie. To ja czułam

rozpacz! Płakałam, bo mi było smutno. Ale czy Ewie?

\* \* \*

W drodze na pogrzeb usadowiłam się za kierownicą auta, jednak Rysiu kategorycznie odsunął mnie od drzwi. Pojechaliśmy w trójkę, z Basią, która cierpiała nie mniej niż ja. Założyłam starą, czarną, ale bardzo elegancką, długą do samej ziemi suknię i tak samo długi czarny płaszcz. Nigdy wcześniej nie miałam odwagi założyć i pokazać się w okolicy w tak bardzo drogich ubraniach. Ale dla niej zrobiłam odstępstwo. Dla niej, dla mojej Ewuni zawiesiłam na szyi sznur czarnych pereł Tahiti, który kiedyś kosztował majątek. Dla niej to zrobiłam.

W kościele nie potrafiłam powstrzymać szlochu, kiedy proboszcz mówił, że w swoim życiu zaznała niewiele dobra. Widywał ją na mszy wieczornej, chociaż nie była w wieku, kiedy szuka się Boga, by coś odkupić. Potem powiedział coś, co mną bardzo poruszyło: „Człowiek został powołany do życia w wieczności”. Jakiej wieczności? Chciałam krzyknąć. O jakiej wieczności mowa, skoro nie ma na to niezbitych dowodów? Śmierć i narodziny nie są żadnymi dowodami. Powiedział, że ufa, iż Bóg wziął ją do nieba, bo była wielkiej wiary. A dowody na to? He?

Trzymałam w dłoniach bukiet z czterdziestu

czerwonych róż, jakiego za życia na pewno nigdy nie otrzymała. Rozpacz kazała mi głośno zawodzić, z moich ust wydobywał się obcy dźwięk. Coś mi kazało czynić to coraz głośniej. Basia ścisnęła mi rękę, nie pozwoliła na głębszą żalność. Przestałam wyć, ale znów nie mogłam powstrzymać szlochu.

On też był na mszy. Pijus Dyduch. Najpierw narobił hałasu, bo kazał otworzyć trumnę, płakał i krzyczał na przemian: „Dlaczego mnie zostawiłaś, dlaczego odeszłaś?”. Odciągnięty od trumny przez mężczyzn z dalszej rodziny, stał przed ołtarzem i wycierał łzę. Teraz? Chciałam krzyknąć: „Dlaczego dopiero teraz?”.

*Anielski orszak niech twą duszę przyjmie – ruszyliśmy na cmentarz.*

Płakałam, a przez łzy przed sobą widziałam plecy pijaka. Nad grobem ronił kolejną łzę, głośno wycierał fioletowy nochal ochleja i spoconą bordo gębę. Patrzył po ludziach bez wstydu i wyrzutów sumienia, prężył się odmieniony, w nowym ciemnym garniturze, w jaki bywają wystrojeni na odpust w Dąbrówce Kościelnej przyzwoici mężczyźni, a nie takie pijusy, które wykańczają najpierw flaszkę, a potem dobrych ludzi. Chciałam podejść do niego i zakazać mu płakać, ale stało się, małą trumnę z Ewunią zaczęli spuszczać do grobu. Słyszałam skrzyp sznurów. A potem już nic nie słyszałam ani nie widziałam, ocknęłam się, kiedy grabarze obłożyli mogiłę kwiatami.

Nieznajomi mi ludzie wychodzili z cmentarza. Niektórzy pytali, co się stało. I jak. Czy to ważne? Nie ma jej. Powtarzałam, że nie wiem, że nie chcę, by tak było, że Ewa żyje, jest i będzie moją najlepszą przyjaciółką. Taką od zawsze i na zawsze, że nie będzie po niej już nikogo, tak mówiłam, gdy mnie pytali, co się stało.

Kogo to obchodziło? Przyszli zobaczyć łzy, a wiedziałam, że za chwilę zapomnę, że była. Chciałam krzyczeć, by nie zadawali mi nieważnych pytań. Istotne było tylko to, co się zerwało, nasza nić, nasze więzy. I to, że od dnia śmierci Ewy moja dusza klekotała i jej lament nie ustanie nigdy. Przenigdy. Mówiłam, jakbym była szalona. Bo byłam. Nie mogłam się uspokoić, gdy patrzyłam na nieruchomo leżącą matkę przywiezioną na łóżku z kółkami oraz na dzieci Ewy, samotne, w rozpacz. Jednego roku straciły mamę, dostały do opieki babcię inwalidkę i dziadka pijaka.

– Miała łatwą śmierć, nie musiała się jej długo bać...  
– pocieszyła mnie Adela Renz. Chwyciłam ją za rękę, a ona ścisnęła moją i już było mi lepiej.

„Jesteśmy powołani do życia w wieczności” – nie do mnie te słowa. Ja swoje wiedziałam.

– Śmierć wszystkich zrównuje! – dodała Renzowa.

Takiego sceptyka jak ja takimi słowami mamieć?!

– Może i zrównuje, ale w nieistnieniu – rzekłam.

Tego wieczoru pierwszy raz od dzieciństwa nie

odmówiłam wieczornej modlitwy. Wyciągnęłam zza szafy harfę i grałam, grałam i grałam. Przeważnie Albiniego. A rano poszłam do Adeli Renz. Najpierw przypominałyśmy sobie wydarzenia związane z Ewą, a potem Adela wróciła do czasów wojennych:

– Był koniec maja 1942 roku. Razem z twoją mamą, Iguniu, poszłyśmy rano do Wólki Cycowskiej po chleb. Idąc, uważałyśmy, by nie wpaść na Niemców ani na Ukraińców. To może było dziwne, ale z Jaśką czułam się różnie, niż gdybym była sama. Dzień przed naszą wędrówką do Wólki w lesie w walkach z partyzantami zginęło wielu Niemców. Partyzantów nie było wielu, w dzień żyli jak normalni ludzie. Mój ojciec i Leśniewski przeważnie uprawiali ziemię, gospodarzyli, ale bywało, że znikali na kilka dni. Wtedy też ich nie było w domach, miałyśmy przykazane mówić, że pomagają w gospodarstwach w innej wsi. Siedziałyśmy w Wólce nad Świnką, było dobrze. Chlapiąc bosymi nogami wodę, przypominałam sobie szczęśliwe dzieciństwo w Wielkopolsce. Ale nie tylko z sentymentu długo w rzece moczyłyśmy nogi. Mając jedną parę dziurawych butów (te same latem i zimą), trudno było utrzymać stopy w czystości, niełatwo było je wyszorować. Z daleka do naszych uszu docierały odgłosy strzelaniny, ale nie dałam po sobie poznać, jak mnie przeraziły. Okłamałam Jaśkę, że to chłopaki dla zabawy strzelają bobem. Gdy biegłyśmy do domu, za brzozowym lasem nad polem unosiła się para albo mgła. Panowała głucha cisza, nawet

ptaki nie dawały oznak życia. Nic. Na polu leżały trupy! Setki. Głowy rozłupane jak kokos i roje much. Para unosiła się nad ciałami, jakby skropliły się dusze. Powiedziałam, że to wszystko za sprawą bobu. Skłamałam, że bób był twardy. Kolejne kilometry zrobiłyśmy bardzo szybko, klucząc po leśnych ostępach. Ściemniało się, na niebie nad naszą wsią wisiała łuna ognia. Leśniewska i moja mama bardzo się ucieszyły na nasz widok. Godzinę wcześniej oszalały Żyd, ukrywający się w jednej z chałup, chciał wystrzelać wszystkich Polaków. Ktoś go wtedy zastrzelił. Jakiś Polak. Potem Niemcy zabili tego Polaka i jego żonę, a dom spalili. Dla równowagi. Ojciec i twój, Iguniu, dziadek wrócili do domu następnego dnia nad ranem.

## **Jesień 2008**

Dzień po pogrzebie Ewy, a była to sobota, wstałam koło południa, gdy niskie listopadowe słońce nieśmiało zawisło nad akacją, która już dawno zgubiła liście. Ubrałam się elegancko, a jednocześnie ciepło i wyszłam z domu. Żwir na ścieżce skrzypiał pod moimi stopami, kiedy szłam przez wieś. W stajni najpierw poklepałam konie po zadach, potem zaprzęgam do bryczki. Podjechałam do Nadrożna, zawołałam Stasia, który w tamtym smutnym dla mnie czasie nie zadawał zbędnych pytań. Założyłam mu futerko i nasadziłam ciepłą czapę na

głowę, wzięłam za rączkę. Wsiedliśmy do bryczki, odprowadzani milczeniem Basi. Słowa między nami wisiały jak sople na dachu, ale to nic. Byłyby teraz nie w porę.

– Nie martw się – powiedziałam do niej.

Posadziłam synka obok siebie na siedzeniu, otuliłam kocem, wzięłam bat i ostro ruszyłam z Nadrożna drogą w dół, w stronę naszej wsi. Konie trzaskały kopytami o asfalt, a przerażony Staś skulił się, schował pod kocem, śledząc przerażonymi oczami drogę. Wreszcie nieśmiało zaproponował:

– Nie chcę jechać na cmentarz! Tam pod ziemią są kości i ja się ich boję. Nie chcę, żeby mnie też ktoś zakopał!

– Kotku, życie przed tobą! Ciesz się, baw, żyj!

– Nie chcę na cmentarz – powtórzył Stasiek.

– Nie martw się. Jedziemy do ważnego miejsca, do Dąbrówki Kościelnej, to niedaleko stąd.

– O, tam są samochody wojskowe i czołg nawet raz był, taki kolega jeden mi mówił.

– To inne miejsce. My jedziemy do kościoła. Tam jeździłam z moim tatą, z mamą, z dziadkiem i ponoć, jak byłam maleńka, również z babcią. Z ciocią Basią też na motocyklu gnałyśmy polnymi drogami. Ale przeważnie bryczką. Ona, ta bryczka, była rzeźbiona, nie wiem, co się potem z nią stało, pewnie ktoś sprzedał albo się rozleciała.

Pamiętam, że posiadała czerwone obicia na siedzeniach. Wszystko było pod kolor. Konie miały płaszczyki w takim samym kolorze, dziadzia siedział z przodu, miał w ręce bat, a na głowie purpurową czapkę z daszkiem i wielkim pomponem. I prawdziwe skórzane oficerki. Tak go pamiętam, a byłam nastolatką, jak ostatni raz jechaliśmy tamtą bryczką.

– A dlaczego konie były w płaszczykach?

– Dla ceremonii. Bo w tym kościele był odpust.

– A co to jest dopust?

– Odpust. Jest taki jeden dzień w roku, wtedy, gdy przez kratkę w konfesjonale powiesz księdzu wszystkie twoje grzechy, to już nigdy nikt ci ich nie będzie pamiętał.

– Nawet Bóg?

– Nawet i on.

– Chcę pojechać na odpust!

– Ależ ty nie masz grzeszków!

– Kiedyś nie kochałem Oli. – Staś zaczął płakać.

– A teraz już kochasz?

– To ja ci odpuszczam ten grzeszek, a jako pokutę zadaję, byś natychmiast dał mi buzi i przytulił się mocno, najmocniej, jak potrafisz.

W kościele w Dąbrówce Kościelnej zastaliśmy tylko bardzo chudą babcię z równie chudą torebką, poza tym wystrój ławek wskazywał, że niebawem odbędzie się ślub.



– Do kościółka trzeba czasem zajrzeć. Wtedy łatwiej jest znosić kłopoty, bo ma się oparcie, takie na niby, ale się wierzy w nie i już jest lepiej. Wszystko złe, co nas dotyka, można sobie wtedy wytłumaczyć, że stało się z jakiegoś powodu.

Staś słuchał pilnie mojego wyznania.

\* \* \*

Ginał mój świat, katowałam się codziennie. Byłam w żałobie. Jak żyć bez Ewy? Jak pogodzić się, że i być może Róży mi ubędzie? Widząc jej walkę z okrutnym rakiem, zrozumiałam, że i ja nie mogę stracić już ani dnia ze swojego życia. Muszę działać, nie użalać się nad sobą, skoro to wszystko jest tak kruche, nieprzewidywalne. Gdy zdobywasz ośmiotysięcznik, jesteś sam. Bierzesz udział w triathlonie, jesteś sam. Też czułam się sama. Ciągłe zastanawiałam się nad sensem i jakością bytu na ziemi.

– Życie, czym jest? – zapytałam Różę, gdy minął szok po śmierci Ewy. Powiedziała jej, co się stało, znała Ewę. Usłyszałam wtedy to, co sama zauważyłam, gdy zaczęłam zestawiać ze sobą ludzkie losy. Nie wszystko można przewidzieć.

– To ja miałam umrzeć, a żyję. Ewa miała żyć, przecież nie była chora! A jednak umarła. Zastanawiające. Nie mogę się nad sobą już więcej rozczulać, to znak, bym

uruchomiła wszystkie, ale absolutnie wszystkie siły do walki z „dziadem"! Chciałam spasować, wierz mi, tak bardzo trudno mi czasem, ale może to jest znak dla mnie?! Już nie będę zadawać sobie pytania: „Dlaczego ja?". Przecież nie jestem lepsza od innych!

Przypomniałam sobie podobne słowa, jakie po śmierci mojej mamy wypowiedział mały Kosma: „Twój dziadek powinien najpierw umrzeć, a dopiero potem mama". Uderzyłam go wtedy.

– Czym w takim razie ma być życie? Nie czym jest, a czym ma być?

– Nie wiem. Tylko Bóg jest wszechwiedzącym autorem, ale umarł i teraz nikt z nas nie zna dalszego ciągu – odpowiedziała Róża.

Nieraz mnie zaskoczyła swoimi poglądami. Odkąd zachorowała, znalazła pasję. Były to książki, którym poświęcała każdą chwilę.

Długotrwała rozpacz i cierpiętnictwo były w tamtym czasie dla mnie zbyt ciężkim ciężarem jednak w mojej naturze. Trzeba było śmierci Ewy, bym zrozumiała, jak bardzo chcę żyć. I że mam wszystko, by być szczęśliwa. Ale jak się wyzwolić od tego potwornego lęku, napięcia, że coś jeszcze się stanie, że tylko złe mnie czeka? Nawet Staś czasem mówił: „Mamo, musisz oduczyć się paniki". Dobrze sobie! Wieczorem mój szkrab znów mnie zadziwił i przestraszył jednocześnie. Przeczytał nagłówek z gazety,

jaką schowałam pod stolikiem jakiś czas temu: *Iga Podkańska ratuje bankruta, a wierzyciele przebierają nocami.*

– Kto cię nauczył czytać?

– Asia.

– Jaka Asia?

– Taka ładna, ale też jest ze zbankrutowanej rodziny. Mamo, oni jedzą zupełnie nic.

– Przypomniałeś mi! Gdy byłam mała, też jadłam zupełnie nic! Chyba nie muszę szukać przepisu, postaram się powiedzieć z pamięci. Kilka jajek, trzeba oddzielić białka od żółtek. Z białek i cukru pudru ubić sztywną pianę, żółtka utrzeć z cukrem na puszystą masę. Potem trzeba zagotować mleko z wanilią, kiedy zacznie wrzeć, łyżką nakładać porcje. Utworzą się takie jakby bezy, które trzeba wyjąć z mleka, do którego stopniowo należy dodawać utarte żółtka. To jest bardzo smaczna zupka i wcale nie dla bankrutów!

– Jest lejna?:

– Mówi się rzadka, nie lejna. Jest.

Cudnie mi było. Wspomnienia z dzieciństwa rozczulają. Zamarzyłam o domu ze smacznym jedzeniem, z deską serów na kolację, z dobrym winem, szynką z własnej wędzarni, smakującą jak w dzieciństwie, z masłem ubitym z własnego mleka. Długo miałam smak zupy nic na podniebieniu.

\* \* \*

Następnego dnia nie było już miło. Słusznie, że się bałam. Dostałam list polecony z policji. Otworzyłam kopertę i zaczęłam czytać pismo. Nie, to nie mogło dotyczyć mnie! Podejrzaną o pobicie jeszcze nie byłam. Ba, na policji też jeszcze nigdy nie byłam. Grażyna Chraplak! Małpa! Co ja jej zrobiłam?

– Dalsza jatka. Przecież ona nie ma powodu, by mnie oskarżyć! – powiedziałam do siebie.

Sama sobie byłam winna, zawsze byłam nerwowa i wybuchowa, wszyscy to wiedzieli, a to nie świadczyło o mnie dobrze.

Wieczorem, gdy z kominka buchało ciepłem, zapaliłam świece w świeczniku i próbowałam jeszcze raz przeczytać paszkwil z policji. Nic między wierszami nie znalazłam. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Chwyciłam za słuchawkę, by zatelefonować do Ewy, tak jakby ciągle żyła. Wszystko mi ją przypominało. Na nasze miejsce porosłe hyczką, aktualnie bez liści, nie mogłam patrzeć w ogóle. Chętnie kazałabym te krzaki wykarczować. Zeszłam na dół i wyszłam z domu. Wsiadłam w escorta, aleja zaprowadziła mnie pod dom Ewy. Zaparkowałam za mirabelką i siedziałam w aucie, zaglądając w okno sypialni Ewy. Nie potrafiłam

powstrzymać płaczu za Ewą.

Odjechałam i wróciłam na swój strych dopiero, gdy się opanowałam.

W dniu wyznaczonym przez policję ubrałam się starannie. Czarna suknia, czarne rajstopy, czarna peleryna z wełny z czarnymi aplikacjami ze skóry. Do tego czarna kaszkiet na głowie, ciemne okulary. Wsiadłam w auto, Stasia posadziłam w foteliku, ostro ruszyłam, w Nadroźnie zatrzymałam się, by poinformować Basię, dokąd jadę i poprosić, by odebrali Stasia z przedszkola po leżakowaniu.

– Matko Boska! Nie mogłaś białej bluzki założyć? Wyglądasz jak pokutnica! Bóg dał nam życie, by się nim cieszyć!

Jasne! W jakimś jednak stopniu rozumiałam Basię. Sprawiałam im naprawdę sporo kłopotu. Też wolałabym spokój, brak trosk, generalnie sielanekę.

– Może kilkanaście dni po śmierci mojej jedynej przyjaciółki mam się nosić na czerwono?! Śmierć uczy pokory. Jestem w żałobie! – mówiłam niebezpiecznie podniesionym głosem.

– Śmierć to śmierć, pokora to pokora. Nosisz albo kowbojskie szaty jak z „Bonanzy”, albo inne nawiedzone. Owszem, żałoba, ale ten, co o tym nie wie, pomyśli, że jesteś satanistką. Dziewczyno, ubieraj się stosownie.

– Nieważne. Nie rozumiesz, że mnie to nie

obchodzi?! – krzyknęłam.

W Poznaniu na policji dowiedziałam się, że pobiłam Grażynę z uszczerbkiem na zdrowiu wymagającym leczenia powyżej siedmiu dni. Podobno świadkiem był jeden z pracowników. A to ciekawe. Wszystkiemu zaprzeczyłam, zgodnie zresztą z prawdą. No cóż, byłam zażenowana i zniesmaczona dziewczuchą, która Leszkowi i mi naprawdę wiele zawdzięczała. Sfinansowane studia, potem podyplomówka za darmo. W firmie cieszyła się mirom i szacunkiem, miała zawsze wypłatę na czas. Nikt nad nią nie stał i nie popędział.

Gdy wyszłam z komisariatu, na dworze hulał wiatr. Nie wiem, jak wróciłam do domu, cały wieczór zbierało mi się na mdłości, choć nic tego dnia jeszcze nie miałam w ustach! Staś, widząc, jak kiepsko wyglądam, krzyknął zniecierpliwiony nie na żarty:

– Czy my wreszcie wyjdziemy z tego dna?! Mamusiu! Ewko! Chcę wyjechać ze Złotniczek, chcę daleko od tej wsi odpocząć od wszystkiego, usiąść przy kominku, nie mieć niczego na głowie, już nie chcę żyć w stresie. Czy to dużo?

## 1992

W 1992 roku obchodziłam dwudzieste piąte urodziny, a dwa miesiące później mój dziadek Florian Leśniewski

zmarł na raka płuc, dożywając pięknego wieku dziewięćdziesięciu jeden lat. Wierzyłam w nieśmiertelność mojego dziadka, po jego odejściu stałam się sierotą, poczułam obok siebie absolutną pustkę. Tym razem trudno było mi się podnieść. Całe trzy miesiące nie potrafiłam normalnie żyć. Pracowałam jak automat, zajmowałam się Olą, jakbym była robotem bez duszy, godziny całe słuchałam Skorpionsów: *Send Me an Angel, Wind of Change*. I Dżemu: *Wehikuł czasu, Cała w trawie, Sen o Viktorii, List do M*.

*Samotność to taka straszna trwoga, ogarnia mnie, przenikamnie. Wiesz mamo, wyobraziłem sobie że, nie ma Boga, nie ma, nie.*

Powzięłam natrętną myśl, że będę kolejna. Też odpalałam kolejnego papierosa od poprzedniego. Przez większość życia nie oszczędzałam się, ciężko pracowałam, stresowałam. Nie byłam wolna. Nieraz brakowało mi powietrza.

## **Jesień 2008**

Bo wolność to piękna sprawa. Bronek wypuszczał swoje gołębie zawsze po popołudniu. Frunęły wysoko, tworząc na tle nieba szarą chmurę. Lubiłam ten czas. Ptaki były wolne. Leciały w stronę nieba, rozpościerały skrzydła, wznosząc się wyżej i wyżej.

Wyszłam z domu z zamiarem porozmawiania z sąsiadem. Stałam obok płotu i podobnie jak on zadarłam głowę.

– Piękne są. Dlaczego aż tyle? Zarobkowo? – zapytałam, wskazując na odlatujące gołębie.

– Mam, bo je kocham – powiedział po prostu.

– Grupowe loty robią wrażenie, ale ja najbardziej lubię, gdy siadają na moim parapecie. Kiedyś przyniosą mi dobrą nowinę, wierzę w to. Są jak anioły, tylko ziemskie – powiedziałam.

– Trzeba je z parapetu przeganiać, obsrają wszystko! Ludzie też, jakby mogli, to by srali wszędzie. Lepiej nie wiedzieć, czy srają czy nie srają.

Milczałam.

– To była obszczana rudera, a na końcu nawet dach się zawalił. – Bronek wybawił mnie z zakłopotania. – Po remoncie zrobiło się elegancko.

– Dziękuję, ale on nie jest nasz. Strasznie trudne to wszystko.

– A czyj?! Moja matka wszystko, co pamiętała, miała na języku. Ciągłe gadała. Byłem pewien, że wymyśla, pilnowałem, by złapać ją na kłamstwie, ale nie złapałem. Zakazała mi komukolwiek powiedzieć, co się po wojnie działo w tym domu, ale widzę, jak się pani męczy. Łazili tu jeden przez drugiego, węszyli. Pani została sama tylko z malutkim chłopcem. Wtedy, po wojnie, pani babcia też



miała dziecko niewiele starsze od pani synka.

– Tym dzieckiem musiała być moja mamusia...

– Chyba tak. Tutaj prowadzili przesłuchania, ale najdłużej trzymali Bednarza. Matka miała być kolejna. Stała przy drzwiach i podsłuchiwała. A tam stary Bednarz donosił. Że Leśniewski to wróg publiczny, że całego zboża nie oddał. Pani dziadka od razu wzięli, nie miało znaczenia, że jego żona sama z małą dziewczynką w domu została i bez środków do życia. Zboże całe zarekwirowali.

A więc jednak! Dlaczego to, co powiedział Broniek, wcale mnie nie zdziwiło? Od dawna czułam, że przyjacielskie relacje Bednarzy i Leśniewskich popsuć musiało tylko niewybaczalne święństwo. Nigdy nie miałam mojego dziadka za małostkowego. Nie zakazywał mi przyjaźni z Kosmą, nie przeniósł też konfliktu na następne pokolenie, choć mógł.

– Więc to dlatego mojego dziadka nie było kilka lat we wsi!

– Dwa lata nikt go nie widział. Moja matka wtedy zaprzyjaźniła się z pani babką, pomagała jej. No i jak to w przyjaźni, matkę język zaświerzbil i wszystko wypaplała pani babce, a ona swojemu chłopu, gdy wrócił z więzienia.

– Żeby sąsiad sąsiada sprzedawał?

– Ode mnie nikt się niczego o pani nie dowiedział,

choć byli tacy, co pytali. Tylko gołębie wiedzą, że chcę, żeby się wam udało, bo do kogo bardziej ten dom mógłby należeć?

– Dom... Dziś już nie wiem, czy to Dom Złudzeń, czy bardziej dom marzeń...

## 1993

Rok po śmierci dziadka uciekłam od Emila Zaręby, uciekłam od wizji, a może i perspektywy życia bez wzlotów i upadków, możliwe, że i zbyt krótkiego, ale na pewno niewykorzystanego. Nie miałam już obok siebie autorytetu. Gdy żył, szanowałam jego głęboki katolicyzm, że nie toleruje rozwodów i innych damsko-męskich niegodnych ekscesów. Wraz ze śmiercią Floriana Leśniewskiego, mojego dziadzi, znikły wszystkie hamulce, jakie miałam do tej pory. Uleciały wraz z jego duszą? Nieważna była Ola, nieważny stał się mój dom, to, że Emil oprócz uczelni dostał etat w magistracie i zasiadał w radach nadzorczych kilku spółek Skarbu Państwa. Generalnie dobrze się urządził w okresie przemian, zaczynał (a z nim i ja) mieć perspektywy na lepsze i spokojniejsze życie. Uciekłam, po prostu, zostawiłam rodzinę, dziecko i uciekłam. Zostawiłam ich, by pojechać do Sebastiana, do Kostrzyna nad Odrą.

Poznaliśmy się na Międzynarodowych Targach

Poznańskich, Emil mnie tam umieścił. Poleciał swojemu koledze, natychmiast otrzymałam zlecenie jako hostessa na stoisku z odzieżą. Samo słowo „hostessa” było dla mnie niezwykle, podobnie jak spore pieniądze za zlecenie. A Sebastian? Miał w sobie to, co lubiałam u mężczyzn, a więc odwagę, jakiś niepokój i niewiadomą. Zawarł spore kontrakty. Jakim był przeciwieństwem skostniałego biznesowo urzędniczyny Emila! Ileż niespodzianek mogło nas razem czekać! W ciągu kilku targowych dni opowiedziałam mu całe swoje życie. Nikt nie wiedział, że nie dla mnie jest siedzenie w domu i niańczenie dzieci. Tylko on. Jakże mogłam tyle lat wieść tak mało światowe życie! Gnało mnie do świata, od zawsze. Wszystkiemu były winne mapy wiszące w kuchni mojego wiejskiego domu i dziadkowe opowieści.

Sebastian mnie znakomicie rozumiał.

Kostrzyn był wprawdzie niewielkim miasteczkiem, ale blisko niemieckiej granicy. Jadąc pociągiem, byłam podekscytowana. Spodziewałam się, że za tymi lasami, puszciami, bezdrożami nie ma już Polski takiej, jaką znałam od dzieciństwa. Jechałam do świata handlowego, wielkiego, nieznanego, nowego. Przygranicznego. Tylko przedrzeć się przez lasy, puszcze, knieje i dorzecza rzek. Szamotuły, Wronki, Drawski Młyn, Krzyż, Gorzów Wielkopolski, Kostrzyn – lasy i bezdroża. Sebastian tam działał, żył, za tymi lasami, bezdrożami, rzekami.

W Kostrzynie zastałam Polskę rozszwargotaną.

Mówiono głównie po niemiecku. Szybko się zadomowiłam w miasteczku, rzuciłam w młyn obowiązków, kapitalizm dźwigałam na swoich barkach. Prowadziłam sklep i minihurtownię. Sprzedawałam na rynku w Krajniku Dolnym ubrania z metkami, które się ledwo tych ubrań trzymały. Towar był podobno markowy. Sprzedawałam, zapewniając w stanowczy sposób klientów, i to nie tylko niemieckich, że cena nie zawiera marży. Wystarczył mały marketingowy chwyt, by zbyć każdy łąch.

To były szalone dni, dające nadzieję na równie ciekawą przyszłość. Wiem. Uciekając od rodziny z facetem, którego ledwie co znałam, nie postąpiłam szlachetnie. Miałam jednak przekonanie, że w tej budzie na rynku w Krajniku podjęłam się misji czynienia dobra. Potrafiłam doradzić, sprowadzić na zamówienie każdą zachciankę, co kto tam sobie życzył, miałam „dryg” handlowy. Okrzyknięto mnie „najlepszym handlowcem rynku Krajnik”. Całe dni tam spędzałam. Sebastian zaopatrywał kiosk w towar, jeździł na zakupy do Szczecina, Poznania i Gorzowa. Ze Szczecina zawsze przywoził dla mnie paszteciki w specjalnej torbie utrzymującej ciepło. W niedzielę też handlowaliśmy, żadnych polskiego towaru Niemców przywożono wtedy całymi autokarami. Bywało, że utarg dnia wystarczyłby na zakup niewielkiej kawalerki. Po pierwszym roku handlowania mogliśmy spać na workach z pieniędzmi. Sprzedawało się wszystko, do ostatniej sztuki. Pieniądze

rekompensowały każdy trud.

Wielki świat?

## ROZDZIAŁ 3

*A kto się w drodze drogą znużył  
I po horyzont nie gnał dalej,  
Ten nie był warty tej podróży  
I tak naprawdę nie żył wcale,*

Krzysztof Cezary Buszman Jesień 2008

Mimo rewelacji Bronka w mojej relacji z mężem nic się nie zmieniło. Nawet mu nie powiedziałam, że rozmawiałam z sąsiadem na temat jego rodziny. To były stare dzieje. Kosma na pewno nigdy by mnie nie zdradził. Nie chciałam roztrząsać z nim ponurych pomówień dotyczących naszych rodzin, choć naprawdę w związku z Kosem nie chciałam mieć żadnych tajemnic. Jednak przykrości też nie powinnam mu przysparzać.

Spojrzałam w niebo. Ewa tam jest, na pewno przysłuchiwała się rozmowie z Bronkiem. Może zaśmiała się sarkastycznie albo zakłęła lub pożałowała znajomości z Kosmą, potomkiem diabłów wcielonych. Też nie znała historii wsi. Szkoda, że wcześniej nie wyszłam do ludzi, nie rozmawiałam. Zamknęłam się w domu nie tylko przed indywiduami, co chciały mnie złupić. Na początku, by zaprzyjaźnić się ze starszymi mieszkańcami wsi, byłam za

młoda. Gdy wróciłam do Złotniczek kilka lat temu – zbyt bogata i pyszna. Ostatnio z kolei za biedna.

Wróciłam do domu, weszłam do części biurowej, pustej, że tylko echo dotrzymywało mi towarzystwa. Wraz z zapowiedzią zimy z firmy odeszli wszyscy pracownicy. Znow brakowało pieniędzy, wszystkie, jakie spływały, musiałam oddać Basi, która pożyczyła mi na ziemię. Do moich kieszeni dostały się węże, niechętnie dzieliłam się czymkolwiek z kimkolwiek. Miałam do zrealizowania niejeden cel. Po powrocie do domu nie omieszkałam telefonicznie przekazać Basi ponurych wieści. To, co miałam do powiedzenia, nie zrobiło na niej wrażenia. Powiedziała, że to, co mówi Bronek, nie jest pewne. Od małego chowany był pod kloszem, nawet do furtki miał przykazane się nie zbliżać, tylko ze starą Jaworską przesiadywali na tyłach domu. Nie mogliśmy go znać z dzieciństwa. Ludzie między sobą szeptali, że Jaworskiej odjęło rozum i syna chowa na głupka. Niektórzy mówili, że on wcale nie jest synem starego Jaworskiego, tylko dzieckiem poczętym w wyniku gwałtu. Dziwiono się, kiedy ten wychuchany dzikus zostawił matkę i po zawodowej szkole rolniczej, wbrew jej woli, wyjechał na Górny Śląsk do kopalni.

– Kto wie, jaki genetyczny materiał w sobie nosi. Gdy Jaworska zmarła, sprzedał ziemię, jedynie dom i obejście zostawił. Dopiero całkiem niedawno wrócił i na stałe zamieszkał w Złotniczkach – powiedziała kiedyś

Basia.

Na niebie pojawiły się gołębie. Patrzyłam, jak się zniżają, stają się rozpoznawalne, jak wlatują do gołębnika. Mój szary przyjaciel z kolorowym paskiem na brzuszku siadł na parapecie mojego okna, ale nie zastawszy za okienną szybą nikogo, zleciał na dół i znikł, jak i pozostałe ptaki w gołębniku.

Po południu zadzwoniła Gosia, córka Ewy. Nie miałam odwagi ani celu, by do nich zachodzić. Mało (poza współczuciem) łączyło mnie z jej dziećmi, tym bardziej z resztą rodziny. Ileż można mówić o śmierci i tragedii?! Zapytała mnie, co z rzeczy jej mamy chciałabym wziąć sobie na pamiątkę. Powiedziała, że do wyboru są ubrania, obuwie i książki. Nie znałam tego zwyczaju. Podziękowałam, nie wzięłam niczego wielkiego, tylko jedno wspólne nasze zdjęcie, jakiego nie znałam. Ubrane w kwieciste sukienki z bawełny, siedziałyśmy na stopniu przed Domem Złudzeń, obok nas stały rowery. Niewiele zostało rzeczy po Ewie, podobno większość rozeszła się we wsi. To świetnie, bo wiele ludzkich historii kończy się na wysypisku. *i* Po mojej mamie zostały kartony z guzikami, bo bardzo lubiła szyć. Wszystkie, czy to z masy perłowej, czy z metalu, z drewna i z plastiku, miały się przydać. Trzymałam je w tekturowych pudełkach, razem z wojskowymi oznaczeniami dziadka. Dołożyłam tamborek po babci i końcówki muliny. Ola, gdy była małeńka, lubiła



wysypać te skarby na podłogę i układać wieże, które się oczywiście rozpadały. Rodzinna pamiątka stała się zabawką.

Było jesienią, mgła za oknem, wilgoć, chłód. Ledwo rozpałam w kominku, kiedy usłyszałam, jak przed domem zatrzymało się auto. Wyjrzałam. To samochód Basi.

– Mamo, mamo, był u nas taki duży policjant i się o ciebie pytał. – Staś wpadł jak zawsze pierwszy, bardzo podekscytowany. Pytłował, jak to dzieciak. – Czy mnie bijesz, się pytał. Czy pijesz wódkę, też się pytał. Czy mam tatę? Mamo, wyobraź sobie! Składałem prawdziwe zeznania! Powiedziałem, że masz kolegę Wojtka w Szwecji w porno klubie. Weźmiesz z nim ślub, mamo? Ja chcę mieć zawsze jakiegoś tatę! – Staś klepał przejęty, a mnie serce boksowało po żebrach.

– Przestań! Skup się! Jaki policjant? Basiu!

– Rzeczywiście, źle się dzieje w państwie, skoro o rodziców wypytuje się tak małe dzieci! Powiedziałam temu palantowi, że go psami poszczuję, że zawiadomię prokuraturę. Bo deprawuje dziecko. Wyobraź sobie, usłyszałam wtedy, że to nie on opowiada chłopcu o porno klubach! – Basia była zdenerwowana.

– Widzisz? Mówiłam, że na dzieciaka trzeba uważać, bo wszystko wypapla. Co ten policjant chciał?

– Zbierał informacje na temat okoliczności pobicia

Grażyny. Chyba wszystkich w okolicy przepytywał.

– Tak? A wiesz? Sięgnęłam do akademickich skryptów, by przeczytać, czy dobrze pojęłam tę całą księgowość. Muszę sprawdzić po niej zapisy, przecież prowadziła też kasę. Coś mi się w tej laluni od samego początku nie podobało. Wydaje mi się, że teraz pracuje u takiego kutasiny z Biskupic, sympatyzującego z Bednarzami.

– Igo! Nie przesadzaj. Zostaw to, żyj przyszłością. Nie grzeb się w jakichś zapisach. Wykryjesz coś i tylko kłopotu sobie narobisz. Chcesz się w nieskończoność po sądach włóczyć? Poza tym w okolicy jest naprawdę niewiele miejsc pracy. Co złe to Bednarze? Nie zapominaj, że weszłaś do tej rodziny i mogłabyś być ponad wszystko co złe i wreszcie przełamać stare animozje.

– Ja swoje wiem.

Rzeczywiście, swoje wiedziałam. Nie uderzyłam Grażyny, nie dotknęłam, nie popchnęłam. Po prostu nie. Wszystko wymyśliła, sfingowała. Dlaczego to zrobiła i po co? Od czasu przetargu na ziemię życie wreszcie zaczynało mi się układać, a tymczasem kolejna sprawa znów niosła ze sobą sporo nerwów. Poza tym to już nie był problem typu „mieć lub nie mieć”, tym razem chodziło o coś więcej. Przestępstwo pobicia z uszczerbkiem na zdrowiu wymagającym leczenia przez więcej niż siedem dni zagrożone było karą więzienia.

Wizja, że mnie, niewinną (!), mogą zamknąć do paki, wisiała nad moją głową jak miecz Damoklesa. Kurczewski nawet najkrótszym słówkiem nie napomknął, że wierzy w moją niewinność, czego nadaremnie oczekiwałam. Oczywiście gdybał, że przy mojej dotychczasowej niekaralności wyrok będzie raczej w zawieszeniu, ale na tym koniec. Halo. Coś tu nie gra! Wynajęty, polecany tu i ówdzie, a w mojej sprawie pasywny. Po amerykańskich filmach o entuzjastycznych, skutecznych, bardzo często za darmo walczących o sprawiedliwość prawnikach, zastanawiałam się, gdzie ja jestem.

W jakimś śnie?

## 1993

Emil „zaaresztował” Olę zaraz po moim wyjeździe do Kostrzyna i przeniósł dom do Warszawy, gdzie otrzymał ciepłą posadę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Mało mnie to obeszło. Jego chyba też, nawet niespecjalnie się starał, żebym do niego wróciła, ułatwiając mi tym rozstanie. To, co wspólnie stworzyliśmy, nie miało dla mnie większego znaczenia, tak jakby opadła kurtyna. Wierność i miłość małżeńska? To były frazesy. Nie znosiłam pustych słów. Nigdy. Czułam wolność, jak my wszyscy w tamtych latach. Z Basią uzgodniłam, że nie

interesuje mnie spadek po dziadku. Nie chciałam ziemi, bo cóż mi ona miała dać? Pęcherze na palcach? Po co mi dom, w którym za grubą ścianą jest stajnia i owczarnia? Wprawdzie ta druga od lat pusta. Wirowało mi w głowie od możliwości, jakie oferował świat. Wreszcie można było kupić różne cudeńka, wyjechać poza nasze, jeszcze niedawno szczelne, granice.

Sebastian i ja. Przeznaczaliśmy olbrzymie kwoty na atrakcje. W pierwszym roku zaliczone były Włochy: od Neapolu, poprzez Capri, Pompeje, Rzym, aż po Wenecję. Stać nas było na kilkugodzinne przejażdżki gondolą. Byliśmy też dwa tygodnie w Holandii, a wczesną jesienią w Paryżu. Wystarczyło czasu, chęci i pieniędzy, by stamtąd nie wracać do domu, polecieć do Barcelony i na La Rambla wydać utargi z miesiąca handlowania. Paradowałam wtedy jak każda kobieta prowadząca biznes z wielką komórką Centertela w ręce, dorobiliśmy się volkswagena kombi, zmieniliśmy mieszkanie w wielkiej płycie na szeregowiec.

Często wspominałam Olę, a w szeregowcu w nadgranicznym Kostrzynie czekał na nią niewielki pokoik i kilkanaście pluszowych zabawek. Gryzły mnie wyrzuty sumienia. Byłam pęknięta na pół. Co tak naprawdę w życiu chciałam osiągnąć? Tęskniłam za moją małą córeczką, ale jednak nic nie zrobiłam, by nawiązać z nią kontakt. Postawiłam na nieskomplikowane życie z Sebastianem. Przestałam nazywać się Zaręba, mimo że

na rozprawie rozwodowej, oschły, wydawałoby się, Emil płakał równie głośno jak małeńka Ola. Wtedy dotarło do mnie, że być może nie chciał tego rozwodu.

W dobrobycie minęło mi kilka lat, niestety, zaczynał się czas marketów, a i wzrastające ceny wypłoszyły z rynku Niemców. Nieuchronnie nadchodził zmierzch handlu straganowego, przygranicznego. U targowane pieniądze wystarczały nam wprawdzie na życie, ale na tym koniec. Romans też zmienił kolorystykę, z różu na ostry fiolet z domieszką grafitu.

Gdy uderzył mnie pierwszy raz, następnego dnia po przeprosinach zapomniałam o bólu, choć nocą stałam nad łóżkiem chama, tocząc pojedynek z myślami o odwecie. Siniaki leczyłam trzy tygodnie, ciągle przywodząc na myśl tamten wieczór. „Sprowokowałaś mnie, nigdy do mnie nie pyskuj” – przyznawałam mu rację, ale nauki z dzieciństwa kazały mi w uległości nie iść zbyt daleko. W razie czego zrobiłam lekarską obdukcję.

Drugi raz, rok później, złamał mi rękę. To było o jeden raz za dużo. Po pracy spakowałam się, a Sebastian płakał i przez łzy znów pouczał, jaka mam być, by kochał mnie jak kiedyś.

Uciekłam. Zrobiłam to kolejny raz, znów zostawiając wszystko za sobą, włącznie z mieszkaniem w szeregowcu, samochodem i pieniędzmi. W portfelu miałam tylko niewielki utarg z ostatniego dnia pracy na rynku w przygranicznym Krajniku Dolnym.

Czy warto mi było lata temu rzucać wszystko? Stabilizację, przyzwoitą rodzinę, maleńką córeczkę? Nie wiem. Było i nie ma. Oszustwo. Pomyłka. Błąd. Wszystko razem. Czasem można się pomylić, szkoda jednak, że nie zawsze da się odwrócić skutki błędu. Wtedy przestałam szanować dwie wcześniej ważne dla mnie wartości. Miłość i pieniądze. Złudzenia to sprawiły? Może.

## **Zima 2008**

Przyszedł czas podróży do Beaumont. Na chwilę. Dawno temu miałam to uczynić, ale jakoś zeszło. Ciągłe nie kupiliśmy nieruchomości w Teksasie, co mnie, działającą szybko, zaczynało denerwować. By posiadanie amerykańskiego domu stało się faktem, wiedziałam, że powinnam polecieć do Teksasu i razem z Kosem coś wreszcie nabyć. Poza tym chciałam oddalić się od zmartwień, od tematu Grażyny, od policji. I tak dalej.

Szukając lotów do Houston, natknęłam się na promocję i po prostu kupiłam bilet. W jedną stronę, ale bez żadnego podtekstu. Nie miałam pojęcia, ile czasu mi zajmą interesy. Zostały tylko dwa dni na przygotowanie się do podróży. Owszem, wyjazd do Beaumont był formą ucieczki przed kłopotami, ale nie tylko o to przecież szło. Nieraz kombinowałam, jak urządzimy nasz amerykański dom. Szukałam w necie farb, mieszałam kolory,

oglądałam meble, przymierzałam, ba, nawet o moskitierach na okna nie zapomniałam. Kosma co rusz podsyłał zdjęcia, które działały na moją wyobraźnię i o dziwo, tonowały lęki, które w sobie nosiłam. Nie bałam się Ameryki, miałam pewność, że to jest dla mnie na ten czas, najwłaściwsze miejsce. Jednak emocje związane z wyjazdem na tyle nie dawały mi spokoju, że znów włączyłam znienawidzoną już płytkę terapeutyczną. *Położ się wygodnie. Poczuj, jak wszystkie złe myśli zaczynają odpływać. Rozchyl usta, uśmiechnij się, poczuj, że twoje wargi się rozluźniają, dotknij ich.*

Nie dotknęłam warg. Ale uspokoiłam się. W łóżku zastanawiałam się, jak poukładać sprawy na czas nieobecności. I, co najważniejsze, jak nie tęsknić za Stasiem?

\* \* \*

Dwa dni później na lotnisku Ławica wsiadłam do samolotu do Monachium, skąd miałam lot do Houston. Siedząc w samolocie, otwierałam nowy rozdział swojego życia. Za kilka godzin miałam wylądować na amerykańskim kontynencie, bez psychozy z Polski, daleko od wszystkiego, co mnie przerastało i przerażało. „Kosma ucieszy się, że przyleciałam, znów spędzimy ze sobą fantastyczny czas. Moja sytuacja materialna

i formalna na amerykańskim kontynencie jest ustabilizowana. Za swoje pieniądze mogę kupić wcale niemały dom, a i dom Kosa w części ma należeć do mnie. Będziemy sobie bliscy, wreszcie zbudujemy rodzinę" – myślałam. Otwierały się przed nami nowe perspektywy, w związku z czym snułam plany. Owe plany miały na razie wyłącznie finansowy wymiar. Ale, skoro w Polsce przez ostatni rok toczyłam walkę o każdą złotówkę, zaszczuta, oskarżana, perspektywa ucieczki tak daleko dawała mi nadzieję nie tylko na awans finansowy. Na tak optymistycznych myślach upłynęła mi podróż. Kostna czekał na mnie na lotnisku w Houston, bardzo się ucieszył, pewnie do końca nie wierzył, że przylecę.

Nasz dom w Beaumont, w którym mieliśmy z Kosem zamieszkać, był wprawdzie niezbyt stary, bo liczył sobie ze trzydzieści lat, ale skojarzył mi się z domami z serialu „Północ-Południe”. Zaraz to spostrzeżenie przekazałam Kosowi. Śmiał się. Powiedział wtedy, że moje wyobrażenie jest błędne i gdy tam zamieszkam, dopiero wtedy zobaczę, jak różna od obrazu wykreowanego na potrzeby tego serialu sprzed dwudziestu lat jest obecna amerykańska rzeczywistość.

W Beaumont podobało mi się wszystko. Już pierwszej nocy spałam jak kamień, byłam wreszcie szczęśliwa. Nie było między nami wielkich uniesień miłosnych, ale jakieś akty, owszem. Generalnie noce mijały na długich rozmowach, no i igraszkach. Trochę



spaliśmy. Dni zaś upływały na oglądaniu okolicy i na wycieczkach w poszukiwaniu domów po niewypłacalnych dłużnikach, które za bezcen wyprzedawały banki. Codziennie telefonowałam do Stasia, opowiadając, co widzę i co czuję. Pytał mnie o mustangi, o prerie, o sawanny, ale także o to, jak wyglądają amerykańskie pieniądze.

Poprosił, abym mu przywiozła sto dolarów. Obiecałam oczywiście sto, a nawet dwieście. Zapytał, jak się miewam. Powiedziałam wtedy, że jego mamunia w Beaumont odpoczywa od kłopotów. Już po kilku dniach czułam się tam jak u siebie w domu, nie chciało mi się myśleć, że będę musiała wrócić do Polski. Gdyby tylko wszystkich bliskich przeprowadzić do Beaumont! Byłam energiczna i rozpierała mnie radość. I było jeszcze coś. Przez ostatnie lata mogłam tylko o tym marzyć: nabrałam pewności, że związek z Kosem będzie idealny i wreszcie osiągnę spokój.

\* \* \*

W tym wakacyjnym, idyllicznym nastroju upłynęły mi dwa tygodnie. Sporo zwiedziłam, zobaczyłam, popróbowałam. Było mi dobrze. Zakup domu odłożyłam na następny raz. Kosma przekonał mnie, prorokując, że za miesiąc, dwa ceny nieruchomości spadną jeszcze bardziej.

Już miałam wracać do Polski, kiedy zadzwonił pośrednik, że ma dla nas dom, który na pewno nam się spodoba. Denerwowały mnie entuzjastyczne tony głosu pośredników. Każdy dom był najładniejszy, najtańszy, najlepiej położony i zawsze miał być okazją. Gdyby to była prawda, już bylibyśmy po sfinalizowaniu transakcji. Niestety, naoglądałam się sporo przeważnie zrujnowanych (z wyglądu) wagonów, szopek i szop z drewna. Nic dla nas. Bez entuzjazmu jechaliśmy na miejsce.

Tym razem rzeczywiście to było to! Też w Beaumont, ale bliżej centrum. Pokażny dom miał parter i piętro, i był mniej „domowy”, a przez to uniwersalny, dobry na wynajem dla instytucji, które były bardziej wypłacalne niż prywatne osoby. Oczywiście, wymagał remontu. Moja decyzja była szybka: kupujemy.

Kosma próbował mnie odwieść, tak że pierwszy raz zaliczyliśmy małżeńską kłótnię. Argumentował, że dom jest zbyt duży, by wynająć go na cele mieszkaniowe. Czyli że pozbawiamy się alternatywy.

Postawiłam sprawę na ostrzu noża. Ostatnie dwa lata pracowałam sama, podejmowałam najtrudniejsze decyzje, nie konsultując ich z nikim. To wystarczyło. Kosmie mój despotyzm się oczywiście nie spodobał, ale to nic, wiedziałam, skąd mam wziąć pieniądze. Już więcej tego dnia o zakupie domu nie rozmawialiśmy.

Kolejnego dnia rano, korzystając, że Kos wyjechał poza Beaumont, udałam się do banku. Dom był naprawdę

okazją. Czułam to swoim biznesowym nosem.

Będąc w Stanach, kupiłam na wyprzedaży kilka kolorowych łąszków, krótkie letnie suknie we wzory były tam jak najbardziej na czasie. Lato w Beaumont nie szykowało się do odejścia. Słońce prażyło jak u nas w lipcu, wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, widać było wypaloną przez słońce trawę. Tymczasem w Polsce zacinały deszcze, co potwierdzało, jak dobrą decyzję podjęłam, przylatując do Teksasu właśnie o tej porze. Kupiłam na wyprzedaży oczywiście też sukienki cieplejsze, z dzianiny, bardzo kolorowe. Amerykańskie wzornictwo było mniej powściągliwe od naszego. Szykując się do pójścia do banku, założyłam jedną z nowych sukienek i zieloną skórzaną marynarkę z Polski. Rozpuściłam włosy, które błyszczały i ułożyły się kaskadą wokół mojej twarzy. To sprawka szamponów, najpewniej.

Tak. Chciało mi się stroić, znów miałam ochotę ładnie wyglądać.

Gdy w banku podałam paszport, miła urzędniczka o ciemnej karnacji wprowadziła dane do komputera, a ja w tym czasie rozglądałam się po niewielkiej sali, która niczym się nie wyróżniała. Po prostu była podobna do sal operacyjnych w naszych bankach.

– Ile? – Urzędniczka zbulgotała z amerykańskim akcentem.

– Osiemdziesiąt tysięcy dolarów na jutro –

odpowiedziałam powoli, starając się być dobrze zrozumiana. – Żeby nie było niedomówień: osiemdziesiąt, a nie osiemnaście.

– Ty nie masz na koncie osiemdziesięciu tysięcy dolarów! – Spojrzała na mnie z wyrzutem.

– Jasna cholera! Pokaż mi zapisy na moim koncie, proszę! – poprosiłam po polsku. Urzędniczka odwróciła ekran w moją stronę. Tak, to był mój numer konta! Przełałam na nie prawie wszystkie pieniądze ze sprzedaży domu. Tych pieniędzy nie było! Konto zostało wyczyszczone tydzień po tym, jak wpłynęły. Patrzyłam jak zeszywniała marionetka na swój zeskanowany podpis na dyspozycji przelewu!

Chryste! Jak ja miałam ufać ludziom? To był kryminał! Ciągłe słyszałam, że niepotrzebnie jestem nieufna! Zarzucali mi, że się wycofuję, że nie wychodzę do ludzi, że niesłusznie się ich boję. A jaka miałam być, jeśli ciągle spotykały mnie mega krachy, choć mniejsze od tego, jaki właśnie zaliczałam?! Nigdy w życiu nikt mi nic nie ukradł. Nikt wcześniej nie użył mnie dla własnej korzyści, posługując się intrygą. Dopiero teraz. Nie wiem, jak dotarłam do domu, który dzieliłam ze złodziejem. Kilka godzin siedziałam w fotelu twarzą do ściany, bez ruchu. Czekałam, a w moim sercu od temperatury przypalały się emocje. Trwał pożar mojej duszy. Kos wszedł do domu w dobrym humorze, nieświadom niczego.

– Ożeniłeś się ze mną dla pieniędzy! Twoim celem było mnie okraść!

Byłam jędzą z niewyparzoną gębą, wolno mi było. Natychmiast zbladł.

– Co masz na myśli? – zapytał w sposób, jakiego nie cierpiałam u kogokolwiek. Cóż można mieć w takiej chwili na myśli? Złodziejom powinni łapy ciąć jak zboże!

– Jeśli natychmiast pieniądze nie wrócą na moje konto, zawiadomię policję.

Postawiłam ultimatum w sposób kategoryczny, choć, przyznaję, bałam się o wszystko, włącznie ze swoim życiem. Kosmę znałam, owszem, ale to było kiedyś, jeśli nie liczyć kilku naszych spotkań w ciągu ostatniego roku, plus kilkunastu rozmów telefonicznych, podczas których dyskutowaliśmy przeważnie o tym samym. O kupnie domu. Muszę się przyznać, zgubiła mnie chciwość. Wystarczyła mi informacja, że amerykańskie nieruchomości potaniały, nic się nie liczyło. Gościa powinnam najpierw sprawdzić, a dopiero potem wchodzić z nim w związek. Albo i nie. Od lat mieszkał i musiał sobie radzić w Stanach, a z tego, co mi było wiadomo, nieraz bywało mu nielekkko. Jak na kilkadziesiąt lat życia w dolarowej strefie nie był krezusem. Szybko się okazało, że jestem od niego bardziej majątna, a przecież to on mi zaoferował pomoc. Bywało, że tygodniami nie miał żadnych przychodów, na pewno mu było ciężko wykrobać pieniądze na ratę dla banku za dom. Poza tym,

umówmy się, działalność w podziemiu w latach osiemdziesiątych też w jakimś sensie musiała nauczyć go cynizmu. No i polska rodzinka, nie do pozazdroszczenia. Geny sprzedawczyka.

Puzzle się ułożyły. Trochę późno zdałam sobie sprawę, że fakty powinnam była ustalić znacznie wcześniej.

Kosma łaził po pokoju, człapał tam i z powrotem i sapał. Najchętniej grzmotnęłabym go w łeb, jak kiedyś Leszka. Albo jak jego w dzieciństwie, tym razem niekoniecznie wapnem. Ale się bałam. Siedziałam, gdy zatrzymał się przede mną. W zasadzie mógł mi zrobić wszystko. Ciarki mi przeszły po plecach. Gdy się odwrócił, natychmiast się poderwałam, wstałam i podeszłam do okna. Było szeroko otwarte, co mnie uspokoiło.

– Igo! Jeśli uważasz, że nadal będziesz mnie obrażać bez podania przyczyny, to jesteś w błędzie. Odpowiedz w końcu, co masz na myśli!

– Pieniądze mają się natychmiast znaleźć na moim koncie – powtórzyłam to drugi raz. Przez ostatnie lata zdążyłam się nauczyć, że potok słów gubi sens zdania.

Kosma był wściekły. Wyjął z teczki laptop i logował się do banku, trochę czasu to trwało. Pomyślałam, że koleś odwała niezłą teatralną sztukę. Najpierw jakby zbladł, potem spojrzał na mnie. I nic nie mówiąc, wybiegł

z domu. Takiego scenariusza na pewno się nie spodziewałam. Najłatwiej byłoby mi uwierzyć, że jest niewinny, że to wszystko, czego byłam uczestnikiem, to tylko zbieg pomyłek. Tylko gdzie były moje pieniądze?

Musiałam czekać, nic mi nie przychodziło do głowy. Mogłam od razu pójść na policję, miałam taki pomysł jeszcze w banku. Ale przecież nauczyłam się, że trzeba się dogadywać, nawet ze złodziejami.

Po godzinie wrócił. W rozchełstanej przepoconej koszuli, złachany, postarzały, wyglądał gorzej niż marnotrawny pies podwórzowy.

– Igo. Pomóż mi. Nie wiem, co zrobić. – Usiadł naprzeciwko mnie.

Poczułam zapach jego potu, co nie było przyjemne.

– Proste. Wpłać pieniądze na konto. Wyjadę, uznam małżeństwo za pomyłkę i od tej pory będziemy pilnować, by na siebie przez przypadek nie wpaść.

– Nie możesz mi tego zrobić. Kocham cię i to dla ciebie rozbiłem rodzinę.

– Wyciągasz emocjonalne armaty. Po co? Ktoś mi buchnął kasę i ja mam za to przeproszać?

– Nie ja podrobiłem podpis i nie ja użyłem twoich pieniędzy.

– Nie ty. To, kuźwa, kto?

Nalałam sobie kawy z ekspresu.

– Jane ma na dniach dostać kredyt, odda.

– Jane? Twoja córka? Ta, co pracuje w banku, który mi poleciłeś, czy dobrze rozumiem? Ona, pracownica banku, podrobiła podpis na przelewie z konta klienta? Z paki nie wyjdzie, smarkula.

– Błagam, poczekaj parę dni, odda ci wszystko co do grosza. Nie niszczy jej życia.

– Co do grosza. Ja jej niszczyć życie? Jeszcze dzisiaj rano byłam pełna wiary, że tutaj w Beaumont może wreszcie będę szczęśliwa. Pękła ta bańka mydlana.

Kosma milczał.

– Dobrze. Umówmy się, że daję wam dwa tygodnie, by pieniądze wróciły na moje konto. Potem wynajmę najlepszych amerykańskich adwokatów, by wszyscy w twojej rodzinie, włącznie ze złotnickimi donosicielami, wiedzieli raz na zawsze, że wara od moich pieniędzy. Wierz mi, nie składam doniesienia na policji tylko przez wzgląd na naszą wspólną przeszłość.

– Co będzie z nami? – Z Kośmy uszło życie.

– Z nami? To koniec – powiedziałam krótko i wzruszyłam ramionami.

– Nawet kat nie zawsze bywał na tyle sprawny, by za pierwszym razem odciąć skazanemu głowę. Nie możesz z powodu pieniędzy rozwalić wszystkiego, co nas łączy!

Kosma zaczął płakać. Żaden mężczyzna przy mnie



nigdy nie płakał. No, dawno temu Emil, podczas rozwodu. Przy czym jemu chodziło o Olę. Kosma szlochał na głos. Nie uwierzyłam w żadną jego łzę. Po dwóch godzinach siedziałam już w samolocie. Przesiadałam się cztery razy, tak skomplikowane połączenie jako jedyne było możliwe. Dobrze. Chciałam być najdalej zarówno od Beaumont, jak i od Złotniczek.

Bywają takie momenty w życiu, że chce się być ptakiem. Ja nim byłam.

Dobę wisiałam w powietrzu, zaaresztowałam siebie samą w obawie przed sobą samą również. Paradoksalnie tam, ponad chmurami, poczułam, że znów jestem wolna, silna i że odpadł kolejny koleś, który grodził mi drogę do uczuciowej stabilizacji. Przeżyłam coś na kształt oczyszczenia. Że teraz, że już, że na zawsze. Kolejny raz się rozczarowałam, ale to było na pewno po raz ostatni.

W życiu plotą się różne wątki, niektórych po prostu nie można ciągnąć. Niektórych nie powinno się nigdy tworzyć. Wątek z Kosmą był już historią. Tylko musiałam odzyskać pieniądze.

Pod koniec podróży, już będąc nad Polską, miałam wszystko poukładane w głowie. Twarde życie daje przyzwolenie na równie twarde postępowanie, na odrzucenie wszystkiego co fałszywe. Nawet jeden mały krok do przodu jest podróżą, zaś ruch wstecz – powrotem.

Z Beaumont wracałam porozdzierana, oczywiście

smutna do potęgi, ale stanu tego nie mogłam przecież zawieźć do Złotniczek. A raczej nie chciałam obarczyć nim znów Stasia, którego jeszcze kilka dni temu przygotowywałam na przeprowadzkę do Beaumont i na dobrobyt. Roztaczałam przed nim wizję przejścia do świata szczęśliwości, bez sławetnego i symbolicznego już dna, którego tak nie znosił. „Kiedy wreszcie z tego wyjdziemy?”, „Nienawidzę naszego położenia!”, „Nie chcę, byś jeździła tą gangreną!”. Sprawić, by dziecko miało perspektywę, by wiedziało, że w życiu naprawdę może być inaczej, lepiej, to było dla mnie ważne.

Chciałam mu udowodnić, że w życiu mogą być znaczne lepsze perspektywy.

Mój niespodziewany powrót z Beaumont wywołał w Nadroźnie poruszenie. Kiepsko maskowałam swój nastrój, nic oczywiście nikomu nie opowiedziałam. Wzięłam Stasia, torbę z jego ubrankami i od razu pojechaliśmy do domu. Szukał w mojej torbie prezentów, coś znalazł, ale dopominał się zamówionych stu dolarów. Póki co przyjął za prawdę moje kłamstwo, że samolotem nie można przewozić banknotów. Ale nie zrezygnował z pieniędzy, upierając się, żebym następnego dnia, natychmiast po odstawieniu go do przedszkola, wypłaciła z konta i dała mu sto dolarów do ręki. Mały komornik. W ogóle Staś nie był zbyt wylewny, patrzył na mnie spod oka i w ogóle, więc przytaknęłam, by mieć spokój od roszczeń nieletniego finansowego molestanta, że owszem,

tak zrobimy.

– Chcę tę stówę zabezpieczyć w skrytce na czarną godzinę! – oznajmił, rad po usłyszeniu obietnicy.

Musiałam go oszczędzić. Za dużo widział, zbyt wiele słyszał.

Basia oczywiście знаła mnie zbyt dobrze, by zostawić samą sobie. Pod wieczór przyjechała do nas z blachą ciepłego placka z brzoskwiniami i wiśniami, za którego mogłabym wypaplać wszystko, zresztą komuś i tak musiałam...

– Nie dzisiaj – powiedziałam, a Basia to uszanowała i nie drażyła. Wróciła do Nadrożna. Stasia okłamałam, że opowiem mu o Beaumont, gdy przetworzę zdjęcia.

– Chcę mieć wreszcie przyszywanego ojca! – Obraził się i zamknął w swoim pokoju. Po chwili usłyszałam, jak bębni. Ileż emocji nagromadziło się w tym małym ślicznym chłopczyku! Wzięłam drugi bębenek i dołączyłam do niego. Oboje zaczęliśmy walić w bębny, bez słowa, wchodząc w ten sam rytm, który był krzykiem.

Nigdy więcej, nigdy więcej, nigdy więcej! Czego? Każdy z nas miał inne marzenia.

Wieczorem zamknęłam się w pokoju i zaczęłam czyścić skrzynkę mailową ze zbędnej korespondencji i nieważnych wiadomości, które wpłynęły w niesamowitej ilości podczas mojej nieobecności w Polsce. Kosma nie pisał, tego się spodziewałam. Jeśli ma zamiar dopilnować,

by Jane oddała mi wszystko co do centa – zadzwoni. Jeśli nie ma takiego zamiaru – nie skontaktuje się ze mną nigdy. Czułam się frajerką, bo Jane już dawno mogła się przenieść w dowolne miejsce na świecie, zmienić tożsamość i żyć sobie za moje pieniądze z rok czy dwa, ale luksusowo. Zabijałam w sobie poranioną ambicję. Zabijałam w swoim sercu przyjaźń, nadzieję, że mogło być dobrze. Czy tym razem uda mi się emocjonalnie wykaraskać?

Byłam ranna i znów bez grosza. Przed wyjazdem do Beaumont emanowałam optymizmem, nawet mówiłam o tym na głos. Tak. Do szczęścia przyznają się tylko durnie!

– Mamo, dziadek Rysiu nauczył mnie wierszyka. – Wystraszyłam się, widząc za drzwiami synka w piżamce.

– Dlaczego nie śpisz?

– Mam niesenność.

– To chodź do mnie. Razem wystraszymy bezsenność.

Staś siadł mi na kolanach, objął rączkami szyję i cichutko zaczął deklamować wierszyk. Któż by tych wersów nie znał? W mojej białej szkole się go nauczyłam. Zrobiło się nostalgicznie. Zamknęłam oczy, słuchając seplenienia Stasia:

*Jadą, jadą dzieci drogą, siostrzyczka i brat,*

*i nadziwić się nie mogą, jaki piękny świat,  
tu się kryje biała chatka pod słomiany dach,  
przy niej wierzba rosochata, a w konopiach strach.  
Od łąk mokrych bociek leci, żabkę w dziobie ma,  
Bociek, bociek – krzyczą dzieci, a on kła, kła, kła.*

(Jadą, jadą dzieci drogą" – Maria Konopnicka)

– Boćki są generalnie fajne – pochwaliłam Stasia, powracając natychmiast do myśli o sobie. Wierzba rosochata. Na „polu pojaśniałym od piorunów”, niedaleko wierzby, która rosła tam od lat, kilka p miesięcy temu Kosma obiecał mi, że polecimy na Hawaje i zjemy razem homara. Nie zjemy. Znów poczułam okrutny żal.

Komu jeszcze powinnam podziękować za każdą moją łzę?

\* \* \*

Nieszczęścia maszerują stadami. Dwa dni później Basia z nietęgą miną przyniosła list adresowany do mnie. Brakowało tylko purpurowej poduszki, tak uroczyście to uczyniła. Prosiłam, by nie odbierali dla mnie poczty! Grochem o ścianę. Niestety, zauważyła moje

niezaścielone łóżko i zmiętą pościel. Było po dwunastej. Kilkanaście godzin temu długo zanurzałam się w głąb nocy. Nie wiem, czy widziałam jeszcze na zegarze godzinę drugą. Miałam pomroczność. Usnęłam dopiero po szklance czystej wódki, po której jeszcze nie doszłam do siebie.

Spojrzałam na kopertę. No, niestety. Prokuratura miała do mnie biznes. Widać, moje zeznania na policji nie zabrzmiały wiarygodnie, nie było mi do śmiechu, bynajmniej. Samo słowo „prokuratura” ścinało mnie z nóg, a nerwowość Basi jeszcze bardziej pogłębiła moją. Choć nawykłam do kłopotów i nie robiłam uników, co więcej, zawsze starałam się zmierzyć z problemem, jednak każdy kolejny cios kroił mi serce.

– Przecież wszystko już powiedziałam na policji – mruczałam raczej do siebie.

– Igo. Wprawdzie już dawno nie widziałam dziewczuchy, ale ktoś mówił, że nadal żyje z Piątkiem. Ona młoda, on stary, bardzo dziwna para, nie sądzisz? Dziad ma naprawdę złą reputację, z tego, co mi mówiono, kiedyś gorzałę pędził i sprzedawał, jego dom był regularną meliną, znaną w całej okolicy. Teraz parkiety szlifuje i niech mu tam. Coś mi jednak w tym wszystkim nie pasuje, przecież ona ma skończone studia!

– I cóż takiego, że jest po studiach, jeśli nie ma zasad i kłamie? Wszystko mi się wali. Usiądź, muszę ci coś powiedzieć.

Zapaliłam papierosa.

– Muszę ci wyznać, dlaczego wcześniej wróciłam z Teksasu. Przygotuj się na wrażenia, bo ja do dzisiaj nie mogę przyjść do siebie. Nie wiem, na ile śledzisz moje finansowe poczynania. Jakiś czas temu założyłam w Stanach konto, za namową Kośmy, rzecz jasna. No i przelałam tam pieniądze na nasz dom czy domy. I dupa.

Basia słuchała mojego opowiadania, nic nie mówiąc.

Gdy doszłam do momentu, jak Kosma płakał, również mi zebrało się na łzy. Stawiając ultimatum, spodziewałam się, że pieniądze natychmiast wrócą do mnie albo dziewczucha zadzwoni do mnie, przeprosi lub przynajmniej wytłumaczy. Tymczasem panowała cisza. Nic. Powinnam była zostać w Beaumont, walczyć o swoje, a nie unosić się ambicją, czy co to było... bo sama nie wiem.

– No nie wiem. Może przemysł wszystko w innym kontekście. Wyobraź sobie, jak ty byś się zachowała, gdyby Ola miała nóż na gardle. Odwróćmy sytuację. Gdyby wykorzystła pieniądze Kosmy w tajemnicy przed tobą i bez jego zgody, ale z zamiarem oddania. Co rodzic może w takiej sytuacji zrobić? Oddać ze swoich, jak je ma. Wziąć pożyczkę, jeśli nie ma, ale i tak musi mieć zdolność kredytową. Dla rodziców najważniejsze są dzieci, dopiero potem reszta. Nie możesz karać Kośmy za błędy jego dzieci. Nie tylko on je wychowywał, znasz jego żonę? Z jakichś powodów skorzystał, że pojawiłaś

się w jego życiu, i ją zostawił.

– Wszystko jest źle. Gdybym usprawiedliwiała ludzi, nie miałabym dzisiaj nic. Przypomnij sobie, jak było kilka lat wstecz. Każdy, kto przyszedł do Leszka po pomoc, wyszedł zadowolony. I co? Ano jakoś żyją, Leszek zaś w gospodarczym podziemiu nie radzi sobie wcale i klepie biedę. Owszem, zastanowię się, ale najpierw pieniądze mają wrócić na moje konto.

– I jeszcze jedno. Odpowiedz sobie na pytanie, czy pożyczylabyś pieniądze córce Kośmy, gdyby cię o to poprosiła.

– Żartujesz. Pieniądze miały inne przeznaczenie! – Ja, gdybym miała dzieci, a one finansowe kłopoty, byłabym zdolna do największych przekrętów.

– Geny, scheda. Czy chcesz, czy nie, dziedziczysz po przodkach nie tylko fizyczne dobra, majątki, ale też charakter i generalnie wszystko co złe i dobre. Przypomnijmy, że to dziadek Kośmy zadenuncjował mojego dziadka i na długie lata odebrał mu wolność. Za co? Dlaczego?

– Zostaw przeszłość w spokoju, nic nie jest udowodnione, ktoś ci nagadał, a ty się teraz uczepiłaś tej myśli. Dlaczego wcześniej nie interesowała cię przeszłość jego rodziny? Oszukał, nie oszukał. Ty jego też, Igo, nieraz oszukałaś, pomyśl dobrze. Musisz być sprawiedliwa.



– Nieprawda. Nie okłamałam go ani też nie rozczarowałam.

– Skupmy się tylko na ostatnim roku, oszukałaś go nieraz. Zacznę wymieniać. Czy Kosma jest świadomy, że łykasz psychotropy? Czy wie, że ostatnio nie zawsze nocowałaś w domu? Czy powiedziałaś mu, że zostawiłaś męża i maleńkie dziecko, by wrócić dopiero po latach?

Nie, tego nie wiedział, ale terapia nie jest przecież przestępstwem! Nocowałam poza domem, gdy nie byliśmy małżeństwem. Ale Ola...? Zamyśliłam się.

– Pojawił się w moim życiu nie w porę, tak naprawdę. Nie wiedziałam, czy go kocham, ale, do diabła, był mi bliski i chciałam coś razem z nim stworzyć, daleko stąd. W Polsce zbyt wiele mnie obciąża. – To była już inna jakość moich myśli. – Potrzebuję mężczyzny, dla którego jestem w porę. Beznadzieja. Wychodzi, że jeśli masz kłopoty, nie licz na mężczyzn, jeśli on ma kłopoty, też na niego nie licz. Nie chce być inaczej.

– Lepiej, gdybyście dwadzieścia lat temu zaczęli wspólne życie, obyłoby się bez obciążeń i pieniędzy, które zawsze dzielą.

Znów przyznałam Basi rację. Chciałabym już mieć wreszcie spokój, byłam zmęczona życiem. Najbardziej potrzebna mi była harmonia. Ludzie walczą o dużo większe pieniądze i tracą dużo większe majątki. Przecież doskonale wiedziałam, że można z dnia na dzień wpaść po

uszy w kłopoty. Być może odbierałam cięgi za pychę.

– Igo. Mogłaś to wszystko zostawić, nie ruszać, nie walczyć. Zostalibyśmy z domem na cyplu, jakoś przecież byśmy żyli.

– Myślałam o tym. Dużo myślałam. Jakoś żyli? Nie ja. Teraz chcę żyć naprawdę.

– Na szczęście i tak do tej pory zawsze spadałaś na cztery łapy.

– A widzisz? Spadałam. Czas przeszły.

– Bo gdybyśmy sami sobie nie napytali biedy... Tb kiedy masz przesłuchanie?

– Za dwa dni. Doskonale wiem, co masz na myśli. Naprawdę nie uderzyłam Grażyny.

\* \* \*

Dwa dni później wysiadłam z pociągu na dworcu Poznań Główny, do przesłuchania miałam jeszcze trochę czasu. Był mróz, a ja szłam pieszo ulicą Towarową w kierunku Mostu Teatralnego, specjalnie nadkładając drogi, by w blaszaku na Roosevelta kupić sobie kebab. Gryząc bułkę, kroczyłam ulicą Fredry. Nigdy wcześniej nie jadłam na ulicy, tylko lody, i to czasem. Miałam od dziecka wpojone, że niegrzecznie jest jeść na ulicy. Teraz było mi obojętne, czy to stosowne, czułam stres.

W okolicy opery zawiesili lampiony, do Gwiazdki było jeszcze trochę czasu, ale to dobrze, lubiłam przygotowania do świąt. Odnowiony zamek, wyczyszczony z brudów miasta, zyskał jasność piaskowca. Przystanąłam przed operą, starłam z płaszcza resztki sosu i wytrzepałam okruchy z pieczywa.

Dotarłam do prokuratury, gdzie już na portierni zdenerwowało mnie, w jaki sposób mnie potraktowano. Wezwanie, rewizja, przepustka. Ależ ja nie jestem kryminalistką! Znalazłam się w tym podłym miejscu przez pomówienie, na pewno tego dowiodę! Mam prosty kręgosłup! Kieruję się w życiu jasnymi wartościami. Teraz. Ale nie zawsze tak było. Gdy zrozumiałam, jaką drogą powinnam iść, los chciał mnie ukarać.

Tym razem byłam ubrana lepiej, według słów Basi. W mojej ocenie mniej skromnie, co mogło mi zaszkodzić. Stosownie w takim miejscu znaczyło szaro, a ja miałam na sobie dżersejową kolorową kieckę, którą kupiłam w Beaumont. Założyłam ją, ale biłam się z myślami, nie wiedziałam, czy zrobiłam słusznie.

– Gardzi się społecznie i medialnie człowiekiem, któremu się nie powiodło, co gołym okiem widać po ubiorze, po mowie ciała i innych takich. A od tego jest tylko krok do uznania go za jednostkę patologiczną.. – Przekonywała mnie rano do wyboru tej sukni Basia i... się jej udało.

– Iga Podkańska, zatrudniona na stanowisku

właściciela. – Urzędniczka zaczęła czytać szkic protokołu. Obracała w palcach długopis dobrej klasy. Przyglądałam się jej znakomicie utrzymanym paznokciom, polakierowanym na szaro. Mimo że elegancka, starannie uczesana i umalowana, sporo ode mnie młodsza, jednak sprawiała wrażenie zmęczonej życiem. Miała w oczach jakiś rodzaj mozołu. Być może powodem była powaga piastowanego urzędu, a może wrodzona niechęć do takich jak ja, nazwijmy „oskarżonych”. Słowa, jakie wypowiedziała, nie mieściły się w kanonie perfekcji, jakiej od niej oczekiwałam. Choć zawsze zżymałam się na siebie za spontaniczność, i tym razem znów nie wytrzymałam i parsknęłam śmiechem.

– Nie ma stanowiska „właściciel”, do diabła! To status! – wypaliłam.

Spojrzenie kobiety mnie znokautowało. Odczytałam je zgodnie ze swoimi przeczuciami: „Ja, prokurator Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, za chwilę zamknę cię w pace!”. Wystarczy przejść na drugą stronę ulicy, to nie jest żadna odległość. Może nawet pod ulicą jest zbudowany specjalny tunel dla świrusów takich jak ja? Jestem tylko nieważnym zdemoralizowanym robaczkiem, który torturował nieśmiała, i pryncypialną dziewczeczkę. Kłamliwą, dodajmy. Krótka piłka, albo będę w pace, albo nie. To zależy ode mnie. Opanowałam się.

– Obecnie Iga Bednarz – poprawiłam ją grzeczniej.

– Skąd ta zmiana?

– Z urzędu stanu cywilnego.

Znów zmierzyłyśmy się wzrokiem, niestety. Brak punktu dla mnie. Zagryzłam wargę, przekorność już nieraz mnie zgubiła. Sprawa była poważna, a złośliwość w tym wypadku naprawdę nie była dobrą bronią. Potem już do końca przesłuchania byłam cicha i miła, cierpliwie udzielałam odpowiedzi na pytania, ignorując, że zawierają odpowiedź „jesteś winna”.

Tego dnia zrozumiałam istotę oskarżonego i oskarżyciela.

\* \* \*

Gdy po trzech godzinach wyszłam z prokuratury, na ulicy utworzył się olbrzymi korek, a deszcz ze śniegiem czynił na jezdni i chodnikach chlapę, z mety poczułam wilgoć i zimno. Na przystanku stało kilkanaście osób, niektóre złorzeczyły na notoryczne opóźnienia autobusów, chuchając na ręce i tupiąc z zimna nogami. Otworzyłam nad głową parasol i brnęłam na dworzec pieszo, mocując się z wiatrem, który chciał porwać mój parasol na strzępy. Skreśliłam w Działową, a potem przemknęłam obok lodowiska Bogdanka i dalej przy murach zasłaniających rudery po miejskiej rzeźni. Zrobiło się zawietrznie, mogłam spod parasola przypatrywać się okolicy. Szkoda, że nic się w tym rejonie sensownego nie działo.

Chłód i razy deszczu ze śniegiem po twarzy przyniosły otrzeźwienie, jakie po wyczerpującym przesłuchaniu przyniosło mi ulgę. Targały mną mieszane uczucia, nadal nic nie wiedziałam. Zwłaszcza to, jak wypadłam, co mnie czeka. Zawsze wydawało mi się, że wystarczy mówić prawdę, że ona się sama broni. Liczyłam na uniewinnienie, choćby umorzenie z uwagi na brak dowodów, ale powinnam się dopatrzyć zapowiedzi tegoż – choćby w oczach prokurator. One do końca przesłuchania pozostały bez wyrazu, wyblakłe, nie zmieniła się też pozycja jej ciała na krześle. Jedynie pod koniec przesłuchania przestała obracać w dłoniach długopis.

Oj, Teksańska, daj sobie spokój z czarnowidztwem!

By sąd wydał wyrok, potrzeba czasu, nie zamkną przecież mnie niewinnej podczas kolejnej wizyty w prokuraturze! Chyba... Druga trzeźwa myśl? Nie chcę już tworzyć podstaw do życia z mężczyzną. Nieraz się zawiodłam, a mimo to ciągle chciałam być w związku. Jednak wtedy, podczas drogi z prokuratury na dworzec, pierwszy raz pojawiła się w mojej głowie innego rodzaju wątpliwość. Że może to ja ich unieszczęśliwiam?

Do terminu ultimatum dla Kośmy pozostało niewiele czasu. Wolałabym nie spełniać swojej groźby. Bardziej cierpiałam nie z powodu straty pieniędzy, ale z uwagi na upadek emocjonalny. Na ten rodzaj bankructwa lekarstwa nie znałam.

Wypadało posłuchać opowieści Adeli Renz. Chciałam tego.

– Tyle śmierci naraz? Czy po tym wszystkim będę potrafiła docenić wagę pojedynczej śmierci? Wiesz, Iguniu, ile udręki mogą przynieść myśli? Myślisz dzień i w nocy, aż do zwariowania. Nie myśleć, przeżyć, nie dać się, po prostu. Wczesną jesienią koło południa wszyscy dorośli z naszego domu pracowali w polu, były wykopki. Ziemniaki się ugotowały, ale potrzebne były jeszcze dla zwierząt. Zeszłam do sklepiku pod podłogą, tam były zmagazynowane warzywa na zimę, było ich całkiem sporo, to był dobry rok. Wkładałam ziemniaki do koszyka. Nagle na górze usłyszałam hałas, rozległ się przeraźliwy krzyk Jasi i ktoś zeskoczył do sklepiku i przewrócił mnie na ziemniaki. To był silny mężczyzna, nie dałam rady. Złapał mnie za włosy i powtarzał: „Bądź cicho, bądź cicho”, ale to nie ja, darłam się, co sił w płucach. Mimo to poczułam ogromny ból w kroku i straciłam przytomność. Gdy się ocknęłam, byłam przygnieciona śmierdzącym ciałem ludzkiej gnidy. Ktoś wołał mnie po imieniu, wyczołgałam się na górę. Byłam brudna od krwi, ale to, co zobaczyłam na górze, było przerażające. Malutka Jasia leżała na ławce, z suknią przyklejoną do ciała na plecach i pupie. Na szczęście żyła. Próbowałam odlepić suknię z jej ciała, tkanina odchodziła ze skórą. Gorące ziemniaki były pogniecione, a wrzątek porozlewany wokół garnka. Leśniewski był jak oszalały, w ręce trzymał karabin i wywijał nim nad moją

głową Opryskliwie kazał mi się umyć i przebrać, co oczywiście natychmiast uczyniłam. Wziął moje zakrwawione ubrania i wyszedł z domu, potem wrócił po trupa i zapakował go na furmankę. Mój mąż na szczęście nie miał śmiałości zapytać, dlaczego nie byłam dziewicą. Nikt się ode mnie nie dowiedział, co wtedy naprawdę zaszło. Dopiero ty, Igo.

## 1999

Wróciłam do Wielkopolski latem 1999 roku, z ręką na temblaku, skruszona, ale i złamana, z wszytymi w torebce za podszewką dwiema lekarskimi obdukcjami, w razie czego. Basia i Rysiu otoczyli mnie opieką i uczuciem, nie pytali o nic. Wtedy, gdy wróciłam i poprosiłam, bym mogła zostać w Nadroźnie, wówczas mogli mi wszystko wygarnąć. Byłoby mi lżej. Ale nie. Nie zrobili tego. Basia i ja. Długo pozostałyśmy w uścisku, aż przestałyśmy płakać. Bo ja zawsze chciałam być taka jak ona. Taka ładna, uśmiechnięta, przedsiębiorcza, pięknie ubrana.

Chciałam potrafić kochać tylko raz.

Kilka miesięcy trwało, zanim znów ułożyłam się ze swoim kiepskim życiem. Siedziałam u Basi i Rysia w Nadroźnie, a oni pomni, do czego jestem zdolna, nie chcieli mnie nigdzie puścić, wszystko załatwiali za mnie.



Miałam tylko odpoczywać i godzić się ze sobą.

Basia i ja dużo ze sobą rozmawiałyśmy. Któregoś popołudnia powiedziała ważne zdanie, które dało mi do myślenia.

– Nie wiem, czy wiesz, czy on ci powiedział. Chodzi o mojego brata, a twojego wujka...

Zamurowało mnie.

– Nie mam żadnego wujka!

– Nie masz, bo nie żyje... – Jak to?

– Dwa lata wcześniej, zanim ja się urodziłam, mama poroniła. Była w siódmym miesiącu, synek był martwy.

– To był płód, a nie dziecko!

– Mówię ci to, żebyś wiedziała, nic więcej. Tylko byś wiedziała. Od kilku lat co roku zapalam na grobie mojej mamy jedną świeczkę dla brata. Chodzi o to, by skrócić dystans do twojej mamy. Przez tę świeczkę, która ma być pomostem między dwoma siostrami, wydaje mi się, że miałam kiedyś pełną i kochającą się rodzinę. Nigdy nie miałam z twoją mamą dobrych relacji, była między nami zbyt duża różnica wieku, nawet nie miałyśmy okazji się zaprzyjaźnić. Ale ta świeczka skraca dystans i już mi jakby lepiej. Psycholog mi tak poradził. Może ty też zapalaj swojemu wujkowi znicz, chociaż na Święto Zmarłych. Może i tobie ten gest da ukojenie?

– Mam nie wychodzić z cmentarzy? Wystarczy mi

zarówno grobów, jak i świeczek na Zaduszki. Co miałabym zyskać poprzez stawianie kolejnych zniczy? Zresztą nie uważam, że miałam jakiegoś wujka. To był tylko płód.

– Z tą wiedzą zrobisz to, co zechcesz. Chodziło mi, byś wiedziała.

Jednak ta rozmowa została w mojej pamięci.

W tamtym czasie wolałam myśleć o złych rzeczach, na duchu mnie podnosiło, że inni doświadczyli i doświadczenia gorszych życiowych tępnięć niż ja. Siedząc u Basi i Rysia, przeczytałam opowieści z Majdanka, wspomnienia wysiedlonych, a nawet cztery tomy „Krzyżowców” Zofii Kossak-Szczuckiej, nie przeszkadzało mi, że wcześniej ta powieść jawiła mi się jako ponura, wręcz ohydna lektura. Rysiu w swojej biblioteczkę zgromadził wyłącznie książki historyczne, i ja wtedy niemal wszystkie przeczytałam.

Sporo trwało, zanim odważyłam się zadzwonić do Emila. Opłaciło się, pozwolił mi na krótką rozmowę z trzynastoletnią Olą, która mimo cechującego okres dojrzewania buntowniczego nastawienia, też wtedy nie powiedziała mi żadnego złego słowa. Tym gorzej. Wolałam, by wykrzyczeli, co o mnie naprawdę myślą, by wyrzucili z siebie wszystkie żale. Niczego nie ułożyłam. Czuję się ohydną kreaturą, wyrodną matką, ale wciąż nie znajdowałam sposobu na samą siebie. Nieustająco zadawałam sobie pytanie, kim jestem.

Wszystko było inne. Na świecie znów nie było spokojnie, rozpoczęły się naloty na serbskie cele wojskowe i strategiczne. W Polsce furorę robiły piosenki Gorana Bregovica w duecie z Kayah. Nie było dnia, bym nie słuchała *Caje Sukarije, Mesecina, Ederlezi. Sa o Roma, babo babo, Ederlei. Ederlezi, sa o Roma daje. Eeee... Sa o Roma, babo babo, Sa o Roma daje. Sa o Roma, babo babo.* Czy mojej ulubionej, spolszczonej, zaczynającej się od słów: *Kiedyś byłam różą twojego serca, kiedyś byłam różą twoją, cierniem jestem dziś, gdy się przyglądasz mi nie kobietą. Bóg mi daje, Bóg mi odbiera, kiedyś różą byłam, lecz nie jestem teraz.*

Jakaż analogia do mojej sytuacji! I ja kiedyś byłam różą...

## **Zima 2008**

Kilka dni później czyściłam ze śmieci swoją pocztę, kasowałam oferty, usuwałam wieści z portali sprzedażowych, również spamy, ale to moje działanie było zaledwie pretekstem, by (odświeżając co chwilę) ślęczyć przed komputerem w nadziei na e-mail z USA. Niestety, stamtąd nie było żadnych wieści. Prawdę mówiąc, traciłam nadzieję. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że jestem zbyt pasywna. Być może bałam się jeszcze większej rany? Nie wiem. Po prostu czekałam.

Ale co to? Ze spamów wyłowiłam e-maila od Ludwika. Znalazł się w wirtualnych śmieciach być może dlatego, że w załączniku było kilka fotografii. Bóg mi świadkiem, wychodząc za Kosmę, próbowałam wyleczyć się z miłości do Sommera. Nie chciałam Kosowi robić świństwa i od dawna nie inicjowałam niczego z Ludwikiem, po prostu robiłam wszystko, by o nim zapomnieć.

Ton e-maila był ciepły jak morze, które przedstawiały załączone zdjęcia. Ludwik wychodzący z wody, w kombinezonie płetwonurka. Uśmiechnięty, na łodzi, przed skokiem w toń oceanu. Leżący na plaży, w samych bokserkach. Bałam się jego wycieczek w morza, oceany, przestrzeń zamkniętą przed ludźmi. W mojej ocenie niebezpieczną. Ucieczek do ryb i innych żarłaczy, bardziej niebezpiecznych niż ludzie. No i stało się. Wszystko mi się znów przypomniało. Faktura skóry, zapach, smak ust. Dlaczego nie możemy się związać? Gdybyśmy byli razem, nie weszłabym w kolejny związek, nie zaliczyłabym następnej klęski.

Dziwną tworzyliśmy relację. Lutek nigdy nie mówił, dokąd zamierza pojechać, z kim i dlaczego. Dopiero po fakcie. Ja też wciąż tałam swoją tożsamość, zakładając, że gdy nie wyjawię, jak się nazywam, być może uchronię część siebie. Ładne kwiatki.

Czytałam wiadomość, czując letnią oceaniczną bryzę na twarzy. Bardzo przyjemną:

Cześć Igo! Mam nadzieję, że nic szkodliwego w międzyczasie nie wywinęłaś(1) ☺ ani też nie zamknęłaś się z mojego powodu w buddyjskim klasztorze. Wróciłem do Polski, bądź zadowolona.

Nie wiem, czy wiesz... W okolicy Malediwów po Oceanie Indyjskim płyną dwa prądy o odmiennej temperaturze, to z tego właśnie powodu niebo nad archipelagiem jest bardzo często zachmurzone. Niemniej nam pogoda dopisała, było słonecznie i bardzo ciepło. Od razu uprzedzę Twoje podejrzliwie myśli, na wyjeździe byłem w swoim stałym męskim towarzystwie, nie bądź zazdrosna. Na atolu zastaliśmy niezły tłok, zastanawiamy się, czy następnym razem nie polecieć tam w porze deszczowej, może przyszłoroczny maj byłby dobry? A w oceanie? Nie będę cię zanudzać, napiszę ogólnie, że generalnie rybek i kolorów było naprawdę mnóstwo. Także drapieżników. Rekiny pojawiają się w miejscach przepływu silnych prądów, głównie w wejściach do atolu na głębokościach ok. 30 m. Leżą w piasku na dnie, odpoczywając. W zasadzie w stosunku do ludzi trzymają się na dystans, ale czasem podpłyną bliżej, by sobie popatrzeć na nurków. Albo ich przestraszyć © Podobanie żółwie, niczym się nie przejmują. No i koralowce..., dużo by pisać. Na rafie niektóre pojedyncze kolonie koralowców są ogromne i naprawdę robią wrażenie. Poza tym widziałem jeszcze ładnie zarośnięte „ściany”, jaskinie, całą kupę podwodnych mięczaków, homary, krewetki, skrzydlice, mureny, barakudy, tuńczyki. Co

tylko zechcesz? No i wrak (największy na Malediwach) brytyjskiego statku „British Loyalty”, storpedowanego w 1944 roku przez japoński okręt podwodny. Obecnie jest tylko kupą porośniętego mułem żelastwa.

Ludwik

Zadzwoiłam od razu. Znów poczułam się jak nastolatka. To Ludwika nosiłam w sercu, ciągle był mój, choć nigdy nic za tym nie przemawiało.

– Cześć. Możesz rozmawiać?

– Iga! Znalazłaś się? Moje słoneczko życzy sobie dalszy ciąg romansu...

Nie odniosłam się w ogóle do „słoneczka”, to była u Ludwika nowość.

– Nie uważam naszych spotkań za romans – prychnęłam.

– Ho, ho, co ja słyszę? Czegoś się wypieramy?

Nic nie odpowiedziałam. Obudził we mnie uczucia.

– Czyli? Mogę być w Poznaniu jutro po południu, tym razem specjalnie dla ciebie, docień to... moja ty dzielna Teksańska – Głos Sommera był taki ciepły, kojący, że nie dotarło do mnie wtedy, że użył mojego przyzwiska znanego tylko we wsi.

Był uszczęśliwiony moim telefonem. Ja też, bardzo. Sutki mi stanęły i poczułam w podbrzuszu przyjemne łaskotanie. Zawsze tak było, gdy po długim czasie

milczenia kombinowaliśmy spotkanie *tete-a-tete*. Nic mnie od tej randki nie odciągało. Absolutnie. Chciałam się długo kochać, a po wszystkim przytulić do Sommera, przyjmując ulubioną pozycję embriona. I leżeć z głową pod jego pachą. Bezpieczna. Znow potrzebowałam bliskości, ciszy, obecności.

Późnym wieczorem zaprosiłam do domu Basię, zamknęłam się z nią w pokoju i próbowałam zwierzyć. Oczekiwałam od niej choćby niemego zrozumienia.

– Brakuje mi Ewy – zaczęłam.

– Nic na to nie poradzimy.

– Z nią bym mogła porozmawiać na przykład o tym, czy z wielkiego udręczenia mężatka może, czy ma prawo iść z facetem, o którym wie, że nie jest jej pisany, który jest zajęty, może nie kocha, może traktuje tę mężatkę jak zabawkę... To znaczy on może tak uważać, nie ona... Czy ta kobieta może brnąć w romans z tym mężczyzną? – plątałam się, mówiłam najbardziej niejasno w swoim życiu.

Basia się zaśmiała.

– Jak sądzisz, co Ewa by ci doradziła?

– Nie wiem, nigdy na takie tematy nie rozmawiałyśmy. Była przecież konserwatystką do potęgi.

Uśmiechnęłam się.

To naturalnie była prawda, Ewie nie mogłam

wszystkiego opowiedzieć. Byłam zbyt występna. Po jej śmierci nieraz chwyciłam za pióro i próbowałam pisać list. Ale co jakiś zaczęłam, to i podarłam. Na etapie zastanowienia się, co napisać, moje myśli jeszcze trzymały się kupy, ale gdy zaczęłam formułować zdania, wydały mi się bełkotem, jakiego na pewno nie powinnam kierować w zaświaty.

– Zmartwiłam cię? – zapytałam.

Basia rzeczywiście wyglądała tak, jakbym jej dołożyła na kark kolejny krzyżyk. Kiedyś często jej się zwierzałam, zwłaszcza gdy byłam nastolatką, praktycznie ze wszystkiego. Później, gdy zabałagałam swoje życie, zaprzestałam głębszych rozmów. Wszystko międlłam w swoim wnętrzu.

– Jutro pojedę do Poznania i nie wrócę na noc. Bardzo tego chcę.

– Ty mnie pytasz?

– Nie, mówię.

– Zawsze uważałam i nic się nie zmieniło, że najważniejsza w życiu jest miłość, ale też nikt mi nie powie, że instytucja małżeństwa jest przegrana.

– Wiesz. Naprawdę bardzo chciałam, by było inaczej, wręcz miałam przymus, by nareszcie swoje życie wyprostować. By Ola i Staś się mnie nie wstydzili. Nie wyszło. Pojutrze pieniądze od Kośmy powinny znaleźć się na koncie. W sumie i tak dodałam jeden dzień ze względu



na różnicę czasu. Nie pisze, nie dzwoni, przyjdzie mi się handryczyć do końca życia, wydać kolejną forszę na prawników. Zresztą on groszem, jak na tyle lat mieszkania w Stanach, nie śmierdzi. Okazało się, że podobnie jak córeczka o długich łapkach tonie w długach.

– No tak, milczenie w tej sytuacji krzyczy. Jest taka stara mądrość: głupiec nigdy nie posiadzie, nie utrzyma też dużych pieniędzy. Nawet głupiec wykształcony. Jednak Kośmy nie skreślałabym na zawsze. Rozmawialiśmy już o tym.

To była właśnie ta krucha nić, na jaką czekałam, to był ów ślad przyzwolenia. Wystarczyło.

– Błagam, obiecaj mi, że mnie nie potępisz.

– A co ja mogę? Nie jestem Bogiem.

– Ma na imię Ludwik, poznałam go w swoim najgorszym momencie, kiedy dla mnie wszystko straciło kolor, w ogóle sens. Pamiętasz, jak poleciałam na Minorę? Łaziliśmy po skałach, zwiedzaliśmy, walczyliśmy z tramontaną. Nic nie wskazywało, że nasza znajomość stanie się romanssem. Zresztą, byłam żoną Leszka – rozgadałam się.

– I za pieniądze kompulsywnie poszukiwałam substytutów szczęścia w postaci ubrań i wyjazdów...

– Owszem, tak było, ale się zmyło. Wszystko w Ludwiku kocham, całą osobowość, magnetyzm. Właściwie nie jest szczególnie przystojny, ale jest dobrze

ubrany, wygadany, zawsze coś zabawnego powie. Niestety, nie jest wolny i słowo „rozwód” jest przy nim zakazane. Wzrusza ramionami i tyle. Wierz mi, starałam się walczyć z tym uczuciem, dlatego Kostna, to z nim chciałam wyleczyć wszystkie rany. Beaumont jest daleko, za daleko, by przyfrunąć do Ludwika na „jutro”. Wydawało mi się, że jak spotkam dobrego i szlachetnego faceta, który by mnie chciał taką, jaką jestem, wszystko się ułoży. Wierz mi, chciałam mieć moralne hamulce. Z Kosmą miało się udać, a i tak widzisz, co się stało... – westchnęłam.

– Żałujesz?

– Nie wiem. Po prostu się pomyliłam. Gdy się tak mylisz i mylisz, w zasadzie nie masz prawa spodziewać się, że będzie inaczej. I się brnie w każde byle co...

– Igo, zacznij myśleć wreszcie swoimi myślami. Nie jego. Twój dziadek już nie żyje, świat ewoluuje, od dawna nie jest czarno-biały.

– Nie potrafię. Nikt mi nie powiedział, że mogę żyć inaczej, żadna kobieta, to on uczył mnie zasad, a właściwie walki o swoje, po męsku. Reszty doświadczyłam później, ale co z tego wynikło, sama wiesz. Dlatego szukam mężczyzny silnego, Niestety do tej pory trafiam tylko na patałachów. Nie chcę przyjaciółek, po Ewie już nie będzie żadnej, ona była od zawsze, to inna historia. Po prostu boję się przyjaźni z kobietą.

– Mam wrażenie, że jesteś rozdarta między uczuciem miłości, a gniewem na życie, na świat, na nieprzewidywalność. A nawet na mężczyzn.

– Ludwik me jest taki jak oni wszyscy. Jest ciekawy. Silny, wyrazisty, ma wiele do powiedzenia, nie da się okręcić Wokół palca.

– O ile z twojej strony nie jest to znów, ultymatywne chciejstwo.

– Ciagle mi się wydaje, że nic dobrego mi się już nie przytrafi. Dlaczego zatem nie żyć chwilą?

– Często się zastanawiam, czy mając na głowie twoje problemy, znalazłabym jeszcze siły, by wiązać się z facetem. Na twoim miejscu już dawno bym się oddała w ręce sprawiedliwości, by mieć spokój.

– Ależ ja w najgorszych momentach właśnie na schadzkach z Ludwikiem czerpałam siły, by żyć. No dobrze, jadę. – Klapnęłam ręką o udo i wstałam.

– Igo, lepiej, gdy mówisz, gdzie naprawdę jesteś. Mniej się denerwuję.

Już byłam w drzwiach, ale wróciłam i mocno się do Basi przytuliłam, a ona pogłaskała mnie po głowie. Po tym było mi dużo lepiej.

\* \* \*

Wyjechałam ze Złotniczek kilka godzin wcześniej, niż miałam umówioną schadzkę. Zawsze tak było, gdy czekało mnie ważne wydarzenie, niechby nawet miało się odbyć w godzinach popołudniowych, ja od rana na niczym nie potrafiłam się skupić. Dwie godziny spędziłam w kinie studyjnym, gdzie przez łzy oglądałam „Małą Moskwę”. *Nie widniałam cię już od miesiąca i nic, jestem może bledsza, trochę śpiąca, trochę bardziej milcząca, Lecz widać mona żyć bez powietrza* (z tomiku „Pocałunki” Marii Pawlikowskiej–Jasnorzewskiej) – wsłuchiwałam się w słowa piosenki Ewy Demarczyk nuconej przez Rosjankę, żonę oficera, zakochaną w Polaku z Legnicy. Gdy wyszłam z kina, temperatura nieco zelżała, ale nadal było zimno. Nie na tyle, by lodowe rzeźby na Starym Rynku były w dobrej kondycji. Zaczęły się topić, ale niezbyt mnie to interesowało.

Ludwik stał pod fontanną Prozerpiny i trzymał bukiet różnokolorowych frezji w ręce. Nigdy wcześniej nie otrzymałam od niego kwiatów. Nie widziałam go od kilku miesięcy. Może nie byłam bledsza, może nieśpiąca? Stałam w oddali i z ukrycia patrzyłam, co się w moim kochanku zmieniło. Nic. Był tym samym Ludwikiem, moim słońcem, moim sercem. Ubrany w baranicę, ale nie taką, jaką noszą górale, chociaż do takich też miałam sentyment, bo przypominały mi dziadka. Ta była elegancka, z krótkim włosiem, miękka, jasna. Spod niej wychyliła się jasno-błękitna koszula z cieniutkiej popeliny i sportowe spodnie z delikatnego ciemnego sztruksu.

Staranność w ubiorze doceniłam od razu. Poza tym był wyluzowany, z delikatną opalenizną, którą musiał przywieźć z atolu. Na pewno nie był mężczyzną, który mi w czymkolwiek ustępował. Górował nade mną siłą swej osobowości. Tak czułam i to właśnie mnie do niego przyciągało. Jako silna osobowość, walcząca z losem, czasem wygrywająca, musiałam budzić w facetach mieszane uczucia. Kosma mi nawet wytknął, co miało być argumentem, że jest uczciwy, iż gdyby potrzebował pieniędzy, nie miałby odwagi się do tego przyznać. Bałby się. A pozwolić, by córeczka ich potajemnie użyła, już się nie bał? Dupek.

Starannie przygotowałam się na *tete-a-tete*. Ubrana kobieco, w amarantowej kiecce o długości do kolan, nieco błyszczącej, z szeroką szarfą w talii, którą trzeba było odkręcać podobnie jak szarfy gejszy, by zdjąć sukienkę. I w najcudowniejszą bieliznę, jaką posiadałam – ostro różową, ze złoto czarnymi haftami. Amerykańskie białe, sztuczne futerko na wierzchu.

Podbiegłam i natychmiast się skryłam w ramionach Ludwika. Jego uścisk dał mi pocieszenie, przyniósł delikatność. Czułam perfumy i zapach baranicy. Po pocałunkach już byłam gotowa na resztę. Wszystko znów się we mnie obudziło, uśpiona żądza, tłumiona zarówno przez kłopoty, jak i przez psychotropy. Uczucie tłumione wyrzutami sumienia. Naprawdę chciałam żyć uczciwie, naprawdę chciałam być Kosmie wierna. Wszystko na

nowo we mnie zawrzało, zachciało mi się płakać ze szczęścia, z poczucia chwili, naszej chwili, dla nas chwili. Że jesteśmy. Nic mnie nie obchodziło. Chciałam tylko jednego i to jak najszybciej.

– Chodź! – Ludwik pociągnął mnie w stronę ulicy Garbary. Było zimno, Prozerpina nie dawała schronienia. Opierałam się na ramieniu kochanka, czułam się bohaterką nie lada melodramatu. Chłodna, silna, kalkulująca, a poległam z powodu uczucia, które robiło ze mną wszystko. Dla tego uczucia mogłam nawet zastawić ziemię.

– Jesteś punktualny, nigdy nie muszę na ciebie czekać, ty czekasz, to dla mnie ważne. No wiesz, tak naprawdę ja zawsze czekam za tobą, znowu wiem, że nie potrafię bez ciebie żyć. Chyba te kłody pod nogi są wpisane w mój życiorys... Czuję się taka niemoralna... Kocham cię, wiesz? – gadałam rzeczy, których jeszcze kilka miesięcy temu nie powiedziałabym nawet, jakby mnie przypiekali.

„Kocham cię” z moich ust pod adresem Ludwika padło po raz pierwszy. Było mi wszystko jedno, czy będziemy się spotykać częściej, czy nie. Liczyło się TERAZ i żeby wiedział, że moja „gotowość” wynika z uczucia.

– Wiem – powiedział bez żadnego ożywienia w głosie, jakby chodziło o wspólne pójście do spożywczaka.

Szliśmy przez ciemne miasto, było około siedemnastej. Lampy oświetlały stare mury Muzeum Narodowego i Biblioteki Raczyńskich. Mało ludzi spacerowało ulicami, z oddali było słychać syreny karetki pogotowia, zadzwonił zegar na ratuszowej wieży. Dominował dźwięk silników samochodowych i ostre zgrzyty tramwajów. I poza tym nic. Pustka, cisza. Poczulałam, że lubię to miasto.

– Mam niedaleko samochód – powiedział Ludwik. Też miałam niedaleko samochód. „Gangrena” – tak escorta nazywał Staś, co nie wprawiało mnie w dumę. Wsiadłam do srebrnego subaru Sommera i poczułam się jak u siebie. Rzuciłam okiem na licznik. Moje auto było nieco starsze, ale przejechanych kilometrów mieliśmy mniej więcej po równo.

– Też taki miałam – przyznałam się. – Sprzedałaś? – Ludwik zerknął na moje nogi, które przy wsiadaniu odsłoniła sukienka o kopertowym kroju. Zagryzłam wargę i położyłam rękę na jego udzie, pieszcząc je w nieprzyzwoity sposób, aż do samej nasady. Ludwik zaśmiał się głośno, lubiłam, jak się śmiał. Lubiłam jego zęby, niekoniecznie równe, lubiłam górną wargę w kształcie serduszka, owalny kształt twarzy, dołek w brodzie, no i czarne wąskie oczy.

– Spalił się.

– Auto się spaliło?

– Ano tak.

Wjechaliśmy na doskonale znaną mi drogę w stronę Gniezna. Nieważne było, dokąd mnie wiezie. Byłam wyposzczona, myślałam tylko, by natychmiast znieść napięcie, w jakim żyłam, by uratować wiarę w zdolność do uczucia.

Gdy przejeżdżaliśmy przez Biskupice, Ludwik powiedział:

– Tu się skręca do Jerzykowa, a tam w zalewie kiedyś nurkowałam. Kolega mnie namówił na połów ryb. Widoczność była naprawdę niewielka, kilka metrów i ciemność, nie to co na atolu. Dla mnie to było doświadczenie.

– Nie mów mi o tym.

– Dlaczego?

– Bo się boję.

– Czego?

– Tej ciemności właśnie.

– Nie żartuj. W takim bajorku można wszystko. Płynąć, swobodnie oddychać, strzelać do ryb, wyłowić ustrzelone i przy okazji się nie utopić.

– Błagam.

Zatrzymaliśmy się w Promnie przed pensjonatem, z którego istnienia, mimo że znajdował się tak niedaleko Pobiedzisk, nie zdawałam sobie sprawy. Zdumiało mnie,



że owo miejsce znał Ludwik. Podobnie jak i Jezioro Kowalskie. Ale nic nie powiedziałam. To było naprawdę nieistotne.

W maleńkim pokoju Ludwik siadł na łóżku i patrzył na mnie cudnie. Kucnęłam przed nim, rozpięłam tę jego piękną szaro-srebrną koszulę, ściągając zębami stare srebrne spinki do mankietów. Rozpięłam pasek od spodni i wsadziłam ręce pod jego pupę. Był piękny, opalony, z tym swoim wrażliwym na mnie członkiem, którego chciało się pieścić. To ja go brałam, tak było zawsze. Najpierw byłam ja.

W jaki sposób znaleźliśmy się w łazience, nie wiem. Amarantowa kiecka przykleiła mi się do ciała, woda z deszczownicy udawała kapuśniaczek, a Ludwik myszkował pod moją suknią, która rzecz jasna zawadzała. Wzięłam jej dolny brzeg w zęby, odsłaniając swój rozgrzany i mokry srom. Po kilku ruchach języka Ludwika eksplodowałam.

– Moja ty dziewczynko, pozwól, pozwól – szeptał.

Owinęłam ręce na jego szyi, poczułam się małą dziewczynką. Maleńką, bezpieczną, kochaną. Już się nie bałam niczego.

Tej nocy kochaliśmy się kilka razy, kilka razy zwijałam się jak kotka z głową pod pachą Ludwika. Byłam szczęśliwa. W ostatnim czasie w moim życiu było tylko źle i źle.

- Poświęć dla mnie wszystko. Proszę cię.
- Igo! Przestań. Tylko bądź! Jesteś, wystarczy.
- To nie jest pocieszające.
- Spalilibyśmy się.
- Nieprawda, boisz się, ja swoje wiem.

Słyszałam, jak wolno bije jego serce, w przeciwieństwie do mojego, które waliło jak po maratonie. Czułam na języku sól z potu kochanka, wahałam zapach wody toaletowej, jaką się spryskał.

– Gdy będę bogatsza, kupię dla ciebie najdroższe perfumy. Nadal nie mam pieniędzy, wiesz?

Tego wieczoru chciałam Ludwikowi opowiedzieć o sobie więcej, przecież mu ufałam. Nie patrzył na mnie. Leżał na wznak z zamkniętymi oczami.

– Od dawna wiem, kim jesteś. Iga Podkańska, piszą o tobie w gazetach – powiedział Ludwik, ważąc słowa.

Tak, owszem. Jestem Iga, kochanka, kobieta zaspokojona. Kocham cię. Ale nie powiedziałam tego głośno. Milczeliśmy chwilę oboje. Właściwie tego się od początku spodziewałam, mimo że jakoby nie chciał wiedzieć, kim jestem, a także nie zadawał pytań. Było to jednak dziwne, nieprawdopodobne. Sama nieraz szukałam w necie wieści o Ludwiku, człowiek ma naprawdę ciekawską naturę. No i posiadamy przecież mnóstwo narzędzi, by dokładnie przefiltrować, kogo się tam chce.

Kiedyś powiedział, że oczywiście zdaje sobie sprawę, że moje życie jest dramatem, ale on jednak by nie chciał być jego bohaterem. Bronił się w ten sposób przed bliskością?

– Tak, przy czym od pewnego czasu nazywam się Iga Bednarz – powiedziałam głośno i wyraźnie.

Musiałam się przyznać, chciałam być uczciwa, przecież go kochałam. Widziałam, jak ta informacja szarpnęła Ludwikiem. Oczy mu się niebezpiecznie zwięziły, ale opanował się, usiadł na łóżku i zapalił papierosa. Ja też sięgnęłam do paczki.

– Szybka jesteś, nie ma co – powiedział po chwili.

– Zagmatwana i niestety dokonująca złych wyborów. Uwierz mi, tylko ty jesteś moją miłością, nigdy nikogo tak bardzo nie kochałam.

– Niedawno wydałaś się za niewiele wiedzącego o tobie koleś, że tak powiem oględnie, i dzisiaj już twierdzisz, że dokonujesz złych wyborów? Trochę trzeba pożyć.

Poczułam się jak latawica, dla której zmienić faceta, wziąć ślub, rozwieść się to bzdety podobnego kalibru jak krosteczka na nosie. Zawstydził mnie i jednocześnie wzburzył. Do diabła! To nie tak. Przecież jestem gotowa na stabilizację, na miłość!

Ale i tak nie wychodzi.

– Nie osądzaj, okej?! Potrafił się dla mnie rozwieść, jeśli cię to interesuje. Poza tym ten koleś, jak go nazwałeś,

wie o mnie dużo więcej niż ty, byś się zdziwił, jak on mnie zna. Nie wie tylko jednego. Że nie mogę się uwolnić od uczucia do ciebie. Nie udawaj zdziwionego, gdybyś powiedział jedno słowo, nie byłoby nikogo. Nie powiedziałaś, więc nie masz prawa mnie osądzać.

– Życie zapewne jak kochające się małżeństwo.

– Niekoniecznie.

Chwilę milczeliśmy. Zaciągaliśmy się dymem. Spojrzałam mu w oczy.

– Ludwik, proszę cię, powiedz mi chociaż, że kiedyś będziemy razem. Nie dzisiaj, kiedyś. Taka obietnica mi wystarczy.

– Igo, nie mogę. Po prostu nie mogę. Nigdy się nie rozwiodę, nie mogę jej zostawić. Ale byłbym też nie w porządku wobec ciebie, gdybyśmy się nie spotykali. Teraz, po twoim ślubie, sam już nie wiem.

– Jakiż melodramat! Czyli życie jak normalna rodzina?

– Odbiłam piłeczkę.

– Tak, jeździmy na wakacje, chodzimy do teatru, jadamy w restauracjach. Śpimy nawet razem.

– I kochacie się.

– Nie tak jak z tobą.

– Jeśli się coś wyjaśni, być może zamieszkać w Stanach – powiedziałam, by mu zrobić na złość. Dzięki

Ludwikowi zrozumiałam, jak bardzo mam zabałaganione życie. Być może powinnam być sama, – Masz już wszystko pozamiatane? – zapytał konkretnie.

– Jeszcze tylko pewien przetarg i koniec. Potem wreszcie spocznę na laurach.

– Dzielna jesteś.

Dzielna jestem. Dla niejednej kobiety to stwierdzenie byłoby cenniejsze niż gadanie o miłości, tym bardziej, że Ludwik był fachowcem i znał się bardzo dobrze na biznesie.

Jestem silna, ale słaba, dorosła, ale nadal pozostałam osieroconym dzieckiem. Wszyscy myślą, że jestem z żelaza, ale to przecież nieprawda. Ciągle maleńka, potrzebuję miłości. Zaczęłam płakać, wszystkie żale się ze mnie wylały. Zamykaliśmy nasz rozdział, o czym oboje wiedzieliśmy doskonale. Wiele zawdzięczałam Ludwikowi, był moim skarbem w podłych czasach. Przeprowadził mnie przez najgorszy okres, mimo wszystko łączyła nas uczciwa relacja. Ja tobie, ty mnie. Miał być na „od czasu do czasu” – tak myślałam po pierwszym razie.

Ale się porobiło! I tak zawsze będę go kochać.

Nigdy nie byliśmy ze sobą tak długo, zawsze przed nocą każde z nas wracało do domu. Ludwik wyciągnął z kieszeni harmonijkę i zaczął dla mnie grać. „Kołysanka dla nieznajomej” Perfectu była po czasie, ale mimo to

cichutko nuciłam. *Kochaj mnie nieprzytomnie, kochaj mnie namiętnie, tak, jakby świat się skończyć miał.*

Po nocy przychodzi taki fajny moment, wschodzący dzień. Pierwszy raz, a jednocześnie ostatni witaliśmy go razem. Gdy z drogi do Gniezna zaczął dobiegać coraz większy szum samochodowych silników, wyszliśmy z hotelu. Ludwik odwiózł mnie do Nadrożna. Kończyło się. Zamykałam etap dramatyczny, ale jednocześnie piękny. Nie pytałam, skąd wiedział, dokąd ma mnie odstawić. Wystarczyło, że znał moje imię i nazwisko, resztę na pewno pokazał mu Google. Siedzieliśmy w aucie na poboczu drogi, mimo że za firanką salonu z widokiem na drogę na pewno kryły się oczy Basi i Rysia.

- Trzymaj się, Teksańska. Jestem zawsze do usług.
- Kocham cię. Też dbaj o morale.
- Tym ciągłym gadaniem o miłości chyba mnie na nią nakręciłaś.

Gentleman. Mój kochany. Nie zgasił we mnie żaru, pozwolił mu się tlić. Nie zapytałam, czy to znaczyło, że też mnie kocha? Na pewno by jednoznacznie nie odpowiedział, a mi znacznie lepiej było myśleć, że tak. Że też mnie kocha.

Spotkanie z Ludwikiem dało mi siłę. Do domu Koronowskich w Nadrożnie wchodziłam jako przyszły egzekutor swoich pieniędzy. Wiedziałam, że za paręnaście

minut na pewno zatelefonuję do Stanów. Odzyskam swoje pieniądze. Ostatnio to ja zachowywałam się tak, jakbym zdefraudowała kasę.

\* \* \*

Marek Bieniakiewicz, który stał się moim przyjacielem, odkąd przyznałam się, że w kopercie było więcej pieniędzy niż powinno, przyjechał w południe do Złotniczek i natychmiast od wejścia zaczął mi opowiadać o swoich problemach. Że jego firma popadła w kryzys, ale się wykaraska, o ile pracownicy wyrażą zgodę na obniżki pensji.

– Ja im wszystkim za dużo płacę, mają u mnie po pięć tysięcy na rękę, hotele, diety, paliwo. Firmowymi samochodami mogą dwa razy w roku pojechać z rodziną na wakacje. To wszystko kosztuje. Niestety, w większości ci ludzie pracują dla mnie po kilkanaście lat, niektórych jeszcze ojciec przyjmował, ich żony nigdy nie musiały pracować... To utrudnia...

– Obniż zarobki, dogadaj się, powiedz, że interesy idą znacznie gorzej, niech wiedzą.

Radzić można. U mnie nie sprawdziła się ta taktyka. Woleli odejść niż przystać.

– Coś ty, nie uwierzą! Pomyślą, że kłamię. Daliby sobie głowę odrąbać, że Marek zawsze będzie miał

pieniądze. Zawsze da sobie radę.

– Bo da! – Uśmiechnęłam się.

– Z tym, że nie na pewno.

Potem zajrzał Waldeczek po swój zaległy haracz za bycie kiedyś moim pracownikiem i klapnął ozorem swoje pierdoły:

– Przez tę szlifierkę z wiana na poważnie grozi mi rozwód. Żona się zahaczyła i runęła twarzą na święty obraz. Rama się jeszcze bardziej ukruszyła, szyba pękła, żonie wprawdzie nic się nie stało, ale wygląda, że to zdarzenie to znak Boży. Usłyszałem, że nigdy nie była ze mną szczęśliwa. To się pytam, czemu tak długo czekała z tą deklaracją? Do rozwodu znaki Boże nie wystarczą, tylko brak pożycia.

Nie udało mi się skontaktować z Kosmą, poranny czas upłynął szybko. Do przedszkola przyjechałam na ostatnią chwilę. Staś nie marudził, że tak późno, był podekscytowany.

– Mamo, będę grał główną rolę! Jagna koniecznie mi musi zrobić podwyższającą czapkę bociana.

– A kto będzie żabką?

– Martyna.

– Przecież jest od ciebie wyższa!

– Będzie się zniżać. Zakładnica pozwoliła mi być bocianem, żebyś miała zadowolenie.



– Chyba rozbawienie, jeśli żabka będzie większa od bociana. Zakonnica się mówi, a nie zakładnica, naucz się wreszcie. A co będziesz mówił?

– Tylko kle, kle, kle. Mamo, ty nie wiesz, że bociany nic nie mówią?!

– Dzisiaj znów zostaniesz na noc w Nadroźnie. Muszę znaleźć drogę do siebie. Wiesz, co to znaczy?

– Tak, wiem. Że też nie chcesz być żabką.

Całe popołudnie nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Nieważne były pieniądze, nieważne ziemie, domy. Nie miałam odwagi zadzwonić do Kośmy. Najbardziej bałam się, że zniknął z moimi pieniędzmi. Strasznie trudno mi przychodziło przyzwyczajenie się do statusu frajerki. Tego nie przerabiałam nigdy. Więc siedziałam z pretensjami do siebie, być może na wyrost, i piłam, po prostu piłam. I także to wyrzucałam sobie.

Wieczorem leżałam zalana w łóżku pustego domu, w którym nie miałam nikogo, kto by mnie ogrzał. To mnie rozczuliło, więc znów nalałam sobie setkę koniaku. Źle mi było na duszy, nie powinnam być sama, Staś nie mógł ciągle nocować poza domem. To ja jestem matką. Poderwałam się z kanapy i wzięłam w ręce kluczyki do auta, ale na szczęście miałam jeszcze tyle rozumu, by nie wyruszać nigdzie po kielichu. Jeszcze grzmotnęłabym autem w jakąś akację.

Późnym wieczorem zaterkotał mój telefon

komórkowy. Chwyciłam go, licząc, że to Ludwik, czasem, ale było to kiedyś, oddzwaniał, że dojechał do domu.

– Cześć.

– Cześć – odpowiedziałam powoli, siląc się, by język nie stawiał mi oporu.

– Nie dzwonisz?

– Nie interesujesz się mężem.

– Nie interesuję się. – Zabrzmiało to co najmniej jak nonsens. Połapałam się jednak szybko w tej komedii absurdu i wytrzeźwiałam. Ale dostałam czkawki. – To ja miałam dzwonić? Połaszczyliście się na moje pieniądze i ja mam o ciebie zabiegać? Coś cię walnęło w łeb?

Czknęłam.

– Sprawdziłaś konto?

Nie sprawdziłam. Chlałam. Rozstałam się na zawsze z Ludwikiem i cierpiałam.

– Jane dostała kredyt – kontynuował, gdy długo milczałam. – Pieniądze są na pewno na twoim koncie, jeszcze tylko trzy setki brakują, ale córka spłaci je w ratach z pensji. Igo, naprawdę nie po to się rozwiodłem z żoną, nie po *to* ją spłaciłem, nie po to – rozumiesz co to znaczy?

Rozumiałam. I w moim życiu sporo było tych „nie po to”. I co? Czy to, że z tego sobie zdawałam sprawę, coś zmieniło? Narobiłam dużo głupstw i nadal robię. Ślub

z Kosmą też był głupstwem. Powinnam pamiętać, że już dziadek mnie przed Bednarzami ostrzegwał. Czknęłam.

– Ulepszyłem nasz dom, jest ślicznie, ściany w salonie mają kolor waniliowy, jak chciałaś. Nasza sypialnia jest pistacjowa, a na ścianie, tej na wprost wejścia, nakleiłem fototapetę z trawami.

Znów czknęłam.

– Iguś, nie wiesz jeszcze wszystkiego. Są do kupienia dwa małe domki, stać cię na nie, przesłałem w mailu zdjęcia. I jeszcze coś. W przedpokoju czeka niespodzianka. Co tam, powiem teraz! To nowy, autentyczny kowbojski skórzany kapelusz z zielonymi aplikacjami i takie same kowbojki. Śliczne, kobiece. Wszystko ręcznie szyte.

Przyznaję, podświadomie chciałam, by tak właśnie się stało. Chciałam mieć dokąd uciec, chciałam nie musieć się znów rozwodzić. Chciałam wreszcie dać dzieciom stabilną przyszłość, stać się dobrą, kochającą matką zawiadującą rodzinnym biznesem. Ideałem żony też. W takiej kolejności.

– Igo, wtedy powiedziałem prawdę. Docień to. Naprawdę nie wiedziałem, że córka robi z twoich pieniędzy użytek. To było przestępstwo, miałaś rację. Jane się do mnie nie odzywa, straciłem ją. Ona być może nie może się pogodzić, że rozwiodłem się z jej matką. Trudno się żyje, gdy twoje dziecko rujnuje ci życie, ale przecież

mimo to dzieci nigdy nie przestaje się kochać. Igo, czy ty mnie słyszysz?

Słyszałam. Naprawdę, poczułam się przeproszona, "wzruszyła mnie szczerść Kosa. Kiedyś pewnie odwróciłabym się na pięcie i nie próbowała sklejać naszego związku. Wiele w swoim życiu przewartościowałam. Kosma i ja. Zawsze, mimo niesnasek między naszymi rodzinami, my byliśmy razem. Liczyła się przyjaźń. Wzruszyłam się, łzy kapały mi na kołnierz, w jakimś sensie znów byłam szczęśliwa. Czyżbym kochała ich obu?

– Co z nami? Igo, co z nami będzie?

– Powiesz mi, jaki kolor mają kowbojki?

Jaka to ulga, że znów mogę namieszać w życiu, tak jak oni wszyscy. Poczułam na policzkach podmuch, jak przy trzepocie skrzydeł. To anioły monitorowały mój obszar działania.

Byłam w wielu związkach, przechodziłam z jednego w drugi. Spotkałam miłość, to bardzo dużo, nie każdy ma takie szczęście, nieraz życia nie wystarczy. Będę zawsze pamiętać o Ludwiku. Ale teraz chcę już spokoju, nie szaleństwa. Nauczę się kochać Kosa, zaprzyjaźnimy się na nowo. Na pewno. Znów dostrzegłam załączek pewnych perspektyw. Zaczęłam się śmiać, cieszyć, zaczynałam wierzyć, że moje, wydawałoby się, złudzenia mogą stać się faktami.

\* \* \*

Tydzień godziłam się z samą sobą. To mi wystarczyło. Potem znów rzuciłam się w wir pracy, znów oglądaliśmy z Kosem zdjęcia domów w Stanach, kłóciliśmy się przez telefon, gdy nie podobały nam się te same. Między nami wszystko wracało do normy, rozmawialiśmy o wszystkim, omijając trudne tematy. Niestety, gdzieś w tyle mojej głowy ciągle kołatała myśl, by mu nie ufać. Wolałabym, by tak nie było, ale nie potrafiłam się wyzbyć tej nieufności.

Z Olą ciągle miałam utrudniony kontakt. Przygotowywała się do triathlonu. Albo była na pływalni i nie mogła rozmawiać, albo pedałowala na rowerze, ewentualnie biegła i telefon został w domu. Nasze rozmowy nie były miłe. Ciągle jej ten sport odradzałam, ale ona była tak zafascynowana wysiłkiem, walką ze sobą, z samotnością, z organizmem, rzekomym dobrodziejstwem, jakie uprawianie triathlonu niesie, swoją konsekwencją, że poza rozmową o odżywkach i zmaganiach ze swoim ciałem i z psychiką na trasie, żadne inne tematy nie mogły być poruszone. Ja popadałam w lęki, zastanawiałam się, czy w ogóle bywa na uczelni. Widziałam w Oli raczej oszołoma. Po kim ta fanatyczka odziedziczyła to napalenie na sport? Miałam oczywiście za złe Emilowi, że pozwala córce na treningi

ponad siły. Sam od czasu do czasu biegał, jak mi było wiadomo. Martwiło mnie, że Ola nie ma chłopaka, przecież ja w jej wieku byłam już po rozwodzie!

Po południu w biurze zadzwonił telefon. Miałam go nie odbierać, nauczyłam się nie reagować na telefoniczny brzęczyk, byłam zmęczona telefonami na jeden temat (zobowiązania Leszka), ale moja ręka sama chwyciła za słuchawkę.

– Ryszard Piątek. – Usłyszałam. Nic mi to nazwisko ani imię nie mówiło, ale generalnie nie miałam pamięci do nazwisk, powiedzmy szczerze. Byłam pewna, że to jakiś wierzyciel, windykator albo innej maści molestator i, jak to miałam w zwyczaju, bez emocji (prawie jak sprzedawca usług Netii) rzuciłam w słuchawkę wyuczonym tekstem.

– Podrol ma siedzibę w Kutnie i bardzo proszę tutaj już nie dzwonić.

– Jestem, a raczej byłem narzeczonym Grażyny.

Wow. Grażynę znałam tylko jedną. Małą, sprytną kombinatorkę, używającą pomówienia jako metody walki. Milczałam, choć z trudem. A jeśli kłamał? Przez telefon można było łączyć do potęgi. Przez telefon można było wszystko, na przykład mnie nagrać. Dość miałam wymuszeń, nakłaniania, intrygowania, kłamstw. W ogóle zadawania się z niejasnymi typami.

– Chcę złożyć zeznania na pani korzyść.

Muszę przyznać, że o takim scenariuszu nie

śmiałybym nawet marzyć. Sprawa Grażyny niezwykle mi ciążyła – wciąż przecież wisiała nade mną groźba oskarżenia z Kodeksu karnego i widmo wyroku. Mimo że byłam niewinna, zaczynałam zdawać sobie sprawę, że w sytuacji „słowo przeciwko słowu” plus jej obdukcja, skazujący mnie wyrok jest prawdopodobny. No i ta nierównowaga społeczna między stronami. Ona – pracownica, ja – właścicielka. Kurczewski nie prognozował uniewinnienia. Oczywiście prawomocny wyrok skazujący na pewno rzuciłby cień na moją osobę na lata i kto wie, co by się stało, gdyby kolejny bezczelny oszust użył przeciwko mnie podobnie kłamliwego pomówienia.

– Nie mogę dopuścić, by zwyciężyła nieprawda. Chcę zmienić zeznania. – Usłyszałam w słuchawce głos Piątka.

– Teraz się pan namyślił? Dlaczego nie wcześniej? Byłam ostrożna.

– Wyjechała do gacha!

– Czyli chodzi o odwet? Chociaż jest pan przekonany, że jej nie uderzyłam?

– To nie tak. Ja wiem, dlaczego miała siniaki. Wiem, jak i kiedy powstały.

Cóż za piękny zwrot akcji?! Widać, nie tylko w powieściach zdarzają się takowe. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, by radość zadomowiła się w całym moim ciele. Znowu mój świat był piękny, mimo iż jakże często

okrutny.

Umówiłam się z Piątkiem na wieczór w biurze.

Potem zadzwoniłam do Basi. Poprosiłam, by wzięła ze sobą Rysia i by koniecznie przyjechali. Potrzebowałam świadków. Dwóch to za mało, poza tym Koronowscy byli moją bliską rodziną. Zaprosiłam Kurczewskiego, ale się wymówił wyjazdem na rozprawę do Katowic. Na szczęście Jagna zgodziła się zostać ze Stasiem, a potem posłuchać oświadczenia, które w myślach zaczęłam formułować. Wieczór nadszedł prędko, pełen obietnicy, nadziei i prawdy w... domu pełnym złudzeń.

Piątek przybył punktualnie, wiedział, dokąd się kierować, nie błędził po budynku. Bywał u Grażyny nieraz. Miał wypłosz w oczach, rozumiałam to. W końcu na pewno nie jest przyjemnie stanąć oko w oko z kimś, kogo się chciało wmanewrować do paki.

Usiadł i zaczął mówić z wielkimi emocjami, o jakie go wcześniej nie podejrzewałam.

– Dziwka! Od miesiąca bodzie ją jakiś stary szkop z wyszukiwarki. Mieszkają na wsi w Dolnej Saksonii! Sama wyjechała, bez córki. Wie, że nabałaganiała w Polsce, to i uciekła.

– Wiedząc, że się wyjedzie, narobić takich kłopotów?

– Basia kiwała głową.

– Przecież nie miała u Igi źle – wtrącił się milczący do tej pory Rysiu.



– Musiało być, jak kazała. Taka jest, – Piątek wyglądał żałośnie.

Siadłam przy komputerze i zaczęłam spisywać słowa Piątka:

*Ja, Ryszard Piątek, oświadczam, że 28 maja 2008 roku, po wyjściu mojej byłej przyjaciółki Grażyny Chraplak z firmy Podrol mieszczącej się w Złotniczkach, gmina Pobiedziska, pojechaliśmy na Komendę Policji w Pobiedziskach w celu złożenia doniesienia o agresywnym zachowaniu się właścicielki firmy Podrol, Igi Podkańskiej, obecnie Bednarz, względem Grażyny Chraplak. Po złożeniu doniesienia na policji, z sugestią Grażyny Chraplak ustaliliśmy, że dodatkowym obciążeniem w stosunku do Igi Podkańskiej będzie oskarżenie jej o pobicie z dowodem obdukcji w Zakładce Medycyny Sądowej w Poznaniu. Udaliśmy się do mojego mieszkania w Pobiedziskach, gdzie przy użyciu twardego narzędzia w postaci klepki parkietowej \ drewna dębowego, za zgodą Grażyny Chraplak spowodowałem uszkodzenie jej ciała na wysokości prawego uda i inne znaczne siniaki. Następnie Grażyna Chraplak tym samym drewnem i w tych samych miejscach dokonała dalszych uszkodzeń ciała i otarć skóry. W dniu następnym Grażyna Chraplak, po obejrzeniu uszkodzeń na skórze i stwierdzeniu, iż, są one wystarczające, udała się na obdukcję do Zakładu Medycyny Sądowej w Poznaniu. Oświadczam, że słowa te powtórzę w prokuraturze, gdzie*

*stawię się na każde wezwanie. Świadkiem niniejszego oświadczenia była Iga Bednarz, Barbara Koronowska, Ryszard Koronowski i Maria Staszewska. To ja oświadczam, niżej podpisany – Ryszard Piątek.*

Wydrukowałam oświadczenie, przeczytałam na głos, nikt nie miał zastrzeżeń, zatem podpisałam je, dałam do podpisu Piątkowi, a potem pozostałym. Z Piątkiem nie mieliśmy nic więcej do omówienia, gdy wyszedł i odjechał, siedzieliśmy w milczeniu. Ja, co zrozumiałe, byłam w euforii. Pierwsza odezwała się Basia. Ulga rysująca się na jej twarzy była niemal namacalna.

– Tyle lat żyję, a nie wiedziałam, że i tak można postąpić.

– Można, tylko trzeba być nieźle pokreconym. Co ja jej zrobiłam? Wiesz? – Też się nadal dziwiłam.

– Igo. Ja ciebie bardzo przepraszam. Przyznaję się, nie wierzyłam ci. Sądziłam, że z nerwów, z tego pozakręcania, w końcu, miałaś depresję, łykałaś prochy... no i byłam pewna, że jej natłukłaś. – Basia spojrzała na Rysia, który włączył się do rozmowy.

– Gdy zobaczyliśmy ciebie podpalającą choinki, wtedy zaczęliśmy wszystko ze sobą łączyć. Że w szale, z nerwów, bo Grażyna nie postąpiła zgodnie z twoją wolą albo generalnie była wbrew... No, ale na szczęście byliśmy w błędzie. Igo, zaczyna ci się nareszcie układać!

– To nie jest jeszcze pewne. Przede wszystkim

prokuratura musi dać mi wiarę.

– Po zeznaniach Piątka? Korzystny dla ciebie obrót sprawy jest pewny. Igo, teraz powiedz na głos, a najlepiej krzycz, że chcesz żyć, cieszyć się, być wreszcie szczęśliwa. Wyjdź na wieś i krzycz! – Basia była uszczęśliwiona.

– Nikt mi nie uwierzy.

– Mylisz się. Uwierzą. – Przytuliła mnie do siebie.

– Dlaczego?

– Bo to jest prawda! – krzyknęli razem Koronowscy.

Rzeczywiście, byłam szczęśliwa, nareszcie się odwróciło. Z radości nie mogłam zasnąć. Następnego dnia wcześnie rano pojechałam z oświadczeniem Piątka do prokuratury. Niestety, nie chcieli mnie wpuścić do budynku, ale nie dałam za wygraną i kategorycznym tonem poprosiłam o przepustkę do naczelnika. Stałam przed portiernią, kiedy wartownik rozmawiał z kimś przez telefon. Po chwili z piętra zszedł drobny mężczyzna z zaciętym wyrazem twarzy, niewielkiego wzrostu.

– O co chodzi? – zapytał niby grzecznie.

Zaczęłam mu wyłuszczać, z czym przybywam, ale zauważyłam, że na mężczyźnie nie zrobiłam żadnego wrażenia. Próbował mnie zbyć, mówiąc, bym złożyła pismo w kancelarii. Teraz, kiedy moje było na wierzchu, nie mogli mnie zignorować!

Zaczęłam krzyczeć i machać urzędnikowi przed oczami oświadczeniem Piątka.

– Jak to?! Ściga się mnie, jakbym popełniła zbrodnię, nachodzi rodzinę, synka, który nawet jeszcze nie jest w wieku szkolnym, podpytuje się sąsiadów. Ja sama mam napady paniki, objawy zawału, nie sypiam. I dlaczego? Ano dlatego, że pewna idiotka dla zabawy, dla pieniędzy, a może nawet dla samej intrygi postanowiła mnie oskarżyć! Co w takim przypadku robi aparat sprawiedliwości? Broni mi dostępu do instytucji, oczyszczenia się z zarzutów, do złożenia wyjaśnień. Jestem niewinna. Czy w tym gmachu jest choć jedna praworządna i szanująca sprawiedliwość osoba? Jeśli jest, to ja poproszę o widzenie z nią.

– Widzenia będzie pani mieć, jak przegra w sądzie sprawę, a po ataku na urzędników państwowych niechybnie to grozi. No chyba, że zostawi pani to, co ma do zostawienia w kancelarii i pojedzie do domciu się nieco uspokoić. I nie wróci do nas więcej niewzywana.

Słowa ostre jak skalpel. Suchy ton i jednocześnie kamienny wyraz twarzy urzędnika od razu mnie otrzeźwiły. Pokonana, wyszłam z budynku, wsiadłam w rzęcha i wróciłam do domu. Po drodze pomstowałam na fajtlapy na drodze, na koleiny, złe oznakowanie, ale już dużo, dużo ciszej.

– No i? – spytała Basia.

– Jakoś. – Wzruszyłam ramionami, pacnęłam drzwiami i nic nie mówiąc, z podejrzliwie na mnie zerkającym z tylnego siedzenia Stasiem pomknęliśmy do domu.

\* \* \*

Kurczewski został oczywiście urzędniczymi kanałami powiadomiony o mojej bytności w prokuraturze. Był oburzony, podobnie jak jego przodek wlepiający na mnie bezczelnie gały z obrazu podczas każdego mojego pobytu w kancelarii. Przy czym antenat nic nie mówił, za to mecenas ze złości omal zapomniał o etykiecie. Wytkną mi choleryczny charakter, bezmyślność i absolutnie emocjonalne działania, do jakich podobno w ogóle nie przywykł. Wszystko było nie tak Na oświadczenie Piątka rzucił okiem, ale nawet nie mrugnął. Jak to?! Trzymałam w ręce jedyny, piękny, absolutnie unikatowy dowód na swoją niewinność, a on go miał za kwit z magła?

– Ładne świadectwo sobie pani wystawia! To oczywiste, że w takim stanie rzeczy prokuratura nie umorzy sprawy, a wręcz przeciwnie, bezzwłocznie skieruje ją do sądu. Będzie, że w afekcie, w zdenerwowaniu mogła pani powódkę pobić. W mojej ocenie to dokumentują także inne dowody – Może skupmy się na fakcie, że Piątek zezna przed sądem coś całkiem odmiennego.

– Każdego świadka można zdyskredytować.

Jedziesz do swojego adwokata z niepodważalnym dowodem w garści i oczekujesz choćby poklepania po plecach, a nie mnożenia trudności, wyszukiwania wszystkiego przeciw. Oszczędzasz ostatni grosz, a co masz w zamian?

– Pozwolę sobie zaproponować. Uważam, że na podstawie zeznania kochasia kłamczuchy każdy sąd uzna mnie za niewinną – powiedziałam być może nieco za głośno.

– Gdyby nie obdukcja i zwolnienie lekarskie na czas dłuższy niż siedem dni...

Kurczewski wertował moją teczkę, naklejki „trudna klientka” tym razem nie zauważyłam. To był czas niedobrych relacji między nami, wszystko mnie w mecenasie drażniło. Jego powolność, wymuskanie, brak dbałości o moje sprawy, wreszcie – brak entuzjazmu. Bywało, że podejrzewałam go nawet o spiskowanie z Chraplakową. Siłą woli powstrzymywałam się, by nie dobić go pytaniem o polisę. Mógł już wieki temu odebrać odszkodowanie, wsadzić do kieszeni i za te pieniądze wybyczyć się na Madagaskarze. Powstrzymałam się. Stwierdziłam, że poczekam, nie dam już nikomu więcej powodów, by nazywano mnie furiatką!

Po powrocie do domu, klapnęłam wyczerpana w pokoju na kanapie, przykryłam się ulubionym pledem po babci. Przeżył wysiedlenie, czasy powojenne, był z nimi, z nami, a teraz jest ze mną.. Płynęło od niego

ciepło wszystkich właścicieli, pozytywna energia, przekaz wręcz. Scheda.

W Domu Złudzeń było cicho. Złudzenia nie czynią hałasu, są bezgłośnie, zawstydzone i niechętnie się ujawniają. Nie należą) się ich wstydzić. Wstydzić się trzeba koniecznie, gdy nie ma już nic – ani złudzeń, ani marzeń i pragnień, gdy się boimy. Wtedy nie ma działania i nie ma życia. Bo życie to działanie.

Obudziłam się, gdy na dworze było już ciemno. We wsi gdzieśgdzie świeciły się lampy, było cicho, słyszałam tylko gruchot gołębi. Spadł śnieg. Barbara po lodzie, święta po wodzie. Takie porzekadło. Był 4 grudnia. Przeczytałam wiadomości na komórce: „Położyliśmy Stasia do spania” i od Oli: „Za kilka dni będzie mój kolejny dzień próby. Wylatuję do Włoch na zawody triathlonowe. Mamo, proszę, przestań się o mnie wreszcie martwić, a przeciwnie, kibicuj. Chyba dobrze, że jestem wysportowana, nieprawdaż?”. Tym razem nie zmartwiła mnie ani wiadomość pierwsza, ani druga. Było mi ciepło, spokojnie, zrobiło się sennie. Czułam się jak w gorączce.

Gdy byłam dzieckiem, nie znośiłam chorować, miałam rozpalone czoło, w gardle ranę, ale udawałam, że nic mi nie jest. Mama była najważniejsza, jej choroba, nie moja, dziecięca, niepoważna. Któregoś dnia zemdlałam w drodze do szkoły i wtedy się zaczęło. Tydzień mnie trzymali w łóżku, byłam ważniejsza od mamy, to mi

parzyli herbatę, dla mnie kupowali maliny, winogrona, załatwiali banany spod lady, wszystko, co lubiłam. Dziadek mi opowiadał o świecie, siedząc przy moim łóżku dłużej niż zazwyczaj. Ja zaś się wcale nie cieszyłam z takiego obrotu spraw, przeciwnie, wyrzucałam sobie słabość. Tak było.

Zmieniłam ubranie na strój nocny, pled z historią na ciepłą kołdrę i opadłam w ubraniach do łóżka. W nocy obudził mnie nieznośny ból mięśni i wszystkich stawów. Rwaący, nieprzyjemny, nie dał mi spać. Nie zadziałały żadne środki przeciwbólowe. Rano nie mogłam ruszyć ręką ani nogą. Bolały mnie zuchwa, nadgarstki, jeden bark nie działał. Było mi zimno. Zaczęłam płakać, uzalać się nad sobą. Kilka godzin trwało, zanim wydobyłam się z łóżka. Moje dłonie, ramiona i kolana były sztywne, trudno było nimi ruszyć, a jeszcze trudniej się ubrać. Wtedy zadzwoniłam do lekarza, który zawsze miał dla mnie czas, a ja dla niego pieniądze. Doradził mi wizytę u reumatologa, którego – natychmiast powiadomił, że będę. To wszystko przestawało być zabawne, ale się podporządkowałam. Po dwunastej i w południe miałam w ręce skierowanie do szpitala.

Podjęłam decyzję, że na początku nowego roku zamknę się w lecznicy.

W firmie nie miałam nic pilnego do wykonania, wszystko było w zawieszeniu. Odpuściłam również sprawy prawne. Przepisany przez lekarza steryd



natychmiast uśmierzył ból, a mi (choć w małym stopniu) wrócił optymizm. Basia uszykowała dla mnie napar z pokrzywy i z ostrożnia. Nalała wody do wanny. Przygotowała kanapki. A ja chorowałam. Leżałam w gorącej kąpieli, aż zrobiło mi się cieplej. Poczułam się dużo lepiej. W dzień mogłam poświęcić się dziecku, wieczorem z zadowoloną z wyników we Włoszech Ok trajkotałyśmy o wszystkim, przeważnie o pieniądzach z odszkodowania za auto, ale głównie o Grażynie i jej pomówieniu. Ola dała mi kilka cennych rad. Uspokoiliam się.

Minęło kilka dni, czułam się na tyle dobrze, że mogłam wraz ze Stasiem pojechać do filharmonii na obiecany koncert kolęd chóru chłopięcego. Stareńki Stefan Stuligrosz dużo opowiadał, powtarzał w kółko to samo, myliło mu się, ale chłopcy zaśpiewali naprawdę pięknie. Staś nie wyszedł z podziwu.

- To są dziewczynki przebrane na chłopców?
- Nie, dlaczego?
- Bo mają piszczące głosy.

W święta Bożego Narodzenia znów poczułam się gorzej, przeleżałam je w łóżku, było mi obojętne, jak je spędzam. Spałam, przez telefon żaliłam się Kosmie, on mnie pocieszał, to i tak nie poprawiło mi humoru, przez co nastrój w domu był ogólnie minorowy. Ochraniacze na kolanach i nadgarstkach nic nie dały, nie miałam apetytu,

nawet nie spróbowałam mojej ulubionej zupy borowikowej. Tylko posmakowałam klusek z makiem. Jaka Wigilia, taki cały przyszły rok? Czy jaki Nowy Rok, takie kolejne trzysta sześćdziesiąt pięć dni? Porzekadła, porzekadła, głupoty jakieś. Byłam chora, ciężko chora, z nadzieją czekałam na wyznaczony dzień położenia się w szpitalu.

\* \* \*

Sala pięcioosobowa, kalekie kobiety, z endoprotezami, poruszające się przy balkonikach, trzaskające żelastwem o metalowe łóżka w dzień i w nocy. Bądź inne, inwalidki, leżące, podnoszące się tylko by zjeść okropność zwaną szpitalnym posiłkiem. Powykręcany mi na wszystkie strony rękoma wkładały sobie do ust chleb pomazany margaryna Obserwowałam, jak zakładają przez głowę na opuszczone biusty staniki bez zapięcia. Patrzyłam na chore leżące, przypięte kroplówką do łóżka, mogły w jednej pozycji leżeć całe dnie. Oczy miały skierowane w sufit, jakby były martwe.

Nie potrafiłam, a nawet nie chciałam powstrzymać łez. To nie tak ma być ten świat urządzony! Kobiety są słabej konstrukcji! Kobiety nie mogą pracować ponad swoje siły! Skąd ja to znałam? Moja nefajna przeszłość przewijała mi się w głowie jak film w kinie. Skoro

trafiłam na oddział, gdzie leżą same inwalidki, to i moja przyszłość jawiła się horrorem. Będę dziobać suchą kromkę chleba opuszczonymi w dół ze zgryzoty ustami, trzymając ją w wykrzywionych dłoniach, przypominających kurze pazury. Moje niedołęstwo będzie widoczne, będę się wstydzić, będę się starać zatuszować ułomności, ale to i tak nic nie da. Stanę się nieważną dla nikogo pokraką, wrakiem człowieka, dam światu czytelny komunikat.

Że ze mną można wygrać.

Tak, moja choroba na pewno jest ostrzeżeniem, komunikatem, że wreszcie muszę wbić sobie do głowy, że na pewno nie grozi mi nieśmiertelność. Nie, nie miałam jeszcze stuprocentowej diagnozy. Ale cóż. Kolejnego dnia rano już miałam. Reumatoidalne zapalenie stawów, choroba o podłożu autoimmunologicznym. Nieuleczalna. Przewlekła. Prowadzi do całkowitego inwalidztwa, atakuje serce, płuca, nerki.

Nigdy, przenigdy nie brałam pod uwagę takiej ewentualności. Bałam się zawału, raka, udaru, no, może jeszcze jakichś innych opcji sercowych. Ale nie projektowałam dla siebie niedołęstwa, które łączyłam wyłącznie ze staruszkami, z ciężką pracą fizyczną w przeszłości, z wilgocią i ustawicznym zimnem. Nic bardziej błędnego. To choróbsko wiąże się z defektem układu odpornościowego, dochodzi do błędnego rozpoznania własnych tkanek jako wroga i produkowania

autoprzeciwiał mających na celu niszczenie zdrowych stawów. Odpowiedzialne mogą też być niektóre bakterie i wirusy, a także stres. Istotne jest obciążenie dziedziczne. Tak mówił lekarz. Niestety, chorobę powstrzymuje się tym samym medykamentem co białaczkę. Bardzo toksycznym.

Moje rodzinne doświadczenia były wiadome. Mama zmarła na raka piersi, dziadek na raka płuc, babcia nie wyszła po grypie, a ojca dotknął zawał. Ja mam być kolejna? Zaczęłam myśleć, ile złego narobiłam, ile świństw, bo zapewne dlatego... mam być kolejna...

\* \* \*

– Za późno. Dla mnie okazało się za późno – mówiła jedna.

– Nie będzie źle, proszę się nie martwić, już dziesięć lat z tym żyję. Raz w tygodniu Trexan, codziennie steryd, w kolanach mam endoprotezy, grozi mi wymiana stawu biodrowego. Ale nie jest źle... – To słowa optymistki z pamperssem w kroku, poruszającej się przy pomocy sanitariuszy.

Nienawidziłam tych kobiet. Markowały wesołość. Jakież to było żałosne. Kłamały. Jak można cieszyć się życiem, będąc takim wrakiem człowieka? Jak można cieszyć się życiem, leżąc pod kroplówką, a cienka jak

pergamin od sterydów skóra i wiotkie żyły nie dają gwarancji na kolejne wkłucie? Nienawidziłam i brzydziłam się. Za żadne skarby nie potrafiłam dostrzec w tych inwalidkach istot pięknych, miłych, czułych i pożądanых. Przecież ja nadal chciałam, by mnie pożądał mężczyzna! Dopiero niedawno odkryłam, że mogę się cieszyć i delectować seksem i całą tą sferą intymności. Ludwik. Owszem, to moja miłość. Ale opamiętałam się i to z Kosmą chciałam wreszcie osiąść i wieść życie szczęśliwe. Znów miałam w nieszczęściu szukać szczęścia, a w brzydocie piękna? Znalazłam boga finansowo wykluczonych, teraz miałam wyglądać boga chorych i niedołączonych?

Nie będę mnożyć bogów, mi musi wystarczyć jeden!

– To ból powołał do życia lekarzy – powiedział czytający myśli z moich oczu ordynator.

– Według mnie dylemat „leczyć czy nie?” rozwiąże zarówno wiedza, jak i wyobraźnia.

– Racja. Pani Igo, no cóż, ma pani pecha, ale objawy i wyniki wskazują, że to lekka postać. Jeśli zaczniemy leczenie natychmiast, będzie pani długo sprawna.

Marzyłam, by nigdy nie usłyszeć tego zdania. Ma pani pecha, i można iść dalej, bo się pocieszyło. Ma pani pecha, bo będzie pani już całe życie faszerowała się chemią, która jedno uleczy, a inne zniszczy. Do mnie te słowa? Do mnie, która dotąd najwięcej siły czerpała

z własnego nieszczęścia?!

– U kogoś w rodzinie zdiagnozowano tę chorobę?

Niestety, dopatrzyłam się w tym pytaniu ukrytych komplikacji. Każdy lekarz nade mną górował. Owszem, mogłam przeczytać o chorobie w necie, nawet wpisy frustratów na forach, ale to lekarz, każdy, bez wyjątku, douczony bądź nie, powinien znać statystyki chorób, takich jak moja też, i on, ten lekarz, wiedział, jakie naprawdę będzie rokowanie, na co zaszkodzą leki, jak są toksyczne, czy mnie okaleczą, czy może okaleczy mnie choroba. Na tym polega wyższość lekarza nad każdym pacjentem. To on jest panem sytuacji. Nie ja. Ja mogę jedynie podjąć ryzyko i leczyć się bądź nie. Uwierzyć, że toksyczność Trexanu mnie nie zabije bądź nie uwierzyć i skazać się na życie w inwalidztwie i w nieustającym bólu. Bądź nie uwierzyć w nic, żyć jak do tej pory, widzieć, że okresy względnego spokoju nie wychodziły mi na zdrowie.

– Nie wiem. Zazwyczaj umierali zbyt młodo – odpowiedziałam po bardzo długiej chwili.

– Wyniki wskazują niestety na obciążenie genetyczne, ale jest pani heterozygotą – zażartował profesor.

Dziadek Florek, według słów mamy, gdy jeszcze żyła, nie był zdrów. Pamiętałam jego dłonie, palce, zgrubiałe i wykręczone. Myślałam, tak mówili, że to

z powodu wojny i pracy. A może jednak to on mi przekazał w spadku coś, czego nie chciałam, ale mimo to musiałam to przyjąć i dalej żyć? Pierwszy raz pomyślałam o dziadku jak o wrogu.

– Dobrze by było wyeliminować stres i napięcia emocjonalne, oczywiście na tyle, na ile się da. Miała pani w przeszłości sytuacje obciążające system nerwowy?

– Tak.

Jakże lepiej od razu się poczułam! Tak, oczywiście, wszystko bierze się ze stresu, z napięć, a nie z dziadków, co to za Polskę wolną i niezawisłą od wszelkiego najeźdźcy stawy narażali.

– Stres towarzyszy nam od początku życia. Narodziny są stresem, śmierć jest stresem, choroba naturalnie także. Przez całe życie podświadomie się boimy nieszczęść – kontynuował lekarz.

Dzień wcześniej przeczytałam w Internecie ulotkę Trexanu. Mogą wypadać włosy, nie powinnam się opalać, mogą pojawić się nudności, zaburza obraz krwi, niszczy wątrobę, szpik kostny. Hamuje aktywność układu immunologicznego. Straszne.

– Ile lat jeszcze będę żyć, jedząc *to* świństwo?

– Czy ktoś zna datę swojego końca? Zresztą na *coś* trzeba umrzeć – zażartował profesor.

Nie o taki rodzaj rozmowy mi chodziło. Byłam naprawdę przerażona. Strata. Towarzyszyła mi zawsze,

a mimo to ciągle sobie z nią nie radziłam. Spiker w radiu w sąsiednim gabinecie albo w poczekalni, nie mogłam tego wiedzieć, ogłaszał komunikat meteorologiczny. W Niedoni, na Warcie, w Raciborzu, w Połęcku. I wymieniał dalej: w Szczucinie, Zawichoście i Kępie Polskiej. Tam stan wody się obniżył. Co mnie obchodzą stany wody na skutych lodem rzekach, kiedy wkładają mi do głowy, że jestem tuż od wykonania wyroku? Jak długo można żyć ze stanem zapalnym i dzień za dniem widzieć, że moje dłonie o długich i szczupłych palcach zaczynają przypominać kurzy pazur? Po nieszczęściach, które przeszłam, a które mnie w jakimś sensie zbudowały, nie mogły ciągle następować kolejne! Ciągle i ciągle. Wiem, co by powiedziała Ewa. Kara boska. Bzdura. Gdyby coś takiego istniało, Ewa ciągle byłaby wśród nas.

Strach mnie nie opuszczał, znów musiałam się z nim uporać sama. Bez względu na to, ile gromadzimy ludzi przy swoim łożu, my, chorzy, tak naprawdę z chorobą zmagamy się sami. Tak myślałam, choć coś mi mówiło, że źle na to wszystko patrzę. Byłam, co całkiem niedawno zrozumiałam, człowiekiem akcji. W życiu potrzebowałam przeszkód, doświadczeń. To ja kreuję swoje życie, ode mnie zależy, czy potrafię dostrzec dobro, które także niewątpliwie mnie spotyka, czy tylko zło. Ten myślowy korytarz był ciekawszy od poprzedniego i dał mi emocjonalne wytchnienie. Tam, w szpitalu, pośród niedołęstwa, postanowiłam definitywnie odciąć się od przeszłości i sprzedać mieszkanie po rodzicach na Grobli.



Z telefonu komórkowego, jeszcze ze szpitala, wysłałam do pośrednika ofertę.

Odkąd opuściłam szpital, nie było dnia, bym nie przyglądała się kobietom na ulicach, w sklepach, restauracjach, w samochodach. Były ładne, wystrojone, zdrowe. Oczywiście nie miały jeszcze wiedzy, jaką ja już posiadałam – iż z dnia na dzień można stać się kimś zupełnie innym. Nie wiedziały, że osobowość też może umrzeć. Moja dawna umarła.

Basia, widząc mnie zamyśloną i małomówną, zarzuciła mi hipochondrię:

– Nie powinno się jeździć ciągle po lekarzach, przynajmniej się nie wie.

– No i powinno się umierać zdrowym.

## **1999**

Poszukując recepty na życie, zdałam sobie sprawę, że już nie lubię niczego co wiejskie. W latach dziewięćdziesiątych wieś kojarzyła mi się z tandetą, a polski folklor sprawiał, że czułam się zażenowana. Niemniej wtedy, siedząc te kilka miesięcy u Basi i Rysia, spoglądając w dół na byłe łąki dziadka, na rzeczkę, która w międzyczasie stała się piaskownicą, na lasy i nowoczesne domy, poczułam współbrzmienie. Zaś bałkańskie rytmy, połączone ze śpiewem i tańcem

ludowych zespołów i chórów, sprawiły mi przyjemność. Zrozumiałam, że wszystko do siebie pasuje. Ta muzyka złapała mnie za serce i nie chciała puścić przez dobrych kilka miesięcy. Obrazu dopełniał upał, nie było dnia, by słońce nie prażyło, ludzie wyglądali chmur, było ciężko, a kasandrycznie nastawieni chłopci przepowiadali suszę, a co za tym idzie – nieurodzaj. Tęskne melodie, wibrujący rytm, upał jak w Afryce, nastrój niczym na bałkańskiej cygańskiej biesiadzie i... czekająca na deszcz polska wieś.

## **Zima 2009**

Przez kolejne dwa zimowe miesiące potrzebowałam ciągle gadać o swojej chorobie, wciągałam do rozmowy każdego, kto się pojawił. Adele Renz wypytywałam o choroby dziadka. Potwierdziła, że cierpiał, ale nic sobie z tego nie robił. Żył prawie dziewięćdziesiąt dwa lata! Pocieszona możliwą perspektywą długowieczności kupiłam od niej duży słój miodu gryczanego i wytłoczkę jajek. Wraz ze Stasiem miodem zajęliśmy się od razu, kompulsywnie, wylizywaliśmy prosto ze słoja paluchami, aż kleiły nam się buzie, ubrania, a nawet włosy.

Od miesiąca zażywane sterydy sprawiły, że nie cierpiałam, to była pociecha.

Staś ciągle mi się przyglądał, patrzył na moje ręce. Gdy mi coś upadło na podłogę, podnosił albo łapał

szufelkę i zmiotkę, by wyczyścić podłogę z okruchów. Sam zakręcił słoik po miodzie, wstawił do kredensu. W końcu zadał mi zaskakujące pytanie:

– Czy ja będę po tobie dziedziczył?

– Tak, ty i Ola. Kosma tylko z majątku, jaki stworzymy razem. Dlaczego pytasz?

– Bo chcę się zrzec twojej choroby.

– Skąd znasz takie określenia?

– Ola mi powiedziała, że spadku można się zrzec.

– Nie będziesz moich chorób dziedziczył, obiecuję. Uwierzył. No, ale ja sobie mogę obiecać! Wieczorem, jak zawsze, spotkałam się z Kosmą na Skypie. Podczas każdej rozmowy Kos nawiązywał do nieszczęsnych pieniędzy, które o mało nas nie podzieliły. Przy czym ja jeszcze nie potrafiłam ze sprawy żartować, nabrać dystansu, usztywniałam się i nabierałam wody w usta.

– Igo, posłuchaj i przemyśl. Jeśli nadal masz zamiar stawiać między nami bariery, bo na przykład nie potrafisz zapomnieć, to uwzględnij, jak do tej pory między nami było. Wiem, jestem wręcz pewien, że byliśmy i nadal możemy być szczęśliwymi ludźmi. Chcesz to zniszczyć? Jestem w stanie w końcu nawet i to uznać, ale wcześniej postaram się tobie na to nie pozwolić.

Nie chciał pozwolić na rozmienianie życia na drobne, na brak przebaczenia i zrozumienia. Chciał, abyśmy razem coś stworzyli, znów, bo przecież kiedyś straciliśmy

tę szansę. Dla mnie zburzył swoje dotychczasowe życie, ja wcześniej także burzyłam, nawet niejedno, jednak nie czyniłam tego dla kogoś. Niszczyłam dla siebie, z głupoty, lekkomyślności. Nie było mi łatwo dostosować się do jego słów.

– Chcę zapomnieć o smutkach. Pomożesz mi?

– Będę to czynił aż do śmierci.

Zaczęliśmy się umawiać, że będziemy robić to samo o tej samej porze. On w USA, ja w Polsce. Gdy chcieliśmy obejrzeć ten sam film, jeszcze wychodziło. Jeśli umówiliśmy się, że będziemy to samo jeść, już było gorzej, różnica czasowa komplikowała zamysł. Całkowicie zaś nie wychodziło nam wspólne spanie. Niemniej Kosma dbał o mnie, troszczył się o moje zdrowie, pilnował. Ciągłe nalegał, abym w końcu przestała się bać i zaczęła leczyć. Co piątek pytał o to samo.

## **Wiosna 2009**

Zaczął się maj, nikomu nie pokazywałam rąk, wydawały mi się zmienione, ale być może przesadzałam. Na nadgarstkach nosiłam rękawki.

Minęło kilka kolejnych tygodni. Potwornie bałam się skutków ubocznych immunosupresantu. Ciągłe przeglądałam fora, nie tylko polskie, wszyscy się bali.

Gdybym nadal zwijała się z bólu, najpewniej byłabym już po połknięciu porcji tabletek, ale po sterydzie choroba się wyciszyła. Wprawdzie nadal wstając z łóżka nie mogłam się podeprzeć, nie zawsze udawało mi się przenieść talerz z jedzeniem i podobnie bywało z kubkiem z herbatą, mimo to ciągle eksperymentowałam, czy będę mogła wygrać z chorobą bez leków. Lekarzom nie przyznawałam się do tego, to jasne.

– Musi pani wiedzieć, że nawet stosując Trexan, mimo wszystko choroba będzie nadal postępować. Ale wolniej albo dużo wolniej. Powinno też dojść do remisji.

Nie wierzyłam lekarzom. Tak. On wiedział na pewno, że los wydał na mnie wyrok, który nie jest do kasacji. Każdy lekarz to wie. Każdy świątły immunolog wie, że nie można uleczyć sfiksowanego organizmu, który woli własną błędną drogę postępowania. Organizmu, który okazał się straceńcem i strzelał do własnej bramki.

Minał kolejny tydzień, Kosma nalegał. Basia też ciągle przemawiała mi do słuchu. Wreszcie w czwartek podjęłam decyzję, że w piątek pod koniec dnia zjem to świństwo. Wieczorem położyłam Stasia wcześniej spać, oczy mu się kleiły już od popołudnia.

– Coś inaczej dzisiaj wyglądasz – powiedział, zanim usnął. Stało się normą, że ciągle mnie obserwował, nic jego uwadze nie mogło umknąć.

– Starzeję się, masz, dziecinko, bardzo już starą

i chorą matkę.

– Musisz się wreszcie oduczyć chorowania. Nie chcę, byś umarła, mam dość umierania! – krzyknął i usiadł na łóżku. Potem zaczął płakać.

– Obiecuję, że się oduczę.

Muszę się oduczyć chorowania, jakie to proste!

Zostałam sama z sobą. Usiadłam przy oknie z widokiem na hyczkowy zaułek, na gołębnik. Wypatrywałam mojego gołębia z kolorowym paskiem na brzuszku. Nie przyleciał. Wyciągnęłam album ze zdjęciami z młodości. Ewa w prochowcu na Zegrzu, Ewa na zdjęciu legitymacyjnym. Ewa na rowerze w wielkich słonecznych okularach na nosie i butach na koturnach. Ewa w różowej sukience. Ewa w wiśniowym sadzie. Nie miałyśmy ani jednego wspólnego zdjęcia z ostatnich dwóch lat!

Dlaczego świat nie dał mi bez walki tego co najlepsze? Niektórzy nie mają ciągle „pod górkę”. Bez walki! Idiotko! Wtedy też było ci źle! kłótnia z samą sobą mnie uspokoiła. Wyciągnęłam tom wierszy Eliota i tequile, którą trzymałam na ten „ostatni” wieczór bez leków.

*Skoro już skrzydła nie niosą mnie w przestrzeń,  
Tylko z wysiłkiem biją powietrze*

*Teraz już próżnie, doszczętnie jałowe,  
Bardziej próżne i jałowe niż wola.  
Ucz nas jak troszczyć się i jak nie troszczyć  
Ucz nas cichość*

(Thomas Stearns Eliot – „Popielec”)

Noc przychodzi szybciej, gdy jest się na gazie. Siedząc nad w połowie pustą butelką tequili, myślałam, że skoro leki mają tylko tłumić objawy, a nie leczyć, skoro zapowiada się ponura przyszłość, muszę znaleźć dla siebie coś ważniejszego. Pewność. Siłę. Tak, wiem. Pokonam chorobę. Zmienię swoje myślenie. Wyzdrowieję!

To był ostatni raz, kiedy kładłam się spać pijana.

Następnego dnia pod wieczór usłyszałam wronczyński dzwon, a potem zjadłam pierwszą dawkę Trexanu. Nic mi nie było, żadnych torsji, zawrotów głowy. Nic.

\* \* \*

Po dwóch tygodniach poczułam się o dwadzieścia lat młodziej. Bez bólu, bez opuchlizn. Potrafiłam sama zapiąć sobie biustonosz, zapleść włosy w kok, Zawsze liczyłam,

ile ich zostało na szczotce. Kilka przy każdym szczotkowaniu, czasem kilkanaście, ponoć to jest norma u zdrowego człowieka, ale ja byłam przewrażliwiona. W mojej łazience pojawiło się kilka cudownie działających na włosy szamponów i równie cudotwórczych odżywek.

Pewnego popołudnia siadłam przed lustrem i poprosiłam Basię, by mi obcięła włosy. Dawno ich nie podcinałam, budziłam się ze splątanymi, łamały mi się i znów musiałam usuwać je ze szczotki. Basia ciachnęła je na wysokości ucha. Patrzyłam na siebie w lustrze. To ja? Patrzył na mnie ktoś bardzo podobny do młodego Marcinka Karwowskiego z „Czterdziestolatka”. Zaśmiałam się. Mimo razów w łeb, mimo krachów i rozczarowań bynajmniej nie na plus, znów potrafiłam się śmiać.

Basia pakowała do koperty moje długie, kręcone pukle.

– Dam perukarzowi, niech zrobi fryzurę, jaką miałaś. Wyłysiejesz, naciągniesz na głowę, a nikt nic nie zauważy.

Wyłysieję! Zachichotałam.

Chciałam być ładna, zdrowa, ale bez przesady, będzie, jak będzie. Zaczynałam mieć dystans do choroby.

– Na problemy ze stawami najlepiej jest wychłostać się pokrzywą. Spróbuj.



– Egzorcystki ze mnie na pewno nic zrobisz. –  
Uśmiechnęłam się.

– Startujesz w przetargu o Dom Złudzeń? Mają ogłosić, słyszałam w mieście.

– Nie – skłamałam. – Wyjeżdżam i o Złotniczkach już nie myślę biznesowo.

– Przywróciłaś światu ruinę, a chcesz komuś podarować piękną nieruchomość! Nie żartuj.

– Koniec marzeń, a może złudzeń. Boję się, że nie wygram – kłamałam dalej.

– Gadanie. Jeśli nie masz na wadium, to ci pożyczę.

Zrozumiałam, że oni jednak we mnie wierzą. Nie zdradziłam Basi planów, choć język mnie świerbił. Miałam jakiś niedosyt niedomówienia.

\* \* \*

Fajnie. Stawałam się optymistką. Kiedyś, na samym początku, gdy zostałam sama, bez pieniędzy, z długiem, czułam się wykluczona. Rozstając się z Leszkiem, byłam naiwna, wprawdzie pełna werwy i z bojowym nastawieniem, ale absolutnie nie zdawałam sobie sprawy z tego, co mnie czeka. Teraz już wiem wszystko. Jak i dlaczego na tym świecie to wszystko „biega”? Poznałam sieci różnych powiązań. Jest kasa, nie ma „wybacz”.

Grasz. Nie ma pieniędzy, jesteś biznesowym śmieciem.

Czy coś straciłam? Tak. Na pewno ufność. Ale jednocześnie uwierzyłam, że można być bankrutem i żyć. Można być zadłużoną i mieć małe radości. Wiem już, że szczęście dają drobiazgi, to one stanowią sedno i antidotum na brak pieniędzy. Czym jest strach? Wiem. Czym jest panika, lęk o dzieci, o rodzinę, o jutro, o zwyczajne przetrwanie? Też wiem. Dużo wiem.

Wyszłam na wieś, przy pompie natknęłam się na udającą się na wieczorne nabożeństwo Ninusię, która, jak zawsze, gdy mnie tylko miała w zasięgu swojego wzroku, informowała mnie z emocją o jakże ważnej sprawie:

– Są!

Rozśmieszyła mnie. Lniany beret zsunął jej się na czoło, okulary przekrzywiły, ale generalnie była elegancka, nienaganna w stroju, podobnie jak matka. Jasna, w kwiatkach, z białą torebką na złotym łańcuszku, w białych sandałkach. Uśmiechnęłam się i podziękowałam, choć cisnęły mi się na język inne słowa: „No i co z tego, co mnie obchodzą jakieś jajca, już mam więcej pieniędzy i nie muszę ciągle jeść jajek!”. Byłoby to bardzo niegrzeczne i niewdzięczne. Ja i Adela Renz byłyśmy jak naczynia połączone, żyłyśmy z wzajemnej relacji, podziwu i adoracji. Ona mi opowie, a ja od niej kupię czy posmakuję. Ona mnie pochwali, a ja ją.

## Lato 2009

Mijały dni, tygodnie, miesiące. Żniwa zakończyły się sukcesem. Wypadły dużo lepiej, dały lepszy wynik finansowy, gdy nie zatrudniłam nikogo na stałe. Wzorem dziadka wynajęłam do pracy kilka kobiet z okolicy i kombajn. Waldek Czaja pokazywał się w Złotniczkach, starał się być usłużny, jak to on. Zjawiał się rano i karmił mnie swoimi myślami. Nie mówił już o szlifierce ani o wiadrze z narzędziami po przodkach, teraz raczył mnie opowieściami o klientach. Od kilku miesięcy był taksówkarzem. Waldek nie przyjeżdżał gratis czy na pogawędkę. Czekał na kasę. Nie ze mną takie opcje, nie jestem Skarbem Państwa. Wynegocjowałam rabaty i dzięki temu mogłam się go pozbyć z listy płac za niewielką odprawę.

Wygasałam wszystko. Na moje konto wpłynęły pieniądze od towarzystwa ubezpieczeniowego za spalone auto, nawet z odsetkami. Długo nie dawałam wiary mecenasowi, niesłusznie. Rzeczywiście moja sprawa utknęła w szufladzie agentki ubezpieczeniowej. Zdarza się. Kurczewski znów wrócił do łask, nie był przecież taki zły!

W połowie sierpnia przyleciał do Polski Kos. Mój Kosmaty. Przeżyliśmy jedną z piękniejszych w naszym życiu nocy miłosnych. To był seks wypielegnowany. Nie znałam takiej opcji wcześniej, mi się raczej spieszyło.

Odkąd zabrałam się za interesy, dążyłam do szybkiego finału, jak facet. Nic więcej mnie nie obchodziło. Tym razem było inaczej. Bez emocji, długo, satysfakcjonująco, z egzaltacją. Kosma to najdelikatniejszy i najbardziej dbający o mnie facet na świecie. Muszę go pokochać, to już blisko. Koniecznie.

– Po prostu uwierz w nas. Mówiłem ci, że latem zabiorę cię na Boracay? – Jak pięknie i romantycznie brzmiały jego słowa!

– Ojej, co to? Nie byłam.

– Jedna z piękniejszych plaż na Filipinach.

– Przy Trexanie nie mogę się wystawiać na słońce. Nic nie mogę. – Znow zaczęłam się nad sobą uzalać.

– Połazimy, popływamy, pobędziemy ze sobą. Wyobraź sobie seks na pustej plaży. Już jestem gotowy. Chcesz sprawdzić?

Nie chciałam, uśmiechnęłam się tylko zalotnie.

Pod koniec sierpnia, przed południem pojechaliśmy z Kosmą i Stasiem do Kicina do kościoła. Siadłam w pierwszej ławce i wlepiłam wzrok w drewnianą Maryję. Z zakrystii wyszedł ksiądz, nieznacznie odwróciłam głowę i obserwowałam, dokąd idzie. A on siadł w konfesjonale przy drzwiach. Założył na szyję stulę i patrzył na mnie, tylko na mnie. Wpadłam w panikę. Czy grzesznik ma listę swoich grzechów wypisaną na czole? Nie powiem, dobrze byłoby oczyścić sumienie, nie

znałam nikogo, kto by to wszystko, co mam do opowiedzenia, przyjął i... pojął.

I nagle olśnienie! Wstałam i pewnie podeszłam do konfesjonału. Niech to się nawet nazywa i spowiedź! Istotą była świadomość, iż w tym kościele nieprędko się znów pojawię, ale i wizja finalizowania kolejnego życiowego etapu. Przecież już nauczyłam się zamykać drzwi na wszystkie zamki. Ukłękłam przed konfesjonalem i zaczęłam od znanej mi z dzieciństwa formułki:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Ostatni raz u spowiedzi byłam przeszło dwadzieścia lat temu. Grzechy moje są następujące...

Minęło kilkadziesiąt minut, zanim skończyłam spowiedź grzesznej recydywistki. Ksiądz, mimo że z dużym kaznodziejskim dorobkiem, na pewno nie był emocjonalnie przygotowany, by wysłuchać historii mojego życia. Takiego życia. Też byłam zaskoczona. Kiedy byłam dorosła, przeszłam na stronę religijnych sceptyków. Można mi było wtłaczać do głowy, przekonywać mnie na wiele sposobów, że spowiedź odbywa się przed Bogiem, ja wiedziałam swoje. Że klękam przed mężczyzną, że mężczyzna będzie przez drewnianą kratkę słuchał moich intymnych zwierzeń, że ów mężczyzna będzie decydował, czy mnie rozgrzeszyć, czy nie. Mógłby mnie nawet obrazić zbyt surową pokutą czy podejrzeniem o niemoralność. Będę czuła jego cielesność, oddech.

Tym razem z każdym wymienionym grzechem czułam, jak się oczyszczam, jak moja dusza nabiera szlachetności. Nie otrzymałam do odmówienia ani żadnych zdrowasiek, ani litanii, ponoć pokutą dla mnie był powrót do konfesjonału. Droga do Boga ma być karą? Nie wdawało mi się, by ksiądz miał stuprocentową rację.

Trudno jest przyznać się do swoich licznych grzechów. Do grzechu chciwości i nieuczciwości w toku walki o swoje nie przyznam się już nikomu więcej. O niemoralnych postępkach też nie powiem nikomu, nawet jak będą mnie przypiekać. Tak zostanie, tylko ten księżulek będzie chodził z tajemną wiedzą o mnie przez całe swoje życie. I ja. Wystarczy. Nie wiedziałam jeszcze, czy wrócę do kościoła, brakowało mi go czasem, najbardziej tej ciszy, kiedy mogłam usiąść w ławce w pustej świątyni. Ale mimo momentów skupień, mimo pacierzy odmawianych od małego, rachunków sumienia czynionych w myślach i przed całą niebieskością i boskością, brakowało mi wiary. Mimo zdolności do poszukiwania w sobie dobra, brakowało mi zacięcia, by wypełniać literalnie nakazy dziesięciu przykazań. A może jestem przy Bogu od dawna? A On przy mnie?

Jest przecież bóg bankrutów, finansowo pokrzywdzonych i pomówionych!

– Mamo, ale ty miałaś dużo grzechów! – powiedział na głos zgorszony Staś, kiedy po odejściu od konfesjonału uklęknęłam obok niego w ławce.

– Ciiii... bo się wyda!

– Zauważyłem coś ciekawego – wyszeptał.

– Co takiego?

– Tutaj też na harfach nie grają anioły. – Wskazał paluszką drewniane rzeźby nad prezbiterium.

– Na bębenkach też nie, ale dupeczki mają złotą materią zakryte. – Uszczypnęłam Stasia w pupę i zachichotaliśmy. Kosma pogroził nam palcem.

Oj, jak mi później było miło w tym kościele! Patrzyłam na św. Stanisława biskupa na bocznym ołtarzu, już wcześniej wyczytałam w książce, że był repliką Wskrzeszenia Piotrowina z Fary Poznańskiej. Pewien biskup zakupił od szlachcica Piotrowina wieś. Umowy jednak nie zawarł na piśmie i po śmierci zbywcy, rodzina zmarłego Piotrowina oskarżyła biskupa o nieprawne zagarnięcie włości, więc wskrzesił zmarłego, aby ten zaświadczył o jego prawdomówności. Też bym tak chciała. Chciałabym wskrzesić kilku zmarłych, by zaświadczyli o moim moralnym i emocjonalnym prawie pierwokupu Domu Złudzeń. Przed wyjściem ze świątyni w tej intencji spojrzałam w oczy Matki Boskiej Śnieżnej z rzymskiego kościoła Santa Maria Maggiore, ona jednak z XVIII wiecznej kopii spoglądała na mnie absolutnie obojętnie. Nie była ani na tak, ani na nie.

Bryczką ostatni raz wspólnie wracaliśmy z Kicina. Topiliśmy się w żarze upalnego wiejskiego popołudnia.

Nie spieszyło nam się do domu, brzęczały muchy, pszczoły, słychać było igraszki żab w torfowisku. Mijaliśmy pola pastewnej kukurydzy, wyrosła wielka i zdrowa tego roku. Kosma zatrzymał konie i wysiadł, patrzyłam, co robi, a on, tak jak kiedyś czynił to mój dziadek, zerwał dwie kolby.

– Może zrobimy maskotki?

– A mała kolbeczka dla mnie to gdzie? – marudził Staś.

Gdy zbliżaliśmy się do wsi, każdy ze swoją kukurydzianą kolbą w dłoni, na niebie zaczęły pojawiać się balony. Balony były mniejsze i większe, różnokolorowe, miały kosze jedno- lub dwuosobowe. Zakryły prawie całe niebo, a mimo to nadal od strony Poznania pojawiały się kolejne. Zatrzymaliśmy konie i wyciągnęliśmy się na siedzeniach bryczki z głowami zadartymi do góry. W koszach siedzieli ludzie i machali do nas kolorowymi chustami i reklamowymi chorągiewkami. Coś krzyczeli. Wpółleżeliśmy na siedzeniach bryczki i odmachiwaliśmy pasażerom z balonowych koszy. Niebo było tego dnia nadzwyczaj niebieskie, z niewielkimi chmurkami, wyglądającymi jak cukrowa wata. Na głos czytaliśmy napisy, reklamujące różne międzynarodowe firmy. Kosma robił zdjęcia. Staś zamarł na siedzeniu i ścisnął mi rękę. Z zadartą wysoko głową był zupełnie nieobecny. Nic dziwnego, nawet ja tyłu balonów naraz jeszcze nigdy w życiu nie widziałam.



– Staś, powróć do rzeczywistości! – Zaśmiałam się, czochrając mu włosy.

– Kiedyś polecimy balonem. Nad Jeziorem Bodeńskim albo zafundujemy sobie przelot nad pustynią w Arizonie. Co ty na to? – Kosma czekał, co powiem.

– Nie ze mną! Wybij to sobie z głowy! Chyba bym umarła. Zresztą, nad Jeziorem Bodeńskim już kiedyś byłam i wcale nie chce mi się wracać.

– Boję się – powiedział cichutko płaczliwym głosem Staś i ścisnął mi rękę.

– Jeziora Bodeńskiego?

– Nie. Mamuniu, wsłuchaj się, co mówię. Jeśli balony się przebiją i spadną, co wtedy zrobimy? Zakryją nam ziemię i nic nie urośnie!

– Potniemy je na strzepy! – Śmiałam się głośno, aż Popierół odwrócił łeb i zarżał. To mnie jeszcze bardziej rozśmieszyło, ale Staś nadal się denerwował. – Naprawdę – przekonywałam dziecko.

– Gangsterzy! W Beaumont będzie wam dobrze. – Śmiał się Kosma.

– Cicho bądź! Jeśli będziesz dobry, to będę cię kochał jak tatę. – Staś spojrzał spod oka na Kosmę.

– Wystarczy, jak będziemy kumplami. Tymczasem pośpieszmy się, zapomnieliśmy, a mamy przecież dzisiaj pojechać do Siedlca na Święto Świni.

– Ha. Wyczytałam, że dlatego tam się te śmieszne uroczystości odbywają, bo przeciętnie rocznie jeden mieszkaniec wsi hoduje czternaście wieprzy – pochwaliłam się wiedzą.

– Nawet pomnik świni mają! – dopowiedział Kosma.

– A ja widziałem kiedyś blisko morza pomnik pyrki – pochwalił się Staś.

– Ziemiaka – poprawił go Kosma, chwycił lejce i cmoknął na konie. Ruszyliśmy w stronę domu. Oj tak. Była to przyjemna przejażdżka

\* \* \*

Za parę dni dom opustoszał. Kosma wyjechał do Berlina, skąd miał lot do Stanów. Staś ranki i południa spędzał w przedszkolu, a potem zaanektowały go obce ręce. Ja zaś przygotowywałam się do sprzedaży koni. Nie było to łatwe. Popierdół i Zastrzał byli jak rodzina, zawsze z nami na tej wsi, nigdy te zwierzaki nie sprawiły nam zawodu. Czy deszcz, czy śnieg, a konie zawsze były gotowe i mogłam je zaprzęgać. A teraz musiałam je sprzedać. Obce stajnie były zbyt drogie, a na hotel dla koni też nie było mnie stać. To znaczy nas nie było stać... Wiedziałam, że muszę się wreszcie nauczyć mówić w liczbie mnogiej. Niemniej to ja musiałam wszystko w Polsce pozamykać, nie my.

Kupca znalazłam od razu, po kilku dniach przyjechał spod Żmigrodu samochodem do przewozu zwierząt. Patrząc, jak wpędzają je do ciężarówki? Nie ja. Ale jednak musiałam się przełamać. Podeszłam najpierw do Zastarzała, bo był „dobrze ułożony emocjonalnie”. Generalnie nie okazywał uczuć, tym razem też stuknął kopytem i wszedł na ciężarówkę. To ułatwiało. Ale Popierdół? To koń słaby psychicznie, bardziej i szybciej się z nami zżył. Zresztą mieszkał z nami na tej wsi od samego początku, Zastrzała kupiliśmy później, by Popierdółowi się samemu nie cknęło. Leszek miał w planach zakup znacznie większej liczby koni, ale kłopoty finansowe pokrzyżowały mu plany.

Bałam się, że się rozplacę. Wiedział, ten koń wszystko rozumiał. Lizał mnie po ręce, ja go głaskałam po grzywie, przytulałam policzek do jego pyska. Parskał mi w nos, a potem wielkim jęzorem lizał mi szyję. Wyszczotkowałam go na drogę, ale gdy klepnęłam w zad, w ogóle się nie ruszył.

– Musisz jechać, nie będzie źle, obiecuję.

Z oczu konia leciały łzy, najprawdziwsze, z moich też, poklepałam konia i potarłosiałam za grzywę. Uspokoił się, zrozumiał, że innej możliwości nie ma. Stuknął kopytem, parsknął i wszedł na ciężarówkę. Już się w moją stronę więcej nie odwrócił.

\* \* \*

Wieczorem na parapecie w pokoju postawiłam klepsydrę i oboje ze Stasiem patrzyliśmy, jak piasek obsypuje się na dno. W ciągu ostatnich dwóch lat robił to nieraz, ale potem, gdy odwróciłam swoją życiową klepsydrę, znów się sypał, ale na inne dno. Nie wszystko, co złe, wali nas tylko po pysku, niejednego mnie nauczyło. I scheda po dziadku została w rodzinnych rękach. Florian Leśniewski może się cieszyć tam, gdzieś w tych swoich zaświatach. Chciał po wojnie emigrować z Polski, zbudować swoje imperium. I tak też się stało. Ma swoje imperium, po śmierci, ale ma.

Jeśli czegoś w swoim życiu chcesz dokonać, nie warto tego czynić na skróty. Zaczynałam się karmić własnymi myślami. Zadzwoiłam do Róży. Wróciła z ostatniej chemii, to była już druga seria. Ileż radości życia potrafiła mi przekazać w krótkiej rozmowie! Kupiła sobie błękitny turban na głowę, a brwi malowała brązową kredką. „Rzęsy można przykleić sztuczne, a włosy na nogach, że nie rosną, to sama przyjemność”. Względem „okupanta” wciąż miała mordercze instynkty, guzy zmniejszyły się o dwie trzecie i Róża była pewna, że znajdzie się w tych dziesięciu procentach chorych na raka płuc, co to ukatrupili „dziada”. Że pożyje jeszcze kilka lat. Wierzyłam w to, co mówiła.

– Wiesz co? Ostatniej nocy w szpitalu śnił mi się syn.

Był dobrym człowiekiem.

– Ja mam czasem tak miłe sny, że wolę się nie obudzić. Czasem są zbyt piękne. Wszyscy są dobrzy, jesteśmy wybrańcami z krainy szczęśliwości, jemy czekoladę, ile kto chce. Czekolada ma różne smaki, ale ja zawsze wybieram miętową. Niestety, w mojej krainie pozornej szczęśliwości ze snu owa czekolada staje się największym utrapieniem. Nie chcę ciągle jeść czekolady. W tych snach o pozornej szczęśliwości tęsknię jednak za czarnym razowym chlebem i za mlekiem prosto od krowy.

– Niech ci się zatem przyśni ciąg dalszy. Kocham cię, Igo!

– Ja ciebie też.

To, co sobie powiedziałyśmy, było piękne, ale ja już postanowiłam. Już nigdy nie zaprzyjaźnię się z kobietą. One zawsze ciężko chorowały albo umierały.

Na regale dostrzegłam Biblię, pomyślałam, że skoro wciągają mnie inne książki, to dlaczego do Biblii podchodzę jak pies do jeża? Otworzyłam i zaczęłam czytać:

*Pod koniec siódmego roku przeprowadzisz darowanie długów. Na tym będzie polegało darowanie długów: każdy wierzyciel daruje pożyczkę udzieloną bliźniemu, nie będzie się domagał zwrotu od bliźniego lub swego brata, ponieważ ogłoszone jest darowanie ku czci Pana.*

Rano dostałam od pośrednika kilka dobrych ofert zakupu mieszkania na Grobli. Natychmiast podjęłam decyzję, nikomu nic nie darowałam.

\* \* \*

Tydzień przed wyjazdem pieniądze ze sprzedaży mieszkania i koni były już w Stanach, Kosma dostał upoważnienie do zaliczkowania kolejnego domu. Wiele mnie to kosztowało, ciągle miałam w pamięci finansowy eksces sprzed roku. Uczyłam się ufać na nowo.

Włączyłam płytę terapeutyczną, ostatnimi czasy mało z niej korzystałam, całkiem dobrze funkcjonowałam bez indoktrynacji terapeuty. *Tylko ty możesz sobie pomóc, tylko ty wiesz co jest dla ciebie najlepsze, tylko...* – płyta się zatrzymała. Próbowałam przesunąć do przodu, nie udało się, musiałam zresetować komputer i płyta nadal nie przesuwała się do przodu. Wyjęłam ją z napędu, obejrzałam pod lampą, była porysowana. Nie do użytku. Złamałam ją na pół, a kawałki wrzuciłam do kosza. Założyłam bryczesy, kapelusz kowbojski, marynarkę do jazdy konnej, a kolorową apaszkę zawiązałam pod szyją.

Staś budował z klocków Lego wieżowce.

– To Manhattan?

– Tak, skąd wiesz?

Staś, siedząc na podłodze, spojrzął na moje buty do jazdy konnej i prychnął:

– Koni już nie mamy.

– Ubieraj się, zrobimy naszą trasę pieszo. Staś szybko się ubrał, chwycił swój najmniejszy bębenek w rękę i czekał na mnie przy drzwiach. Wzięłam dla niego lekką bluzę z kapturem na wypadek wiatru, wiklinowy koszyk, by przynieść w nim do domu kwiaty rosnące na łące. Chwyciliśmy się za ręce, zeszliśmy ze wsi na dół, obok krzyża, do drogi na Wronczyn, potem nad jezioro. Szliśmy powoli brzegiem, najpierw przez Przepadlisko, potem obok wrzosowiska. W taflి jeziora chroniło się ostre południowe słońce. Staś mrużył oczy.

– Razi mnie.

– To nic, ma razić i grzać. Zaśpiewam ci coś o wędrowce do słońca:

*Iść, ciągle iść w stronę słońca*

*W stronę słońca aż po horyzontu kres*

*Iść, ciągle iść tak bez końca*

*Witać jeden przebudzony właśnie dzień*

*Wciąż witać go, jak nadziei dobry znak*

*Z ufnością tą, z jaką pierwszą jasność odśpiewuje ptak.*

*Iść, ciągle być w tej podrosty,*

*Którą ludzie prozaicznie życiem zwa  
Iść, zawsze iść jak najdłużej.*

(Andrzej Mogielnicki)

Berbeć szybko uczył się tekstów, miał głowę. Śpiewaliśmy. Drogę powrotną do wsi skróciliśmy sobie, przechodząc przez pola, będąc w połowie drogi, natknęliśmy się na Basię i Rysia. Mieli niewyraźne miny. Rysiu trzymał w ręce wystruganego konia, podobnego do Popierdóła, tym mi tylko rozgrzebał ranę.

– Igo, Staszku, nie mamy pojęcia, jak tutaj bez was wytrzymamy! – powiedział zwykle małomówny Rysiu.

– Przylecicie do nas niebem, ale musicie mieć papierowe pieniądze, nie kółkowe, bo w Teksasie jest nafta i nie ma biedaków z chudymi portfelami – mądrował się Staś.

– Jak on coś powie... – Śmiała się Basia, a Staś się dopiero rozkręcał. Jak to on.

– W Teksasie nie drze się pierza i może tam wreszcie nie będę spał pod pierzastą kołdrą. Zakładnica w przedszkolu potwierdziła, że w Teksasie nie ma wystruganych koni. Są prawdziwe mustangi!

– Stasiu! Nigdy w życiu nie spałeś pod kołdrą z pierza, nawet na wsi śpi się pod antyalergicznymi! –



Basia udała oburzenie.

– I przestań wreszcie mówić „zakładnica”. Za–kon–ni–ca jest poprawnie! – dodałam.

Staś wzruszył ramionami i zaczął boksować Rysia.

– Nie wolno – zwróciłam mu uwagę, ale Rysiu dał się wciągnąć do walki.

– Tak na ciebie, Iguniu, patrzę i muszę koniecznie powiedzieć, co zauważyłam. To nie jest tak, że po wszystkim wracamy do formy sprzed traumy. Twoje oczy zdradzają, co naprawdę przeszłaś. Są inne – powiedziała Basia, aż Rysiu i Staś przestali się boksować i zaczęli mi się przyglądać.

– Mniej kółkowe – powiedział Staś, czym znów wszystkich rozśmieszył.

Oni już się z nami zegnali, ja nie byłam jeszcze na to gotowa. Wyjazd, owszem, będzie miał miejsce, ale muszę jeszcze wygrać ten cholerny przetarg! Nikt nie zdawał sobie sprawy, co miałam w zanadrzu, nawet ksiądz, któremu się wypowiadałam, jednak nie ze wszystkiego. Ten przetarg. Ostatni. Wszyscy, którzy mnie znali, uwierzyli, że odpuściłam. Ale to nie ja. Nie wychodzę z gry przed finiszem, o nie. Miesiącami liczyłam pieniądze czekając, aż wreszcie Dom Złudzeń będzie na sprzedaż. Wygram i dopiero wtedy będę mogła wyemigrować z Polski.

\* \* \*

Skracając sobie czas do przetargu, a także do wyjazdu z kraju, chciałam się jeszcze nacieszyć moim kochanym domem. Część mebli sprzedawałam, część wywiozłam do Nadrożna, dzięki czemu dom zrobił się duży, przestronny, jasny, jakby było w nim więcej powietrza. Jagna zabrała się za porządki, ja też jej pomagałam, nawet Staś biegał z miotełką i rozprawiał się z kurzem, a potem udawał, że kieruje skurzwawką. Żal mi było wyjeżdżać, zostawiać to wszystko, co moje, co z trudem zostało utrzymane. Mieć dokąd wrócić. Tak, to było dla mnie bardzo ważne. Mieć swój dom, swoją białą szkołę. Mieszkając w Beaumont, chciałabym pamiętać, wręcz mieć pewność, że to wszystko nadal jest, tylko mnie tam nie ma. Jak w wierszu Andrzeja Babińskiego.

Włączyłam na cały regulator *Błękitną rapsoda*. Podobnie jak ten utwór wyglądało moje życie. Momenty spokoju przeplatały dramatyczne, a czasem nawet o wielkiej sile rażenia. Stałam na baczność, ale potem przychodziła ulga, radość. Tak zwane „spocznij”. Była zabawa i znów smutek wielki, jak wielka jest muzyka i jak wielkie jest w ogóle tworzenie. Też życia.

Nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Miałam wrażenie, że ktoś otwiera drzwi na dole. Słyszałam jakieś szmery. Koronowscy ze Stasiem pojechali już do Nadrożna, wyraźnie słyszałam warkot samochodowego silnika

kilkanaście minut wcześniej. Wracają? Musieli zostawić dolne drzwi do budynku otwarte, a tak zawsze prosiłam, by ich nie zapomnieli zatrzasać. Dały się słyszeć czyjeś kroki po schodach. Automatycznie przekręciłam zamek do mieszkania na strychu. Odkąd zostałam w Złotniczkach sama, tylko ze zranioną firmą na karku, nigdy nie zostawiłam drzwi do domu otwartych, byłam świadoma zagrożeń.

W szybie w drzwiach na stryach pokazała się gęba Jurka Bednarza, szwagra. O dziwo poczułam ulgę.

- Otwórz, musimy pogadać.
- O czym? – zapytałam przez drzwi.
- O rodzinie.

Rodzina, ważna komórka społeczna, nie ma co. Młodszy Bednarz nie był podobny do brata, miał jasne i rzadkie włosy, był wysoki, ale cięższy od Kosa. Jak chciał, to dał się żonie ubrać modnie, tym razem tak było. Na głowie miał słomkowy kapelusz, szary typu panama. Spodobał mi się czarny top z jedwabiu, jaki miał na sobie, podobny chciałam w Milanówku kupić dla Kosa. Dżinsy o dobrym kroju zatuszowały masywne uda i brzuch, na którym na pewno nie miał „kaloryfera”. Jurek zawsze był nadętym typem, odkąd pamiętam, miałam go za wroga, który zawsze chciał mi zrobić kuku. Gdy się wycofał z przetargu o ziemię, dał mi jednak do myślenia. Tym razem spojrzałam na niego inaczej, ani w jego postawie,

ani w twarzy nie zauważyłam grama buty, jaką mu kiedyś przypisywałam. Wydał mi się przystojny.

– Mogę usiąść?

Głos miał ciepły, mówił śpiewnie, z lekkim poznańskim akcentem. Wskazałam mu miejsce na fotelu, sama usiadłam naprzeciwko. Przyznaję, mimo wszystko nadal spodziewałam się podłości albo propozycji nie do odrzucenia typu: sprzedaj mi ziemię, bądź (co byłoby tak samo niefortunne) chcę przejąć Dom Złudzeń.

– Los chciał i nasze rodziny skoligacił – zaczęłam pierwsza, no cóż, byłam niecierpliwa. – Wiesz dlaczego? Kos jest inny, zawsze miał za nic rodzinne animozje. Po prostu się z nich śmiał. Zawsze był moim przyjacielem.

– Skąd wiesz, jaki ja jestem? Czy kiedykolwiek rozmawialiśmy ze sobą?

– I bez tego swoje wiem. Ludzie wszystko wywleka, każda podłość ujrzy światło dziennie, trzeba tylko czasu. Kosma się wyprowadził, otrząsał się ze światem, za granicą poznał wielu ludzi, a wy żyjecie tutaj ciągle razem, a to nie sprzyja rozwojowi. – Siedziałam na fotelu z rękoma złożonymi na brzuchu. Postanowiłam nie wszczynać konfliktu.

– Gdyby nie wrywny charakter twojego dziadka i pamiętliwość mojego, nic złego między naszymi rodzinami by się nie stało. Ojciec nieraz mówił, że Leśniewski zawsze zgrywał najmądrzejszego we wsi i jak

ktoś był kontra, to się obrażał. Coś sobie wyobraził po swojemu i nie można go było przekonać, że jest inaczej. Ja wiem, jesteś do nas źle nastrojona, ale nie masz racji. Nawet nie wiesz, jak się mylisz.

– Tak? Ale dzięki dobrosąsiedzkiej pomocy mój dziadek znalazł się jednak w więzieniu.

– Znalazł się, to prawda. I jak wrócił, oczywiście nie chciał uwierzyć, że to Jaworska na niego doniosła. Musiałby być bardziej postępowy w myśleniu, ale on kobiety miał za nic, gardził nimi. Tymczasem prosta wiejska baba zmanipulowała rzeczywistość, najpierw zrobiła z komunistami biznes, a potem pomówiła mojego dziadka. Fakty świadczyły przeciwko niej, Leśniewski oczywiście widział papiery, mimo to nigdy nie przyznał się, jak bardzo się pomylił. Moja rodzina miała do niego o to właśnie żal.

– Brzmi to jakoś niewiarygodnie. Dlaczego Kosma mi nie powiedział?

– Bo nie musiał, z tego co wiem, i tak zawsze byliście nierozłączni.

Dom Jaworskich był widoczny zza płotu posesji dziadka, a jednak ja tej kobiety w ogóle z dzieciństwa nie pamiętałam, podobnie jak i Bronka. Dałabym sobie odebrać Dom Złudzeń, tak byłam pewna, że nigdy, przenigdy mój dziadek nie wymienił jej imienia ani nazwiska. Dziwne.

– Ponoć była brzydka. – Jurek jakby czytał w moich myślach. – Nieatrakcyjność chowała za jeszcze mniej atrakcyjnymi ubraniami. Mało kto ją zauważał, ona też skryła się wraz ze swoją przebiegłością i małym synem w domu i rzadko z niego wychodziła. Widzieli ją dopiero wtedy, jak posłała Bronka do komunii. Tak było. Zakupów nie robiła, chleba nawet, bo w domu ponoć piekła. W sumie też swoje przeszła, komuniści ją zmamili, zrobili ją donosicielem, przyobiecali, że będzie miała lepiej. Może jej nawet Bronka zmajstrowali? Miał prawie czterdzieści lat, a ona, jak przyjechał z kopalni do wsi, to mu do obiadu podobno fartuszek zakładała.

– Dlaczego wcześniej mi tego nie powiedziałaś?

– Bo się ciebie po prostu bałem.

Gdybym w to uwierzyła, byłoby mi lżej. Zaczynałam pielegnować głębie swojego życia, przesunęłam się o przykrości do przodu, byłam też dużo mądrzejsza o doświadczenia innych ludzi. Naprawdę, potrzebowałam rozsądzić wszystkie racje. Młodszy Bednarz dał mi wiele do myślenia.

Po wyjściu szwagra wsiadłam do auta i pojechałam do sklepu Basi. Stała za ladą, jak to ona, z daleka biła od niej charyzma właściciela. Wszędzie, gdzie zatrzymać wzrok, leżały bele z tkaninami i firanami. Musiałam je dotykać, macać, wziąć jedwab w palce, ręką przesunąć po białym welurze. Zawsze tak było. To, już od czasów komuny, był dobrze zaopatrzony sklep, towar Basia

srowadzała nietuzinkowy, w części nie pochodzący z Polski. Wiadomo, praca była jednocześnie Basi pasją, to było czuć, toteż niektórzy klienci po tkaniny przyjeżdżali do niej nawet z Poznania i nigdy nie odjechali zawiedzeni.

– Czy ty wiesz, że dziadek był niesłusznie pokłócony na śmierć i życie z dziadkiem Kośmy?

– Ale masz tematy! Nie lepiej ci się interesować modą, spektaklami w teatrach, filmem, a nie starociami? Był obrażony, bo generalnie był drażliwy i jak sobie coś ubzdurał, to w to wierzył. Słyszałam, że z twoją babką po kilka miesięcy nie rozmawiali, a wcale nie poszło o coś poważnego. Konsekwencją to zwał.

– To Jaworska zrobiła z Bednarzy donosicieli, ponoć mają na to papiery.

– A widzisz! Nie mówiłam?

Dom Bednarzy, tyle lat omijany, przestał mi się jawić jako siedlisko os i baza sprzedawczyków. Obiecałam Jurkowi, że przed wyjazdem do nich zajrzę. Ucieszą się, tak mówił. Ja jednak swoje wiedziałam, że na pewno pamiętają, jak wieki temu Kostnie chciałam wypalić oczy. Za ich sprawą długo żyłam z przypiętą łatką niegrzecznej dziewczynki.

Życie moje i Kośmy zatoczyło koła. Widać, tak miało być.

\* \* \*

Nadszedł dzień, na który czekałam. Najważniejszy przed wylotem do Stanów. Byłam pewna, że moje będzie na wierzchu. Jurek Bednarz przysiągł, że nie startuje w przetargu. Sprawa zatem była czysta, komuż innemu mogłoby zależeć na domu bez ziemi, w środku wsi, w której nic się nie dzieje? Spotkanie z Jurkiem, w końcu moim krewnym (tak zaczęłam o nim myśleć po spotkaniu), miło mnie nastroiło do ludzi i życia. Pozyskać rodzinę, bezcenne uczucie, zawsze chciałam mieć wokół siebie dużo ludzi. Od dziecka cierpiałam na samotność. Ileż to razy wyobrażałam sobie, jak w niedzielne południe pod gruszą, obok byczkowego zaułka, wystawiam wielki stół dla gości?! Jest ciepło, śpiewają ptaki, kwitną akacje, z kuchni dolatuje zapach sosu pieczeniowego. Albo z suszonych grzybów.

Już prawie świętowałam zwycięstwo. Zawiozłam Stasia do przedszkola, ale wróciłam do domu, nie chciało mi się jechać na przetarg. W domu zjadłam późne śniadanie, przejrzałam wiadomości ze świata na Onecie, kompletowałam dokumenty wyjazdowe. Paszporty, wizy, bilety lotnicze. Po godzinie od rozpoczęcia przetargu uznałam, że już pora i zatelefonowałam do urzędu. Podczas tych ostatnich dni w Polsce wreszcie czułam się zawodowo spełniona, pozamykałam wszystkie sprawy. Po prostu udało się!

– No, pani Igo. Dlaczego pani nie zawalczyła tym



razem? – W głosie urzędniczki czuć było pretensję.

– Jak to?

– Nie można robić takich prezentów! Jeśli sama pani nie czuła się na siłach, trzeba było przysłać pełnomocnika!

– Hola, hola! Można jaśniej? Nie lubiłam pouczeń.

– Przegrała pani dom.

– Spokojnie! Jak to przegrałam?! Byłam jedyna. – Pobladłam ze strachu.

Byłam pewna, co mnie zgubiło, że mnie powiadomią, gdy tylko jakiś chętny złoży przetargowe papiery i wpłaci wadium.

– Wygrała kobieta z Drawska Pomorskiego.

– Z jakiego Drawska? Teraz mi to pani mówi? Dlaczego mnie wcześniej nie powiadomiono?! Uważa pani, że to jest w porządku?

– No, wie pani?! Nie ma takiego zwyczaju! Swoich spraw trzeba pilnować.

Niewątpliwie miała kobieta rację. Znów się łudziłam, że wygram. Łudziłam się, byłam pewna swego, nie sprawdziłam i zgubiła mnie pycha. Auć, zabołało.

– Jak ona się nazywa?

– Kto?

– Ta złodziejka cudzego domu!

– Zofia Kulińska.

Na pewno nie znałam żadnej Zofii Kulińskiej. Dziwne. Tym domem nie mógł się nagle zainteresować ktoś, kto nie miał żadnych związków z tą zapadłą wsią, a tym bardziej pochodząc z innego województwa. Bo gdzie leży Drawsko Pomorskie? Daleko od jakiegokolwiek ważnej drogi. Myślałam gorączkowo. Kto spoza Wielkopolski chciałby mi podkupić dom? Sam dom, bez ziemi, bez stodoły, stajni, garażu? Jak to?!

Będąc dziewczynką, latami patrzyłam na niego przez sztachety... Kim jest Zofia Kulińska? Święta Rito, patronko spraw beznadziejnych! Pomóż.

\* \* \*

Pomogła mi, owszem. Zaczęłam kojarzyć fakty. Jak to kiedyś gadałam przez sen o biznesowych planach, jak innym razem się chwalił, że ktoś za bezcen przejął majątek upadającej firemki, którą wskazał. Pięknie mi się to wszystko połączyło.

Natychmiast, jak zawsze, gdy mi się włączył tryb walki, stałam się kipiącym wulkanem emocji. Chwyciłam z furją telefon komórkowy, wcisnęłam gdzie trzeba. Odebrał natychmiast. Bez przywitania, od razu zaczęłam od oskarżenia.

– Sprzedałeś mnie. Postąpiłeś okrutnie! – wycedziłam

przez łzy.

Po chwili milczenia usłyszałam jego głos, w którym wyczułam przede wszystkim smutek, a nie żadne inne niedobre tony, jakie by zdradzały chęć zrobienia mi świństwa czy w ogóle innego „koło pióra”.

– Igo, co się stało? Jak ci pomóc?

– Teraz pomóc? Jesteś hipokrytą.

– To ty od początku udawałaś kogoś innego, posługiwałaś się tajemnicą jako sposobem na bliską relację. Nieprawdaż? – Ludwik nieco podniósł głos.

– Mimo to żałuję, że i tak ci w jakimś sensie zaufałam. Idiotek nie sieją!

Byłam na wojnie.

– Ano nie sieją – powiedział cicho.

– I to wszystko?

Nie mogłam w ten sposób zakończyć, musiałam wiedzieć na pewno. Dzisiaj!

– Nie masz nic do powiedzenia. Czyli to jednak ty ukradłeś mi dom? Coś mi zawsze mówiło: „bądź ostrożna, uważaj”, a ja, głupia, dałam się motać, wkręcać, oszukiwać, generalnie prowadzić za wszarz – zaczęłam krzyczeć.

– Igo! Nie ja. Uspokój się, postaraj się nie być przez chwilę choleryczką. Powiesz za dużo i oboje będziemy tego żałować! Nie mogę teraz rozmawiać, prowadzę auto,

ale jestem o dwie godziny drogi od Poznania. Odzyskaj spokój, potem możemy pogadać.

– Gdzie?

Koniec, będzie bezosobowo, zdrajcy nie mają imion ani nazwisk, zdrajcy natychmiast po zdradzie powinni tracić prawa obywatelskie!

– Zapraszam cię na kaczkę do Hacjendy. Wiesz, gdzie to jest?

Oczywiście, wiedziałam. Morasko było niedaleko, on dwie godziny od Poznania, tymczasem ja już po piętnastu minutach od rozmowy gnałam bocznymi drogami do Hacjendy.

Czekałam na niego kilkadziesiąt minut w aucie na parkingu. Wreszcie się doczekałam. Sommer nie zarażał entuzjazmem, wszystko się w nim spopielilo, podobnie jak i we mnie. Każdy płomień można zgasić, a każdy ogień sprowadzić do tlenu się. Był inny. Ja też byłam inna. Zresztą nie spotkaliśmy się po to, by cokolwiek wzniecić. Przyjechałam wziąć się ze zdrajcą za łby.

– Nadal jestem dość niski! – zażartował, gdy wysiadłam z auta i stanęłam naprzeciw, wysoka, z włosami zaczesanymi do góry, w butach na bardzo wysokim obcasie. Na mojej twarzy na pewno nie dostrzegł choćby śladu uśmiechu.

– Mów! – warknęłam.

– Tutaj? Może usiądźmy.

Zgodziłam się. W restauracji było niewiele osób, wiadomo, był to dzień powszedni, godziny pracy. Usiedliśmy przy stoliku w rogu, z widokiem na parking i skalny ogródek Ludwik przyglądał mi się w milczeniu, zastał mnie daleką, ze ściągniętymi ustami Obcą.

– Czy wiesz, dlaczego nie możemy być razem? – Położył swoją rękę na mojej. Wysunęłam ją natychmiast.

– Po co mi to wiedzieć? Nie przyjechałam, by akurat tego się dowiedzieć i ty, do diabła, musisz być tego świadom.

– Igo, ustalmy. Nie mam zamiaru spowiadać się w sprawie twojego domu, przyjechałam, by ci wyjaśnić, dlaczego nie mogliśmy być razem. Chcę byś zrozumiała, że nie jestem szują, brzydko mówiąc.

– Idąc z tobą do łóżka, miałam cię za znacznie mniej interesownego. Teraz będziesz się tłumaczył? Przyparty do muru, bez wyjścia, sprzedasz mi łaskawie kawałek siebie?

Zaatakowałam celnie. Zachnął się.

– Co byś zrobiła, gdyby twój mąż za twoją przyczyną, ale wynikającą z lekkomyślności, nie z premedytacji, stał się inwalidą zdany tylko na ciebie?

Zaskoczył mnie, wzruszyłam ramionami i wykrzywiłam usta w kpiącym uśmiechu. Bzdura. Znałam odpowiedź. Toć Leszek częściowo przeze mnie stał się biznesowym inwalidą, ale mnie to wcale nie

obeszło, „sprzedałam” go Róży, wypłatałam się z układu. Można nawet powiedzieć, że z fasonem.

– Ninę poznałem, będąc z dwoma kolegami na wakacjach w Szczecinie. Mieszkaliśmy w akademiku przy ulicy Piastów. Znasz trochę Szczecin?

– Nieważne. Może tak, a może nie. Czy łaskawie możesz dobijać szybciej do brzegu? Mam niewiele czasu.

– Szukaliśmy noclegu blisko dworca i blisko centrum. Właśnie zaliczyliśmy pierwszy rok Akademii Ekonomicznej w Poznaniu, to musiał być 1983 rok.

– Rok wcześniej zmarł mój ojciec – wymsknęło mi się. Ludwik położył rękę na moim nadgarstku. Znów wysunęłam.

– Tobie zmarł ojciec, a ja szwendałem się po kraju w całkiem dobrym nastroju. To była typowo męska wyprawa,, byliśmy sami, bez dziewczyn, powiedzieliśmy sobie, baby, może i tak, ale na pewno nie na poważnie. Zresztą wtedy były inne priorytety, w kraju się coś działo albo miało dziać. Faceci lubią się mieszać w politykę, nie mówię tego, by grać bojownika o wolność. Nie. Ale oczywiście i my mieliśmy na sumieniu pewne nielegalne poczynania, bibuły, dyskusje do rana o nowej Polsce, zabawę w chowanego z policją. W Szczecinie spotkaliśmy się z kolegami z solidarnościowego podziemia.

Do stolika podeszła kelnerka, wciąż byłam zdenerwowana, zdawało mi się, że w restauracji jesteśmy

już z godzinę, a może i więcej, ale zerknęłam na zegarek i zorientowałam się, jak bardzo się mylę. Minęło zaledwie paręnaście minut. Przeszła mi pierwsza szajba.

– Naprawdę nie możesz zostać dłużej? – Ludwik spostrzegł mój gest. – Zjedz ze mną obiad. Polecam kaczkę, Hacjenda od lat się w tym specjalizuje. I czerninę.

– No dobrze. Poproszę kaczkę z jabłkami, do tego czerwoną kapustę i pyzy. Bez zupy. – Zaśmiałam się z sarkazmem. – Przyznaję, jestem żądna krwi, ale nie kaczej.

– Dla mnie to co zawsze, poproszę.

Oboje, to znaczy Ludwik i kelnerka śmiali się z mojego oświadczenia.

Rozglądałam się po restauracji, a Ludwik opowiadał, że od dawna zagląda tutaj, by zjeść czerninę. Potem zamilkł. Też nie miałam nic do powiedzenia, stąd zainteresowanie wnętrzem. Co innego posadzić, a co innego potem siedzieć naprzeciwko i... no właśnie... Wyczuł oczywiście, iż w mojej głowie odbywa się bitwa myśli, znał mnie dobrze. Nie był ignorantem, a wręcz przeciwnie, bardzo błyskotliwym człowiekiem, co bardzo ceniłam. Wiedział też, że można mnie ujarzmić spokojem, niewchodzeniem w konflikt.

– Na czym skończyłem? Ach, już wiem! Pojechaliśmy nad Jezioro Głębokie. Tak, to był wrzesień, już nie czas na plażowanie. Szliśmy ścieżką przy brzegu,

rozmawiając o Polsce, o przyszłości. Nagle zza krzaków wyszło trzech dryblasów, na oko trzydziestolatków, i zagrodzili nam drogę. Usłyszeliśmy: *My was k nam prigłásajem*. Umówmy się, Rosjanie naszymi przyjaciółmi raczej się nie wydawali, tak generalnie, zamilkliśmy skonsternowani, nie wiadomo było, co mamy dalej począć, aż w końcu któryś z nas zapytał: *Gdie?* No i zaczęła się pełna spontaniczność. Zza krzaków wychyliły się dwie dziewczyny, potem jeszcze dwie kolejne i z nimi dwóch dobrze ubranych facetów. Wszyscy nas zapraszali w te chaszczce, jeden przez drugiego. Byli tak serdeczni, że poszliśmy za nimi w las jak dzieciaki. W Polsce szalał kryzys, a tam przy ognisku nie brakowało niczego, ani dobrego jedzenia, ani wódki, szampana, czy *kanfietów*. To byli marynarze i pracownicy statku z Władywostoku, który zacumował w Stoczni Gryfia, by przejść remont. Wtedy poznałem Ninę, jedną z młodych pracownic technicznych na tym statku. Nina była ode mnie starsza o dwa lata. Śliczna, jak to zwykle bywa, gdy mieszkają się uroda słowiańska z azjatycką. Jej rodzina pochodziła ze Lwowa, mama była Ukrainką, a ojciec Kazachem.

Kaczka rzeczywiście była smaczna, nadziewana jabłkiem, mięsna, aromatyczna, dobrze wypieczona, a jednocześnie soczysta. Ludwik, widząc, że zjadłam wszystko (za wyjątkiem kości, rzecz jasna), poprosił kelnerkę o jeszcze jedną porcję czerniny.



– Tylko spróbuj, najwyżej ja dokończę.

– Widziałam, że w twojej porcji pływały podroby. Moja ciocia nic nie dodaje, tylko makaron...

– Są różne szkoły. W życiu też są różne szkoły. Jeśli chodzi o mnie, to dostałem nieraz po zębach. Zakochałem się w tej dziewczynie od pierwszego wejrzenia, jednak na umówionym miejscu na placu Orła kolejnego dnia Nina się nie pojawiła. Ale po dwóch miesiącach na mój poznański adres przyszła od niej kartka z Montrealu. To była miłość, u nas stan wojenny, ja bywało, że kolportowałem bibułę, a tu trafiło mnie uczucie do przedstawicielki znienawidzonej wtedy nacji. Nina to bardzo mądra osoba, dobrze rozumiała moje zagmatwanie. Zaczęły zarabiać na nas międzynarodowe poczty, a my coraz bardziej nie mogliśmy się bez słowa od siebie obejść. Pisywaliśmy do siebie, ale cóż to były za listy! Z mojej strony, bo ona mi siebie cały czas odradzała. Cumowała przeważnie na statkach handlowych, pływała sporo po świecie, skąd słała wieści. Od 1985 roku, odkąd w ZSRR władzę objął Gorbaczow, zaczęliśmy snuć odważne plany bycia razem, mówiliśmy o ślubie. Ale nadal mnożyły się trudności, doszły nowe, moi rodzice nie chcieli słyszeć o synowej zza wschodniej granicy. W Rosji tymczasem działa się pieriestrojka. Rok, a może i więcej nie miałem od Niny żadnych wieści, miotłem się, nie wiedziałem, co robić, opuściłem się w nauce, groziło mi zawalenie roku, ale jakoś zaczynałem

układać się z sobą na nowo. Wreszcie w 1987 roku, przed Wielkanocą, dostałem kartkę z życzeniami z Toronto. Nina zeszła ze statku i poprosiła o azyl. Dwa miesiące później skończyłem Akademię Ekonomiczną i zostałem magistrem. W 1989 roku wystąpiłem o paszport i wizę do Kanady. Wyjechałem pod koniec roku, by wziąć ślub.

Nie przerywałam. Gdybym tę historię znała wcześniej, nigdy, przenigdy nie wparowałabym mu do łóżka. Czułam, dokąd zmierza, wiedziałam przecież od dawna, że jego żonie na imię Nina. Nie byłam oczywiście święta, ale niszczyć małżeńskiej miłości nie zamierzałam.

– Rok popracowałem fizycznie, Nina też, wróciliśmy do Polski na początku 1990 roku jako Nina i Ludwik Sommerowie. Zamieszkaliśmy w Kaliszu, a zarobione w Kanadzie pieniądze wystarczyły nam na zakup domu i kawałka działki. Moi rodzice nie akceptowali mojej żony, tymczasem jej rodzina od razu mnie pokochała. Zesłani do Władywostoku lwowiacy nie tolerowali niczego co ruskie, czyli tak jak i moi rodzice, ot paradoks.

– Nie masz wyrzutów sumienia, że mówisz mi to dopiero teraz? – zapytałam z właściwym sobie sarkazmem.

Kelnerka podała kawę, Ludwik zajął się mieszaniem cukru, po chwili kontynuował:

– W 1991 roku urodziły się nam bliźniaczki, było wreszcie tak, jak powinno, do takiego finału oboje

dążyliśmy. Dobrze nam się wiodło finansowo, Nina od czasu przyjazdu do Polski zajęła się sprzedażą ubezpieczeń, w Polsce skończyła prawo, a ja, jak zresztą już wiesz, utknąłem w biznesie. Doradzałem moźnym tego kraju, wierz mi, miałem kiedyś naprawdę bardzo dużo pieniędzy. Zresztą, nadał nie narzekam. W 1999 roku wraz z przyjaciółmi wyczarterowaliśmy niewielki jacht i wypłynęliśmy z Puerto Banos w rejs po Morzu Śródziemnym. Trochę nurkowaliśmy, pływaliśmy wokół jachtu, generalnie byczyliśmy się, była naprawdę świetna pogoda, wiał lekki wietrzyk, wszystko sprzyjało żeglowaniu. Nina skoczyła do wody, gdy wynurzałem się nad powierzchnię po penetrowaniu głębin. Zawsze mnie witała, gdy wracałem ze świata ryb i morskiej zwierzyny. Wpadłem w panikę, bo długo nie wypływała na powierzchnię, z burty wychylały się nasze córki i krzyczały, koledzy skakali na ratunek, i ja znów skoczyłem w głębie. Lewitowała z głową opuszczoną w dół, na jej plecach powiększał się i tak już olbrzymi krwiał. Musiała uderzyć o skałę. Przytomność odzyskała dopiero w szpitalu w Walencji, hiszpańscy lekarze od razu rokowali, że będzie niesprawna. Kto wtedy myślał o inwalidztwie? Waźne, że odzyskała świadomość. Były to bardzo trudne miesiące. Nina nie odpuszczała, ona była i jest ze stali. Nadał nie rezygnuje, jest czynna i ze swojego życia bardzo zadowolona. Nieraz o tym ze sobą rozmawiamy.

– Gdybym od początku znała twoją historię, na

pewno nie brnęłabym w romans. Stało się i teraz jest mi przykro. Czuję się oszukana i jednocześnie ohydna.

– Poczekaj, proszę. To nie wszystko. Nina oczywiście uważa, że nie ma mężczyźni już nic do zaproponowania. To nie jest oczywiście prawda...

– Mówisz o seksie? Fajnie! Dodaj jeszcze, że byłam rzeczą. Powiedz to i dobij!

– Zaproponowała mi kilka lat temu, żebym podczas jej nieobecności w kraju przenocował w naszym domu wspólną koleżankę, o której wiadomo, że żadnemu facetowi nie odpuści. Nie skorzystałem. Innym razem zorganizowała wyjazd rekonwalescencyjny tylko dla mnie. Na Minorkę też wysłała mnie Nina, najpewniej wiedząc, że przed sezonem na tego typu wycieczki jeżdżą same kobiety...

To stawało się nie do zniesienia, z trudem panowałam nad emocjami.

– Popieprzyłeś to wszystko, że bardziej się już nie da! Mogłeś mi to oszczędzić. Może uważasz, że to, co mówisz, uczyni mnie w moich oczach lepszą? Naturalnie, tak właśnie sądzisz!

Ludwik chwycił mnie za rękę i mocno ścisnął, patrząc mi w oczy wzrokiem głodnego konia. Nic nie mówił, tylko patrzył. Kuźwa, cóż za melodramat!

Kelnerka przyniosła czerninę, którą z nerwów pochłonięłam w minutę. Potem, odurzona tym, co

usłyszałam, generalnie kolejną porażką, ale także smakiem czerniny, siedziałam i nie miałam siły wstać i rzucić tego wszystkiego w diabły, łącznie z Domem Złudzeń. Nie miałam siły zniknąć i gdzieś w ustroniu przeczekać, aż wreszcie minie upupiająca mnie pora złudzeń. Aż diabły rozszarpia wszystko ciemne swoimi szponami i zamiotą ogonem, oczywiście pod siebie.

– Była bardzo smaczna – powiedziałam z udawanym spokojem, gdy kelnerka zabierała talerz po czerninie.

– Widzisz! A nie chciałaś! – Ludwik uśmiechał się, jak gdyby przed chwilą nie padły między nami złe słowa.

– Żałuję, że się pieprzyliśmy. To wszystko. – Nachyliłam się w jego stronę i powiedziałam jeszcze raz to samo, ale inaczej.

– Igo, nie wkurzaj się. Nie chcę pozbawiać naszego związku szczerości.

– Żałosne. Zabrzmiało jak „Oda do Młodości”.

– Oda do miłości.

– Najlepiej się wyśmiać. Tak? Kocham, a raczej kochałam. Czy to jest śmieszne? s – Znasz powód, dla którego nie możemy być razem. Ale wierz mi, nic poza tym. Nic, o co mnie podejrzewasz. Teksańska, uwierz mi, gdybym mógł, gdybyśmy mogli, ale nie jest to możliwe... Córki by mi tego nigdy nie wybaczyły.

– Banał, psze pana! Banał!

Córki by nie wybaczyły, zabawne. A mi Ola i Staś by wybaczyli! Ha!

Muszę jednak przyznać, że uwierzyłam w jego uczciwość, po wysłuchaniu całej opowieści Ludwika wiedziałam na sto procent, że nie maczał palców w sprawie Domu Złudzeń. Powiedziałam mu to. Śmiał się z nazwy. Zacytował nawet Wiesława Myśliwskiego, że w końcu wszystkie uczucia i wszystkie myśli prowadzą do złudzeń. Nie zrozumiałam, ale postanowiłam przemyśleć sens tej tezy później.

Ludwik. Był czas, że musiał być podzielony na nas dwie. Widziałam Ninę na zdjęciu w necie, prowadziła wykłady, jednak nie było widać, że siedzi na wózku inwalidzkim. Bardzo fajna babka. Ładna, radosna, gdyby mi nie powiedział, nie poznałabym, że jest z pochodzenia Rosjanką. Skopiowałam jej zdjęcie, ale nie przyznałabym się Ludwikowi. Bywało, że wyobrażałam sobie, że żyjemy razem, w trójkę. Ona, on i ja. Kiedyś tak mi zależało na uczuciu Ludwika, że i taki układ byłby dla mnie atrakcyjny.

Było mi smutno. Swoje życie zaprojektowałam inaczej, z grubsza je poukładałam, też chciałabym być odpowiedzialna. Ludwik dał mi dobre wspomnienie grzesznej miłości, dał mi siłę, gdy już znikąd nie mogłam jej dostać, pomógł mi przetrwać najgorsze. Ale to już koniec. Byliśmy, owszem, ale osobno. Może czasem pojawi się w moim śnie?

Nie każdy w życiu był kochany, tak to sobie poukładałam. Ludwik, pragmatyk, pewnie myślał podobnie. Miał czystą i dobrą duszę. Ucieszyłam się, że właśnie takim się okazał. Powiedział, że kupił sobie kapelusz taki sam jak mój i czasem go zakłada.

– Są tacy, co myślą, że pod spodem mam włosy – żartował.

Nieważne, dla mnie jego łysina była mega erotyczna.

Zbieraliśmy się do wyjścia, nie pozwolił, bym za siebie zapłaciła, a ja też nie unosiłam się honorem i nawet nie udawałam, że wyciągam kartę.

– Trzymaj się, Teksańska, wierzę w ciebie. Jeśli chcesz, pomogę ci wytropić, kto sprzątnął ci chatę. – Przytulił mnie mocno, gdy zegnaliśmy się na parkingu.

– Nie, muszę dojść do tego sama, tak będzie lepiej. Nie szarżuj na drodze.

Strata. Niełatwo do niej przywyknąć. Kilka razy musiałam zatrzymać się na poboczu drogi do Złotniczek i przetrzeć oczy. Jechałam skrótami, omijając Poznań. We Wronczynie wstąpiłam na cmentarz, zapaliłam świece, znów pogadałam z każdym po swojemu.

Ewa... Gdy podeszłam bliżej przyjaciółki, zauważyłam stojącego nad jej grobem Dyducha. Stał zgarbiony, trzymając ramię krzyża w podobny sposób, jak trzyma się za rękę dziecko. Teraz? Chciałam krzyknąć, jak zawsze. Nie godziłam się ze śmiercią Ewy, wciąż

obwiniąłem za to Dyducha. Czy było mi z tym źle? Nie sądzę. Usłyszałem bełkot pijaka: „Moja malutka, moja malutka”. Odwróciłem się i zeszłam na drogę, przy której zostawiłem auto. Wsiadłem i natychmiast odjechałem.

W drodze do Złotniczek zrozumiałem, że powinnam odwołać wylot do Houston, dopóki nie dowiem się, kim jest kobieta, która wygrała przetarg. Cała ja, nie rezygnować bez względu na koszty! Zastanawiałem się, jak mam to powiedzieć Kosowi, przecież on nic nie wiedział o przetargu. Zadzwońm natychmiast, jak weszłam do domu.

– Kosma, nie wiem, czy uda nam się przylecieć do Houston.

– Igo, co się stało? Mów! – Był wystraszony, a ja znów poczułam się winna.

– Nie teraz, jesteś zapewne w pracy, a i ja muszę za chwilę wyjechać i zrobić porządek z pewnymi sprawami. Nie tak się stało, jak powinno.

– Boże, dziewczyno, czy ty zawsze będziesz mnie straszyć?

– Przepraszam... – Nic więcej już nie mogłam wykrztusić, bo zaczęły mnie dławić łzy. – Sorry... – Wyłączyłam telefon.

Nie pojechałam od razu do Jagny po Stasia, specjalnie zostawiłam telefon w domu, by się wyciszyć i nie gadać z nikim. Wzięłam za kurs dom urzędniczki,



która była mi przyjazna przy przetargu na ziemię. Wiedziałam, gdzie mieszka. Była w domu i obiecała przekazać mi informacje o Zofii Kulińskiej z Drawska Pomorskiego. „Bądźmy dobrej myśli. Niektórzy wygrywają, a gdy przychodzi do zapłaty, wycofują się i znów ogłaszany jest przetarg” – pocieszyła mnie. Wracając do domu, odebrałam od Jagny Stasia i umówiłam się na następny dzień, choć wcześniej uzgodniłyśmy, że te dwa dni do wylotu spędzimy sami.

Gdy weszliśmy do Domu Złudzeń, obrażony Staś od razu poszedł w kąt i zaczął wyrzucać z plecaka na podłogę rzeczy, które mu spakowałam na podróż. W tej złości kopał książeczki i opakowania klocków Lego.

– Męczy mnie już to bogacenie się! Chcę być teksasowy!

– Teksański! Polecimy, nie martw się.

Stałam przy oknie i patrzyłam na gołębie. Odlatywały. Nigdy nie liczyłam, ile im te przeloty zajmują czasu. Po prostu czekałam, aż wrócą. Nie było mi do śmiechu. Jeśli chodzi o samopoczucie, wróciło stare. Bóg na pewno opuszcza żądnych pieniędzy i pazernych na nieruchomości. Stałam znów na starcie, tak mi się egoistycznie wydało. Jeśli coś postanowiłam, nie potrafiłam od tego odstąpić. Gdzieś zadzwoniła komórka, rzuciłam ją w kąt po powrocie z Hacjendy i po rozmowie z Kosmą. Najpewniej nie wyłączyłam. Odebrałam.

– Dzwonię i dzwonię! Jurek poszedł cię szukać, ale nikogo nie zastał, u Koronowskich też nikt nie odbierał telefonu. Właśnie miałem wyjeżdżać z domu i wsiadać w samolot do Polski. Oszalałem ze strachu. Czy powiesz mi, co się stało? Źle się czujesz? Tutaj będzie inaczej. Będziemy się wspierać.

Miał rację, ale będąc w Stanach nie uda mi się odzyskać Domu Złudzeń.

– Kocham to miejsce, wiesz jak bardzo, bo mówiłam o tym nie raz. Nie tylko ja, bo i kuna ten dom pokochała i gołębie przylatują, siadają na parapecie. Gdy nie miałam się komu wyzalić, przylatywały, a ja gadałam do nich. Po dziobkach je poznawałam.

– Igo, myślałem, że to coś znacznie gorszego! Bałem się o twoje zdrowie! Nie możesz się tak denerwować, każdy coś zostawia.

– Dziadek opowiadał mi, że w tym domu zawsze mieszkali biedni ludzie, że dotyczyły ich tragedie. A ja się uparłam i na przekór wszystkiemu i wszystkim chciałam przywrócić ruinę do życia. Do mojego lepszego życia.

– Igo, nie poznaję cię. Też żyłem w tej wsi, ale nie mam aż tak dramatycznych wspomnień. Że nie powiem, egzaltowanych. Dom jak dom.

Rozpłakałam się. Pierwszy raz mówiłam Kosmie to wszystko. Byłam szczera, mówiłam o swoich tajemnicach, o do tej pory schowanych marzeniach

i pragnieniach. O tym, co zawsze dla mnie było najważniejsze. W głębi duszy byłam przede wszystkim wnuczką swojego dziadka. To on mnie stworzył, ukształtował. Jego opowieści. Nie wiem, czy były prawdziwe, ale ja dla niego chciałam to wszystko osiąść, przywrócić. Czyniłam to wszystko też dla siebie. Dla Oli, dla Stasia... i dla pieniędzy. By wreszcie być wolna jak ptak.

Kosma nic nie rozumiał.

– Może na stare lata wrócimy do Polski – powiedział, gdy zamilkłam.

– Wiesz... Dzisiaj przegrałam bitwę o ten dom. Stało się. Przegrałam jak ostatnia oferma, wszystko było obmyślane i mimo to przegrałam.

– Nie da się tylko wygrywać.

– Był przetarg i przegrałam.

– Bo to jest Dom Złudzeń! – Kosma roześmiał się. – Nie byłby nam w Beaumont do niczego potrzebny.

– Nie możesz się ze mnie śmiać. To jest miejsce, do którego chciałabym wrócić!

– Iguś! Postaraj się pomyśleć racjonalnie. Pieniądze, jakie miałaś przeznaczone na ten zakup, możesz znakomicie zainwestować w Stanach. Naprawdę nadal można bardzo tanio kupić podobne domy amerykańskich złudzeń. Tamten, widać, niewart twoich łez, niech inni w nim pomieszkają, wtedy okaże się, czy to Dom

Złudzeń, czy marzeń, a może po prostu ciepły dom, ale dla kogo innego! Za trzy dni będziemy już razem, uspokoisz się. Zobaczysz. A co na to Staś?

Co na to Staś? Gdzieś się zapodział. Pewnie w swoim pokoju, zresztą jego zdania w ogóle nie brałam pod uwagę. Zaczęłam biegać ze słuchawką przy uchu po pustym domu.

Staś z powagą na twarzy wchodził po schodach na górę.

– Mamo, mamo, zobacz, co znalazłem! Duże pióro! Leżało na schodach!

– Dobrze, że ty się znalazłeś, pióra nieważne, pełno tego leży. Mówiłam, że nie możesz się oddalać beze mnie? Gdzie byłeś?

– U babci. – Jakiej babci?

– Ze strony Kośmy. Wiesz, że mamy we wsi więcej rodziny?

– Zaraz tam rodzina! Dopiero po moim ślubie z Kostną stali się naszymi krewnymi. Nie ma o czym mówić. W każdym razie zatknij to pióro za szybę w kuchni, na pewno któryś gołąb zgubił. Przyleci i zapyta o zgubę, to oddamy.

Potarmosiłam dzieciaka po czuprynie. Strzepnął moją rękę.

– Mamo, opowiadasz głupoty, zastanów się! To nie

jest pióro gołębia. Gołębie mają małe pióra. Uwierz wreszcie w anioły!

Jasne. No to zaraz zobaczymy, czy rzeczywiście takowe istnieją. Może i zgromadziłam sporo pieniędzy, może i kupię kolejny amerykański dom, ale skoro mam żegnać się z tą wsią, dłużej czekać nie powinnam. Muszę zdobyć się na odwagę i spróbować wreszcie poszukać w ogrodzie Buczków schedy po dziadku! Obudzona w środku nocy, wyrecytowałabym, gdzie się znajduje słynny bank ziemski. Metr od fundamentów, na metrze głębokości.

## **1999–2003**

Jesienią 1999 roku opuściłam Nadrožno i wróciłam do Poznania, do starego mieszkania na Grobli. Prędko znalazłam byle jaką pracę w równie byle jakiej firmie handlowej i jako rekompensatę szarości dnia nawet jedną uczennicę gry na harfie.

Przenosząc się do Poznania, szybko doszłam do równowagi, zapomniałam o wsi, o Kostrzynie, Krajniku, o Sebastianie i o rozczarowaniu. Rzuciłam się w wir towarzyskich zabaw. W dzień praca, potem zabawa. Czasem po nocy spędzonej na zabawie nietrzeźwa włókłam się do firmy, gdzie zamiast być dociekliwą, odsypiałam balangę. Dobrze wyglądałam na kacu.

Mówiono, że mam lepszą cerę, że błyszczą mi oczy, a policzki się różowią. Konieczność codziennego uczestniczenia w imprezach była reakcją obronną mojego organizmu na brak wizji, jak dalej żyć.

Mniej więcej po roku, w jakiejś restauracji niedaleko Starego Rynku poznałam Leszka Podkańskiego. Akurat trwała Polagra. „Jesteś ładna babka” – powiedział. I tyle. Nikt mi tak wcześniej nie powiedział. Bywałam laską, laseczką, norką, cicikiem, kotkiem, koteczkiem, kici, a nawet miśkiem. „Ładną babką” nigdy. Wtedy tak jakby przemyślałam. Leszek dużo mi przyobiegał, ja jemu raczej nie, po prostu, nie potrafiłam dotrzymać słowa To wiedziałam. Pomyślałam jednak wtedy, poczułam, że chcę już gdzieś osiąść, że chcę, by Ola mnie szanowała. Powinna chcieć do mnie przyjeżdżać. Chcieć mnie wysłuchać. Miałam jej tyle do opowiedzenia. Swoje życie. Samotność, smutek, zagubienie, lęki.

Leszek miał pieniądze, jak najbardziej legalne. Nie badałam jego przeszłości, wiedziałam tylko tyle, co mi sam o sobie opowiedział. Że jest kawalerem, ma ziemię niedaleko Wrocławia, mieszka z matką i jest z nią bardzo zżyty. Przedstawiłam go Basi, która uznała, że okręciłam sobie chłopca wokół palca. I że jest przyzwoity.

Wzięliśmy ślub. Fundamenty pod nasz dom na peryferiach, a w zasadzie już na wsi powstały bardzo szybko. To miało być nasze miejsce na ziemi. Leszek dla mnie kupił działkę w Złotniczkach, bo chciał mnie

udomowić. Udało mu się i powstał maleńki zarodek Stasia, naszego dziecka. W sumie czułam wtedy, że zaczynam coś wreszcie tworzyć, coś ze swoim życiem kombinować poważnego.

## **Lato 2009**

Nocą zakradłam się do ogrodu Buczków. Za kilkadziesiąt godzin miałam wyjechać z Polski, więc sądziłam, że nawet jeśli zgłoszą na policję i odkryją, że to ja grasowałam w ich ogrodzie, nie uda im się już zamknąć mnie w pace. Owszem, byłam odważna, oczywiście nadal też w jakimś stopniu narwana, ale nie sądziłam, że najem się tyle strachu. Do rana nie mogłam przyjść do siebie. Buczek wychodził dwa razy z latarką na ogród, ja jednak wiedziałam swoje. Pomyślałam, że nie zrezygnuję, dopóki nie znajdę. Metr od domu, na metrze, łatwo powiedzieć. To już nie był dom dziadka, Buczkowie postawili nowy większy, a w ogrodzie, gdzie onegdaj rosły malwy, teraz kłuły róże. Dwa razy wracałam do domu bez niczego, podrapana, zdrętwiała ze strachu, ale gdy Buczek wracał do domu i ja wracałam. Brałam łopatę pod pachę, przeskakiwałam płot i znów byłam w transie.

Zaczynało świtać, kiedy wreszcie odkopałam okręcone folią zawiniątko. Nawet nie zatarłam śladów włamania, tak mi było spieszno. W domu od razu

zabrałam się za rozpakowanie paczki. Och, jaka byłam podniecona!

Była tam broń, jak się spodziewałam. Mała być. Był też plik papierów i kilka kopert z listami i pismami w środku. Zdjęcia. Nieważne zapewne obligacje. Pieniądzy nie było i choć zdawałam sobie sprawę, że byłyby już nieważne, i tak czułam się rozczarowana.

Oszukał mnie! Co to ma być? Myślałam, że to będzie konkretna scheda, a nie takie tam! Mimo to zabrałam się za przeglądanie papierów. Jakieś wojenne dokumenty, stare, dotyczące rodziny Leśniewskich. Urzędowe pismo o uznaniu Jana Leśniewskiego za zaginionego. To był mój pradziadek. Nic o nim nie wiedziałam. Nie miałam już siły przyglądać się dokładniej tym starociom. Zgarnęłam wszystko i wrzuciłam do teczki. W ręce został mi wycinek z Głosu Szczecińskiego z 1991 roku. Była to strona z wynikami przetargów na mienie wojskowe w Drawsku Pomorskim. Na jednym z nich nazwisko Zofii Kulińskiej, było podkreślone.

Ta wiadomość mnie zabiła.

Wyczerpana wrażeniami, położyłam się na kanapie, a zardzewiałą broń z wojny schowałam pod poduszkę. Czy była naładowana, czy w ogóle sprawna? Czarna magia. Po prostu się na tym nie znałam. Spać, szybko, wyłącznie spać. Miałam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia. Tyle kilometrów przed sobą.



– Igo, nie zamykasz drzwi, a czy wiesz, że ktoś nocą rozrył u Buczków gazon z różami?! Ciekawe, dlaczego komuś przeszkadzały róże? Fakt, bardzo były ładne, zwłaszcza ta różowa, cały rok bez mała kwitła, też im zazdrościłam, ale żeby niszczyć kwiaty z zazdrości? A może to znak? Może chodzi o jakieś porachunki mafijne? Kto ich tam wie? – Basia mnie obudziła. – Dziecko też śpi?

Spojrzałam na zegar. Było przed ósmą. Niewyspana, w oczach miałam piasek.

– Błagam, daj mi się łagodnie obudzić. Za minutę wsiadam w auto i jadę do Drawska Pomorskiego.

– Jak to?! Macie pojutrze lecieć do Houston!

– Najpierw Drawsko. Błagam, zaopiekuj się Stasiem.

– Nie powiesz, po co jedziesz? Czy to znowu on? Obiecałaś, że będziesz mówić o planach, wiesz, jak bardzo się denerwuję.

– Tak, to on. Resztę, jak wrócę.

– Skoro musisz... Weź chociaż nasze auto, fordem możesz nie dojechać.

\* \* \*

Wzięłam auto Koronowskich. Droga zajęła mi niewiele czasu, gnałam, jak to ja. Sporo czasu trwało,

zanim się pojawiła w domu. Nasza rozmowa trwała krótko. Wróciłam w poznańskie po południu tego samego dnia, zdradzona przez najważniejszego dla mnie w życiu mężczyznę, bez odpowiedzi na pytanie, dlaczego niejaka Zofia Kulińska chciała w tajemnicy przede mną zająć mój dom. Byłam pewna już na sto procent, że jak najszybciej muszę opuścić wieś. Na zawsze.

Staś jeszcze nie spał, nie było ciemno, czekał na mnie. Też chciał znaleźć się wreszcie w Teksasie. Basia kręciła się po obejściu, ale zignorowała mnie i nie weszła od razu do domu.

– Przegrałam Dom Złudzeń – zakomunikowałam, gdy pojawiła się w drzwiach.

– Mówiłaś, że nie interesuje cię udział w przetargu!

– Wyobrażałaś to sobie?

– Prawdę powiedziawszy, nie.

– Przegrałam nie tylko ten dom.

– Igo. Nie mów mi więcej o tym samcu, masz Kosmę i tego się trzymaj. Biję się z myślami, czy mu nie powiedzieć, że jest rogaczem! Była naprawdę oburzona.

– Ależ! Mój wyjazd nie dotyczył Ludwika! Aż tak źle mnie oceniasz?

– Powiedziałaś, że jedziesz do Drawska z jego powodu.

– Z powodu dziadka! Twojego ojca! Wiedziałam od

Adeli Renz, że pod koniec swojego życia jeździł na Pomorze, ale nie sądziłam, że po to, by mnie oszukać!

– Nic z tego nie rozumiem.

– Wczorajszy przetarg wygrała niejaka Zofia Kulińska z Drawska Pomorskiego. Mówi ci coś to nazwisko? Bo mi już tak.

– Sugerujesz, że ma coś wspólnego z ojcem?

– Wyobraź sobie, bardzo dużo. Jej matka, Jadwiga, była z domu Leśniewska.

– Wiedziałam! Mówiłam ci, że nie można mu wierzyć. No, nie był w życiu uczciwy. Uznając nieślubne dziecko, znów myślał tylko o sobie. Egoista. Kiedy przyszła na świat matka Kulińskiej?

– Myślę, że w czasie wojny. Od roku nie żyje, zmarła na udar.

– Żona go wyciągnęła z niemieckiej niewoli, nieraz zaślониła na wysiedleniu, ryzykowała, a ten się łajdaczył! Najpierw dowiaduję się, że miałam brata, na szczęście ślubnego, a teraz przyjdzie mi żyć ze świadomością, że i siostrę. Jak ja mam jej stawiać świeczkę na grobie rodziców, przecież tam nie tylko jej i mój ojciec leży, ale i moja zdradzana przez męża mama! – Dobrze tak prosto postrzegać życie? Nawet nie wiesz, w jak wielkim jesteś błędzie! To nie jest twoja siostra! Matka Zofii Kulińskiej była córką Józefa Leśniewskiego, brata dziadka! Tego, co podczas wojny uciekł na Węgry, a potem słuch o nim

zaginaj.

– Co ty powiesz?

– Ano powiem jeszcze, że dziadka brat, Józef, zginął w 1942 roku pod El Alamein i mój dziadek jako jedyny spadkobierca w latach pięćdziesiątych odebrał po nim przeszło dwa tysiące funtów.

– I co z nimi zrobił? To było dużo pieniędzy.

– Pod koniec swojego życia wszystko, co miał, także te funty, przekazał Zofii.

– Czyli jednak w jakimś sensie okazał się uczciwy.

– Uczciwy? Nie powiedziałabym. To mi schedę obiecał!

Byłam rozgoryczona. Gdy Basia pojechała do Nadrożna, z pudełka wyciągnęłam pożółkły papier kancelaryjny, zapisany niewprawną ręką. Zaczęłam kolejny raz czytać.

– Mamo, co to za starzyzna? – Staś zajrzał mi przez ramię.

– Korespondencja od kogoś, kto już nie żyje.

– To umarli mogą do nas pisać listy?

– Widać, tak.

*Igo, Wnuczko Kochana! Znam Cię bardzo dobrze, wiem, że w końcu zawitałaś w banku ziemskim. Może nie*

*potrzebowałaś tam zaglądać, a może nawet nie uwierzyłaś w majątek zgromadzony przez Zgrzybiałego starca. Nie myśl, że o Tobie zapomniałem, czy chciałem skrzywdzić. Tak nie było i zaraz zrozumiesz dlaczego. Musiałem naruszyć Twoją schedę, bo uznałem, że w ten sposób postąpię sprawiedliwie i z pożytkiem dla innych ludzi. Zosia, Twoja rówieśnica, prowadzi fundację i pomaga innym ludziom. Bardzo mi się to spodobało i postanowiłem przekazać jej fundacji wszystkie pieniądze, które udało mi się zgromadzić. Ta młoda i energiczna osobka jest wnuczką mojego jedyne go brata, oficera, który przedostał się, do Anglii, ale później zginął. Wiem, że ty sobie w życiu dajesz radę, bo to starałem się Tobie wpoić i to właśnie miało być moją najważniejszą schedą. Teraz doszła jeszcze Zosia, wszystko jest w dokumentach. Jest jeszcze broń, ale o niej lepiej zapomnij, sam powinienem już dawno się jej pozbyć, a zwłaszcza śladów krwi na niej. O resztę dopytaj Adele, o ile jeszcze ta herod-baba żyje.*

Oczywiście, że pobiegłam do Adeli, tym razem niezapowiedziana, z listem w ręce. Drzwi otworzyła mi Nina, ubrana w połyskujący sweterek w kolorze czerwonym.

– Nino, pięknie pani w czerwieni! – Byłam naprawdę zachwycona.

– Bo mi, Iguniu, czasem jest ładnie. A tobie zawsze

jest pięknie i we wszystkim.

Wyściskałam Ninę, nie ma co. Nie rozsiadałam się na sofie, usiadłam na brzeżku krzesła, wiadomo, bardzo mi się spieszyło. Wypadało się jednak pożegnać. Rozumiały to.

– Wyjeżdżasz... Czas na zakończenie opowieści – kontynuowała Adela. – Wahałam się, czy tobie, Iguniu, przed wyjazdem z Polski opowiedzieć wszystko. Po zastanowieniu się uznałam, że tak, bo inaczej nie zakorzenisz się dobrze w świecie. Historia nie jest po to, by siać nienawiść, wręcz przeciwnie, powinna nas uczyć zrozumienia. Poza tym może już się nie zobaczymy, kto to wie? Postaraj się jednak nikogo nie osądzać. Nawet gdybyś przeżyła wojenne piekło, i tak by nie dało to tobie gwarancji, że osąd będziesz miała sprawiedliwy. Takie to były czasy. Chodziłam na mokradła po żywokost, rany się Jaśce na szczęście zagoiły, gorączka ustąpiła, wydobrzała. Ale pozostały blizny na plecach i rany w jej duszy, zaczęła się jąkać. Przy okazji musisz wiedzieć, że długo trwało, zanim jej przeszło, dopiero po wojnie, w Wielkopolsce. Nigdy potem już nie była ani silna, ani wesoła. Dopiero, jak się zakochała w twoim tacie, czy jak ty się urodziłaś, śmiała się czasem i cieszyła. A to z powodu twoich pierwszych włosków, potem z pierwszego ząbka, jak postawiłaś pierwszy kroczek, pierwszy raz powiedziałaś „mama”. Ciągle się bała, że rodząc ciebie, zafundowała tobie być może piekło wojny,

która nieraz przecież wisiała na włosku. Rozmawiałam z twoim, Iguniu, dziadkiem o tym wszystkim. Ale jakże często o Jaśce. Nie mógł sobie darować, że zabił to „męskie bydło”, co Jaśkę do wrzątku wrzuciło. No, takie są prawa wojny, nie da się jej wygrać przy pomocy dyplomatycznych sztuczek. Ale jest jeszcze coś. On żałował, że Jaśka przeżyła. Nie do mnie takie gadanie, wściekałam się: „Jak możesz? Nie ty jesteś od żałowania, że ktoś żyje. Ojciec nigdy przenigdy nie powinien w ten sposób o swojej córce nawet pomyśleć”. Obraził się, ale widocznie później przemyślał, bo próbował się usprawiedliwić. Że całe życie była nieszczęśliwa, poza tym unieszczęśliwiła bliskich. Nie potrafił zrozumieć, że jego córka nie ma siły, wstydził się, że jest słaba. Nawet gdybał, że udaje, bo jest leniwa i pracować nie chce. Na takie głupie gadanie miałam tylko T jeden argument. „Gdyby wtedy umarła, nie miałbyś Igi!”. „No tak” – odpowiadał, co zawsze było „kropką nad i” dla naszych rozmów. Gdy twoi rodzice pomarli, oczywiście jakiś czas trwał w żałobie, ale generalnie odetchnął. Wiesz, dlaczego? Zawsze się bał, że oni cię zepsują. Wychowanie jest nauką rzeczy pożytecznych, generalnie dobra, ale jakże często bywa psuciem. Tak mówił, naturalnie przyznawałam mu rację. Gdy zamieszkałaś sama w Poznaniu, mimo że się bał, to i cieszył. Mógł sprawdzić, czy jego nauczanie ciebie, pożyteczności dało dobry efekt. Wyszłaś za męża, cieszył się, ale był niespokojny. Wiedział, że jesteś za młoda, martwił się, że

nie miałaś łatwego życia, a małżeństwo zobowiązuje, przynosi obowiązki. Każdy potrzebuje czasu dla siebie w życiu, każdy chce korzystać z młodości, z wolności, chce się wybawić, a ty tego tak mało doświadczyłaś. Bał się, czy w waszym małżeństwie coś nie pęknie. To ja, będąc w sanatorium w Połczyniu-Zdroju natrafiłam na tę gazetę z nekrologiem mamy Zosi. Było wymienione nazwisko po mężu – Kulińska i panięskie – Leśniewska. Cmentarz w Drawsku Pomorskim. A po tygodniu, nadal będąc na kuracji, wyczytałam w jakiejś szczecińskiej gazecie, że Zofia Kulińska nabyła mienie wojskowe w Drawsku Pomorskim. Może to zbieg okoliczności, zbieżność nazwisk, ale przywiozłam gazety do domu i oczywiście dałam Florkowi. On ciągle szukał wiadomości o bracie, wiedział, że ukrywał się na kresach, wiedział, że się zakochał i wzięli szybki ślub. Z tą gazetą Florek pojechał do Poznania i resztę informacji dostał z miejskiego archiwum. Słyszałam od Basi, że byłaś u Zosi. Zaprzyjaźniłyście się? Ponoć to bardzo fajna kobieta, bardzo dobry człowiek, potrafi pomóc. To już wiesz... No i teraz zostało mi coś, o czym wstydziłam się tobie powiedzieć. Teraz jesteś już starsza, po przejściach, zrozumiesz. Młodzi nie rozumieją uczuć ludzi starszych. Pewnego wieczoru siedzieliśmy z Florkiem długo w jego domu i dyskutowaliśmy, miałam już wychodzić, ale on poprosił mnie, bym została. Powiedział wtedy, że noc odbiera mu życie i przypomina o złych postępkach. Był bardzo samotny, widziałam, jak dużo go kosztuje ta



decyzja o schedzie. Wierz mi, w jego oczach widziałam łzy! Zostałam. Potem jeszcze kilka razy. Połączyła nas nie tylko wojenna tajemnica. Po miesiącu umarł, mam tylko nadzieję, że mniej samotny.

\* \* \*

Wróciłam do domu, został we mnie jednak ślad niesmaku. On też okazał się słaby. Mógł ze mną uzgodnić szczegóły. Nie potrzebowałam wtedy pieniędzy, zrozumiałabym. Teraz było mi znacznie trudniej, bo po prostu mnie rozczarował. Pomyślałam, że to znaczy, bym zostawiła przeszłość za sobą. Mam dzieci, które muszą mnie widzieć silną, chciałabym być dla nich wzorem.

Wróciłam do domu, odprawiłam Jagnę.

– Staś, chodź szybciotko, syneczku. Ubierz się, najpierw pójdziemy pożegnać jezioro, a potem policzymy, ile kroków liczy sobie akacyjowa aleja.

W jeziorze utopiło się popołudniowe słońce, ale nie w głowie mi było zachwycać się krajobrazem, tatarak wyrósł wielki tego roku, ale nie był mi potrzebny. Z plecaka wyciągnęłam notes i ołówek. Liczenie długości alei zajęło nam półtorej godziny. Oczywiście trudno było dojść do kompromisu i uzgodnić, według czyich kroków będziemy liczyć. Nie spieszyliśmy się, biłam się z myślami o Zofii Kulińskiej. To była bardzo miła i ładna

kobieta, spodobał mi się też jej pomysł na Dom Złudzeń, o którym z emocją mi opowiadała. Jednak naprawdę musiałam ją nienawidzić, bo to było jedyne możliwe uczucie w tamtym czasie. Otrzymała wszystkie należne mi pieniądze. Nie ja, ona. Znajda. A to ja byłam najważniejsza. Mnie kochał. Tak zawsze mówił...

Dreptaliśmy ze Stasiem, zaznaczając kolejną ich setkę w notatniku. Musiałam liczyć swoje kroki i Stasiowe. Tak zastał nas zmrok, czas było wracać, furтка Domu Złudzeń była już widoczna, kiedy doszliśmy do porozumienia, że długość alei zarachujemy według kroków Stasiowych. A było ich przeszło trzy tysiące.

## **2003**

W Złotniczkach miałam wszystko nazwane. Nie było już wprawdzie domu dziadków, bo Basia się już dawno temu go pozbyła, a kolejny właściciel, niejaki Buczek, wyburzył wszystkie budynki i postawił nowe. Nie było już sadu z kwitnącymi gruszami, wiśniami i czereśniami. Nowy właściciel zrobił też porządek ze starymi zrakowaciałymi drzewami. Zniknęła tym samym moja ulubiona z dzieciństwa, ale wiejąca złymi wspomnieniami, łączka „Wypalone oczy”. Nie było też wielkiego kasztana. Ale nadal były ziemie mojego dziadka. Basia je onegdaj sprzedała do agencji, ale

Leszek, zanim zamieszkaliśmy w Złotniczkach, wydzierżawił. Chciał, żebym była szczęśliwa, bezpieczna i przekonana, że to, co on tworzy, jest moje, rodzinne. Ziemia to ziemia. Nie można jej zburzyć jak domu czy garażu, ziemia się nigdy nie zniszczy. No, może wyjąłowieć, ale zwykle jest sposób, by przywrócić jej żyzność. Ziemia jest niezniszczalnym dobrem, tak mawiał dziadek, wążąc ciężkie grudy w dłoniach.

Najbardziej uszczęśliwiło mnie pole przy lesie, „pojaśniałe od piorunów”.

Koronowscy, widząc, jak rzutkiego mam męża, położyli na stół sumkę będącą rekompensatą za spadek po dziadku. Powiedzieli, że to moje wiano, a ja wtedy słowem się nie zdradziłam, że moje najważniejsze, najprawdziwsze wiano jest zdeponowane w banku ziemskim. Metr od fundamentów na metrze głębokości. Dawno bym już je zagospodarowała, ale jak to uczynić, kiedy zdeponowane jest w ogrodzie Buczków? Sprawa była niełatwa. Wiedziałam jednak na sto procent, że przyjdzie czas, a znajdę odwagę, zakradnę się do ogrodu obcych mi ludzi i schedę po dziadku odkopię!

## **Lato 2009**

Nocą, po powrocie do domu z liczenia kroków, ostatni raz przed wylotem, wyciągnęłam z pudła harfę

i zagrałam. Palce miałam elastyczne, giętkie, lekarstwo zatrzymało degradację stawów, czyli było tak, jak zapowiadał profesor. Wręcz pieściłam struny. Grałam i nuciłam przebój Rodowicz, sprzed lat.

*Są dwa światy i nas jest dwoje, do swych miejsc przypiętych jak rzepy, Ty masz pewnie więcej spokoju, ja mam dzieci. Są dwa światy i jedno słońce, które u nas słabiej coś grzeje, Ty masz wokół morza gorące, ja nadzieję (Andrzej Sikorowski).*

Grając tej nocy, czułam, że nie jestem sama, że wtórują mi na wiononczeli moje anioły. Skąd to wiedziałam? Intuicja. Bo ja w nią wierzę.

Chwilę po północy z bębenkiem w ręce, trąc zaspane oczy, do pokoju wtargnął Staś. Graliśmy prawie przez połowę nocy.

Moje Złotniczki. Los sprawił, że musiałam opuścić wieś. Czy na zawsze? Pewnie nie. To miejsce, gdzie zostałam najboleśniej doświadczona, ale, do diabła, przecież to tutaj także byłam bardzo szczęśliwa!

\* \* \*

Dwa dni później, siedząc w samolocie, w oczekiwaniu na lot z Monachium do Houston, odczytałam SMS-a od Kośmy. Kosma to ktoś, za kim prawdopodobnie podświadomie tęskniłam, zawsze

chciałam mieć mężczyznę, który będzie o mnie zabiegał, który sprawi, że poczuję się młoda i pożądana. I który będzie mi robił niespodzianki. Chciałam się w nim zakochać wariacko, sztubacko. Nie sędzę, by po moich przejściach taka spontaniczność była jeszcze możliwa, ale przecież warto marzyć!

Zamówiłem skrzynkę twojego ulubionego wina, w piekarniku czeka lasagne ze szpinakiem i tartufo. Tęsknię. Boję się, że nie od razu poczujesz się w Teksasie jak w domu. Ale wiesz, tutaj nad polami też nieraz snuje się zapach suszonej trawy. Zapach kumaryny.

Rozczulił mnie, natychmiast odpisałam.

Kosiu mój, zapamiętaj! Nie powinnam już pić alkoholu, ale lasagne jeść mogę, a nawet pożerać. Oczywiście pod warunkiem, że nie biorę tego dnia Trexanu. Wtedy, jak wiesz, uważam i nie jadam nic ciężkiego. Nie chcę wymuszać na organizmie skutków ubocznych. ☺

Wyłączyłam komórkę, samolot szykował się do startu. Stewardesy demonstrowały, jak należy się zachować w razie katastrofy, Staś próbował wyszarpnąć moją kamizelkę ratunkową.

Serce moje już kiedyś wyruszyło w podróż. Nie tylko serce, bo wszystko zaczęło się od wygodki za domem, do której bałam się iść nocą za potrzebą. Budziłam dziadka, by mi towarzyszył, a czasem sikałam do wiadra.

Przytuliłam wystraszonego wznoszeniem się samolotu Stasia i zażartowałam:

– Nie bój się, nie będzie bolało.

Staś spojrzał na mnie zdziwiony, a może bardziej przestraszony, że jego życie frunie wielkim blaszanym stworem w nieznane. Chwycił mnie za rękę i zaszeptał słodkim dziecięcym głosem, który tak bardzo kochałam:

– Daliśmy sobie świetnie radę, prawda?

– *Są dwa światy i nas jest dwoje...* – zanuciłam, przyciskając Stasia do siebie.

– Czy w amerykańskim domu będę miał osobny pokój?

– Oczywiście, przecież jesteś duży i mądry, więc przypuszczam, że nie będziesz chciał wyskoczyć oknem.

– A Ola też będzie miała swój?

– Tak.

– Mamo, mogę o coś zapytać? Nie będziesz płakać?

– Już nie będę, obiecuję. Wczoraj łzy zasuszyłam suszarką, do włosów. Nie widziałeś, bo już robiłeś chrapanko. Pytaj.

– Czy w Beaumont nadal będziemy musieli chodzić po domu na palcach?

– Już nie, kotku maleńki, już nie. Trzeba nam było przebyć labirynt dróg, by znaleźć się na trasie ku słońcu.

- Ono nas nie poparzy?
- Nie bój się, ogrzeje i da światło.

Staś popatrzył na mnie wielkimi mądrymi oczami. Wiem, co pomyślał. Że jestem inna, uśmiechnięta, zadowolona, a za sobą zostawiamy wszystko, *co złe*.

*The Little Drummer Boy* – usłyszałam cichutkie Stasiowe śpiewanie. Nieporadne. W kółko to samo, jakby rozumiał sens marzeń. Że trzeba je mieć i znów mieć. Ciągłe marzyć. Mój mały chłopczyk grający na bębenkach. Uśmiechnęłam się. To fakt, nieraz grywał, bębnił raczej, także na bębenkach, jakie mam w uszach. Kochany bobas. Chyba wyczuł, o czym myślę, bo znów zerknął na mnie, tym razem inaczej niż kiedyś. W jego oczach odbiłam się jako matka, która się sprawdziła. Byłam uśmiechnięta, radosna, bo odbiłam się wreszcie od dna. No, ba! Widziałam to wszystko w oczach mojego synka.

– Mamo, jesteś naszą chlubą... – wyszeptał do mojego ucha i pogłaskał mi rękę.

Ukradkiem otarłam łezkę wzruszenia (przecież przed chwilą obiecałam, że nie będę płakać) i zaczęłam się zastanawiać, co bym zrobiła, gdybym jeszcze raz musiała budować od podstaw firmę. Jak bym do tego podeszła? Ze strachem? Z obawami? Czy z pasją, która sprawia, że dzieło jest większe, że idzie w siłę, ma moc, nawet to wydawałoby się śmiertelnie ugodzone? Nie powinnam się

wstydzić. To ci, którzy nie doświadczyli nigdy takiej jak ja traumy, takich doświadczeń, powinni się zarumienić. Bo czy żyli naprawdę?

Z życiem jest jak z biblioteczką z książkami. Są dzieła do przeczytania i są też te przeczytane. Do tych drugich czasem się wraca, by sobie przypomnieć bądź by się znów nimi zachwycić. Niech wracają do mnie wszystkie moje życiowe karty, nie chcę niczego skreślić, odstawić na bok. Nie chcę i już.

Wyciągnęłam tomik poezji mojego ulubionego Krzysztofa Cezarego Buszmana. Staś patrzył w czarne okno, jakby chciał wypatrzyć swój nowy dom. Oj, dzieciaku, dzieciaku! Jest noc, pod nami ocean, nic nie widać. Czuję się odpowiedzialna za nasz nowy świat, bardzo chciałam, by Staś wreszcie był szczęśliwy. Pogłaskałam go po głowie, a on się mocno do mnie przytulił i za chwilę spał snem dzieci, które sporo przeszły i niejedno widziały.

Chciało mi się kochać życie, chciało mi się cieszyć. Nigdy przedtem tak bardzo nie istniałam. Nigdy. Pozostało mi uporać się z niemożliwą do spełnienia miłością do Ludwika. Chwilę przed wyjazdem ze Złotniczek przysłał mi e-maila, przeczytałam go parę razy, ale nie odpisałam. Najważniejsze, że żył i miał się dobrze, tego mu życzyłam. Ułożyłam sobie wszystko na nowo, priorytety, podzieliłam rzeczy na ważne i mniej ważne. Wiedziałam już na sto procent, że w życiu chcę



postępować uczciwie i dotrzymywać obietnic, także tych danych sobie. Ludwik i ja. Dlatego się spotykaliśmy, bo byliśmy w porządku wobec siebie. Pożądał mnie, być może kochał. Potrzebował mnie, a ja jego. Oboje się przeprowadziliśmy przez trudny czas, nikogo nie raniąc, bo nasze intencje były uczciwe.

Największą wartością w życiu jest miłość. Można być zamożnym, mieć samochody, domy, hektary, cieszyć się splendorem, uczestniczyć w atrakcjach, znudzić się bogactwem, ale i tak zawsze jesteśmy gotowi na miłość.

No cóż. W moim życiu miał być teraz Kosma, tylko on, na zawsze on. Staralam się w nim zakochać, nie mogłam pozwolić, by kochał mnie bez wzajemności. Wiedziałam przecież doskonale, jakie to jest przykre.

## **Jesień 2010**

W Beaumont mieszkam już przeszło rok, od paru miesięcy aplikują mi leki biologiczne. Kosma pozałatwiał wszystko za mnie, ubezpieczył, dlatego stać nas na zdrowotne wydatki. Choroba się wyciszyła, to dobrze, że szybko doszło do remisji. Nic mnie nie boli, ale gdy się spocę, odbarwiają mi się koszulki. Staś żartuje, że jestem wybielaczem. Boi się, że i jego wybiele, już nie chce, byśmy się trzymali za ręce.

Żyję, wreszcie. Oddycham pełną piersią, bo Zosia

Kulińska okazała się bardzo sympatyczną osobą. Z zawodu jest tłumaczką, ale skupuje stare wiejskie domy i opuszczone wiejskie szkoły. Jej fundacja zamierza w Domu Złudzeń prowadzić działalność na rzecz młodych artystów, taki dom pracy twórczej. Podobny od lat prowadzi na obrzeżach Drawska Pomorskiego, niedaleko Szczecinka, trzeci w Bornym Sulinowie. Wiem, że w Złotniczkach planuje zamieszkać na stałe.

Basia oczywiście od razu się w niej zakochała, ciągle trajkocze przez telefon: Zosia to, Zosia tamto. Zosia ponoć zamierza wymóc na urzędnikach zwrot kosztów poniesionych przez nas przy remoncie domu. Pewnie nie będzie to możliwe, ale Basia upiera się, że tak, nie będąc oczywiście świadomą, że za remont ruiny byliśmy bardzo długi czas zwolnieni z czynszów. Ale jeśli Zofia chce, jeśli jest taka bystra i wspaniałomyślna, niech załatwia. Pewnie chce się wkupić w moje łaski?! Będą pieniądze, wezmę, nie ma innej opcji, ale zaprzyjaźnić się już nie chcę z nikim. Wolę tak, jak jest, mniej boli.

Dom Złudzeń. Niewiele brakowało, a bym poświęciła dla niego wszystko. Może to nawet dobry pomysł, by był domem pracy twórczej? Dobrze się stanie dla wiejskich dzieci. Mają znacznie mniej szans niż mieszkające w miastach. Jeśli to poważny zamiar, też postaram się uciułać i przekazać jakąś sumkę.

Kilka tygodni później zaterkotał telefon, kiedy

wróciłam z ogrodu.

– Igo, wzięłam tę waszą ciemnobrązową szafkę, Rysiu zeszlifował, a ja pomalowałam ją na jasno i wyobraź sobie, na drzwiczkach zrobiłam *decoupage* z kwiatami eustomy. Gdy wrócicie do Polski, przypomni wam teksańskie kwiaty. Kwiaciarka z Pobiedzisk mi podała ten pomysł. Oni, wszyscy tutaj w okolicy, bardzo interesują się teraz wszystkim co teksańskie. A w ogóle jeszcze ci nie mówiłam. Kupiłam sobie strój pletwonurka.

Pomyślałam, że wspomnienie Ludwika tym razem nie sprawiło mi bólu. Był i jest. Żył i żyje. Kochałam go i chyba Kocham nadal, ale moje uczucie było w uśpieniu. Z wiekiem i po takich przejściach zmienia się wszystko, miłości też towarzyszą inne emocje. Tak? Nie wiercie! Nie do końca mówię prawdę. Na myśl o Ludwiku znów poczułam wilgoć w majtkach... i tak już pewnie zostanie, dopóki będę miała libida – Igo, nie licz, że pieniądze, jakie być może Zosia wydebi z budżetu, dam tobie na zmarnowanie! Nic z tego. Rysiu i ja uradziliśmy, że je ulokujemy.

– Basiu, na giełdzie? Przecież wszystko leci na łeb!

– O nie! Nas nie musisz uczyć, jak się zarabia pieniądze!

– Błagam, tylko ich nie zmarnujcie! My naprawdę tutaj wiele możemy kupić!

– Umówmy się. Wrócicie, to są wasze, jeśli nie, dam

na inny cel.

– Zauważ, że mówimy o pieniądzach, które być może będziemy mieć! – zachichotałam.

Nawet będąc w Beaumont, buduję naszą rodzinę i relacje między nami wszystkimi. Oczywiście, o poczynaniach Basi i Rysia muszę jeszcze pomyśleć, bo wymknęli się spod mojej kontroli. Niebawem zajmę się i polskim majątkiem, pojawiają się nowe możliwości. Kurczewski przysłał mi wiadomość, że odkopane obligacje po dziadku nadal są w sferze zainteresowania prawników. Być może będę je mogła kiedyś wykupić?

To dobra wiadomość, ale druga niestety jest zła. Przegraliśmy sprawę karną o pobicie Grażyny, dostałam wyrok dwóch lat w zawieszeniu. Nie mówię jeszcze *pass*, to nie ja. Kurczewski został upoważniony do złożenia w moim imieniu apelacji. Nie odpuszczę, w poszukiwaniu sprawiedliwości pójdę nawet i do Strasburga!

\* \* \*

W Beaumont często się zastanawiam nad życiem. Nigdy nie zrozumieję jego nieprzewidywalności. Nie wiem, według jakiego klucza (my, ludzie, w tym naszym ziemskim wcieleniu) funkcjonujemy. Róża miała w ręce „wyrok”, a żyje. Adela Renz ma więcej lat niż ja, Ola i Staś razem wzięci, też żyje i ma się bardzo dobrze,

nawet czyni plany rozwinięcia biznesowych przedsięwzięć. Odkupiła pieski po Ewie i dokupiła kilka kolejnych. Wciąż żyje i chleje stary Dyduch, mimo że kilkadziesiąt lat co wieczór modliłam się o jego śmierć. Na łóżku wegetuje sparaliżowana, z niezagojoną przepukliną i z rozległymi odleżynami na plecach stara Dyduchowa. Ewa zaś dostała „wyrok”, wykonano go, ale nikt nie podał uzasadnienia. Bo i jakież ono by miało być? Nie nażyła się ani długo, ani w szczęściu, a mimo to odeszła. Przedwcześnie opuścili ziemię: moja babcia, mama i tata. Tylko dziadek podwyższył średnią długość życia w mojej rodzinie.

Takie refleksje mi towarzyszą, gdy codziennie wieczorem odmawiam w myślach swój autorski pacierz: *Dziękuję ci za szczęśliwy dzień, a proszę o szczęśliwą noc, dla mnie, dla moich najbliższych...*

*Zacinam się, gdy nadchodzi kolej, by wymienić Ewę.*

Codziennie o niej myślę. Tyle mam do opowiedzenia, wciąż piszę do niej niewysłane listy. Gdybym mieszkała w Złotniczkach, opowiedziałabym wszystko nad jej grobem. Teraz spisuję zwierzenia i myśli na papierze, pakuję w różowe koperty, bo właśnie ten kolor Ewa lubiła szczególnie.

*Kochana Ewo, nie martw się o mnie. Jestem naprawdę w dużo lepszej kondycji. Mam już na pewno za sobą lęki i napady paniki, jednak telewizji wciąż jeszcze nie mogę oglądać. Poza tym stresują mnie*

*niezapowiedziane dzwonki do drzwi i telefony. Bezpiecznie się czułam tylko będąc daleko od Złotniczek, z Ludwikiem, Kosma niestety nie jest silną osobowością, często to on oczekuje ode mnie wsparcia. Daję mu je. Czy tak już będzie zawsze?*

*Wrastamy w amerykański kontynent. Ola była u nas cały miesiąc, w czwórkę poleciliśmy do Nowego Jorku, sama nigdy wcześniej nie znalazłam powodu, by w tym mieście postawić stopę. Było cudnie, zwiedziliśmy Times Square, Wall Street i 5th Avenue, zobaczyliśmy Statuę Wolności – być tam to obowiązek – i oczywiście obeszliliśmy muzea: Guggenheima i Sztuki Współczesnej. "Żałuję,, że tylko te dwa, no ale wszystko jest jeszcze przed nami. Popołudniami spacerowaliśmy ulicami na Manhattanie, Mostem Brooklińskim, no i po Central Parku. Przedostatniego dnia wieczorem czekał nas koncert w Metropolitan Opera, potem chcieliśmy zobaczyć jakąś sztukę na Broadwayu, ale nie było biletów. Pomyśleć o Carnegie Hall już nam się nie udało. Byliśmy przygotowani do wyjazdu na lotnisko, kiedy Ola poprosiła, aby zawieźć ją pod siedzibę dużej kancelarii prawnej. Cóż było robić?! Najbliżej było do Bakera and McKenzie. Sąsiad, rodowity Amerykanin, coś u nich kiedyś załatwiał i zapewniał, że dla tej kancelarii pracują niezli prawnicy. Ale czy (jak na amerykańskie warunki) jest duża? Nie znam się. Gdy udało nam się tam dotrzeć, Oleńka podeszła do budynku, przytknęła do muru policzek i zaczęła płakać. A ja teraz biję się zamysłami, co zrobić,*

*by właśnie u nich rozpoczęła praktykę adwokacką, by spełniła swoje marzenia? Skąd wziąć na to pieniądze?*

*Staś szybko, szybciej niż ja, nauczył się biegle języka i amerykańskiego stylu żyda, ale myśli ma nadal hmmm... polityczne... Zapytał mnie kiedyś, dlaczego uważa się, że socjalizm był utopią. Mały filozof. Chwali się, że ma cztery własne pokoje. W Beaumont, w Złotniczkach, u Basi i Rysia w Nadroźnie i u Leszka. Poza tym zaciął zbierać pieniądze, nawet te „kółkowe”, którymi przedtem (jak zapewne pamiętasz) gardził. No cóż, zmieniliśmy się. Schylam się po jednego centa i już nie wrzucam bilonu gdzie bądź) chucham i natychmiast umieszczam w portfelu, bo wiem, że pieniądze należy skanować. Boli mnie, że Leszkowi nadal się nie wiedzie. Nikt nie rozumie, dlaczego się nim martwię. Menda bez, honoru, zostawił mnie na lodzie i żeby było sprawiedliwie, postawił w chorobie kochankę, Różę. A ja mu finansuję wynajęte w Koninie dwupokojowe mieszkanie, doradzam. Na szczęście raz mnie posłuchał, wziął w dzierżawę kiosk, ale widzę, że mimo to popadł w depresję. W zasadzie się nie dziwię, bo niewiele mu z tego biznesu pozostaje na życie, a komornicy czyhają, by go złupić i puścić na mróz w samych majtkach. Powinnam czuć satysfakcję, że ma za swoje, ale jest niestety inaczej... Gdyby chciał przylecieć do Teksasu, na pewno trochę grosza by narobił. Ale nie chce. Staś zawsze po powrocie z Konina kręci głową i pyta przejęty, dlaczego w jego rodzinie zawsze jest ktoś na dnie. Powiada, że gdy dorośnie, postanie kanalarzem,*

*ubzdurał sobie, że ludzie, którzy czyszcza kanały, przy okazji wyciągają ludzi z dna. Zabawne! Na razie nie wyprowadzam dzieciaka z błędu.*

*Ewuniu, boję się, że uznasz mnie za chwalipiętę, ale muszę się z Tobą podzielić jeszcze jedną radosną nowiną. Kupiliśmy niedawno za bezcen od zrujnowanego Amerykanina kolejny równie zrujnowany dom. Zatem, jak słusznie podejrzewasz pracuję sporo, a żadne Zajęcie nie jest mi obce ani straszne, nawet sprzątanie po budowlańcach. To polskie bankructwo sporo mnie nauczyło i pokazało inną perspektywę. Działam i ciułam pieniądze. Kos dopiero przy mnie obrasta w dobrobyt, ja zaś czasem się zastanawiam: czy mi jest w ogóle potrzebny facet? Czy nie powinnam żyć sama? Może ich wszystkich unieszczęśliwiam? Najłatwiej potraktować siebie jako ofiarę, tymczasem mi udało się z kłopotów wyciągnąć wnioski i uznać je za lekcję życia. To dobrze.\*

*Twoja Iga. Beaumont – jesień 2010*

*PS Wiem (ale to sekret), mam pewność, że aby zadośćuczynić i swoje życie odciążyć ze świństw, jakie uczyniłam sobie czy innym, powinnam jednak wrócić do Złotniczek. Tylko tam mogłabym naprawdę podnieść głowę. Może kiedyś?*

No nic, koniec pisania! Dostarczono mi wczoraj sto małych kaczuszek, które nie mogą czekać, aż będę miała



ochotę na zajmowanie się nimi. Kwaczą jak opętane, bo chcą zreć. Właśnie rozpoczynam kolejny etap w swoim życiu – wprowadzam polskie zwyczaje i przede wszystkim polskie jadło na amerykański stół.

Dając wiarę słowom Oli, czasem zakładam buty sportowe i biegam. Niewiele, kilometr, dwa, a ostatnio prawie trzy. Bardzo dobrze się czuję, gdy pobijam swoje rekordy. A wieczorem? Gdy wielki, płonący talerz kryje się za linią horyzontu, stawiam w patio harfę. Sąsiedzi przyzwyczaili się do mojego muzykowania, lubią, jak gram, bywa, że wołają: „Radośniej, poprosimy, radośniej”. Nieraz dołączy Staś ze swoim bębenkiem, jednak tutaj czyni to wyraźnie grzecznościowo. Wiem, że nie znajduje już powodu, by bębnić. Trochę racji ma...

W Beaumont nie jest źle. Ziemia wprawdzie nie pachnie jak w Polsce, ale czasem wiatr przywieje na ganek naszego domu zapach kumaryny. No i... to słońce. Jest olbrzymie, czerwone, aż parzy moje myśli. Nigdy nie zapomniałam, co mi powiedziała wróżka we Wronczynie: „Twoje szczęście gości po zachodzie słońca” – dokładnie tak powiedziała.

Minęła moja pora marzeń i złudzeń. Dziś wiem z całą pewnością, że będąc kobietą, kwintesencją życia, siłą, by żyć, jest dla mnie działanie.

Pobierając lekcję skromności, poznałam swoją naturę, straty i cierpienia były etapem na mojej drodze do budowania szczęścia. Pochlebcy powiadają, że zostawię

po sobie rzeczy wielkie, ale ja wiem, że prawdziwa wartość tkwi w czynach i rzeczach małych. Nie ma już we mnie pychy, staram się być pogodna i zadowolona, choć przejęłam rodzinną schedę z całym dobrodziejstwem inwentarza. Obciążona genetycznie słabościami, jednocześnie jestem obdarowana siłą do ich przewycięzania. Mam pecha i szczęście jednocześnie. Wierzę w anioły, choć rozum podpowiada mi, że takowe byty nie istnieją. Zaliczyłam dobrobyt, straty, klęskę, ale i cud podniesienia się z finansowego dna. Doświadczenia wniosły do mojego dorosłego życia prawdę i choć upływający czas zdeformował w mojej pamięci przykre wydarzenia, wiem doskonale, że przede mną nadal może być wszystko, dobro i zło, cały pakiet.

Każdy poranek jest początkiem.

Moje życie to słońce, czerwone jabłko z wyciętą uśmiechniętą buzią, ogień w kominku, kasza manna z jabłkowym musem na śniadanie, kaczka po poznańsku w ciemnym sosie, podana z pyzami i modrą kapustą, grzyby w śmietanie (gdy pomyślę o Polsce), czasem wypite o zachodzie słońca białe kalifornijskie wino.

Staś, Ola, Kosma.

*Urodziłam się, w dniu, kiedy Egipt zamknął dla statków izraelskich Cieśninę Tirańską. Gdy na bliskim Wschodzie rozpętało się wojenne piekło, miałam dwa*

*tygodnie. Mówią, że rodzicie się w niewłaściwym czasie, ściągamy na siebie kłopoty. Czy przyniosłam sobie trudne życie? Urodziłam się, by żyć? Czy żeby umrzeć? Nieistotne, bo ciągle mam do osiągnięcia bardzo ważny cel. Jaki?*

*Muszę sprawić, by Ola i Staś zapomnieli, że ich kiedyś nie dość kochałam!*